

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



2.03.00

Piotr Siemion

Niskie Łąki

logo W.A.B.

*Wszelkie podobieństwo bohaterów tej książki  
do jakichkolwiek osób jest przypadkowe  
i niezamierzone przez autora.*

Wydano z pomocą finansową  
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Copyright © Wydawnictwo W.A.B., 1999  
Wydanie I  
Warszawa 2000

2.03.00

*Autor pragnie podziękować panu Krzysztofowi Kamanowi Kłosowiczowi  
za uprzejmą zgodę na wykorzystanie w tekście fragmentów  
jego utworów z repertuaru wrocławskich grup Miki Mausoleum i Big Beat.*

*Fragment wiersza „Jerusalem” Williama Blake'a ukazuje się  
w przekładzie autora niniejszej książki.*

Redakcja: Marianna Sokołowska  
Korekta: Krystyna Kurman  
Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt okładki i stron tytułowych: Maciej Sadowski  
Fotografia na I stronie okładki : © Grzegorz Kwolek  
Fotografia na IV stronie okładki: © Piotr Siemion

Wydawnictwo W.A.B.  
ul. Nowolipie 9/11, 00-150 Warszawa  
tel., fax 635 15 25, tel. 635 75 57  
e-mail: wab@wab.com.pl  
<http://www.wab.com.pl>

Skład: Komputerowe Usługi Poligraficzne, sc.  
Piaseczno, ul. Żółkiewskiego 7  
Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca S.A.  
Kraków, ul. Wadowicka 8

ISBN 83-88221-13-2

Książki oraz bezpłatny katalog  
Wydawnictwa W.A.B.  
można zamówić pod adresem:  
ul. Nowolipie 9/11  
00-150 Warszawa  
fax: (22) 635 15 25  
e-mail: [wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)  
<http://www.wab.com.pl>

Część pierwsza  
ANGLIK Z WODY

*(Wrocław 1983)*



## Anglik z wody

Przefrunął na płask ponad barierą i runął głową w dół jak w studnię, a potem trzasnął plecami w czarną wodę. Zimny wir zamknął się nad nim, parząc skórę. Gdy Anglik wynurzył się i zachłysnął powietrzem, nurt spod śluz elektrowni znosił go już na środek rzeki. Na oślepie, pieskiem, rzucił się w kierunku kamiennego brzegu, który majaczył po lewej. Nocna woda cuchnęła fenolem. Kiedy jak zabłąkany morski krab dotknął wreszcie mokrego granitu i wpełzł na dolne stopnie nadbrzeża, czuł drżenie w każdym włóknie mięśni. Zamiast wspiąć się wyżej, uniósł głowę i zaczął nasłuchiwać.

Nikogo, cisza. Na pewno? Bo jeśli tamci czterej wrzucą go po raz drugi, dbając, by tym razem już nie wypłynął?

Nie, pusto. W górze nie majaczyły niczyje twarze, nie rozbrzmiewały już obce głosy. Pochyłość była stroma, ale pełznąca wzdłuż jej złączenia z kamienną ścianą, która tworzyła na tym brzegu przyporę jazu, można było się wygrzebać na samą górę, na poziom jezdni, przed bramę elektrowni. Dopiero teraz poczuł zimno, do tej pory był zbyt przeżony, by zwracać uwagę na cokolwiek. Skulony, trwał nadal tam, gdzie zaczynała się wiodąca od rzeki w stronę głów-



nego placu wąska brukowana ulica. Szedł nią przedtem, za dnia, około siódmej, w gasnącym sierpniowym słońcu, pięć godzin po tym, jak ogłuszony i mokry od potu wysiadł z pociągu na głównym dworcu. Wszystkie łacińskie litery napisów oznaczono kreseczkami i kropkami o niewiadomym znaczeniu. Kiedy przemierzył beczkowato sklepioną główną halę żeliwnego dworca, godnego salonek Habsburgów, i wyszedł przed gmach, pierwszy raz wciągnął w nozdrza wilgotny zapach tego miasta, woń mokrego kamienia, łąk, siwych spalin, upału, rzecznej pleśni, cegieł i koksowego pyłu.

Na dnie rzeki spoczęły klucze od mieszkania, otrzymane późnym popołudniem w dyrekcji teatru, a także granatowy paszport, bez którego – jak się dowiedział dzień wcześniej od witającego go w Warszawie przedstawiciela Instytutu Brytyjskiego – nie powinien, jako cudzoziemiec, chodzić po tutejszych ulicach. – Policja sprawdza, zwłaszcza teraz, wie pan, ledwo znieśli ten swój stan wyjątkowy, propaganda znów trąbi o wrogiej infiltracji, więc dokumenty lepiej nosić przy sobie – uprzedził Anglika czarniawy mężczyzna w za ciasnej tweedowej marynarce, który go odnalazł w barakach stołecznego lotniska. – Tu ma pan rezerwację hotelową, a tu, na jutro rano, bilet na pociąg. Pan oczywiście na staż teatralny.

– Widzę, że się pan orientuje w szczegółach...

– Nie, w tamtym mieście robią tylko staże teatralne, poza tym nic się tam nie dzieje, wie pan.

– Będę pomagał inscenizować *Dziką kaczkę*.

– *Dziką kaczkę?*

– Tak wynikało z teleksów i z listu.

– Będę musiał to chyba sprawdzić. Proszę tędy. Ostrożnie, bo łatwo się potknąć.

Woda ściekała z ubrania, tworząc trzy niewielkie kałuże na potrzaskanym granitowym nadbrzeżu. Szyderstwa o wodoszczelnych zegarkach, takich jak ten jego, barwnych, szwajcarskich wynalazkach sprzed roku, „dobrych w sam raz, by w nich zmywać naczynia”, nie sprawdziły się. Wskazówki pokazywały dwadzieścia minut po północy, a sekundnik krążył w najlepsze pod zaparowanym szkiełkiem.

Anglik pomyślał, że kraty przy jazach często zatrzymują zwłoki, ciała o pojaśnianej skórze i włosach zlepionych tłustą wodą. Wszystko odbyło się tak prędko: wrzask, podrzut ramion w zbiorowym wysiłku, potem uderzenie ciała o taflę wody. Wzdrygnął się. Pamiętał dokładnie, że paszport wyleciał mu z kieszeni, zanim jeszcze rzeka zamknęła się nad głową i oparzyła w jednej sekundzie. Przez mgnienie obserwował więc szybowanie dokumentu, cały czas przeżony myślą, że spadnie prosto na kamienie w dole. Mignęła mu przed oczami granatowa okładka z wycięciem. Klucze musiały wypaść później, pewnie już w wodzie. W kieszeni, w każdym razie, miał zamiast nich tylko wilgoć. Wzdrygnął się i zakaszał, wypluwając wodę. Czy naprawdę dotknął dna rzeki? Dawno temu, w Blackpool, a więc podczas wakacji, odważył się i skoczył z pięciometrowej trampoliny do basenu, głębokiego – jak zaświadczała blaszana tablica – na dziesięć jardów. Pamiętał wstrząs, gdy przeciął wodę, pamiętał też, jak otworzył oczy i wśród mglistej zieleni dostrzegł wykładany kafelkami mur. Przeraził się wtedy, nie wiedząc, czy ma przed sobą dno basenu, czy ścianę. Nie miał pojęcia, w którą stronę płynąć. Długo machał rękami, pełznąć ku powierzchni. Wtedy także zaczynał się dławić wodą. W odmiecie mignęły czyjeś bose stopy. Pływak! Brakowało mu już oddechu.

Z sąsiedniego mostu skręcał na nieoświetlony bulwar żółty nocny tramwaj. Zamajaczyły we wnętrzu ludzkie cienie, zahurgotały koła. Żółte było w każdym razie światło wewnątrz wagonu. Nadal ani jednego przechodnia, nikogo. W Londynie na miejscu wypadku zebrałby się już spory tłumek, migotałyby czerwone lampy ambulansów, a mokłą ofiarę przepytywałaby policja. W Londynie nie ma tramwajów. Tramwaje mogą być w Niemczech Zachodnich, Wschodnich może zresztą też. A także tutaj, w mieście, którego nie znał, tak jak nie znał miejscowego języka i obyczajów ani smaku nieruchomego miejscowego powietrza. A zatem, lekcja dla początkujących: nocą, podczas pierwszego samotnego spaceru po Wschodniej Europie, można zostać zrzuconym z mostu do wody, bez prowokacji i bez wyraźnego powodu – przez czwórkę facetów, którzy pojawili się znikąd i nie zadawali żadnych pytań.

Nie bardzo wiedząc, co się robi w takich wypadkach, poczłapał przed siebie, przez jezdnię i tory tramwajowe, drugi pas jezdni... Na ślepej ścianie drugiego z domów widniał, namalowany dawno albo niedawno, wielometrowy wizerunek łamanego kołem mężczyzny. Kiedy szedł tamtędy za dnia, zapamiętał to malowidło, wyraźne mimo osadu węgla i dwutlenku siarki, zatykających wapienne porowate pory kolorowanego tynku. Już wiedział, gdzie jest. Teraz trzeba wezwać policję. Ale w jakim języku? Liczyć na to, że patrol będzie znał angielski? Czy francuski? Albo że zajmie się kompletnie mokrym bełkoczącym facetem bez dokumentów? Choć oczywiście do wody mogli go wrzucić policjanci po cywilnemu. W tych krajach wszystko możliwe.

Na chodnikach nie było widać nikogo. Za to z bramy narożnej kamienicy dobiegała przytłumiona muzyka, tak,

chyba jazz. Nie znał tego standardu, a w każdym razie nie potrafił rozpoznać melodii, od której basowego wątku drżało leciutko drewniane, chropawe w dotyku skrzydło uchylonych wrót. Farba łuszczyła się pod palcami.

W tunelu sieni było zupełnie ciemno, toteż zwolnił, a potem zamarł w miejscu, bo ciemność rozdarł trzask zapalniczki. Żółty płomyk zmienił się zaraz w czerwone kółko papierosa. Poruszył się, choć oczywiście nie rozumiał skierowanych do siebie słów:

– Nie krępuj się, przyjacielu. Czym brama bogata.

Na stopniach, skręcających z bramy w klatkę schodową, siedziało ich dwóch, mniejszy i większy. Ten mniejszy, z wąsikami, zaciągnął się głęboko papierosem i podał go większemu. Z zapachu wynikało niezbicie, że nie palą miejscowego tytoniu, którego czad trwał we wszystkich odwiedzonych dotąd wnętrzach w tym kraju. Najgorzej było w pociągu, właśnie z racji dymu i uporczywego jarzeniowego światła, którego mimo jasnego dnia nie dało się wyłączyć. Obaj siedzący na schodkach bez zdziwienia przyglądali się mokrej zjawie.

– *I was thrown... I fell from the bridge. Into the water, you see?*

– Nie spiesz się z językami, kolego. Muszę się jeszcze trochę upalić, żebyśmy sobie mogli pogawędzić. Inglisz?

– *Yes!*

– No, sam widzisz. Nie pogadamy.

– Co się go pytasz, Bozia, słyszysz, że mó-ó-wił po a-a-angielsku.

– Choćby mówił językami anielskimi, a miłości nie znał, nie powtórzy za Panem: „I stanąłem na piasku morskim”. Co, może też chcesz się machnąć? – zabrzmiał znowu miły basowy głos.

Papieros przeszedł z rąk do rąk.

– Tylko nam go nie rozmocz.

– *I had an accident...*

– Pewno nam chcesz opowiedzieć, co robiłeś na dnie

Odry?

– No, no, tylko się nie przyzwyczajaj do mojej marychy.

– Tu nie Jamajka.

Na chwilę zapadło milczenie.

– *Somebody assaulted me, four big blokes, they plopped me into the river just like this, see?*

– Jeśli kto językiem niezrozumiałym mówi, odwróci się zbór od niego.

– P-p-popatrz no, jak się trzęsie.

– Popływał, to go trzęsie.

– To co? Wracamy na górę?

Idąc za gestem ręki, mokra sylwetka oderwała się od odrapanej olejnej lamperii i zaczęła się wspinać za nieznajomymi po szerokich drewnianych schodach. Łatwo było się potknąć, bo na dół klatki schodowej przedostawał się tylko poblask mizernej żarówki z górnych pięter. Krawędzie wyslizganych desek okute były jeszcze gdzieś mosiądzem. W półmroku sień kamienicy, czterdzieści i kilka lat temu podziobanej kulami i tak pozostawionej, zmieniała się w brzuch chorego wieloryba, pełen suchych wodorostów i zielonkawego cienia.

Za trzecim zakrętem schodów cała trójka stanęła przed wysokimi drzwiami. Kiedy błysnęła zapalniczka, na przypiętej do ich skrzydła tekturze dały się odczytać polskie wyrazy W OGÓLE NIE P... Reszta napisu była urwana. W środku także trwał półmrok, spęczniały od zastarzałych zapa-

chów gotowanej bielizny, kurzu, grubych płaszczy, papierosów. Dopiero za załomem korytarzyka, w świetle, Anglik na kieszeni amerykańskiej kurtki wojskowej mniejszego chłopaka z bramy dostrzegł blaszanego orzełka z koroną.

– A, to wy – przywitano ich.

– Wyskoczyliśmy tylko ptaka przeewietrzyć – dwa krótkie palce dotknęły orzełka z koroną.

– A ten koleś?

– Płetwonurek.

W kątach obszernego pokoju siedziało na podłodze kilkanaście osób. Dopiero po chwili zorientował się, jacy są młodzi, dużo młodszy nawet od niego. Ten przy oknie, śpiący z głową w popielniczce, to zupełne dziecko. Dwie dziewczyny z ciekawością spojrzały na obuwiu nowego przybysza: czarne robociarskie półbuty na bardzo grubej podeszwie, lecz (co nie było już oczywiste) bardzo lekkie, na tyle w każdym razie, że przed kwadransiem nie pociągnęły właściciela jeszcze niżej w głębinę, za kamienny zakręt. Z porzuconej przy drzwiach torby ze sztucznej skóry ktoś wyłuskał niewielką butelkę ze zgrubieniem na szyjce i napisem „export” na etykietce. Anglik poczuł lekkie mdłości. Goły facet w drugim kącie pokoju – nie, miał jednak na sobie slipki – oddał pustą szklanekę sąsiadowi i z namysłem zaczął poświstywać na glinianej piszczałce.

Przedstawiciel Instytutu Brytyjskiego dwukrotnie napomynał o tym, by uważać na nowe znajomości i nie ulegać łatwej pokusie zabawy w *cityguerilla*, „zwłaszcza że, proszę mi wierzyć, ani to *city*, ani to *guerillas*, przynajmniej po tym, co widziałem na Malajach”. Pustych butelek porozstawianych po całym pokoju, otchłannym, lecz jak się okazało, jedynym w tym mieszkaniu, wystarczyłoby na cocktaile Mo-

łotowa dla całego Brixton. Piszczalka, takie piszczalki mają Cyganie na filmach oświatowych z Channel 4. Nie wiadomo, czy ta przypadkowa znajomość nie przyspieszy zakończenia pierwszego w życiu poza Anglią stażu reżyserskiego. Nie wiadomo, skąd wyrosła czwórka oprychów. Nie wiadomo, co mówią do siebie na jego temat ludzie z mieszkania i ci dwaj z bramy. Wódkę bez lodu pije się tylko na filmach o zimnej wojnie.

– Skąd wiecie, że to Anglik?

– Anglik, bo nic nie mówi.

– Przyplłynął łodzią podwodną.

– Ty, Anglik, nie zimno ci tak?

– No, czy ci nie zimno? Zrzucaj łachy. Masz tu koc, się owiń.

– Dżon kłuii – wybełkotał w odpowiedzi, przypominając sobie, jak się po tutejszemu dziękuje, jedyny zwrot zapamiętany w uproszczonej transkrypcji z rozmówek Berlitz. Natychmiast poczuł nowy atak dreszczy.

– Bez kitu?

– Yes, yes. Dżon kłuii.

– No, przynajmniej wiemy, John, jak masz na imię.

– Dżon kłuii.

– Chłopaki, nalejcie Johnowi.

Za dziesięć druga, po kolejnym hańście alkoholu poczuł, że robi mu się niedobrze. Przestał już się trząść, głównie dlatego, że zwłókł z siebie szerokie czarne spodnie i koszulę, a buty odstawił na parapet uchylonego okna. Kapiąca z nich woda ściekała w studnię ciemnego podwórza. Otulając wilgotne plecy kocem, poczłapał do łazienki. Czuł, że zaraz na oślepie zwymiotuje mieszanką wódki i wody z rzeki, a bardzo w tej chwili nie chciał zrobić złego wrażenia na lu-

dziach, u których uda się może doczekać do rana. Rano poprosi sympatycznego asystenta w dyrekcji teatru (jakże się on nazywa, coś jak „Yassek”, wizytówkę wetknął chyba do paszportu) o zapasowy klucz, można będzie się dostać do ciasnego pokoiku z wnęką kuchenną, gdzie czeka torba, a w niej suche rzeczy, rozmówki, słoik rozpuszczalnej kawy – tak niedaleko, raptem ćwierć mili stąd, jeśli dobrze zapamiętał trasę wieczornego spaceru, podczas którego, mimo że było już zupełnie ciemno, nie słabł letni upał, a ponad wąwozem rozsypujących się kamienic polatywała w obojętnym prądzie powietrza stronica gazety. Kiedy tamtędy przechodził, z jednego z okien parteru, z plastikowego radia stojącego na parapecie dobiegały spóźnione o czterdzieści lat dźwięki hollywoodzkiej orkiestry.

– Puśćcie go, widzicie, że się zaraz porzyga – powiedział ktoś obok niego.

– Ty, John, tylko uważaj w łazience, jak będziesz rzygał, bo tam się Lidka kąpie.

Wyrwał się spomiędzy ludzi tarasujących mu przejście i susem przez korytarzyk dopadł drzwi łazienki, na szczęście otwartych. Na całej czaszce czuł ogień – w korzonku każdego pojedynczego włosa, pod każdym milimetrem kwadratowym skóry. Miał w uszach grzechot szklanych bebnów, wirujący hałas, który był jak skrzyp maszynierii służący na kanale obok ceglanych ścian browaru, lecz w innym miejscu, w innym świecie. Dźwięk szkła rozbijanego o krawężnik. Po coraz bliższym lustrze wody sunęły bąble lodowej kry, przysypanej sadzą podczas kolejnej szarej zimy, której oddech zmieniał przemysłowy dym w niebotyczną chorągiew, zwiastującą kolejny długi, fioletowy zmierzch. Na myśl o rzecznej wodzie wnętrza same zacisnęły mu się w kwaśny kłębek.



Kiedy wypłuł z siebie litr cieczy w żółkłą fajansową gardziel poniemieckiej muszli, oparł czoło o blaszaną kolumnę łazienkowego piecyka i trwał tak chwilę, pragnąc, aby chłód jak najdłużej spływał mu pod czaszkę, ciekł strumieniem, który stopniowo wygładzi ból, trwający tam może jeszcze od popołudnia, od pierwszej chwili pod beczkowatym żeliwnym sklepieniem w hali głównego dworca. Z ociąganiem oderwał czoło od metalu, bo chociaż chciał jak najprędzej splukać smak żółci, nie był pewien, czy uda mu się zrobić dwa kroki w stronę wanny. Dopiero teraz, kiedy podniósł głowę, zauważył, że zamiast żarówki łazienkę oświetlają trzy świece. Jedna stała na półeczce, obok szamponu z kwiatem rumianku na etykiecie, druga na białej pokrywie staroświeckiej pralki, ostatnią zaś czyjaś ręka nadziała krzywo na haczyk sterczącego ze ściany wieszaka na ręczniki.

Pochylił się nad napełnioną po brzegi wanną. Chociaż klęczał, cały szarpnął się do tyłu, gdyż ciemny kształt majaczący nad powierzchnią wody okazał się ludzką głową. Po blask świecy odbił się w białkach otwartych nagle oczu, zachlupotała przegarniana rękami woda. Dziewczyna uniosła się na łokciach i spojrzała mu prosto w oczy. Źrenice miała rozszerzone, tak że prawie zniknęły tęczęwki. Widział jej oczy tylko przez mgnienie, kiedy strzelił w górę i zaskwierczał płomyk najbliższej świece. Ujrzał czubki piersi zanurzające się w wodzie, a kiedy wrócił do poprzedniej pozycji, dostrzegł zarys brzucha, linię ud, mokre pasma włosów w złotawej zawieszynie, ramiona na tle białej emalii, kolano zaczone drapieżnie tuż pod lustrem wody.

– *I'm sorry, I was just...*

– Co?

– *I don't really feel too well, I was thrown from the bridge, and...*

– Nie zaimponujesz mi, wiesz? Jeden mój kolega mówi po angielsku lepiej od ciebie – usłyszał wreszcie i chociaż nie zrozumiał ani słowa, ucieszył go ciepły i konkretny ton. Przekrzywił głowę, słuchając dalszego ciągu: – Nie mówili ci, żebyś nie wchodził, bo się kąpie? Jeszcze siedzą, co?

Nie próbował odpowiedzieć, uśmiechnął się tylko i oparł swobodniej o krawędź antycznej dwumetrowej wanny, zastanawiając się, jaka może być temperatura wody, z każdą sekundą oddającej coraz więcej ciepła przez białą skórę emalii, w najciemniejsze rejony pod żeliwną niecką, tam gdzie od dawna spoczywają zapomniane szczotki do zębów z drewnianymi rączkami i upuszczone zakrętki od tubek pasty, gdzie schną sklezione mydłem kłębki włosów i blade zmumifikowane pająki, jak w księżycowym kraterze, do którego nie zajrzy już nikt aż do końca świata, do dnia rozbiórki kamienicy. Znów otulił się wilgotnym kocem.

– Nie trzęś się tak, bo febry dostaniesz – powiedziała Lidka, a kiedy znowu zadygotał, dodała: – Ubrałbyś się czy co. Nie zimno ci w tym kocu? Tam na sznurach wiszą koszule, możesz sobie pożyczyć tę zieloną.

Posłusznie powiódł wzrokiem tam, gdzie wskazała, między cienie pod sufitem, gęste od płacht suszących się ubrań. Dziewczyna tymczasem podniosła się i przestąpiła przez krawędź wanny. Płomyki roziskrzyły się w kropelkach wody błyszczących na jej skórze, na piersiach, w mokrych włosach. Zachęciła go gestem, więc nie dał się długo prosić. Starał się jednocześnie nie uronić nic z widoku dziewczyny, która wycierała się szarym w tym oświetleniu ręcznikiem, a zarazem zasłonić własne blade, piegowate ciało wilgotnym i gryzącym coraz bardziej kocem. Ostrożnie postawił nogę na krawędzi wanny. Prawą ręką wsparł się o pokrywę

pralki, a lewą o ścianę. Uśmiechnął się niepewnie do dziewczyny, podciągnął i oparł drugą stopę na przeciwległej krawędzi, po czym ostrożnie wyprostował nogi. Niewiele widział z tej pozycji, ale żeby zdjąć ze sznura flanelową koszulę, musiał przesunąć się jeszcze pół kroku. Dziewczyna zasuwiała już zamek w spodniach. Puścił pralkę i ścianę, wyciągnął ramię do przodu i przesunął prawą stopę do samego narożnika wanny.

Zapamiętał tylko swój przeraźliwy kwik, nagły strach, że trzaśnie potylicą o żeliwo, i plusk letniej kipieli, uderzającej o ściany łazienki. Tylko wyjątkowym rozmiarem starej wanny zawdzięczał to, że kiedy nadepnął na mydło i runął, nie rozwalił sobie głowy. Spadł prawie na wznak, na plecy, zgodnie z prawem powszechnego ciężenia. Wynurzył twarz, prychnął i rozlepił powieki. Dziewczyna w czarnych spodniach stała w progu łazienki i gestykulując w jego stronę, tłumaczyła coś podniesionym głosem kilku osobom, które zaglądały do pomieszczenia z korytarzyka. Kiedy odwrócił wzrok, przekonał się, że jednak udało mu się pochwycić w locie koszulę, po którą sięgał. Nadal ścisnął ją oburącz i przytulał do brzucha. Nawet w tym nędznym świetle mógł podziwiać zielony, kraciasty deseń. Ze zdziwieniem przekonał się przy okazji, że w wannie cały czas pływały trzy niedopałki papierosów, każdy z białym, rozmokniętym filtrem.

Pospiesznie wyczłapał z niej, starając się nie patrzeć na ludzi, którzy popatrywali na niego od drzwi. Kiedy zrobił dwa kroki po posadzce, poczuł, że woda chlupie mu wokół kostek. Przystanął, czując w gardle kolejny skurcz. W narastającym popłochu rozglądał się, szukając szmaty, wiadra, czegokolwiek, czym da się zebrać warstwę wody z lastrykowej podłogi. Utkwił wzrok w stojącym przy wannie plastiko-

wym nocniku. Czy nie zostanie źle zrozumiany, kiedy go pochwyci?

– Właściwie, to John ma świetny pomysł – zauważył w pokoju smukły chłopak z garbatym nosem. – Nie popływalibyście?

– Chyba nie w wannie z petami – burknął spod ściany ogolony na zero grubas w dżinsowej kurtce.

– Fajnie będzie się wykąpać przed snem – dobiegło od strony legowiska, które jeżyło się tuzinem flaszek po piwie. – Dawno trzeba się było ruszyć.... – dodał jeszcze leżący i znowu zamknął powieki.

Wszyscy zaczęli nagle wstawać, szukać swoich papierosów, przepychać się w korytarzyku. Potem trzasnęły drzwi. Wychodzili kolejno na cuchnącą moczem klatkę schodową. Pierwszy chłopak z garbatym nosem, za nim grubas, jękała z orłem na piersi, dwie dziewczyny... Kolejno mijali Anglika, wciąż skulonego w kącie przy drzwiach łazienki.

– A ty nie idziesz, Johnny? – zwróciła się do niego starsza od innych kobieta o zmęczonym wyglądzie, wsparta na ramieniu przystojniaka z czarną brodą. Widząc, że zapytany nie rozumie, pociągnęła go za rękę.

– Chodź, jedziemy się kąpać!

Nie zrozumiał tych słów, ale pojmując, że pora opuścić kwaterę, wzdrygnął się i podążył za resztą towarzystwa. Było mu wszystko jedno, co stanie się dalej. Zaczynał czuć głód i z radością wybiegł myślą ku kolacji, na którą zaprosił go nazajutrz jako nowego stypendystę siwowłosego dyrektora. Jedyny posiłek, na jaki można teraz liczyć. Na szczęście miał w bagażach marynarkę. Najpierw trzeba będzie rano znaleźć w teatrze zapasowy klucz, zadzwonić do ambasady z wiadomością o utracie paszportu. A potem? Wszystko

możliwe we Wschodniej Europie. Pójść samemu na policję? Po pierwsze, trzeba dotrzeć do rana.

Kiedy znów znaleźli się na ulicy, brukowanej dziobą granitową kostką, chłopak z garbatym nosem podszedł do zaparkowanej obok kubłów na śmieci furgonetki z krytą drewnianą skrzynią i potraktował drzwi szoferki mocnym kopniakiem. Cios rozszedł się metalicznym echem po całym podwórku. Za drugim razem klamka się poddała. Po chwili zaczął rzeźnić rozrusznik.

Ruszyli z piskiem łysych opon. Pozostawało ucześcić się jednego z metalowych pałąków, które podtrzymywały plandekę, i modlić w duchu, by kierowca przypomniał sobie, że trzeba włączyć światła. W którym krawacie wybrać się na kolację u dyrektora? Czy w ogóle iść, biorąc pod uwagę to, co się stało?

Kiedy pędzili przed siebie, skręcając z wąskich uliczek starego miasta w ciemne topolowe aleje, pod plandekę wdarł się nocny powiew. Dochodziła druga trzydzieści w nocy i nareszcie zelżał całodniowy skwar. Tylko jeden z pasażerów, przemoczony i zziębnięty, nie czuł z tego powodu ulgi. Kraciasta zielona koszula lepiła mu się do pleców jak kaftan bezpieczeństwa. Pod nogami walały się jakieś jarzyny, ziemniak, dwie marchewki...

Przemknęli pod wiaduktem okólnej linii kolejowej i wypadli na szeroką arterię, po której obu stronach rozciągały się dzikie pola, zarośnięte chaszczami i zielskiem. Spośród traw wychylały się tu i ówdzie czteropiętrowe bloki mieszkalne. Z racji późnej pory zgasła już otaczająca je wieczorami sina aureola, zamilkły głosy telewizorów, które wstrząsały granatowym letnim niebem. Dawno zamknięto ostatnie sklepy, oprócz kiosku na dworcu głównym. Na

chodnikach nie było widać ani jednego przechodnia, na jezdniach ani jednego samochodu.

Wątył silnik furgonetki warczał cierpiętniczo, jakby za chwilę miał przebić blaszaną obudowę i wylądować kierowcy na kolanach. Kiedy brali zakręty, gromada pasażerów pod plandeką chwyciła się drewnianych ławek. Gdy samochód zwolnił wreszcie, o brezent budy zaszurały gałęzie.

Zapachniało spalinami i mokrą, tłustą ziemią. Liście ponad głowami tworzyły szczelną kurtynę, pod którą trzeba było nieomal po omacku znajdować drogę wzdłuż muru. Mur okazał się boczną ścianą willi, której kruszejący tynk pod dotknięciem palców przypominał wysuszoną skórę zwierzęcia. Szli gęsiego wzdłuż tej ściany, wyczuwając pod stopami kamienne kwadraty ogrodowej ścieżki.

– Batory już śpi – zauważył grubas. – Cichusieńko! Nie ma co go teraz budzić.

– Pewnie, najpierw się wykąpiemy – zgodził się basowym szeptem większy z typów napotkanych w bramie. – Spytajcie się tam który, czy Johnny zabrał kostium i czepek. Zaraz nam powtórzy za Panem, na czym stanął.

Któryś z chłopaków zachichotał.

– Cichusieńko!!! – wrzasnęło kilka rozbawionych głosów naraz, a potem znów rozległ się śmiech.

Ten, na którego mówili Gipson i który przedtem siedział obok nosatego w szoferce furgonetki, przeszedł do przodu i zaczął manipulować przy matowych oszklonych drzwiach w obramowaniu ze stalowego kątownika. Wokół siebie mieli ciemny, zarośnięty ogród. Kiedy udało się odkręcić drut służący za kłódkę, z wnętrza buchnęło gorąco.

Przemykali kolejno przez wejście i po ceglanych schodkach schodzili dalej. Dopiero teraz Anglik, łaskotany

zewsząd łodygami roślin, zorientował się, że są we wnętrzu szklarni. Albo w cieplarni ogrodu botanicznego. Albo w nieczynnym planetarium, w którym ktoś założył plantację, w ciągu dnia rozsuwając kopułę, by puścić światło na plon ukryty przed niepowołanym wzrokiem. Nareszcie przestał się trząść z zimna i spróbował zebrać myśli. Trzeba będzie zaraz – choćby i na migi – wytłumaczyć przygodnym znajomym, że jeśli tylko przechowają go do rana, będzie mógł po dziewiątej coś ze sobą zrobić: teatr, klucze, telefon do ambasady, a może lepiej do Instytutu Brytyjskiego, w końcu od pomocy w takich sytuacjach są wszyscy ci ludzie, odpowiedzialni za odczyty, występy i – *last but not least* – staże teatralne. Był zły na siebie. Dlaczego się nie dziwił, że Instytut Brytyjski zaprasza go do pracy przy sztuce autorstwa Norwega? Wzdrygnął się po raz setny tej nocy i z wdzięcznością przyjął papierosa, który podała mu przycupnięta obok kruczowłosa, śniada dziewczyna z wanny. Od paznokci u jej stóp poodpryskiwał karminowy lakier.

Łodygi goździków pochylały się nad ich głowami jak nadmorskie trzciny, tyle że pod szkłem nie kołysał roślinami najmniejszy powiew. Niestety, znów wróciła pamięć o fatalnej scenie, do jakiej doszło podczas pierwszych rozmów w dyrekcji. Na słowa *Dzika kaczką* rozmówcy otworzyli szeroko oczy – najpierw napotkany na dworcu Yassek, a po nim sam tykowały dyrektor artystyczny, który zresztą pierwszy zorientował się w nieporozumieniu i korzystając z translatorskich zdolności asystenta, tłumaczył:

– Nie kaczką, tylko kurką. *Kurka Wodna*. Nie *Dzika kaczką*. Zupełnie inna sztuka. Ktoś się pomylił przy wysyłce tych teleksów do Anglii – zauważył pod adresem Yasska. – Innego wytłumaczenia nie widzę, a pan? Swoją drogą, co za

pomysł! Nie po to rok się targuję z tym debilem z komitetu wojewódzkiego o Witkacego w repertuarze, żeby dwa tygodnie przed początkiem sezonu brać się do Ibsena! Tego nie musi mu już pan tłumaczyć, nawiasem mówiąc.

– *Hen. No duck. Hen. „Water Hen”. Water hen, you know?*

– *Water hen? What water hen? What exactly are you talking about?*

– *No, no, no. It is a play. A play by Stanislaw Ignacy Witkiewicz.*

– *Who? What?*

Nie wiedział, czemu ani na co czekają w dusznej szklarni, więc przymknął oczy i oparł czoło o kolana. Otrząsnął się jednak nagle i poderwał z miejsca, bo okazało się, że został sam w całym rozległym wnętrzu. Na drugim końcu szklarni mignęła mu jeszcze czyjaś biała koszulka. Popędził w tamtą stronę, przeskoczył próg i z całym impetem wpadł na wysokie na dobre dwa metry ogrodzenie z żelaznych prętów, które zaczynało się zaledwie krok za tylnymi drzwiami szklarni. Ten w białej koszulce przekładał już nogi przez szczyt parkanu, uważając, by nie zaczepić gumową podszwą trampka o dyndający tam obluzowany drut kolczasty. Potem rozległ się stłumiony odgłos uderzenia pary stóp o ziemię.

– *Skacz, Anglik, idziemy się kąpać!*

Zachęcany gestami dziewczyn zza parkanu, wdrapał się mozolnie, stopami szukając oparcia na gładkich prętach, podciągnął, oparł gołym brzuchem o górną krawędź i pozwoli podkurczyć drugą nogę. Po paru sekundach stał już w kucki na ogrodzeniu, mając do wyboru – skoczyć w ciemność lub wracać. Do szklarni, do marchwi w furgonetce? Nie balansował przecież na czubku muru berlińskiego.



Upadł na ziemię po drugiej stronie, podniósł się szybko i popędził przez strzyżony trawnik w stronę żywopłotu. Rozgarnął gałęzie w ciasnym przesmyku, zza którego biło światło jarzeniowych latarni, i zamarł. Naga dziewczyna skakała do srebrnej wody, w której kipiało już od kąpiących się postaci. Po sekundzie woda znów wystrzeliła do góry. Pływali wszyscy, na brzegu pozostały tylko ich porzucane ubrania.

Miał przed sobą basen pływacki, odkryty, lecz z trzech stron chroniony ogrodzeniem z matowego szkła. Wokół jarzeniowych latarni w narożnikach obiektu krążyły miliony oszołomionych nocnych owadów. Słysząc było jedynie plusk wody i niedalekie dudnienie towarowego pociągu. Stanął nad cementowym brzegiem, zszuł buty, pochylił się i zanurzył czubki palców w nagrzanej przez cały dzień, iskrzącej się toni. Tuż przed nim wynurzyła się spod powierzchni czarnowłosa dziewczyna, ta sama, która przedtem poczęstowała go papierosem. Lewą ręką odgarnęła włosy, które zalepiały jej oczy, prawą zaś złapała go za ramię i jednym szarpnięciem pociągnęła za sobą w wodę. Kiedy się odwracała, by zanurkować, światło latarni załamało się białymi ognikami w kropkach na jej ciemnych piersiach. Nie sprawdziła nawet, czy wciągnięty do zabawy przybysz płynie za nią, czy też gramoli się z powrotem na wykładany kafelkami brzeg.

– Aaaameryka nie basen! – dosłyszał zachwycony okrzyk, kiedy się wynurzył. Wypluł nową porcję wody. Od chloru załaskotało go w nozdrzach.

Było mu wszystko jedno, co stanie się dalej, więc po chwili po prostu przymknął oczy i biorąc głęboki oddech, zanurkował w głębinę, na samo chropowate dno, którego wreszcie dotknął czubkami palców. Stało mu się naraz obojętne, czy się jeszcze wychyli na powierzchnię. Zacisnął po-

wieki i na próbę zwinął się w kłębek tuż nad dnem. W skroniach miło pulsowała krew, popychana naprzód połączonym rytmem chemikaliów, zmęczenia i strachu, które w pewnej chwili, dobrze po trzeciej nad ranem, przeszły w zupełny spokój. Płynął pod wodą, która nie była zimna ani gorąca. Powietrze przestało być konieczne do życia. Wystarczyło mocniej zamknąć oczy, by do reszty zatracić orientację wśród biegunów nocnego świata. Przedświt. Nad Morzem Północnym wisi mgła, szare chmury, zielone i białe światełka latarniowców wyznaczają tor wodny przed ujściem rzeki, śpią wąskie drewniane barki na kanale, który łączy krainę nadmorskich moczarów z przemysłową krainą środkowych hrabstw. Sine niebo napiera ze wszystkich stron, omywa skórę coraz zimniejszym powiewem. Zza cieśnin, od płaskich łąk, które się ciągną od Holandii coraz dalej na wschód, idzie biały opar, zasnuwając ceglane miasta nad wąskimi, cembrowanymi rzekami.

Kiedy wreszcie wynurzył głowę, znajdował się w najciemniejszym kącie basenu. Rozlepił oczy i pożałował, że jednak wypłynął. W świetle lamp wyraźnie ujrzał postaci w ciemnych mundurach, pędzące wzdłuż przeciwległego brzegu w pościgu za dwójką golasów. Inna para funkcjonariuszy usiłowała zdjąć z parkanu chłopaka uczeplonego pazurami przy szczycie. Mundurowy z wilczurem na smyczy biegł w stronę krzaków, za którymi musiała zniknąć reszta towarzystwa, odwrócił się jednak, bo jeden z golasów rzucił się pod nogi ścigających, strącając pierwszego prosto do wody. Następny funkcjonariusz był szybszy i zanim leżący chłopak zdążył poderwać się na nogi, wymierzył mu kopniaka w żebra.

– Puszcząć psa!

- Uwaga, głowa!
- Łapcie skurwysynów...
- Dziewczyny łapcie!

Uderzony buciorem w brzuch chłopak zwinął się z bólu, ale zanim zdążył nań spaść kolejny cios, drugi z nagsów trzasnął mundurowego pięścią w ucho. Pofrunęła w bok czapka z lakierowanym daszkiem. Chłopak, który zahaczył o druty na szczycie płotu, wyszarpnął się, skoczył i powiewając zarzuconą na ramiona koszulką, zniknął w ciemnościach po drugiej stronie. Uderzony mundurowy przykucnął i zaczął szukać czegoś przy biodrze, ale było już za późno, bo ostatni golas zniknął właśnie pośród ozdobnych krzewów strzeżonego obiektu.

Pies szczekał jeszcze długo, a dwie pary mundurowych przeszukiwały z latarkami cały teren. Na szczęście nie zbliżali się do krawędzi basenu, więc nie dojrzeli pływaka, który szczekał zębami, starając się stopić w jedno z zielonkawym tłem narożnika. Potem zniknęli za krzakami, oddalając się rozproszonym szykiem wzdłuż ogrodzenia. Z oddali błyskały ich latarki.

Było mu tak zimno, że nie czekał dłużej. Wygramolił się na obramowanie basenu i na zeszywniałych nogach zrobił dwa niepewne kroki przed siebie. Okropnie bolało go ścięgno Achillesa. Kuśtykając, dotarł do ogrodzenia, za którym trwała ciemność. Gdy skradał się przez murawę, udało mu się jeszcze naciągnąć na grzbiet szarą koszulę ze stójką zamiast kołnierza. Podniósł tę koszulę z brzegu basenu, gdzie leżała porzucona tuż przy jego własnych półbutach. Ze strachu przed powrotem patrolu przemknął nad dwumetrowym parkanem jak ptak. Takie miał przynajmniej wrażenie, lądując na zdrowej nodze w grządce mieczyków.

Był w cudzym ogrodzie. Kiedy ukradkiem mijał dom, z werandy rozniosło się ujadanie psa, ale na szczęście do furtki było blisko. W mgnieniu oka, zanim w oknach domu zapłonęło światło, znalazł się na ulicy, czy raczej willowej alei. Kontury domów zaczynały coraz wyraźniej majaczyć w szarówce. Przeszedł kilkaset kroków, aż do skrzyżowania z szerokim, wysadzonym drzewami bulwarem, którego środkiem biegł podwójny rząd tramwajowych szyn. Wilgotny opar snuł się między kolcami żywopłotów, oddzielających torowisko od obu jezdni.

Przycupnął na ławce pod czerwoną wiatą przystanku tramwajowego. Miał słabą nadzieję, że uda mu się ustalić strony świata. Najlepiej byłoby oczywiście zapytać o drogę do centrum policjanta. Uśmiechnął się krzywo sam do siebie. Z gałęzi nad wiatą dobiegało coraz głośniejsze ćwierkanie miejskich ptaków.

Musiał się zdrzemnąć z głową opartą o kolana, bo kiedy podniósł wzrok, odkrył, że jest już zupełnie jasno. Nadal siedział na ławce – na skwerku przed ceglana, staroświecką zajezdnią tramwajową, przed którą manewrowały ze zgrzytem pierwsze szaroniebieskie wozy. Podniósł się i uśmiechnął niepewnie do tramwajarzy, których grupa w drodze do portierni zatrzymała się przy wiacie i przyglądała zjawie w aresztanckiej koszuli i czarnych półbutach wzutych na gołe, podrapane nogi. Ciekawskich przybywało z minuty na minutę, bo mimo iż jedni znikali za bramką portierni, wciąż podchodzili nowi. Nie rozumiał, co mówią, choć trudno było udawać, że gesty całej gromady i chrypliwe uwagi nie dotyczą jego właśnie, tylko, powiedzmy, wyników ligi piłkarskiej. Bał się tych ludzi, choć tak samo jak oni miał na grzbiecie szary materiał, a na nogach niezgrabne buty, włosy miał zlepione w strąki, a oczy czerwone z braku snu.

Nie umiał niczego wyczytać z tych twarzy ani nawet zorientować się, czy tutejsi ludzie patrzą wrogo, czy tylko z ciekawością, jak rybacy mogliby spoglądać na chorego morskiego stwora, wyrzuconego na ich wioskową plażę. Większość gapiów odstąpiła jednak po chwili. Siedział teraz prawie sam, śledząc wzrokiem szlak pęknięcia w cementowym chodniku. Mógł tylko milczeć albo próbować wytłumaczyć wszystko od samego początku. Pierwsze wyjście było tym łatwiejsze, że nikt nie zadawał mu żadnych pytań. Cynobrowy przestwór między drzewami parku po drugiej stronie ulicy nabiegał coraz wyraźniejszą złotą barwą. Wróbel skakał wokół rozdużonego sreberka od lodów, dziobiąc przyschnięte resztki. Ulicą co chwila przeciągał teraz samochód – czasem kanciasty wóz osobowy, a czasem rozdzwoniona ciężarówka. Do wróbla dołączył drugi.

Kiedy zdumiewająca pustka, jaką w sobie teraz czuł, zaczęła gęstnieć w skurcz krtani, w pieczenie, które wcale nie przynosiło ulgi zapuchniętym od chloru powiekom, i kiedy nie pozostawało już właściwie nic innego, jak tylko wrócić na ławkę pod wiatą i czekać w coraz ostrzejszym świetle, aż zza najbliższego pagórka wypadnie kawaleria Stanów Zjednoczonych – wtedy właśnie rozległ się dzwonek.

– Pasażer! Wsiadasz? Obudź się, pasażer! Nie śpij, bo cię zgarną! – wrzeszczał z rozchylonych drzwi pucołowaty motorniczy, bardzo młody i rozczochrany. Widząc wahanie podrapanego chudzielca, stojącego na przystanku w samej koszuli i półbutach, powołał gest.

– Wsiadaj, przewieziesz się!  
Anglik spojrział mu prosto w oczy.  
I wsiadł.

## Mordercy polskich kur

Pękło drewniane niebo i w zgrzycie zardzewiałych gwoździ odsunęło się z jękiem. Zadrżały kanciaste węgly świata. Nad grzebieniami stadka stłoczonego w kącie zapłonęły gwiazdy. A wówczas spośród gwiazdozbiorów, z granatowego i mrocznozielonego przestworu, wychynęły dwie mocarne pary rąk i prędko, drapieźnie pochwyciły pierwszą z brzegu kurę, by wrzucić ją, oszołomioną i bezbronną, do podstawionego wora. Potem na jakieś pół minuty nastąpiła cisza. Szeleścił tylko co chwila sizalowy worek.

– Jedna wystarczy? – zachrypiało z nieba. Potem zakłósały się trawy, zgięte pod ciężarem dachu, jednym szarpnięciem zerwanego z budy i delikatnie odłożonego na bok, by nie przeszkadzał dziełu.

– Gdzie tam wystarczy – oddudniło z wysoka. – Wszyscy głodni. Żal ci bezkarkowego ptactwa? Zapuść sierp i rznij!

Dwie pary rąk zanurkowały ponownie w skrzyni kurnika, przerobionego chyba z klatki na króliki, i uniosły do wora kolejną ofiarę, mniej spokojną niż pierwsza. Reszta mieszkańców skrzyni zerkała bojaźliwie, ale nie ruszała się – patrzyła tylko, jak kolejna towarzyszką znika w czarnej dziu-

rze pośród gwiazdozbiorów, w ciszy, szumie liści, w nieskończonej przestrzeni, wypełnionej sapaniem oprawców wielkich jak wieże. W miejscu zwykłej mozaiki słojów drewna i płatów papy gorzały letnie konstelacje. Niskie gałęzie nocnego ogrodu rozczapierały się nad skrzynią niczym nad zbitą z desek arką, którą rzeczne prądy przyniosły aż na niestrzyżony trawnik na tyłach poniemieckiej willi. A potem drewniane niebo na powrót krzywo zasunęło się nad całym stadkiem.

– Nasadzę im ten daszek, bo lumbago dostaną...

Do pomroczonego wnętrza docierał teraz tylko szelst worka wleczonego po ogrodowej ścieżce, potem jęk drucianej siatki i podwójne klaśnięcie podeszew o płyty chodnika.

Kury przekrzywiły głowy.

– Marnujemy czas, nie? Kartki, srartki, kombinuj... – wciąż słyhać było basowy szept. – A tu pełne ogrody, tylko bierz. Idziemy do wspólnoty pierwotnej, uczyłem się przed maturą. Bo kategorie się zacierają.

– Iii... imperatywy też. Te się dopiero zacierają... – doleciało jeszcze z gardzieli willowej uliczki.

Kury przycupnęły i zadrzemały. A potem, po niewiadomym, lecz nie za długim czasie, drewniane niebo zakotyła się od jęku syreny. Na ulicy zgrzytnęły hamulce, trzasnęły drzwiczki samochodu. I zaraz trzasnęły znowu. I jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze.

– Co jest, jak rany?

– Nie chcą się zamknąć, panie chorąży. Nowy wóz, a nie chcą. No, nie mogą!

– To pierdolnijcie nimi, jak trzeba!

– Odleć.

– To się zdrutuje. – I innym tonem wypowiedziane słowa: – To niby pan nas wzywał? Że napad? My tu na sygnale, i co? Gdzie napad?

– No, nie napad, ale bandytyzm, panie, sadycyzm. Złodziejstwo... Już drugi raz mi tak... Co to wtedy za pierwszym razem panowie nie przyjechali, bo dyżurny na Jaworowej powiedział, żeby mu dupy nie zawracać, bo panowie łapią nadajnik, ale co ja zrobię, jak mi tutaj kury...

– Nie panu jednemu, nie panu pierwszemu, od razu powiem. – Trzasnęła zapalka, której błysk przez szparę omiółł wewnątrz skrzyni. – Tfu, same patyki w tych popularnych... My co noc mamy meldunki o królikach, kurach. Ale nas teraz rozliczają z przeciwnika wewnętrznego, nie z drobiu. O, włamania nawet nie było, kłódka wisi, jak trzeba.

– Ale daszek ktoś wyrwał. Z korzeniami, psiakrew, wyrwał.

Stadko zatupotało w miejscu, bo niebo odsunęło się znowu.

– Dwóch brak, o... Tej i tej nie ma!

– Nie widzę.

– Bo ukradli!

W paciorkowatych oczach stadka co półtorej sekundy migał fioletowy rozbłysk policyjnej lampy na dachu wozu, rwący ciemność na drobne, zaraz się zrastające strzępki. Ten sam rozbłysk widać było dobrze z odległości mniej niż pół kilometra, z balkonu na szóstym, przedostatnim piętrze przysadzistego bloku obrośniętego dzikim winem, okolonego lipami i akacjami pachnącymi nieprzytomnie nawet o północy. Na cementowej posadzce balkonu leżał worek i poruszał się nieznacznie.

– Leżeć, skowroneczki. Jeszcze ranek nie tak bliski – odezwał się karcąco pod adresem worka ktoś, kto stał na bal-



konie, pod sobą mając ciemność, baloniaste, pachnące korony drzew, uśpione dalsze bloki i przycupnięte u ich ślepych ścian wille – jedne stare, ponemieckie, piernikowe, kanciaszte i z czerwonymi dachami, z ogródkami, o dziobatych tynkach, i drugie nowe, płaskie, podobne do bladych kostek smalcu. Dalej był park, cmentarz, pusta pętla tramwajowa, kolejne willowe uliczki, których perspektywę zamykały daleka bryła szpitala wojskowego i budynek telewizji za nasypem kolejowym. Niewielki świat, przycupnięty w atramentowym roztworze nocy, po której firmamencie zniżala się para zielonych i niebieskich światełek.

– Transportowiec. Szósty dzisiaj.

– Że im się chce spadochroniarzy ściągać do miasta.

– Na rocznicę.

– Ale bez sensu. Po co zwożą półtora tysiąca szczyłów? Wojsko niech sobie siedzi w Żaganii, pilnuje Ruskim tych ich pordezwiątych czołgów... Niech czeka na wojnę światową, po to jest. A od miasta niech się odpaćkają.

– Geopolityka jest przeciwko nam. Wzmocnią patrole, i po zagryszce.

– Jak?

Chłopak, który odpowiadał z wnętrza pokoju, podniósł się z wersalki i wyszedł na balkon.

– Po zagryszce, Gipson. Jeśli wzmocnią patrole, nie będzie jak wybierać kurek. Za ciepło będzie, a sam wiesz... Do picia zawsze nocą coś kupisz, ale do żarcia ni chu-chu, trzeba samemu szukać.

– Na czczo pić też niebezpiecznie – zauważył Gipson.

– Jeszcze pierwszy tydzień, rozumiem, ale my tu siedzimy już trzeci. Patrz, ile kości. Kiedy mama wraca?

– Jak ją wypuszczą.

Z głębin ciemnego pokoju doleciał ich brzęk butelek.

– Ty, Bozia, wykładaj, a Gałeczki będzie liczył – usłyszeli.

– Flaszeczki idą na stół – obwieścił ostrzyżony na języka grubas. – A farbki idą do torby, bo chyba pora na plener.

– Ładne farbki, Żozo, skąd takie?

– Norwegowie przywieźli, razem z prasą.

– Pssss...

– Ty, Gałeczki, weź sobie nie leć w człona. Nie szprej mi po dywanie. Idź poszprej sobie po murku.

– Tylko zarządzcie tak, że jak wrócimy, to żeby gorzał był zimny, a kura na gorąco. I nie wypijcie wszystkiego, jak wczoraj.

– Nie pamiętam, jak było wczoraj. Nic nie pamiętam. Kąpaliśmy się, tak? – mruknął Gipson i zastanowił się, a potem machnął ręką i pokręcił srebrną gałką długiego, kanciasatego radioodbiornika. Trzasnęły drzwi, z klatki schodowej przez chwilę dobiegało plaskanie trzech par stóp w trampkach albo sandałach.

Nocne radiowe głosy skakały w ciemność pokoju, w miarę jak wskaźnik przesuwał się po skali. Słowa w obcych językach, melodie orkiestr dętych i andyjskich piszczałek, bipczenie morskich sygnałów, piski sputników na zamrożonych orbitach, siatka obecności miejsc innych niż nocne miasto rozsypane po nadrzecznej równinie, na niskich łąkach środka Europy, w rozłupanym, zaginionym świecie między neonami St. Pauli i zadrutowanymi kopułami Kijowa.

– Zeszłej nocy złapałem Radio Etiopia. I Falklandy, wiecie? Już po angielsku.

– Dupą po zielsku. Ty, Gipson, weź lepiej znajdź jakąś fajną muzykę – dobiegło spod skłębionego koca na tapczanie.

– Może być?

– Co to?

– *Dies irae*.

– Tylko żeby tak nie wyli. Naprawdę nie ma nic innego? – szczerzył Carlos, podnosząc głowę znad rozgrzebanego nadajnika VHF domowej roboty. W kręgu nocnej lampki, pośród smużek dymu z lutownicy, widać było rozsypane po obrusie paciorki rezystorów, kondensatorów, układów scalonych z cienkimi drucianymi wąsami. Pod stopami Carlosa bulgotał ładowany świeżym prądem akumulator samochodowy.

– Dajcie tę kasetę z Joy Division, to sobie podołujemy.

– Już szła, jak byłeś po kurki. Józef się rozplakał i rozdeptał.

– A mnie się muzyka klasyczna podoba. Jak na tym filmie puszczały z helikopterów, jak to szło... Ram-pam-pam-PAM...

– Ram-pam-PAM-PAM-PAM!

– RAM-PAM-PA-PA-PA!!!

– Sru-tu-tu-TUUU!!!!

– I do szklaneczek. Nie pić z partytury.

– Moja mama uczy śpiewu.

– W pudle też uczyła?

– Zamknijcie, chłopcy, ryje, bo muzyki nie słyhać!

– A ty, Dyzio, polewaj.

Chrupnęła nakrętka kolejnej półlitrowej butelki. Zaśmierdziało karbidem. Ciurkanie nalewanego alkoholu uciхло nagle, przecięte bliskim wyciem syreny. Odsunęli

krzesła i wysunęli się chyłkiem na balkon. Dwa rozmigotane wozy patrolowe uganiały się w kółko po sąsiednich uliczkach. W krzakach wokół bloku migotały latarki.

– Pojawiają się i znikają – zabrzmiał komentarz z balkonu.

– Jak zebra na pasach.

– Nie, kochani, chodźmy do środka, bo aż mi miga...

– Kuchnia, bierzcie się za drób.

– To jeszcze po jednym i ciągniemy losy.

– Po co? Ja zabiję! – ucieszył się Dyzio. – Sam zabiję!

Gwar ucichł. Widząc, że nikt się nie chce odezwać pierwszy, Bozia zamruczał ponurym basem:

– A czemu?

– Bo ja... ja to lubię!

– Tu nie ma nic do lubienia. Kiedy zabijasz, kochanieczku, odzierasz żywą istotę z jaźni, wyduszasz z niej buciorem duchową iskrę, niszczysz takiemu stworzeniu, najgłupszej nawet kurze, taki, rozumiesz, most, po którym każdy, kura czy ty, albo inny zasrany źuczek, może przejść w boskość nadświadomości... i odwrotnie też. To jest inna decyzja, niż jak chcesz sobie gruchę zwalić. Człowiek oświecony może zabić dla wyższego celu, żeby nakarmić głodnego, na przykład, ale nie, żeby popuszczać jakimś sadystycznym impulsom. To jest chore, Dyziu, i ja ci się bardzo dziwię. Ty się weź do zomo zapisz...

– O, kurwa, tyś się dzisiaj, Bozia, dobrze upalił.

– Wystarczy, że Wierzba się zapisał.

– Losujemy!

– Ciągniemy zapalki?

– Nie ma zapalek.

– Ja mam zapalniczkę, o! Jednorazówka, ale z zaworkiem, w pedecie wstawiają.

– Wsadź ją sobie, Kicia, w cipę jeża, i dobrze potrzymaj.  
No, odliczaj tam który! – ponaglił Józef.

Skupili się w kręgu między stołem a balkonem: Lidka z kocem na ramionach, Gipson, tłusty rozgniewany Dyzio, brodaty Józef ze skrętem w kąciku warg, Lady Milady, krótka Julia, Bozia, Kicia, inni – ciemny krąg twarzy prawie jeszcze nastoletnich, twarzy wczorajszych dzieci urodzonych w mieście zatrzymanej wędrówki ludów, w mieście porozwłóczanych cegieł, złuszczonych fasad, wygasających świateł, niebieskich nocnych tramwajów chybotających się z wolna po sfalowanych szynach, pojedynczym reflektorem rozświetlających ciemne liściaste parki, mury, opustoszałe ulice, wystawy sklepów, na których drzemią butelki z octem i brunatne torby soli – bezkierunkowy świat zamknięty w pętli miejscowych możliwości, ostatnio jakby ciaśniejszej, mniej wybaczącej, niosącej razem z późnym latem pewniki kolejnych zim, błotnego brudu, powolnego dogasania. Ale na razie, w ciepłej letniej nocy, w dalekich głosach radia, pod psią gwiazdą na granatowym niebie, dotknięcie pór roku pozwala nie myśleć o pętli, porusza tymi ludźmi jak trawą, każe słuchać żab rechoczących w ślepym zakolu rzeki obok ogrodu zoologicznego albo gapić się w duży księżyc, w maszynę nieba ponad dachem bloku i nie bać się, i nie myśleć. Powtarzać tylko wspólnie jak litanię wierszowane słowa, które wskażą, kto zbruka sobie ręce, a kto tylko siądzie do stołu albo z lubością pochyli się w kuchni nad garnkiem, żeby wyłowić udko. Słowa uderzają w sufit, nie budząc sąsiadów z góry, bo ci na szczęście wyjechali na letni turnus na Wybrzeże Koszalińskie.

*Co za hałas, co za krzyki,  
Maszerują żołnierzyki,*

*A za nimi czarne wołgi,  
Za wołgami jakieś czotgi.  
Ga-zy buch!  
Babilońska maszyneria  
Wruch!*

– Na kogo wypadło, na tego bęc! – dokończył Bozia i skrzywił się, bo nie dość, że Kamanowy wierszyk brzmiał głupio, to jeszcze wypadło na Dyzia, który się rozpromienił natychmiast i szepnął:

– Kurki kochane... Tylko zaraz, ukręcić mam czy jak?

– Pewno, że ukręcić.

– Ty, Bozia, ale ja nigdy nie ukręcałem. W prawo czy w lewo?

– Spróbuj normalnie, w lewo. A jak nie pójdzie, to dopiero wtedy w prawo.

Dyzio dla wprawy zacisnął kilkakrotnie dłonie. Z zadumy wyrwało go zaraz walenie do drzwi. Wszyscy odsunęli się prędko od siebie. Gipson wzdrygnął się, ruszył do ciemnego przedpokoju i uchylił drzwi, nie zwalniając ich z łańcucha.

– GałECKI! Nie tłucz się tak, kutasie głupi!

– Słuchaj, bo... Zgarniali nas... Gonili i chyba zgarnęli... Chyba! Nie wiem...

– A, to was tak ganiłi?

– Aha, zaraz jak zaczęliśmy plener. Jedno haselko, drugie, trzecie, psik, psik, podjechali suką po cichu i dawaj za nami. Ale miałem cyka...

– Które dy spylałeś?

– A, które dy się dało, najpierw przez taki ogródek przy Dębowej, a potem koło warzywniaka. Pamiętasz te skrzynki, cośmy sobie ustawili w krzakach?

– No. Nasz stolik do brydża.  
– I ja pod te skrzynki.  
– To jak tyś się rozdzielił? Do czterech skrzynek?  
– Nie wiem jak. Pod spód, co miałem robić? Polecieli dalej, a ja wtedy cichusieńko... I na górę, no...  
– A Żożo i Kuhna? Nie widziałeś, czy ich zgarnęli? Widziałeś czy nie?  
– Nie widziałem. Siedziałem pod skrzynką, co niby miałem widzieć? Nie widziałem...  
Kolejna chwila milczenia.  
– Należcie po maluchu, zanim pójdziemy – zaproponował Carlos.  
– Chcesz ich szukać?  
– A masz lepszy pomysł, Dyziu?  
– Poczekajmy spokojnie, Carlos, zjemy coś...  
– Jak zjemy, to razem. Gałęcki, w którą stronę wiali?  
– Przed siebie. Do Powstańców. Nie wiem. Może są u Batorego. Kurwa, akurat, jak wymyśliliśmy takie świetne hasło... Takie świetne. Namalowaliśmy raz, potem drugi, aż tu nagle... – ciągnął bezwładny Gałęcki z wersalki.  
– Jakie hasło?  
– Nie pamiętam, ale świetne było, mówię ci. Świetne! Rekord świata! Medal od Piniora! I jeszcze drugie.  
– Ale jakie?  
– Nie pamiętam. – Gałęcki podniósł się nieco. – Ty, polej mi jeszcze, bo mnie mdli jak po batonie.  
– Nie lej mu! Nie... No, i masz. Ktoś niech to teraz pościera.

Potem stuknęła gwałtownie o framugę brama bloku, niegdyś oszklona, a teraz zabita surową sklejką, której płat wprawiono byle jak w stalową ramę z podrdzewiałego ką-

townika. W ciepły mrok nocy wysunęły się dwie ciemne sylwetki, ostrożnie przeszły kilkanaście kroków i przystały przy zakratowanych okiennicach narożnego kiosku z gazetami.

– Ty, ja pójdę górą, do wieży ciśnień, nie, a potem sprawdzę u Batorego.

– A ja doliną cienia. Pójdę. Człowieka... trzeba szukać w dolinie.

– Jak ty ich będziesz szukał, taki nakirany? Gipson, słyszysz mnie? Ty, może lepiej się nie rozdzielać, co?

– Rozdzielać się. Koniecznie. I szerokim łukiem.

– No, to się bujaj. Jak ich znajdziesz, dawaj sygnał dymny – pouczył Carlos i ruszył przodem.

– Dwa długie dymy, dwa krótkie. *On yva!* – Druga sylwetka oderwała się od kiosku i z lekkim przechyłem poszła przed siebie, w stronę pustej o tej porze alei z torowiskami tramwajowymi między parą jezdni brukowanych nierówną granitową kostką, od pewnego momentu wabiona nieuchronnie w stronę, gdzie w mroku pełgało pojedyncze mdłe światelko. Po paru minutach wyęźzonego, choć chwiejnego marszu okazało się, że światelko jest naftową lampą z kloszem zamażganym olejno na czerwono, wiszącą na przegowanej barierce wykopu pośrodku głównej jezdni, która szła w stronę centrum miasta. Granitowy bruk wydłubano pieczołowicie i ułożono z boku w porządną stertę. Obok żółciła się przyzma ziemi, a tuż za pasiastą barierką otwierał się głęboki na dobre dwa metry dół, wygrzebany zębatą łyżką koparki Białoruś. Ostatni robotnicy opuścili wykop już dawno, zostawiając tylko naftową latarkę, niezbędną o tyle, że w ulicznych lampach na tym odcinku alei świeciła się tylko co piąta żarówka.



– Ale dół – sapnął Gipson i dla porządku wrzasnął w kierunku dna wykopu: – Żozo, Kuhna, jesteście tam? Odezwijcie się, ciule! Bo was oświecę!

Odpowiedzi nie było, więc Gipson rozejrzał się i zdjął lampkę z gwoździa wbitego w pasiastą barierkę. Nie poszło tak łatwo, bo musiał przemyślnie zabezpieczoną lampkę oddrutować, a przy okazji strącił sobie malowaną deskę prosto na nogę. Oparł się o cienki słupek, poskakał chwilę na drugiej nodze, odciągnął niebezpieczną deskę i słupki na bok, a potem ruszył dalej przed siebie i w lewo, w ulicę idącą do starej wieży ciśnień. Zanim zniknął, słychać było, jak klnie pod adresem chybotliwego światelka.

Uliczna cisza nie trwała długo. Najpierw z kłopotem przemknął po torach jednowagonowy nocny tramwaj i nie zatrzymując się na przystanku, pomknął dalej, do dworca głównego. Potem drugim pasem jezdnym, od strony miasta, nadjechał milicyjny mikrobus i migając niebieskimi światłami, skręcił w boczną ulicę, gdzie Carlos ledwo zdążył uskoczyć za drzewo. Wóz przejechał kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się przed żółtym komisariatem, jedynym rzęsiście oświetlonym budynkiem na tym odcinku ulicy. Wokół jarzeniowej latarni nad wejściem wirowały błonkoskrzydłe roje, pijane nocnym gorącem i wilgocią. Carlos odprowadził wóz wzrokiem, znów przytulił się do drzewa i poczuł, że robi mu się niedobrze. Oderwał się od pnia, zapiął kołnierzyk koszuli w paski i ruszył w stronę wejścia do budynku, zastanawiając się usilnie, czy naprawdę wszystko trzeba załatwiać na bezczelnego. Prędkim krokiem przeszedł bramę i wsunął się przez boczne drzwi do zasnutej papierosowym dymem dyżurki. Pośrodku sali przystanął przy niskiej drewnianej barierce, podniósł wzrok na trójkę otyłych podoficerów w po-

pielatych rozpiętych mundurach, na parę dryblasów w mundurach zielonkawych, na szarawego cywila, który siedział sobie z boku i przerzucał miejską popołudniówkę, zezując na rozmazany druk artykułu o wymianie rur na Powstańców i wynikającym z tego braku ciepłej wody. Carlos odchrząknął, odchrząknął drugi raz i wreszcie powiedział:

– Bo ja szukam kolegów.

Drgnął, bo gdzieś w głębi budynku huknęła metalowa krata. Ze swojego miejsca na parterze nie słyszał jednak zgrzytu zawiasów w przyziemiu ani słów, jakie tam padły.

Na dole tymczasem metal znów zazgrzytał o metal, a potem uchyliła się malowana na olejno przegroda i ni-ziuchny strażnik bardzo spokojnie powiedział:

– Idziemy.

Żożo chciał mu już powiedzieć: „To idźcie”, ale zmilczał i podniósł się z wąskiej drewnianej ławeczki. Szedł powoli, puszczając Kuhnę przodem. Każdy krok groził katastrofą. Jeszcze chwila, a flaszka wysunie się górą zza paska albo znurkuje przez nogawkę i rozprysnie się z hukiem na ażurowych, opatrzonych siatką schodach. Pojemniki z farbą w aerozolu cisnęły w krzaki przy ucieczce, ale zabranej dla kurażu butelki było mu szkoda, więc tulił ją do siebie, co przyszło tym łatwiej, że kiedy ich doścignięto, przyparto do murku przy skrzyżowaniu, jednego po drugim wrzucono do suki przez tylne drzwi, szeroko otwarte na tę okazję, przewieziono trzysta metrów, wyprowadzono zaraz i pognano do dyżurki – wszystko odbyło się tak szybko, że nie było mowy o rewizji. Na miejscu popędzono ich z miejsca do celki w przyziemiu i zaproponowano kopa w dupę, a potem drzwi się zatrzasnęły i cześć. Poza nimi był tam tylko rozchrapaný pijak, podobny do ciśniętej w kąt kupy szmat. Klucz przekre-

cił się dwa razy, i tyle. Niecałe pół godziny później znów szli cementowym korytarzem, a potem po żelaznych schodkach, pod żarówkami w siatkowych koszach. Podczas piwnicznego postoju nie pociągnęli nawet z butelki, bo jakoś im przeszła ochota. I tak dobrze, że zaliczyli gumę tylko raz, i drugi, w korytarzyku, dla porządku. Po dwa wychowawcze na korpus. Bolało jak skurwysyn.

Nim doszli do dyżurki, strażnik kazał im się zatrzymać i nie wiercić.

– Nie utrudniajmy sobie życia, tak?

Odruchowo skulili ramiona. Stali twarzą do ślepej, olejną farbą na beżowo pomażganej ściany, do której przypięto pinechami czarno-biały plakat. Dotykali go prawie nosami, więc dopiero po chwili się zorientowali, co przedstawia. Dziwne gwiazdki okazały się ostrogami, a para suchych kiełbas pałkowatymi nogami kowboja, który odziany w kamizelkę z frędzlami i ogromniaste sombrero, mrużąc oczy, mierzył lufami pary coltów prosto w dziób przysadzistej, grzebieniastej kokoszy. Miało się wrażenie, że kowboj nie żartuje. Na górze plakatu biegł duży napis: RONALD REAGAN MORDERCA POLSKICH KUR, a dołem, drobniejszą literą, szedł komentarz: *Embargo paszowe USA godzi w stół polskiej rodziny*. Jeden z wysokich butów kowboja o starczej, zwyrodniałej twarzy przyozdabiał napis NATO. Przez cholewę drugiego buta biegł wyraz SANKCJE.

– Przynajmniej wiadomo, o co chodzi.

– Perszingi doleczą tu i tak w siedem minut. Józefowi mówili na unitarce.

– Doleczą i pierdolną w kurniki.

– Dzioby na kłódkę!!! – pouczył strażnik, odwrócił się do nich i niemal wepchnął do znajomej już dyżurki. Przysta-

nęli chwiejnie i wybałuszyli oczy na Carlosa, który kulił się w kącie, ciasno obejmując brzuch. Kapało mu z nosa małymi kroplami i na czerwono. W drugim końcu pomieszczenia ktoś wysoki w zielonkawym mundurze cicho perorował cywilowi:

– Bo ja już mówiłem, żeby mnie nie przysyłać na ten rejon. Mnie tu znają, ja się nie nadaję...

– Ale razem z kolegą przyjebaliście temu tutaj, jak trzeba. Ja tam nie mam zastrzeżeń, kapralu, ja tam nie mam zastrzeżeń. Jak chcecie zabierać stąd dupę, bardzo proszę, nie mam uwag. Pakujcie to towarzystwo do nyski i walimy na Świebodzką. Ja od razu zadzwonię, niech tam się nimi zajmą.

– To może i tego niemego też, co? – poderwał się jeden z niedopiętych podoficerów.

– Tego z tramwaju, co udaje, że nie rozumie ludzkiej mowy? Dobra, pójdziemy sobie na rękę, panie chorąży. Postawicie flaszkę, to go wam zdejmę ze statystyki. Co z oczu, to z serca.

– Gdzie ich dokumenty?

– Nie mieli. Nic, na śledczym sobie przypomną, gdzie zostawili. Będzie czas...

– Może ich na Sokolniczą?

– Do wytrzeźwiająki, tych?! Oni mi się widzą, owszem, może pijani, ale w złej sprawie pijani. Nic, wszystko wyjaśnimy. Jedziemy. I niemego też dajcie.

Strażnik zniknął i po krótkiej chwili przyprowadził z głębin budynku wystraszonego, bladego faceta w samych półbutach i szarej koszulinie do slipek. Carlos, Kuhna i Żo-żo wlepili w niego oczy. Bładawiec także spojrzał na nich dziwnie. Popchnięci, ruszyli całą czwórką do wyjścia, prosto w otwarte tylne drzwi milicyjnej nysy.

– *Hello again.*

– Halo międzymiastowa – skwitowali zgodnie przywitanie. – Co dobrego?

Za nimi rąbnęły zatraskiwane drzwi. Uliczną latarnię mogli teraz oglądać zza grubej siatki.

– Ten zomol to naprawdę był Wierzba? – upewnił się szeptem Kuhna.

– Co, siedem lat grałeś z człowiekiem w siatkę i nie poznajesz? Tylko spodenki ma teraz zielone. I trampki jakby podkute.

Samochód zadrżał, opierając się perswazji rozrusznika. Silnik czknął jednak i ruszył, ale naraz znów uchyliły się tylne drzwi i głos spod zielonej czapki z daszkiem zawarczał:

– Wasze szczęście, żeście na mnie trafili.

Zamykane drzwi huknęły, zanim zdążyli odpowiedzieć.

– A ja mam jeszcze flaszkę w gaciach – przypomniał sobie Żożo. – Co, nie skuli nas?

Osiatkowanym samochodem szarpnęło, wyprostowany na ławeczce Carlos uderzył potylicą w ostre okucie i zmrużył oczy. Siedział w nysce jak w klatce, drucianej klatce Faradaya, do której nie dochodzą sygnały radiowe innych cywilizacji ani w ogóle żadne impulsy energii, gdzie nic się nie dzieje i właściwie można tak sobie siedzieć, wdychać wciąż od nowa woń złuszczonej farby olejnej w urzędowych gmachach, odór cętkowanego linoleum w korytarzach rozjaśnionych pełganiem żółtych żarówek, smród benzyny, betonu i bocznic kolejowych, latem jeszcze duszny zapach chwastów obok bocznic. I czasem smród kibla, który przyszło Carlosowi wąchać jeszcze sześć miesięcy temu, do chwili aż interwencja lekarska (rozpoznanie: klaustrofobia)

uwolniła go z ośrodka internowania w Jaworze. Witano go na imprezie u Batorego jak zmartwychwstańca i póki nie zaprotestował, twierdząc, że nie lubi góralskiej muzyki, śpiewano mu o murach, i było piwo Piast z powgniatanej aluminiowej beczki, i nawet Lidka przyszła i mówiła, że dobrze, że już jest. Teraz jednak głowa znowu bolała, doskwierało poczucie głupiej daremności, świadomość, że kolejny raz trzeba będzie wachać to, w czym już tylekroć nurzano człowiekowi nos, czekać na paczki i patrzeć przez mętną szybkę, jak kwaśny deszcz spala trawnik, jak rudy pył opada niespiesznie z nieba na beton spacerniaka, a wszystko to po nic, bagnista ziemia pokonanych, i tyle, wszyscy pokonali się nawzajem i czekają na finał jak na pekaes, i tylko co zapobiegliwsi hodują w przydomowych ogródkach drobny inwentarz, króliki albo drób. Mniam, mniam – Carlos oblizal się w myślach.

Nyska wytoczyła się za bramę komisariatu, a kierowca wrzucił trzeci, najwyższy bieg. Cywil na fotelu pasażera pochylił się nad rozchyloną gardzielą aktówki i zanurzył w niej ramię aż po łokieć, ale czego szukał, z tylnej części wozu, oddzielonej od szoferki szczelną przegrodą, nie było już widać. Przed pustym postojem taksówek kierowca zredukował bieg, po kawalersku wziął zakręt w prawo, znów wrzucił trójkę i ruszył pustą dwupasmową aleją w kierunku centrum miasta, coraz prędzej. Cywil powiedział coś głośno do kierowcy i machnął ręką, na co kierowca odwrócił się do cywila i wesoło odkrzyknął coś, co zginęło w nagłym trzasku, kiedy nyska uderzyła swoim płaskim, mongolskim licem w cienkie słupki przy nieoświetlonym wykopie pośrodku ulicy i przechyliła się w hurgocie rozpychanych brukowców, a potem z impetem runęła do wielkiej dziury, której dna nie

było nawet widać, bo przednia szyba od uderzenia poszła w drobny mak. Na dwie sekundy rozśpiewała się gięta blacha, kończąc akord chrupnięciem.

– *Oooops* – powiedziało się Anglikowi, który wylądował na plecach.

– Co tak ciemno?

Leżeli w czwórkę jeden na drugim, i tylko gwiazdy zaglądały przez szczelinę w niedomkniętych tylnych drzwiach – wysoko nad głową, bo nyska stała teraz prawie na sztorc.

Żoło w ciemności pomacał się po spodniach, uśmiechnął się i podciągnął wzdłuż ściany do krawędzi tylnych drzwi, naparł grubym ramieniem i odchylił jedno skrzydło na pogiętych zawiasach. Znów podciągnął się na rękach, przerzucił nogi na krawędź samochodowego pudła i ponaglił pozostałych:

– No, wyłaźcie. Idziemy sprowadzić pomoc!

Parsknęli i wypełzli kolejno z brzucha samochodu, na krawędź wykopu: Carlos, utykający Kuhna, a na końcu facet w szarej koszulinie, który mówił *hello*, ale teraz tylko szczękał zębami. Na ulicy wciąż pusto. W wykopie rozśmierdziało się benzyną.

– Dasz radę iść?

Kuhna spróbował stąpnąć i kiwnął prędko głową. Zraz się okazało, że trzeba go było to nieść, to podtrzymywać, bo syczał. Przeskoczyli przez niski murek, za którym zaczynał się nieogrodzony dziki parczek – w samą porę, bo rozszczękały się psy, a z okien pobliskich domów zaczynali wyglądać ludzie, poderwani ze snu odgłosem miażdżonego metalu. Za murkiem było jeszcze ciemniej. Schyleni, potruchtali przed siebie i zatrzymali się dopiero koło kubłów.

Naprzeciwko nich wychynęło z mroku i zaczęło się przybliżyć czerwone, pełgające światełko.

– Cichusieńko...

Zamarli pod kępą cisów.

– Pobite gary... Gdzieście się schowali, palanty? – Światełko zachybotowało się jeszcze silniej. – O, to wy. A ja was szukam. Gdzie was wzięło? Flakony czekają, miódzio czeka, a wy sobie, kurwa, spacerujecie...

– Nie spacerujecie.

– A co?

– Nic.

– Byliśmy się przejechać.

– Jak, samochodem?

– Samochodem, metrem, różnie. E, Gipson, gdzieś ty dorwał taką zajebistą lampkę?

– Nie wiem. Znalazłem na ulicy. Jak raz wisiała...

Po ciemku was miałem szukać? Uuu, a co to za jeden?

– Przybłąkał się.

– Dlaczego taki cichy?

– *Hello again.*

– Siemasz z rana. O, rany. To ten sam czy jakiś inny?

Od strony alei z odległości kilkudziesięciu metrów dobiegło ich wycie syreny. Pośród liści zamigotało na niebiesko. Poderwali się z kryjówek.

– To co, może jednak chodźmy coś przekąsić?

Carlos jeszcze się nad czymś zastanawiał. Pociągnął Kuhnę za łokieć.

– Te tylne drzwi w nysce nie miały prawa się otworzyć.

– Co cię nagle obchodzi? Wyrrywajmy. Daj rękę.



– Nie, bo zobacz, nawet jak żeśmy pieprznęli, blokada powinna wytrzymać. Nie zamek z klamką, blokada. Tam jest taki pręt z tyłu.

– Pręt, sręt. Może wyleciał albo zapomnieli zasunąć.

– Kuhna pokuśtykał w ślad za resztą, przez chaszczę, a potem żwirowaną ścieżką w stronę bocznej, asfaltowej uliczki.

– Wierzba nas zamykał... – szepnął Carlos i także ruszył, macając się po rozbitej głowie.

Na uliczce Żożo zaczął się szamotać z Gipsonem, usiłując mu wyrwać naftową lampkę. Bładonogi facet bez spodni patrzył na to wszystko okrągłymi oczami.

– Puść, szaleńcze. Widać nas z tym na kilometr. No, przestań kopcić.

– Nie, bo potrzebna. Trzeba szukać człowieka. Jak się zgubi. Na Jasnej Górze też jest taka i na Rozewiu... Nie odдам, w dupę sobie wsadź te grabki!

– *Sometimes a lantern moves along the night that interests our sight. And who goes there?* – bez związku zamruczał po swojemu gołonogi, który chyba nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest. Popatrzyli na niego spode łba i ruszyli w dalszą drogę, z lampką, mimo wysiłków Żoża, który bił Gipsona po łapach. Domy spały, rozgrzany dziennym upałem asfalt lekko się ugiął pod stopami, w wysokiej trawie ogródków cykały miejskie świerszcze. Skręcili w kolejną uliczkę, a potem jeszcze w następną, minęli zamkniętą na głucho budkę tolotka i pawilon spożywczy, przed którym piętrzyły się szare skrzynki z pustymi butelkami na mleko. Korony lip przed pawilonem wibrowały od owadziego szelestu. Na ślepej ścianie pawilonu, tej od strony jezdni, widać było szereg świeżo wypsikanych karminową farbą, wołowych liter, które w świetle pobliskiej jarzeniówki układały się w pozaciekany

monumentalny napis SOLIDARNOŚĆ ZWYCIĘŻY NIE MA CHUJA. Na budce totolotka widniał jeszcze spory granatowy dopisek: CISNĄ.

– To wasze?

– A jak.

Przeskoczyli jezdnię, przemknęli obok kiosku i jeden po drugim wpadli do ciemnej bramy bloku. W drodze na szóste piętro przyświecali sobie czerwoną lampką i zapalniczką.

– Kicia dobrze mówił. Zaworek trzyma jak złoto.

Jeszcze w połowie wspinaczki doleciał ich z góry przeraźliwy smród palonego pierza. Wsunęli się do mieszkania i od razu skręcili w prawo, do kwadratowej kuchni. Na największym palniku kuchenki, w wianuszku sinych płomyków, skwierczał i jarzył się tysiącem iskier ciemny, kopzący kształt. Gipson rzucił się szczupakiem i zakręcił gaz.

– Tę jedną już s-skubiemy – uspokoił ich skulony pod lodówką Gałeczki, któremu się odbijało.

– To pierze tak śmierdzi? O, rany.

– Nie, to napalm o poranku. Tak śmierdzi... zwycięstwo.

– Patroszyliście chociaż?

– Co ty, jeszcze nie. Tylko u-ukręcaliśmy. I noże coś masz tępe. Starzec dzwonił, ma przynieść skalpel, jak o szóstej zejdzie z dyżuru. Może wpadnie nawet wcześniej, jak mu się trafi karetka w tę stronę.

Carlos zatkał nos i komicznie zmienionym głosem zapytał jeszcze:

– A gdzie druga?

– Otoczona, na b-balkonie. N-nie dawała sobie ukręcić.

Żożo wyłowił wreszcie gdzieś spod majtek napoczętą półlitrowkę, przytulił do policzka i zauważył:

– Trochę się zagrzała, ale da się wypić.

Carlos łyknął wreszcie, ile chciał, poprawił, westchnął i z wysepionym papierosem w zębach ruszył do dużego pokoju. Biała kokoszka przycupnęła trwożnie w samym kącie balkonu, gdzie nie spuszczał z niej oka uzbrojony w widelec Kicia. Spocony Dyzio wertował po ciemku jeden z foliałów trzynastotomowej encyklopedii.

– To leghorn – podniósł wzrok na Carlosa i wskazał tabelę ras.

– Weź jeszcze Stary Testament i otwórz na Izaaku, powiesz nam, jak patroszyć – odwarknął Carlos, cofnął się do stołu i trzasnął kapslem przedostatniej butelki.

– *Chicken* – ucieszył się gołonogi, zaglądając Carlosowi przez ramię.

– Nie cziken, tylko kura. KU-RA.

– *Coo-rah. Chicken.*

– Niech ci będzie.

– Gdzie byliście? – odezwała się rozczochrana Lidka spod koca. Julia spała obok niej. Zza cienkich drzwi drugiego, mniejszego pokoju słychać było słodki jęk Milady.

– A, tak byliśmy się przejść – uspokoił Lidkę Żożo i rozlał nową kolejkę. – Co, robimy następną? Jak mało, to się znowu przyniesie.

Bozia, który zadrzemał, przetarł czerwone oczy i naraż wstał z rozprutego fotela.

– Dostyc! – prawie krzyknął. – Przerwywamy krąg gwałtu! Słuchajcie! *No violence*. Tamtą już zjemy, trudno, ale tę z balkonu puszczaamy wolno. Darowuję ci życie! – odezwał się do ocalałej kury, wychodząc chwiejnie na balkon. Prze-

pchnął się obok Kici, węzowym ruchem przydusił szamoczącą się kurę do ściany, drugą ręką schwycił ją za łapy i choć próbowała dziobnąć, podniósł do góry. Gipson doskoczył także i podniósł wysoko nad głowę naftową lampkę.

– Odlot!

– Naczytał się biografii Gandźiego – padło z tyłu.

– Jesteś wolna! Malutka, leć do nieba! – krzyknął do kury Bozia i wychylony przez poręcz zwolnił uchwyt. Kura zamachała prędko skrzydłami, poderwała się ku gwiazdom, zakolebała, w locie przekreśliła się na grzbiet i runęła sześć pięter w dół.

Gołonogi Anglik podszedł powoli do barierki, spojrział na majaczącą w ciemnościach jasną plamę na popielatym betonie podjazdu przed garażami i odwracając się do wnętrza, oznajmił:

– *Mistah Coo-rah, he dead.*

## Jaz nad Odrą

Nagle wszyscy mieli imiona. Cudzoziemskie, do niczego niepodobne, jedyne i własne. Każdego dnia nowa chwiejna kartoteka imion i nazw. Gipson, Żożo, Gałęcki, Kuhna i Uszkin. Pan Dyrektor Szroeder i Pan Wicedyrektor Żłóbek. Inspicjent Wrona. Waryński i Lady Milady. Jurek, Ogórek, Kielbasa i Sznurek. Szczebrzeszyn. Józef i Carlos. Lidka.

On też miał już imię. On, Anglik.

Czuł, że jest tu od dawna. Tyle dni. Prawie się przyzwyczał do nierównych chodników z granitowych płyt. Parę razy przejechał się tramwajem. W restauracji dworcowej pijak drzemiący pod stołem ugryzł go w nogę. Lada dzień miał pojechać do Warszawy – jeśli się uda, bo czekał jeszcze na pieniądze, gdyż księgowej w teatrze zginęła gumowa pieczętka. A może sztanca. Wyciskarka. Matryca. Słownik nie podawał innych haseł. Chyba nie prasa do drukowania banknotów? Yassek nie umiał mu tego wytłumaczyć, ale tak czy inaczej, pieniędzy na razie nie było. Przestał się spieszyć. Od kolejek poskręcanych w sklepowych wnętrzach bił mocny, cebulowy zapach potu. Nad powycinanym w ząbki ratuszem

parę razy zaszło słońce. Istnieje gumiate danie, które się nazywa kopytka. *Small hooves*.

Gdyby nie Józef z Kuhną, nie zjadłby nawet kopytek. W ciągu dnia zapomniał o zakupach, a kiedy wyszedł z sali prób, okazało się, że o osiemnastej miasto zakończyło działalność. Kiedy Józef nadjechał swoją furgonetką, zrozumiał na szczęście, o co chodzi. Ze świstem obluzowanego sprzęgła popędzili do czynnego jeszcze baru „Tempo”, a potem, pokrzepieni, znów wsiedli. Nim ruszyli, Józef wlał do baku furgonetki zawartość sześciu brązowych flaszek. Zaśmierdziało rozpuszczalnikiem do farb.

– Rusczy wyjechali na ćwiczenia, nie ma od kogo kupić  
– wyjaśnił Józef.

Podjechali pod garaże przy bloku w parkowej dzielnicy, za nasypem. Z szoferki widać było ślepe ścianę sklepowego pawilonu, pieczołowicie zapaćkaną szarą olejną farbą. Na szarym tle ktoś namalował brodatego karzełka w jaskrawoczerwonej spiczastej czapeczce. Ogrodowe krasnale na murach?

– Wiesz, co to jest? Czy może u was... – dźgnięcie palca w pierś Anglika. – Nie ma?

– Nje. Nje ma.

– Widzisz? A u nas coraz więcej tego draństwa.

Wcale nie zanosilo się na zmierzch i dopiero kiedy zeszło się jeszcze kilka znajomych osób, i kiedy się rozsiedli pod plandeką i przejechali dobry kawałek pustawymi ulicami, ponad dachami mijanych czynszowych kamienic w ponemieckiej dzielnicy zaczął się rozsnuwać mrok. Kiedy wjechali na kolejny most, wiatr podniósł furkoczącą plandekę. Na rozmazanym czerwonym tle przez jedno mgnienie wyrosły sylwetki barokowych hełmów i poszczerbionych cegla-

nych wież starego miasta, liściaste korony drzew, sina gładź rzeki, trzciny przy pokruszonej ceglanej obmurówce bulwaru. Potem brezentowa plandeka opadła.

– Kurde, głupim żukiem się tłuczemy. W *Powiększeniu* jeździli land roverem.

– To wysiadaj, Gipciu. Zawsze możesz tramwajem.

Dokąd jechali i po co, nie było tak do końca jasne. Anglik nie był zresztą pewien, czy ta wiedza jest mu potrzebna. Kolejne świadome próby poznania miasta, kolejne pytania rozmywały się w odpowiedziach o podejrzanej logice. Nie dalej jak przedwczoraj zapytał, gdzie tu jest pomnik Stalina. Odpowiedź usłyszał tę samą co zwykle: Nie ma. Najbliższy Lenin dopiero w Nowej Hucie. Zaraz jednak Gipson pokazał palcem na milicyjny patrol za oknem, pracowicie spisujący personalia właściciela granatowego malucha. – My tu mamy takie ruchome pomniki. *Mobile. Modern art.* – Gałęcki tymczasem zmarszczył czoło i z namysłem, bo uważnie rozlewał nową kolejkę, bąknął: – Koleś się jeszcze zapyta, po ile puszka cyklonu B i gdzie tu jakieś czynne krematorium. – Przetłumaczyli mu to ze śmiechem.

Jak jednak nie zadawać pytań w mieście tak pełnym zagadek? O, ten plac, na przykład, zaciekał go już poprzednio: wyciosana pośrodku kamienic rozległa pustynia, po której tu i tam rozprowadzono pajęczynę drutów tramwajowych. Pośrodku wielka, tekturowa chyba tablica z napisem GIGANT. Epicentrum eksplozji? Nie, lotnisko. Przecież lotnisko jest za miastem? Owszem, ale Niemcy zburzyli dzielnicę dynamitem i zrobili lotnisko. Kiedy, po co? No, dawno. Aha. A lotnisko za miastem? Było nieczynne, bo oblężenie. Jakie znów oblężenie, średniowieczne?

– Naprawdę nie wiesz, co to Festung Breslau? To witamy.

Lecz przecież normalna twierdza ma mury i bastiony, masę, obrys, ciężar, a tu widziało się tylko połączenie pustych placów zarastających chwastami. Jak na lotnisko, za dużo domów, ale jak na miasto, za mało. Tyle tu było wszędzie przerw między budynkami, tyle niezabudowanych narożników, uskoków. Szyny tramwajowe wpuśczone w bruk, urywające się nagle, prowadzące tam, gdzie nie ma żadnej linii, tylko chaszczki na pustym placu. Nieciągłość, obciążające tynki, a z boku przytulona do długiego, brzydkiego budynku budka, w której sprzedają rurki z kremem. Z rozgrzanych chodnikowych płyt promieniuje spokój ponad wszelkie doświadczenie, ale nic się nie składa, nic nie przyrasta, najwyżej chwasty i zielsko. Tak na zdjęciach z rodzinnego albumu wyglądały mury Coventry w początkach lat pięćdziesiątych. Żółte mury, topole, miejsca po wywiezionym gruzie. Za ledwie parę ulic na krzyż, a łatwo tu było utknąć, ugrzęznąć pod drucianą pajęczyną, zgubić się w zielonej i kamiennej płataninie odnóg rzeki, których nie rozróżniał, zająknąć się w mowie splątanej nie do pojęcia.

Można się było tutaj schować albo umrzeć – można było zostać tu na dłużej. Lub też uciec od razu i nie oglądać liszajów na murach ani bladych, przepitych twarzy młodych aktorów na sali prób, ani fałd żółkłych, zmielonych upałami trawników, zamknąć oczy na łagodną, szarą gamę okolicy, odwrócić wzrok od zdeptanych skwerków i skrzynek z oranżadą. Bo zostać oznaczało zgasnąć, umrzeć jak kobieta na sali prób, po wielekroć, choć nigdy naprawdę, wśród okrzyków: „Wykrzywiłaś życie mego kota, Elżbieto, karmiąc go cytrynami! Ale kot zdechł, a tu żyć trzeba, albo lepiej po prostu kula w łeb!” W przekładzie na angielski kwestia brzmiała co najmniej bezsensownie. Przedstawie-



nie zapowiadało się w ogóle dość dziwnie, bo nijak nie przystawało do piaskowej nędzy ulic wokół budynku teatru, do kolorytu tutejszych twarzy. Spektakl miał być krwisty. Teatralny scenograf biedził się wciąż nad hiszpańską maszyną do tortur w żółte i zielone paski. Aluzja do ośnieżonych samochodów pancernych z agencyjnych zdjęć sprzed roku czy dwóch. Nikt już nie pamięta tych fotografii. Zdjęcia z trupami i flagami blakną błyskawicznie, tleją razem z marnym papierem gazety, gasną z każdą kolejną błyskawiczną zmianą fosforyzującego roju na ekranie telewizora, zacierają się i przeskakują w następny stan, a kiedy je odnaleźć i spojrzeć na nie po pewnym czasie, okazują się żółkłe i zupełnie obojętne. Właśnie, następnym razem trzeba będzie wziąć aparat.

Myśl przeciął zgrzyt hamulców. Zgasł silnik, a w tylnym okienku szoferki mignęły broda i nos Józefa, który dał znak, że to już.

– *Where are we going?*

– Hę?

– G-dże?

– Zobaczysz. Bo patrz, już wszyscy są.

I byli, całą gromadką czekali pod dębem, tam gdzie się kończyła wąska uliczka między płotami ogródków, a zaczynał wał powodziowy. Żożo z papierosem. Carlos z papierosem. Gałęcki z papierosem i z dżointem. Lidka w motocyklowej kurtce, ale nie czarnej jak z punkowego sklepu na Soho, tylko brązowej, wyświechtanej, starej i bez ćwieków. Nad jej głową, na niskim konarze, pobłyskiwała złotozielona jemioła. Dym z papierosów mieszał się z kłębam dymu z ogródków, gdzie ktoś palił zielsko. Powietrze śmierdziało w dodatku chemikaliami. Anglik pociągnął nosem.

– Co tak wężysz, stary?

– *What's that smell?*

– A, o nasz smrodek ci chodzi? Dwusiarczek węgla albo dwuwęglan siarczku. Nie wiem, które, i nie wiem, jak przetłumaczyć. Znasz słowo iperyt? Iii-pe-ryt! – włączył się do rozmowy Bozia i wyciągnął w stronę Anglika paczkę radomskich. – W tamtą stronę, za kanałem, jest taka fabryczka.

– To co, zbierajmy się.

Podnieśli się z ziemi i ruszyli ścieżynką przez łąkę, która dawniej musiała być miejskim parkiem, bo tu i tam sterczały z ziemi słupki od ławek. Przodem szli Carlos i Józef, za nimi Kuhna, Milady i Julia, potem Lidka i on, Anglik. Z tyłu wlekli się spoceni Gałeczki i Bozia, objuczeni kraciastą torbą, którą z trudnością wtaszczyli na groblę. Dalej droga wiodła grzbietem wału powodziowego, za którym znów się rozpościerały niskie i szerokie łąki z kępami krzewów, zamknięte krechą rzeki. Na drugim brzegu pasła się krowa w hollenderskie ciapki, jak ze starego albumu Pink Floyd, ledwo widoczna w zmierzchu i smugach dymu nad trawami, wgapiiona w łąkowy bezkres, ciągnący się przez kolejne, coraz ciśniejsze równiny aż do Morza Północnego, do wałów, wydm i płycizn ostatniego cypla Europy. Oni szli jednak groblą w przeciwną stronę, na wschód, cienistą ścieżką dzielącą ten ni to park, ni to las od nadrzecznej pustaci. Za sobą wlekli kraciastą torbę, niczym krzyżowcy Monthy Pythona.

Anglik powtarzał sobie w myślach, że u końca ścieżki ujrzą gotycki zamek albo przynajmniej eksplodujące króliki. Inaczej będzie to tylko spacer, pożyteczny o tyle, że aktorzy z teatru chcieli dziś wieczór, dużo później, bo po próbie drugiego spektaklu, znowu go wyciągnąć do niemiłosiernie za-

dymionej knajpy dla artystów, więc lepiej było się zawczasu natlenić.

U końca ścieżki naprawdę ujrzeli gotycki zamek. Powodziowy wał odchodził tutaj łukiem wzdłuż muru przysadzistej, trzypiętrowej budowli bez szyb w oknach, z rozległym, niegdyś oszklonym tarasem i z dziurawym dachem zwieńczonym wieżyczką z balkonem. Nieco dalej, tam gdzie na wał wspinała się kolejna brukowana uliczka, perspektywę wieczornej łąki zamykała wysoka przegroda betonowego jazu na rzece. U stóp przepustów pieniały się wiry, a szum wód dochodził aż tutaj, w półmrok pod murem.

Okolice przestała być bezludna. Wzdłuż muru i dalej, aż do wejścia na kładkę idącą grzbietem jazu, nierównym szpalerem stali ludzie: młodzi, obojga płci. Może setka, może więcej. Tu i ówdzie migwały w półmroku ogniki papierosów, szeleścił gwar osobnych rozmów. Od brukowanej uliczki i od wału dołączały coraz to nowe grupki, zdążające w tę samą stronę, tam gdzie czekali. Kilku brodaczy w wojskowych chyba kurtkach wciągało na wał dwukołowy ręczny wózek z kolumnami głośnikowymi.

Anglik drgnął, bo ktoś trącił go w ramię. Lidka. Dziewczyna wzięła go pod rękę i pociągnęła za sobą w stronę wyrwy w murze. Po drugiej stronie, prawie niewidoczne między krzewami, majaczyło ciemne wejście – może boczne drzwi tego opuszczonego budynku. Kiedy przekraczali próg, bezwiednie otarli się o siebie. Trwało to tylko przez mgnienie. Anglik poczuł słabość w splocie słonecznym. Odwracał się już z powrotem ku wyjściu, kiedy poczuł, że palce Lidki zamykają się wokół jego dłoni. Ruszyli ostrożnie przed siebie, po kamiennych płytach wnętrza, które musiało być rozległe, lecz pozostawało niewidzialne, tak niewiele słabe-

go, wieczornego światła wpadało przez okna, byle jak pozabijane grubymi dechami. Anglik namacał w kieszeni spodni tandetną zapalniczkę, którą zostawił mu na przechowanie albo na pamiątkę Kicia. Odblask gazowego płomyka omiół posadzkę i najbliższą ścianę z zatartym ozdobnym napisem. Anglik puścił dłoń Lidki i przyświecił. Pismo było gotyckie. Zanim zdążył odcyfrować do końca uszkodzony napis ALTE BRESLAUER BIERSTUBE, płomień nagle wystrzelił ognistą kulą, a gaz i rozgrzana osłona zapalniczki sparzyły go boleśnie. Przełożył zapalniczkę do drugiej ręki i pokręcił kółkiem. Posypały się iskry. Jeszcze raz. Nic z tego. Ostrożnie wsunął rozpaloną zapalniczkę do kieszeni spodni.

– Jesteś tu? Uważaj, bo tu będą takie schodki – usłyszał tuż przy uchu, a kiedy spróbował się przysunąć bliżej, zahaczył czubkiem buta o jakiś występ czy stopień. Na szczęście w porę zdążył się uchwycić pokruszonej ściany. – Ty, znowu się wygłupiasz? Niby z Londynu jesteś, a nasz człowiek. Nieudany taki...

Wzruszył ramionami. Słowa mogły znaczyć cokolwiek. Znowu nie umiał wyczuć znaczeń w tym bliskim głosie, w monotonnej intonacji nie rozpoznawał czułości ani agresji, najbardziej już zdziwienie – ale że nie potrafił Lidce odpowiedzieć, pozostało tylko dalej wspinać się za nią, a właściwie tylko za zapachem jej włosów i skóry, na kolejne półpiętro i wyżej. Na górze było dużo jaśniej. Trzy pozbawione ram otwory okienne górnej sali otwierały się na nadrzeczne łąki za wałem powodziowym, ale większość widoku zasłaniały gęste korony kasztanowców.

– *Can't we get any higher? I want to see it all...*

Tym razem to on pociągnął Lidkę za sobą, delikatnie, gotów natychmiast puścić, gdyby napotkał opór. Poczł pod

palcami chropawość fałd skórzanej kurtki. Kolejne schodki, węższe, za drzwiami zastawionymi zardzewiałą metalową beczką, na szczęście pustą. Uginające się deski nadstrysza. Następne drzwi, dyndające na jedynym zawiasie. Dalej już parapet i granatowosine niebo, nabrzmiewające zoologiem gwiazdozbiorów. Czysty przestwór i ten sam chemiczny zapach. Niżej był wał i rzeka, a w dole nurtu rząddek wież: gotyckie iglice, bernardyńskie kopuły, czworokątny donżon miejskiej stacji pomp, ceglane trąby przemysłowych kominów na obrzeżach miasta, na skraju zielonego horyzontu, za którym otwierały się następne płaskie łąki, nowe rzeki oznaczone stygmatami mazutu, nowe lasy i pola, a w poprzek pól kolejne pordzewiałe zasieki, smętne garnizonowe miasteczka, kieszonkowe Góry Olbrzymów, cały zaginiony almanach. Po zgubione znaki trzeba się było schylić, dostrzec je pod nogami, podnieść i otrzepać z pyłu, dojrzeć przez kurtynę liści w opuchłych koronach drzew za oknem bez szyb i ram, odczytać w nocnych konstelacjach ponad grzebieniem miejskich dachów, pojąć, że ich drogowskaz może jednak poprowadzić o wiele dalej, nie tylko nad zadrutowaną granicę – bo jeśli nie, miasto pełne pustych placów pozostanie rozstajem dróg, na którym zamiast szubienicy straszy zepsuty od 1976 roku – pytał o to – koszmarny zegar o czterech żółtych tarczach, a obok są jeszcze rzeka, dworzec, ponemieckie kamienice bez tynku, pijackie meliny i zamknięte, ogołoczone sklepy. Przyjdzie zaraz poranek, duchota, bagienny zastój nad łąkami, zazgrzytają tramwaje, wokół kilku otwartych sklepów zrobi się zamieszanie, zaśmierdzą spaliny. Potem ulice znów opustoszeją, nastanie zima, rzeczne kanały zeszklą się krą, a drzewa nad zardzewiałą maszyną śluz na rzece zmienią się w czarne kreski, ale będzie to obchodzić

tylko tutejszych koczowników z bloków skleconych z betonowych płyt na kupie ceglanego gruzu i ludzkich kości pośrodku niziny, w jamie wydrążonej w jądrze dawnej Europy. I może obejdzie jeszcze ich dwoje, stojących obok siebie w ruinach piwiarni, gdzie pół wieku wcześniej tysiąc piwo-szy kolebało się do taktu orkiestr dętych, nim zwarły się marszowe szeregi, zanim ogień spadł na czerwone dachy, zanim komandor, tłukąc kolbą, powsadzał wszystkich w wagony i zawłókł do piekła.

Słysząc było, jak w ślepej odnodze rzeki rechoczą żaby. Lidka przyłgnęła plecami do filaru wieżyczki. Dlaczego tak prędko oddychała?

– Coś ci powiem, chociaż pewnie znowu nie zrozumiesz... – zaczęła nieoczekiwanie, sama speszona. – Dlatego cię tu wzięłam, bo chcę ci powiedzieć... Żebyś wiedział. Tylko mi nie przerywaj.

Poruszył się wreszcie i przysunął bardzo blisko.

– *I don't speak your language. And you know I don't.*

– Nie, nie przerywaj, posłuchaj.

Pod upartym spojrzeniem pary orzechowych oczu już nie wydawało mu się, że wie, po co się wspinali na górę i po co stają naprzeciwko siebie na mocno się uginających, zetlałych deskach. Z głosu, który dobiegał go z tak bliska, zniknęła nagle papierosowa chryпка, wahanie, niepewność. Słowa stawały w szyku jak seria wielopiętrowych równań w algebrze z obcej planety, lecz choć ich z osobna zupełnie nie pojmował, pierwszy raz wydało mu się, że zaczyna rozumieć.

– Coś ci powiem, żebyś miał w ogóle jakieś pojęcie. Przedtem ci chciałam powiedzieć coś innego, ale teraz nieważne. Słuchaj. No, więc fajnie, że się zjawiliś, i cieszę

się, że ci się spodobała impreza. Jasne, że ci tu dobrze, zwiedzasz sobie piastowski gród, dużo się dzieje, jest egzotycznie i tanio, panienki same nadstawią ci dupy, jak ładnie poprosisz, a wódka jest po pięćdziesiąt pięć centów bonami. Obejrzyj nas sobie i pojedziesz. A może nawet tak prędko nie wyjedziesz, w końcu ci się tutaj podoba, to widać. W porządku, masz takie hobby. Mnie się tutaj mniej podoba i będę musiała sobie jakoś zorganizować wyjazd. Nie bój się, nie z tobą. Już wiem, że nie. Mogę ci to wszystko powiedzieć, bo i tak nie rozumiesz, i jeszcze dlatego że się nie znamy i więcej nie spotkamy. Chyba że zostaniesz tu jakimś zasranym lektorem, no, ale wtedy pewno będziesz za bardzo zajęty panienkami, więc też nie będzie sprawy. Nie gniewaj się, że ja tak po imieniu o tym wszystkim, ale trudno.

– *Will you marry me?* – odezwał się nagle, niespodziewanie głośno, natychmiast przerażony tym, co powiedział.

– Nie przerywaj i nie przystawiaj się tak... Nawet miły z ciebie chłopak, ale nie wiesz, czy ja też jestem miła ani w co tu się naprawdę pakujesz. Tobie się może wydaje, że tu jest bajcarskie miasto i że się będziemy obmacywać, bo tak ci się podoba? Tak? A ja... Nic o mnie nie wiesz. Nic. A może ja mam męża po Oświęcimiu, to znaczy, nie bój się, jest w wojsku, jednostkę ma w Oświęcimiu, no więc może mam męża, a może jeszcze narzeczonego, kompletnego świra, i może miałam kochankę, która mówiła na mnie Krzys i wyjechała do Kanady, i może mam zaklepaną za sześć dni wizytę u lekarza, taki miły pan ze srebrnymi łyżeczkami w sterylizatorze. Aha, a ten, z kim niby mam to dziecko, zaraz tu wpadnie, bo jest zazdrosny, i może mam jeszcze parę innych problemów, ale nic, nie będę ci zawracać głowy. Ładne dźwięki, co? „Kochanka”, „skrobanka”. Zwiedzaj miasto, przy okazji się pod-

uczysz języka. I idź sobie na koncert, chłopaki zaraz zaczną. Pozwiedzaj sobie, a potem wal do domu.

– *Will you marry me?* – powtórzył przez zaciśnięte gardło.

– Nie upieraj się, że coś z tego będzie. No, odpaćkaj się już – odepchnięty Anglik zorientował się nagle, że to, co widzi, to łązy złości. – Jazda! Teraz ci nie mam więcej nic do powiedzenia!

– *Why... why do you have to act like this? What's wrong?*

– Nie, naprawdę, nic nie mów, idź się pobawić. Idź i nie wracaj więcej, nie zawracaj gitary, pamiętaj, jesteś turystą, przyjacielu. Cześć. Miło było.

Znów odepchnęła go lekko od siebie, ale nie puszczała. Pod naciskiem jej dłoni przywarł plecami do parapetu.

– *What did I do? What did I say?*

– Nie masz tu czego szukać. Tu się nic dobrego nie zdarzy. A ja też wyjadę, tak, wyjadę w końcu, ale... Boże, nie z tobą, nie po to, żebyś mnie przedstawiał jakimś rodzicom jak niemowę, pokazywał znajomym, żeby się na mnie patrzyli jak na łeb słonia na ścianie, a ty się będziesz chwalił, że wróciłeś z safari, o nie. Jak chcesz słonia, to wal tu zaraz obok, do Gucwińskich, trzecia klatka na lewo... Panienki też sobie znajdziesz, jak nie w zoo, to w Rynku, w związkach twórczych. I nie bój się, nie patrz na mnie, to nie o ciebie chodzi, nie twoja wina to wszystko, co się dzieje... Jesteś pięknym przybłędą, a ja jestem u siebie, tutaj tak jest, więc się nie dziw...

Tulił ją do siebie tak mocno, że nos tonął mu w jej ciemnych, wijących się włosach. Czuł w nich jeszcze kilka zbłąkanych molekuł dymu palonych liści. Bliźniaczy dotyk piersi. Plecy trzęsące się od płaczu. Gruźelek zapinki stanika



na plecach, pod skórzaną kurtką. Coraz bliższe pełne wargi. Objęci, prawie tanecznym ruchem odstawili pół kroku w bok, potem jeszcze pół, aż rozległ się trzask spróchniałych dech podłogi. Anglik potknął się, poleciał w tył, wyswobodził ugrzęzły aż do kostki prawy but spomiędzy belek i syknął.

– Hej, nie róbcie demolki, bo to chyba zabytek! – rozległo się od schodów pod nimi i z dolnego piętra wyrzała znajoma pucołowata twarz. – Co wam szkodzi, że poniemiecki? No, chodźcie, sprzęt już rozstawiony! Dyzio specjalnie prosił, żeby was poszukać – dodał jeszcze Uszkin, który stał piętro niżej i nie widział min ich obydwojga. – Bo mnie na przykład nie przeszkadza – ciągnął. – Tramwaj też prowadzę poniemiecki, uniwersytet niby ze Lwowa, ale poniemiecki, i co z tego? To się może jeszcze kiedyś odremontuje, pomaluje jakoś. Po co zaraz niszczyć?

Uszkin nie był najdziwniejszym motorniczym tego miasta, przynajmniej jeśli się wierzyło jego własnym, z poprzedniego tygodnia, opowieściom o wietnamskich kolegach-studentach, którzy dorabiali w ten sam sposób. Drobni, w nieokreślonym wieku, ale zawsze w trampkach, studenci inżynierii, w poprzednim życiu byli podobno pułkownikami wietnamskiego KGB, zesłanymi na studia do komunistycznej Europy za zbyt gorliwe przesłuchiwanie jeńców z Sajgonu, których jako uszkodzony towar nie dawało się potem wymienić czy zwrócić Amerykanom. Choć rozsnuwana głównie za pomocą gestów i gardłowych okrzyków, relacja Uszkinina co najmniej dorównywała scenom z *Łowcy jeleni*. Oprócz gawędziarstwa Uszkin pasjonował się także elektroakustyką i wbrew wszelkim przepisom lubił prowadzić swój tramwaj w potężnych słuchawkach podłączonych przez

własnej roboty wyrównywacz i przedwzmacniacz do kasetowego magnetofonu z Lubartowa. Szczegół był łatwy do zapamiętania, ponieważ Uszkin przy tamtej relacji uparł się, że pokaże angielskiemu gościowi, gdzie na samochodowej mapie Polski leży Lubartów. Znaleźli miasteczko dopiero po północy, na samym skraju coraz szerszej plamy z puszkowego paprykarza szczecińskiego, i godnie uczcili odkrycie.

Teraz Uszkin zamknął się dużo prędzej. Nie patrząc na siebie, Anglik i Lidka odwrócili się od ciemniejącego okna i w półmroku postąpili ostrożnie ku schodom. Zeszli na dół i przez zupełnie już ciemny tunel krzewów, przez wyłom w murze wydostali się na wał, nagle zupełnie bezludny, i ruszyli dalej, tam gdzie pięćdziesiąt metrów przed nimi majaczyła sylweta jazu, a przy barierce daleka sylwetka kogoś, kto stał u wejścia na kładkę nad zaporą. Kto stoi, wiedzieli obydwójce. Kiedy się przybliżyli, Carlos spojrzął na nich z dziwną miną, ale nic nie powiedział. Wyciągnął tylko rękę do Lidki, ale ta ominęła go łukiem, weszła na kładkę i zniknęła za żelaznymi drzwiami w najbliższej betonowej przyporze jazu. Uszkin powiedział Carlosowi coś, co zginęło w huku spadającej wody.

Anglik wstąpił na kładkę śladem dziewczyny i obejrzał się na Carlosa i Uszkina, którzy teraz zagradzali zejście z kładki na wał, a potem na coraz bardziej granatowe niebo północnego skraju horyzontu nad pociemniałymi łąkami. Wzruszył ramionami, z wysiłkiem pociągnął ku sobie żelazne drzwi z literami NAVIGA OPATOWICE i przestąpił cementowy próg.

Nagą żarówkę przysłaniał abażurek ze zmyślnie złożonej gazety, zbrązowiałej od gorąca i mogącej lada chwila wybuchnąć płomieniem. Anglik przymrużył oczy,

a kiedy je odemknął, ujrzał przed sobą siwiuteńkiego staruszka w kufajce. Brodaty staruszek, podobny do zwyrodniałego Świętego Mikołaja, który przepił renifery i pastorał, przycupnął na taborecie w kącie betonowego pomieszczenia, jak gdyby się czegoś bał. Z dwóch stron otaczali go młodzi ludzie. Jednego z nich, Kołka, Anglik znał – chyba że mylił go z Korkiem, który tak samo jak Kołek był przedwcześnie łysiejącym blondynkiem. Staruszek wydawał się bardzo czymś przejęty.

– To jak będzie z tymi kluczami do rozdzielni? – zagadnął Kołek przyjaźnie i ścisnął obleczone w waciak ramię staruszka. – Chyba nie zginęły, co? Byłoby nieprzyjemnie, jakby zginęły, co? Złociutki?

Anglik odsunął się na bok i omiótł wzrokiem cementowe pomieszczenie, w którym był tylko stolik, taboret, polowe łóżko i szafa pancerna bez drzwi, za to z baterią pustych butelek i słoików na niższych półkach. W kącie na legowisku ze szmat drzemał ubłocony kundel.

– Panieeee... Ta ja nie wiim...

Dziesięć par oczu na powrót wbiło się w staruszka.

– Niech pan będzie człowiekiem, panie jazowy. Jak już nas pan tu wpuścił, to teraz jeszcze poprosimy o te kluczyki. Bez prądu sobie nie pogramy.

– My nie Osjan – poparło Kołka chude i długowłose indywiduum w binoklach. – Mnie bez prądu gitara nie żre ni cholery. Ma być prąd!

– Prąd i gaz! Należcie jeszcze panu jazowemu.

– Pan posłucha, jak Szklany panu radzi. Niedużo prądu, tyle co do konsolety i na piecyki.

– Panowie, ta jakie piecyki... Grzałkę miałem, to ukradli. – Staruszek rozgniewał się wyraźnie. – Nie dość, że wpuścił ja, jeszcze o prąd się pytają?

– No, ale wpuścił pan.

– Joj, wpuścił, jak was pięćdziesięciu. I przygrozili. A milicji gdzie ja znajdę? Głusza jak na Polesiu, wołaj, człowieku, by na puszczy jaki... Śluzowym jak ja był w Miękini, to gospoda chociaż była... – bełkotliwie ciągnął jazowy. Po jego maślanych oczkach widać było, że jest pijaniuteńki.

– Ale flaszkę na zapas to się już zainkasowało, nie? No, to gdzie te klucze od tablicy rozdzielczej?

– Iiii... Ona otwarta, ino się drzwi pozacinali.

Szarpnięte parokroć drzwiczki w bocznej ścianie przedsionka ustąpiły z szurgotem. Ktoś, kto stanął na schodach prowadzących z pomieszczenia w dół, podał Kołkowi końcówkę grubego czarnego kabla.

– Panie jazowy! Ostatnia szklaneczka i lulu! Niech pan nie robi wstydu, bo goście zagraniczni patrzą – przynaglił Żożo i grubą łapą poklepał dziadka po potylicy. Widząc uczy-niony w swoją stronę gest, Anglik drgnął i zaczął się przesu-wać ku wyjściu, ale w tejże chwili drzwi zagrodzili z ze-wnątrz Carlos i Uszkin. Anglik znieruchomiał, a potem nie-znacznie, rakiem wycofał się w przeciwnym kierunku, tak, by się wmieszać w ostatnią grupkę, która cisnęła się w progu drugich, wewnętrznych drzwi. Ludzki tabun pociągnął go za sobą, za próg i niżej, w cementową czeluść wąskich scho-dów. Czuć było zapach świeżego betonu, rdzewiejącej stali zbrojeniowej, rzecznej wilgoci. Klatka schodów zakręcała raz i drugi. Drepcząc po stopniach w ciżbie nieznamomych ciał, Anglik poczuł nagle pierwsze drgnięcie powietrza, drgnięcie, które przeszło w powolne, stłumione, ciepłe du-dnienie, w mozaikę głuchego dźwięku, kołyszącą każdą chrząstką ciała i każdą plombą w zębie. Ktoś popchnął go z tyłu. Nie wiedział, jak w tym ścisku udało mu się cało prze-

kroczyć następne drzwi i uczynić jeszcze parę kroków. Dopiero wtedy podniósł głowę i chwiejąc się wraz z napierającą zewsząd setką ciał, spojrzął przed siebie.

Był w długiej i niskiej betonowej sali bez okien, rozkołysanej, szczelnie wypełnionej ludźmi. Impet, z jakim weszli, pchnął go głęboko w tłum, nie wiadomo, jak liczny, bo prawie nie było tu światła, oprócz dwóch żarówek po obu końcach sali i biurowej lampy na sprężystym pałaku, wygiętej nad konsolą akustyczną rozstawioną z boku, przy betonowym podeście. Na kłocu stała i siedziała grupka ludzi, zginając szyje, aby nie uderzyć głową w niski sufit. Anglik wytężył wzrok. Trójka chłopaków z gitarami, bębniarz i nieduża ruda dziewczyna z mosiężną trąbką wyginali się w tym samym powolnym rytmie, którym przedtem rozedrgały się schody. Dziwnie było czuć wokoło siebie tę muzykę, a prócz niej, wśród mroku, dotyk tyłu ciał, odór potu przemieszany z ostrym ziołowym zapachem, który choć dusił, nie był wcale aż tak nieprzyjemny... Ktoś trącił go w ramię. Anglik bez protestu zaciągnął się skrzętem. Zioło było gorzkie, niedopieczzone słońcem. Może szklarniowe. Stąd też nie było widać nieba. Stąd, czyli skąd?

Przejęty nagłym odkryciem, zachłysnął się i przedwcześnie wypuścił z płuc błękitne cargo konopnego dymu. Już wiedział, skąd w szczerym polu wzięła się ta długa betonowa sala, żelbetowy sarkofag, w którym zalegli się rozkołysani żywi. Nad sklepieniem w każdej sekundzie musiało się przesuwać kilkaset ton wody. Stał w tym tłumie w samym rdzeniu jazu w poprzek Odry, w próżnym wnętrzu progu, jak monstrualne betonowe pudło po półbutach przegradzającego rzekę głęboko pod jej grubym dnem, o które wciąż tarł i napierał niesłyszalny, ołowiany walec nurtu. W pod-

ziemiach jazu czułby się podtopiony niczym szczur skryty w wilgotnym kanale, gdyby nie skręt, który na szczęście zdążył już do niego powrócić, i gdyby nie ci wszyscy inni ciepli, anonimowi młodzi ludzie, uginający się pod młotem karaibskiego rytmu.

Ich obecność krzepiła go trochę. Niektórych znał. Jednym z grających na podwyższeniu, tym obok rudej dziewczyny z trąbką, był chyba Dyzio, ten sam, który niewiele dni wcześniej, nad ranem, kiedy inni, zajęci toastami albo osłabli, nie zwracali uwagi, wrębał trzy czwarte na wpół surowej kury. Teraz Dyzio i reszta grajków, ledwo widoczni w półmroku i kłębach dymu, sami karmili to piwniczne stado, gromadę młodych ludzkich śmieci z ulic, szkół i blokowisk, rój pcheł z sierści miasta, które coraz bardziej upodobało się do kundla z przetrąconym kręgosłupem – miasta, które za dnia strząsało z siebie wszystkich tu obecnych, kazało im szukać sobie przestrzeni w mroku, w ukryciu, w ruinach i w kazamatkach urzędów komunalnych. Taniec długowłosych, płas łysych, migające ćwieki, szur szur szur chlebaków, ogniki gorejące tu i tam – a wszystko to byłoby wschodnim surrealizmem, gdyby nie to, że odbywało się naprawdę i że na niski sufit tuż ponad głowami naprawdę parł zimny smoczy brzuch rzeki, lepkiej od przemysłowych ścieków, i że klekotliwe *reggae* przyfastrygowane do tej północnej niziny i tej tłocznej sali wydawało się nawet jemu, przypadkowemu świadkowi, jakim się czuł od pierwszego dnia, jedyną wiarygodną odpowiedzią na groteskę wszystkich tutejszych dni, skleconą z szemrzących donikąd słów, z dykty i obłupanych cegieł, cuchnącą wódką, wiodącą swych aktorów w kółko wciąż po tych samych brukowych kamieniach, wzdłuż tych samych liszajowatych ścian główne-

go rynku, między rzędy popierających na ssaniu małowit-  
rażowych samochodzików z reflektorami jak złośliwe  
skośne oczka.

Dopiero teraz, w smrodzie marychy i bezkarkowych  
kubańskich partagasów, wśród kwaśnych oddechów, ma-  
jąc tuż przed sobą przetłuszczone włosy dwóch zbyt nis-  
kich dziewczyn, pod przytłaczającym żelbetowym stropem,  
w ścisku i huku przesterowanych kolumn głośnikowych –  
tych z drucianego wózka, to także zrozumiał dopiero teraz –  
tekturowe puste dekoracje, wśród których od tyłu dni poru-  
szał się jak w pantomimie, zaczęły krzepnąć i nabierać cie-  
lesności, przemieniły się w prawdziwy świat, otwarty, sprag-  
niony, rozpięty wzdłuż czterech wciąż tych samych taktów  
chorału wyśpiewywanego od kilku minut falsetem przez  
tyczkowatego typa w prochowcu, znieruchomiałego u tan-  
detnego mikrofonu. Chorał solo? Chorał solo i katakum-  
bowy *dub* głęboko pod dnem rzeki. Słowa musiały brzmieć  
obco dla wszystkich obecnych, choć zapewne nie słuchano  
ich po raz pierwszy.

*...dixit Dominus Domino meo: „Sede a dextris meis,  
donec ponam inimicos tuos scabellum pedum tuorum”.  
Virgam potentiae tuae emittet Dominus ex Sion:  
dominare in medio inimicorum tuorum.  
Tecum principatus in die virtutis tuae,  
in splendoribus sanctis,  
ex utero ante luciferum genui te...*

Rozumiał co czwarte słowo. W jego angielskim gim-  
nazjum z internatem łaciny uczono jedynie przez szacunek  
dla tradycji. Zaciągnął się po raz kolejny, czując, jak błyska-  
wicznie wysycha mu w ustach, a w piersi rusza szybkobieżna  
winda, unosząc go w chmurę chorału:

*...Iuravit Dominus et non paenitebit eum:  
„A Tu es sacerdos in aeternum secundum ordinem Melchisedech”.  
Dominus a dextris tuis,  
conquassabit in die irae suae reges.  
Iudicabit in nationibus: cumulantur cadavera,  
conquassabit capita in terram multorum.  
De torrente in via bibet,  
propterea exaltabit caput.  
Gloria Patri et Filio et Spiritui Sancto.*

– Amen! Masz i pal, bracie...

– *So where's that joint?* – zapytał, rozglądając się, i rozkaszał spazmatycznie.

– Siądź mi przy boku prawym – gdzieś tuż obok odebełkotał basowo Bozia, a potem na powrót rozjęczały się dwie gitary, zagrzecotały pogięte talerze perkusji, zapulsował ten sam takt, tym razem nieco prędzej, a w ślad za nim ruszyły szeregami miejscowe słowa, z których rozumiał tylko powtarzające się „Babilon” i „ruski ketchup” w skocznej, bezsensownej albo i sensownej, pogoidalnej kombinacji. Już wiedział, że to, co się dzieje dookoła, to nie kościół, nie sekta, nie sataniści, nie tajne nabożeństwo sił dobra, jak te w Czechosłowacji, o których do znudzenia rozpisywał się lewicujący skądinąd „The Guardian”.

Nie kościół i nie czarna msza, i nie dyskoteka, tylko coś jeszcze, a właściwie nie coś, tylko ktoś – bo wszyscy, którzy tu stali, kołysani tym samym niespiesznym rytmem, w tłoku i mroku stawali się wielkim rozczłonkowanym organizmem, piwniczną żywą kolonią bladych grzybów, która nagle, kto wie, pod wpływem jakiego marsjańskiego promieniowania, rozgrzewa się do czerwoności i w jarzeniowej łunie kapeluszy zaczyna w sobie warzyć truciznę, która ześle wizję dwieście razy bardziej przemożną niż ususzone



i przekręcone przez maszynkę do mięsa kapeluszowe wnętrzości *Amanita muscaria*.

Czym jednak była karma, którą posilali się wszyscy, spijając ją z wilgotnego powietrza? W każdym razie czymś na tyle posilnym, że można już było później spokojnie powrócić do nędzy dzielonego z rodzeństwem pokoiku w bloku, do istnienia w kwadracie strzeżonych ulic – albo też wyjechać do obcych, ciepłych i zimnych krajów i dalej, nad obcymi rzekami, karmić się tym, co dojrzewało właśnie i bulgotało w lejkach starych głośnikowych kolumn Dynastar. Z dźwięku, bliskości innych ciał i mroku powstawało zakłęcie, słowo pozwalające odzyskać zmysły i przez następne dni i lata widzieć, oddychać i iść, iść. Zakłęcie, nadzieja, której przedtem było tutaj mniej. Karmili się nią wszyscy tu ukryci, skupieni na muzyce, przejęci nagłą wiedzą, że istnieją, są, jeszcze trochę będą.

Tyle pojmował nawet sam, bez niczyich tłumaczeń. Nie był turystą – to wyczytał ze słów Lidki – na pewno nie, ale to wcale jeszcze nie oznaczało, że czuł się częścią tego, co się dzieje. Całej sytuacji było za dużo, jak w szyfrowanej kombinacji nie do rozplątania. Niczego nie dawało się zrozumieć do końca. Nic nie pasowało do reszty, i dlatego nie chciał już rozumieć. To wszystko miało wyglądać inaczej – ten kraj, podróże po tutejszych miastach, nawet inscenizacja, którą przygotował i rozpiął przed wyjazdem. Wszystko, zamiast się składać, zawężało się tylko coraz bardziej. Miał tego dosyć. Nie wiedział, kiedy znalazł się pod zimną betonową ścianą. Przykucnął za rządkiem jakichś rozpląsanych małolatów i schował twarz w dłoniach, ukryty, znów kołysany karaibskim przybojem psalmu, który w tym brzmieniu słyszał pierwszy raz.

*...quoniam venerunt aquae usque ad guttur meum.  
Infixus sum in limo profundi, et non est substantia;  
veni in profunda aquarum, et fluctus demersit me.  
Laboravi clamans, raucae factae sunt fauces meae;  
defecerunt oculi mei, dum spero in Deum meum...*

Nowy chorał. Odjął ręce od oczu, dopiero kiedy ktoś położył mu rękę na ramieniu. Dłoń miała znajomy zapach. Tanie perfumy, wilgotny seks, papierosowa gorycz. Objął palcami smukłe palce Lidki i na próbę pocałował jeden z nich delikatnie, a potem przeniósł język w spojenie między palcem wskazującym i środkowym. Przynajmniej to jedno, ten słony dotyk, było dzisiaj pewne. Czuł, że potrafi wyprowadzić dziewczynę, która przy nim stała, z powrotem na powietrze. Zabrać ją gdzieś daleko, w artystyczne zaułki nie wyszczerbionej żadnymi bombami Zachodniej Europy, do jakiejś Holandii albo w końcu, niech już będzie, Anglii, zabrać do domu z jasnymi meblami z Habitatu czy Ikei, domu z dużą kuchnią, gdzie będą jeść dużo sałaty i wachać hinduskie trociszki zamiast kiblowego smrodu tutejszych papierosów bez filtra. To jedno było proste: wystarczyło teraz, nic już nie mówiąc, bez żadnych tłumaczeń wziąć Lidkę za rękę i pociągnąć za sobą po cementowych schodach i dalej, jeszcze dalej. Uprowadzić pod parasolem nocy daleko stąd i razem usiąść przy stole. Jeść razem sałatę. Uświadomił sobie, że jest okropnie głodny. Sałatę z pomidorami.

Chorał ucichł nagle, a potem głośniki w sprzężeniu wypusnęły falą dźwięku, zaskomlały i umilkły na dobre. Ktoś wskoczył na podwyższenie, roztrącając muzyków, przecisnął się na samą krawędź i wrzasnął: – Lidka! – a potem znurkował w tłum i zaczął się przeciskać bliżej. Lidka zobaczyła go pierwsza.

– Carlos, ty palancie! – usłyszał Anglik jej westchnienie. Zanim się zorientował, wyszarpnęła dłoń z jego dłoni i zaczęła się przeciskać w poprzek sali, w stronę schodów. Carlos parł w tę samą stronę wzdłuż ściany, gdzie było trochę luźniej, i był coraz bliżej dziewczyny. Anglik zrobił kilka niepewnych kroków w ślad za Lidką, ale zaraz utknął w ludzkiej płataninie. Kiedy się uwolnił, Lidka właśnie zniknęła w drzwiach. Zaraz za nią przez prostokąt wejścia przemknął Carlos w swojej idiotycznej pasiastej koszulce. Obydwoje zniknęli za zakrętem schodów. Anglik zatrzymał się w pół kroku. Naraz jednak znów zapulsował karaibski i dolnośląski *dub*. Wszystko stało się nagle jasne i proste. Wystarczyło uczynić krok do przodu i następny, ominąć stojących, gestem lewej ręki odsunąć rozrehotanego Gałęckiego, który coś zagadywał, prawą ręką dotknąć zimnej ściany, uczynić następne dwa kroki, chwycić się żelaznej framugi drzwi, stanąć u stóp cementowych schodów i zacząć wspinaczkę. Wszystko było tak oczywiste, że parsknął śmiechem na myśl o poprzedniej niepewności. Naprzód.

Schody wspinały się w nieskończoność. Dziewięć stopni, półpiętro, znów dziewięć stopni, półpiętro, na którym pomrukiwała złośliwie żarówka w drucianym koszu. Przystanął. Chropawy beton ściany miło chłodził czoło. Jeszcze dziewięć stopni i izdebka z łóżkiem polowym, na którym chrapał pod szarym kocem siwobrody staruszek, jeszcze wiązka czarnych kabli, którą trzeba było przekroczyć, i następne żelazne drzwi, za którymi otwierała się noc. Ciemności rozcinała jasna pręga betonowej kładki nad jaszem, pięć stożków blasku z jarzeniowych latarni płonących wzdłuż żelaznej balustrady. Dlatego natychmiast dostrzegł tamtych dwoje i w porę zatrzymał się w drzwiach pakame-ry. Lidka szarpała się konwulsyjnie, z nogami podanymi

w przód, ale plecami przyciśniętymi nienaturalnie do poręczy. Carlos, który stał dwa kroki przed nią, śmiał się cienko i głośno.

– Postój tak sobie, to ci przejdą pomysły na wycieczki... – doleciały jego słowa.

– Odkuwaj mnie w tej chwili! – Lidka szarpnęła się raz i drugi. Zadźwierał metal.

– Nie ma takiej możliwości. Nie przewiduje się. Może ci kolega pomoże.

– Odpinaj, no!

– Aha, to na mnie już pora. Miki Mausoleum się posłuchało, ciebie też już nie muszę szukać, bo się na razie nigdzie nie wybierasz, możemy sobie teraz wszystko spokojnie przemyśleć, tak? To co, dobranoc...

– Dokąd idziesz, palancie?!

– Przejść się.

– W ogóle skąd masz te kajdanki? Co?!

– Wierzba mi pożyczył. Służbowe. – Carlos westchnął i ruszył kładką z powrotem w stronę wału powodziowego. Anglik ukrył się za drzwiami, a kiedy Carlos go minął i skręcił w lewo, na ścieżkę wzdłuż grzbietu wału, przemknął się, jak mógł najprędzej, i stanął przed Lidką.

– Co się gapisz? – syknęła do niego. – Goń tego krety na i zabierz mu kluczyki! Rower ze mnie, kurwa, sobie zrobił. No, goń go, matołku!

– *But what...* – Zamiast dokończyć, przybliżył się i złapał Lidkę za wykręcone nadgarstki. Krótki łańcuszek policyjnych kajdanek przechodził od lewej ręki Lidki, okręcał się wokół grubego pręta balustrady i wpijał w oliwkową skórę drugiego nadgarstka. Kluczyka ani śladu, tylko drobna ranka zamka pod palcem. I znów to samo wyczuwalne ciepło, te sa-

me trzy zapachy, ledwo uchwytny w wodnym pyłku idącym spod furt jazu. Na krótką chwilę przywarł do dziewczyny, przycisnął do balustrady, spróbował pocałować, ale targnęła głową w bok. W półobrocie podbródka zdążył tylko niechętnie przesunąć zębami po zębach Lidki, z cichym, lecz jemu wydawało się, że ogłuszającym zgrzytem. Omiotły go włosy, a tuż koło ucha usłyszał westchnienie. Odsunął się zaraz, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co robi.

– Łatwo ci... A mnie nie tak łatwo. Proszę, zrób coś! – usłyszał szept. Plecy Lidki zatrzęsnęły się. Kajdanki brzęknęły o metal balustrady. – Dogoń i zabierz mu! Już! Kluczyki!

Wszystko to trwało minutę. W następnej Anglik puścił się truchtem przez kładkę. Naprzód! Zanim się zanurzył w ciemność parku, ostatni raz popatrzył na daleką sylwetkę przy balustradzie. Wzdrygnął się, bo wieczorne łąkowe ciepło zdążyło podejść chłodem. Potem omyty jarzeniową łuną pomost zniknął za kępą krzaków, przy której zaczynała się mroczna ścieżka. W środku nocy, pod niebem nagle zasnutym chmurami, nie miałby pewnie szans dogonić ani znaleźć Carlosa – gdyby ten rzeczywiście się oddalił, zamiast stać smętnie pod grubym pniem najbliższego drzewa ze szpaleru na grzbiecie wału. Słyszac skrzyp żwiru pod grubymi podeszwami Anglika, Carlos spróbował się ukryć za pniem, o sekundę za późno. Dzieliło ich już tylko dziesięć kroków.

– *Come back, let her go! What do you think you're doing?*

– Co, już nie rozmawiasz z koleżanką? Odechciało się zalotów? A może ty wolisz chłopaków, co? Dziewczyna jak dziewczyna, ale chłopaki tu jak malowanie...

– *The keys! Give me the keys!* – wydyszał prosto w twarz Carlosa, pociągła, ozdobioną parą wąsów, i składając palce,

zrobił gest przekręcania klucza w zamku. Carlos znowu się zaśmiał.

– Nie rozumiem, wiesz? *Non capisco*. The Kiss to takie patafiany z Kalifornii. Chłopcy malowani. Ja tam wołę z dziewczyną, ale twoja sprawa. Dobra, spadówa, stary – po czym Carlos sam się odwrócił i prędko ruszył przed siebie, a słysząc za sobą kroki Anglika, puścił się nawet truchtem. Anglik zaklął i ruszył za nim. Kiedy ubiegli kilkanaście kroków, mrocznozielony tunel alejki na wale powodziowym pobielał na ułamek sekundy. Błyskawica omyła białym światłem pnie drzew i trawę na łąkach, a potem gdzieś w górze pstryknął niebiański wyłącznik i znowu zrobiło się ciemno. Anglik biegł, słysząc, jak biegnący przed nim Carlos śmieje się raz po raz.

Następnych dwieście kroków i nowa błyskawica pod brzuchem granatowego nieba. Znowu ożyły pnie, kontury dalekich domków po drugiej stronie wału, pojedyncze źdźbła traw, poziome paski na koszulce Carlosa. Wciąż biegli. Anglik bał się, że dostanie zadyszki, że będzie musiał ustąpić, więc na wszelki wypadek nie przyspieszał, trzymał równe tempo. Mógłby przysiąc, że czuje każdy naparstek z krążącej w sobie kaskady krwi, lekkiej, czerwonej, z paskami ciemnej narkotykowej smoły, i nie biegł już, tylko jak latawiec fruwał nisko na niewidzialnym stumetrowym sznurku, ciągniętym przez Carlosa. Następna sucha błyskawica. Na nocną ziemię nie spadła jeszcze ani kropla, ale od rzeki wiało coraz silniej, kołysząc niskimi gałęziami. Biegli wzdłuż wału niczym wzdłuż grzbietu stumilowego węża zanurzonego w trawie, pod stopami mając na przemian to żwir, to gliniastą ubitą ziemię. Anglikowi zdawało się, że biegną już całymi godzinami, bez zmęczenia, ale jak w sen-

nym koszmarze, kiedy każdy cal ścieżki próbuje urosnąć do plus nieskończoności i jeśli mu pozwolić, jeśli nie przeskończyć o jeden krok dalej, uwięzi na zawsze. Przy następnym rozbłysku okazało się, że Carlos jest tuż, tuż: zamiast biec, stał przy betonowym filarze wielkiej rury gazociągu, wysokim łukiem przerzuconej w tym miejscu przez rzekę. W pionowym świetle zamigotało wymazane na filarze olejne graffiti. TWOJE CIAŁO GROBEM ZWIERZĄT (LUXUS). Kłęb koślawych spółgłosek bez rozwiązania. I znowu ciemność.

– Zabieraj się! – wydyszał Carlos, który za plecami miał betonową ścianę. I łamiącym się głosem poddał: – Trzy serca złączone, klucz rzucony w morze... Spierdalaj.

– *The keys* – powtórzył Anglik po raz setny. Mógł tylko brnąć, wrzucony w całą sytuację, zmuszony rozwiązywać cudze problemy, ale zarazem niezwykle spokojny. Miał cel. Nie wielki, ale słuszny. Odebrać temu potworowi klucze i porócić pod wieżę jazu, uwolnić Lidkę z wnyków i wtedy porozmawiać z nią jeszcze raz. Jeśli Lidka jeszcze tam będzie. Być, będzie, ale... Wystraszył się tych myśli. Noc, ciemna rzeka i stu pijanych facetów. Były rzeczy, których wołał sobie zawczasu nie wyobrazić.

– Nigdy – oznajmił Carlos i znienacka znów puścił się kłusem po grobli. Anglik poczuł nagle nienawiść, zwyczajną zimną nienawiść do tego psychopaty, z którym urządzali sobie nocny maraton przez podmiejską pustą okolicę. Wszystkie nawyki – nabyty chyba jeszcze w przedszkolu odruch, by dzielić się zabawkami, zamiast je wszystkie zagarniać do siebie, a w konfliktowej sytuacji cierpliwie wyjaśniać swoje stanowisko i nakłaniać przeciwną stronę do kompromisu w zamian za własne znaczące ustępstwa, w dialogu i z szacunkiem dla oponentów – znienacka zastąpiła niepowstrzyma-

na chęć, by złapać grubą gałąź albo kamień i zwyczajnie tego Carlosa ukatrupić, a potem już na spokojnie przetrząsnąć mu kieszenie. Trzasnąć czymś ciężkim w sam środek potylicy, mającej pięć kroków z przodu, trzęsącej się w biegu i kryjącej mózg, z pewnością mózg zbrodniarza, nadający się do lekarskiego słoja. Wyobrażając sobie, jak chrupnie czaszka ściganej ofiary, czuł dziwną radość, wręcz euforię. Nadal biegło mu się lekko, bez zmęczenia, choć coraz bardziej świszczący oddech wskazywałby na co innego.

Znów rozbłysk na niebie, dokładnie w chwili kiedy Carlos spojrzął za siebie w białym świetle i zrozumiał, że nie uda mu się odsadzić od pogoni. Błyskawica omyła cały płat łąk, spopielając je na sekundę w biały chlor. I jeszcze jeden błysk, rozmnożony w czarnych żelaznych prętach wysokiego ogrodzenia tuż przy wale. Carlos przypadł do metalowych sztab, odwrócił się twarzą do nacierającego Anglika i pomachał mu czymś przed nosem. Anglik stanął jak wryty.

– *The keys...*

– Bierz, jak ci potrzebne – zachęcił Carlos. – No, bierz – pomachał jeszcze raz parą kluczy na kółku, a kiedy Anglik prędko po nie sięgnął, zrobił wymach i wielkim łukiem przerzucił pęk za ogrodzenie. – Poszukaj sobie – dodał szeptem. Pac! – zawtórowały klucze. Carlos trząśł się cały, ze zdenerwowania, a może dlatego, że nocny wiatr robił się coraz dokuczliwszy. Anglik bez słowa ominął Carlosa, złapał się metalowych prętów i podciągnął do góry. Widział i słyszał przed chwilą, jak kółko z kluczami stuka o gruby pień i ląduje na gołej ziemi u stóp pierwszego drzewa za ogrodzeniem. Nawet bez latarki powinno mu się udać. Choćby miało to mu zabrać godzinę. Dwie godziny. Za dwie godziny może już się zrobi jasno.



Ostrożnie przestawił nogę nad spiczastymi końcami prętów. Druga noga, ta mniej sprawna. Był trzy i pół metra nad ziemią, więc zamiast zeskoczyć w ciemność, zsunął się rakiem w dół, powolutku, szorując nogawkami o czarne pręty. W końcu poczuł pod podeszwą beton podmurówki. Udało się.

Drzewa, które zapamiętał jako „pierwsze drzewo”, były trzy, ale zamiast parkowego trawnika Anglik natrafił na ubite, tu i tam zryte klepisko. Wiatr niósł ze sobą nowy, dziwny, ostry zapach. Zwierzęcy smród, bardzo wyraźny. Nie fetor jak z hodowlanej farmy, prędzej już z dżungli albo z zoo, w którym trwa strajk pracowników od wywózki egzotycznego gnoju. Anglik wciągnął odór w nozdrza, wzruszył ramionami i przyklęknął przy pniu. Tutaj. Chyba tutaj. A może nie tutaj. Ciemno jak na cmentarzu. Może tu? Pod palcami wyczuwał tylko patyki, kamyki, liście. Gdzie ten upragniony metaliczny dotyk, ukłucie ostrych ząbków kluczyka? Ależ ciemno. Wiedział, że Carlos obserwuje go nadal zza ogrodzenia, ale nie przejmował się tym.

Beznadziejnie szorując dłońmi po ziemi, w pewnej chwili potrącił coś niewielkiego i twardego, błyskawicznie cofnął rękę i zamknął palce na znalezisku. Stał na czworakach, szczęśliwy i zmęczony. Aż westchnął, tak wielką poczuł ulgę. Prawie szczęście.

Westchnieniu zawtórowało głośnie ni to sapnięcie, ni kichnięcie, tuż obok. Anglik, nadal na klęczkach, bezwiednie wyciągnął wolną rękę w tamtą stronę. Jego dłoń natrafiła na coś gorącego i mokrego – ciepłe śluzowate gniazdo, pulsujące od bioprądów, parzące witalnością. Żywe. I ten nagły smród, woń świńskiego gnoju, błota, fermentacji. Najostrożniej, jak mógł, bardzo powoli, po milimetrze cofnął dłoń. Ciszę przerwało następne głośnie parsknięcie.

Kolejna błyskawica, jak kolejne pstryknięcie kontaktem świetłówki wielkiej na pół nieba. Ciemno-pstryk-jasno-pstryk-ciemno. To, co w ułamku sekundy ujrzał przed sobą Anglik, zauważył także zza ogrodzenia Carlos.

– O, w pizdę palec, stary, pomyłka szpiega – jęknął z zawodem w głosie. Prawie nie było go słychać w powiewach nocnego wiatru, zwiastujących, że chmura znad miasta przesuwa się coraz bliżej. – Lwy cię miały zeżreć, frajerze, nie głupie dziki... Miały być lwy. Kurwa, żenada się robi.

Za plecami strumyczek dalekich słów, a pół jarda z przodu ten niemy przeraźliwy obraz: dzik. Wielki łeb, włochaty stożkowaty ryj z karbowaną wilgotną skórą i para kamkowatych tępych oczek, tuż, tuż, a potem znów mrok. Naraz zwierzak bez ostrzeżenia, z cmoknięciem oderwał brzusydło od błotnistej ziemi, powstał i dysząc przybliżył czarny, gorący ryj do twarzy klęczącego Anglika. Trwali nos w nos przez chwilę, która przeciągała się w godziny. Może to łagodna loszka? Gorzej, gdyby dzik miał się okazać samcem, rozhuśtanym hormonalnie, agresywnym egzemplarzem z długimi kłami. Adonis, Hemingway, całe tłumy łowców, których odyniec dziabnął w udo. Tak to się delikatnie określało w książkach, „udo”. Niemiło patrzeć, jak nasze własne jaja oddalają się w głąb lasu, nadziane na śmierdzący kieł. Nie byłoby z czym wracać do londyńskich klubów – chirurgia plastyczna ma swoje granice. Ale może to jednak samiczka? Bez młodych? Może, gdyby lekko, nieznacznie zacząć się cofać do ogrodzenia, zwierzak nie uzna tego za prowokację, nie zareaguje odruchem pogoni na to, co swoim ciemnym mózdzkiem weźmie za ucieczkę. Spróbować? Wielki Boże, jeśli nie możesz zabrać dzika, zabierz chociaż ten odór...

Dzik sapnął jeszcze głośniejsze, obryzgując mu twarz rozpyloną śliną. W następnej chwili Anglik usłyszał za plecami szurgot wspinaczki na ogrodzenie. Dzik nastawił uszu, lecz nie ruszył się z miejsca. Od rzeki dobiegł naraz szum deszczu. Wszystko odbyło się błyskawicznie. Carlos wylądował na czworakach w obrębie ogrodzenia, poderwał się, podbiegł do dzika i wrzeszcząc: – A paszoł ty won!!! – z rozmachem kopnął go w szynki. Dzik zachrzakał z irytacją i jął się już odwracać kłami do napastnika, kiedy całe niebo nad ogrodem zoologicznym rozpękło się na dwoje w jednoczesnym błysku i huku gromu. Pieprznęło tuż obok nich. Ogluszony, spłoszony dzik odskoczył, zrobił kilka kroczków w bok i pędem ruszył przed siebie, w głąb zagrody. Anglik podniósł się powoli i w tejże chwili setkami twardych piąstek uderzył go w twarz zimny, rześisty deszcz.

Z bijącym sercem stał obok ogrodzenia, na śliskiej i wilgotnej ziemi, w strugach ulewy, która robiła się coraz silniejsza. Obok niego, gdzieś blisko, za szarą zasłoną z paciorków deszczu, garbił się Carlos.

– *Thanks.*

Carlos odpowiedział coś, co utonęło w huku następnego pioruna. Zza niedalekiego muru po północnej stronie zagrody zawtórował odgłosom burzy przeciągły lwi ryk. To wystarczyło za zachętę. Anglik uczeplił się mokrych czarnych prętów i znów podciągnął do góry. Szło trudniej niż przedtem, bo co rusz się ześlizgiwał. W końcu jednak, przemoczony do nitki, przełożył nogę na drugą stronę, obrócił się i zjechał w dół. Pozostawało tylko wspiąć się na wał i znów odbyć wędrówkę w przeciwną stronę. Już nie biegiem – za bardzo bolała go kostka, wykręcona w sufitowej dziurze. Do tej pory nie bolała, dopiero teraz. No i druga kostka, nadwyrężona

jeszcze tamtej pierwszej nocy, kiedy się kąpał w basenie. Teraz także ociekał wodą. Kuśtykał w strugach ulewy, ale w zaciśniętej dłoni niósł klucz.

Pod nogami chlupotało błoto. Na szczęście ścieżka prowadziła samym grzbietem grobli, więc nawet w ciemnościach i deszczu trudno z niej było zboczyć. Dlatego szedł bez obawy, jak mógł najprędzej, i wyobrażał sobie chwilę wyzwolenia. Lidka jest na pewno zupełnie mokra. Uszedł już dobre kilkaset kroków od żelaznego ogrodzenia zoologu. Szedł prosto w mrok, szczęśliwy, bo nareszcie czuł, że dokonał czegoś, dosięgnął, nie tylko patrzył bezradnie. Może to samo powinno się uczynić w spektaklu, który pomagał przygotować? Po to w końcu przyjechał, by pozostawić ślad, nadać tutejszemu tworzywu nową formę. Jak w teatrze Brechta, chociaż czuł, że to, co obserwuje, to bardziej niedorobiony Artaud, teatrzyk okrucieństwa na śmieszno. Do tej pory paraliżowała go myśl, że nie umie ująć tutejszego świata, zderzyć go z teatrem, który znał, i przekształcić to zderzenie w nowe twierdzenie artystyczne. Ibsen czy cały ten Witkiewicz, szło o wojnę światów, o teatr, który rozpędzi części wielu rzeczywistości i spiętrzy je, rozsadzając pudełko sceny. Dyrektor Szroeder na szczęście też wierzył w rozsadzanie pudełka sceny, w rozsądnych granicach. Czy się więc uda stworzyć nową substancję, roznieść dookoła nowe głosy i obrazy? Czuł, że lada chwila wszystko się stanie jasne. Wszystko było nieskończonością i wszystko było takie, jakie miało być. Całość rozstrzygnie się, kiedy klucz zachrobocze w stalowym gnieździe zamka, kiedy odskoczy zapadka, kiedy we dwoje zejdą z mostu w wysoką trawę łąk.

Wydawało mu się, że uszedł już dobre pół mili. Nie dostrzegł po drodze gazociągu nad rzeką, lecz nawet się nie dziwił. Zbyt ciemno. Nieważne, byle naprzód. Kiedy szedł,

było mu trochę cieplej, chociaż nadal szczękał zębami. Znów czuł zimny kompres koszuli lepiącej się do pleców. Ten marsz po grobli był jak pełzanie wzdłuż ścieku, jak marsz kładką przez łagodne, trujące moczary opodal ceglanych miast, palonych, przesiedlanych, zamartwych w oczekiwaniu na potop, który właśnie nadchodził. Miał wrażenie, że przybył tu za późno, tak późno, że nie mógł już nic przeżyć, niczego zmienić. Był tylko w stanie otrzeć się o tutejszy porządek i przemknąć dalej. Ale przedtem mógł jeszcze komuś pomóc, bo miał w ręku klucze na drucianym kółku. Talizman, który pozwoli zacząć wszystko od nowa, pootwierać pułapki i pastki. Srebrna broszka, którą błysnie się w oczy policjom, strażom, urzędom i celnikom, a wtedy otworzą się drzwi i szlabany i zaczną opadać wody, a z nocnego marszu i innych nocy, które tu przeżył, zostanie tylko pamięć kołyszących się traw, ślepych bruków i widmowych głosów ludzi, których już nigdy nie będzie, bo pozostaną tutaj, na skraju kontynentu, wśród mazutowych zmas i radioaktywnych liszajów tej ziemi.

Szedł coraz prędzej, mając pod stopami to mokry żużel ścieżki, to grząską trawę u pobocza. Zatrzymało go dopiero rozwidlenie szlaku. Prawa odnoga biegła dalej wzdłuż cementowego w tym miejscu muru zoo, lewa wspinała się ku schodkom prowadzącym na długi wiszący mostek dla pieszych. Nie pamiętał tej wysokiej kładki, czy raczej pamiętał, że nigdy jej przedtem nie widział. Co oznaczało prawdopodobnie, że zablądził. Z wahaniem zrobił kilka kroków ku schodkom i zgarbiony wsparł się o ich poręcz.

Po chwili przez szum deszczu usłyszał chrzęst na ścieżce. Odwrócił się i zanim dojrzał, kto idzie, usłyszał głos Carlosa.

– Wstrzymaj, kurwa, konia, w stal odziany...

Carlos, coraz bliższy. Zlepione wodą pasemka włosów na wysokim czole, grube krople deszczu na wąsach, koszulka zmieniona ulewą w pasiasty półpancerz. W nocnym potopie wyglądał jak pijany żołnierz Cortesa czy Pizarra, który w pordezwiąłym puklerzu, z końmi i armatką, w pochodzie na Meksyk zapuścił się niechcący w dżungle Jukatana, w omyłkowej konkwiście przeciwko makakom, mrówkom i zatopionym w dżungli piramidkom. Czego chce jeszcze ten facet?

– Stój, zakuta pało... Idziesz w złą stronę!

Anglik nadal cofał się w górę schodów, które wiodły na nieznaną kładkę, ścigany złym głosem gestykującego Carlosa:

– Weź się opamiętaj, co? Stój! No, *halt!* Do jazu jest tędy. Tędy, mówię. Nie tędy! Tędy do jazu. No, tam! A tamtędy na Niskie Łąki. Taka ulica. Nie tu, tylko tam. Masz jeszcze ten kluczyk?

Milczenie.

– Bo jak masz, to wracamy.

Wspinali się nadal, Anglik odwrócony do Carlosa, Carlos wymachujący rękami jak wiatrak w usiłowaniu, by przemówić Anglikowi do rozumu. Anglik pojął nieporozumienie dopiero pośrodku długiej kładki. Wsparł się o poręcz wysoko nad brunatną rzeką i posłusznie powiódł wzrokiem tam, gdzie wskazywał Carlos. Nie zobaczył nic, prócz mroku i dziobanego deszczem nurtu, ale już rozumiał. Jeżeli chciał znaleźć Lidkę, to nie tu, lecz na podobnej, ukrytej w ciemnościach kładce o półtorej mili w górę rzeki.

– Nie tam, tylko tam! Nie tam! Tam! Ty, powiedz, że rozumiesz!

– Ro-zumisz. – Anglik odwrócił się do Carlosa. – *And don't shout so much, mate.*

Przestawało padać. Znad pełnej wirów wody pod kładką i z mokrych traw zaczynała się podnosić mgła, lekki opar, który do reszty zamazywał kontury nocy.

– To chodźmy po nią – powiedział wreszcie Carlos.

– *Let's go... Palancze...*

Prawie jednocześnie oderwali się od balustrady i ruszyli z powrotem ku zejściu z kładki, a kiedy znaleźli się na wale powodziowym, mrok i mgła pochłonęły ich prędko. Rozmiękła ścieżka głużyła odgłos ich kroków, na tyle jednak donośny, że kiedy przechodzili obok żelaznego ogrodzenia, mokry czarny dzik przyskoczył z głębi ogrodu i z sapaniem próbował wsadzić ryj między pręty, długo wężąc w ślad za idącymi w ciemność.

Część druga  
WYSPA OGNIA

*(Nowy Jork 1988–1989)*





## Noc żywych Polaków

Zoe

I chociaż było ciemno, Anglik dobrze widział złoty błysk klucza, którym Zoe cisnęła mu w twarz, i sparzył go jej krzyk, jej złość i rozpacz, a że był nagi, nie mógł popędzić za nią, półnagą i zanoszącą się argentyńskimi przekleństwami, po zakurzonych schodach i dalej biec lizaną mrozem ulicą, błagając, by wróciła, zatrzymała się, nie płakała tak rozdzierająco, więc kiedy z hukiem zatrzasnęły się drzwi na dole, znieruchomiał, a potem jak najpowolniejszym ruchem odłożył złoty klucz od zamka Yale na półkę i długo stał przy oknie, które wychodziło na ślepe manhattańskie podwórko. W lodówce mroziła się puszka z niewywołanym kawałkiem filmu. Nabazgrana flamastrem nalepka na puszcze zwiastowała 16 mm//17'30". To było dziesięć dni i nocy temu.

Pomniejszenie

Już jaśniej, coraz jaśniej, chociaż mgła znad Hudsonu i zimny smog wciąż zamazują bryły trzynastopiętrowych kamienic, zacierają linie gzymsów, powlekają wilgotną śnie-

dzią chromowane pyski pokieroszowanych plymouthów i oldsów zaparkowanych ciasno przy kamiennych chodnikach, których lico w jasne dni rozbłyskuje płateczkami miki – lecz nie dzisiaj, bo w ten ostry poranek mikowe lusterka oślepiły, zaciągnęły się bielmem szronu i wilgoci stężałej w lodowe igły. Chodniki są puste, nie słychać jeszcze kroków, idący nad chodnikami wiatr zza rzeki szeleści czarnym plastikiem worków na śmieci, omiata beżowe hot-dogi psich kup i krwawy płat rozdeptanej pizzy tuż pod oknami cztero-piętrowego domku, z tych, które na Manhattanie nazywają się *brownstone* i w zamiarze miały przypominać pramatkę Anglię – Anglię olejnej farby i lizolu, Anglię przedmiejskiej beznadziei, tu pomniejszoną i upchaną ciasno pośród skalnych grzęd miasta. Dzień wsącza się bardzo powoli między domy, pierwsze światło omywa sterczące spod plastikowych płacht i kartonu brudne boscie stopy włóczęgów śpiących na kamiennych stopniach narożnego kościółka Our Lady of the Tentacle. Nad włóczęgami czarny kamień świątynnych ścian wydaje się wypijać światło, na przekór wysiłkom nowego poranka. Jest ostatni dzień października.

Anglik ostrożnie wciąga chłodne, tnące powietrze w zakitowane alergią nozdrza i kuli się, słysząc za sobą głośny huk drzwi do *brownstone*'u. Na próg osypują się następne płatki olejnej farby. Boczne okienko najbliższego oldsmobile'a ziewa pustką, a na chodniku przy wozie pełno rozsypanych kwadracików szkła. Anglik wzrusza ramionami i po trzech schodkach zstępuje na ulicę, gdzie piętrzą się czarne worki. Na następnym rogu Broadwayu zimny, kanadyjski wiatr targa blachą zielonej tabliczki W113TH ST. i poświstuje w siatkowych okach pomarańczowego kosza na śmieci. Za rogiem ta sama co zawsze nagła perspektywa, od

błękitnej chińskiej pralni do sonej nieskończoności: widma niebosiężnych kamienic podnoszą się szeregiem z mgły i dymu niczym rząd monstrualnych szaf, na ich dachach cylindryczne zbiorniki na wodę spoczęły jak zakurzone okrągłe pudła na kapelusze, a każda wielodrzwiowa przedwojenna szafa to dwanaście albo i dwadzieścia półek, na każdej półce wzdęta ciepła pościel, ubrania, forsa pod bielizną, paski, krawaty, bety, skłębiona masa wszelakiego dobra, tak ściśnięta, że nic dziwnego, iż lada chwila przepełnione szafy pękną, a cała ich zawartość wysypie się na zimne ulice – bo już za moment dziesiątki i setki ludzi, z teczkami, w krawatach, szelkach i apaszkach Hermès wypadną hurmą przez drzwi i ruszą ku wąskim szczelinom zejść do kolejki podziemnej, bezwiednie i prawie bezkrwawo odtwarzając Eisensteinowską scenę masakry na odeskich schodach. Lecz na razie jest jeszcze cicho, włóczędzy śpią obstawieni workami pustych puszek po napojach gazowanych. Kaucja za puszkę to pięć centów, dziesięć centów w Michigan, gdzie pewnie hula już pierwsza zadymka śnieżna.

Z następnej przecznicy dochodzi rumor białej śmieciarki, jak hurgot odkurzacza przeciąganego przez wąski przedpokój w kolejny zakamarek pełen szarych kotów z kurzu, które nocami wyrastają chyba ze ścian albo osypują się z sufitów. Anglik przebiega na wysepkę dla pieszych pośrodku szerokiej jezdni i mruga, bo spomiędzy pędzących niskich chmur bije nagle szeroka na całą uniwersytecką dzielnicę struga słonecznego blasku, lodowaty laser, światło twarde i zbyt kontrastowe, nie zmiękczy go żaden filtr – filmowcy nie mają dziś czego szukać na Broadwayu, żelazo kamer niech drzemie w aksamitnych futerałach, chyba żeby się puścić na ekspresjonizm, gołe, drapieżne kontrasty bez cienia i bez niuansu.

Anglik robi z dłoni daszek i zadziera głowę, zadowolony, że zaczyna już łapać nawet takie drobiazgi. Na New York University każą się specjalizować – albo reżyseria, albo scenopisanie, albo zdjęcia, ale w szkole, w której jest teraz Anglik, uczą wszystkiego po trochu, w przekonaniu, że dobry filmowiec powinien znać się chociaż trochę na każdym elemencie warsztatu. W dodatku światło, które rejestruje klisza, nie ma nic wspólnego z oświetleniowymi sztuczkami, jakie się robiło w teatrze. Teatr to jaskinia filozofów, powtarzali kolejni instruktorzy, powolne kiwające się cienie, inaczej niż film, który bardziej przypomina patrzenie przez kryształową kulę, wielki pryzmat rozszczepiający rzeczywistość na migotliwe, kolorowe kłateczki, oko muchy, idiotyczny, ale jakże skuteczny podział.

Doszło do tego, że kiedy ich grupa miała spotkanie z siwiuteńkim, artretycznym Antonionim, Anglik zaczął kwestionować obsesję europejskiego kina na punkcie słowa „film”: Spójrzmy trzeźwo, „film” to imperialny odruch, sztywna błona, którą strażnicy ikonosfery usiłują szczelnie rozciągnąć nad rzeczywistością, aby ją zamętnić i unieruchomić jak muchę, co innego tutejsze pojęcie, jakim jest *movies*, ruchome obrazki, wielobarwny wir, który się układa we wciąż nowe figury, wymykając się totalizmowi Znaczenia...

– Co pan powie? – uprzejmie, przez tłumacza, zdziwił się wtedy Antonioni, poprawił grube czarne okulary i już pod adresem całego trzydziestoparooosobowego studenckiego audytorium zauważył: – Sam kiedyś podobnie myślałem, chciałem pokazać tę rozmaitość konstelacji na kliszy... Tę niedocieczoność postrzegania... Przybliżenia... To było dawno. Ale film to nie obrazki. Kino nie jest o tym, że widzę, kino jest o tym, że frunę. Tylko ja to trochę za późno zrozumiałem, proszę państwa.

## Klaps

Posłuszny słowom patriarchy, Anglik przefruwa ponad drugim pasem pustej ulicy, mija ogrodzenie, za którym od paru dni umorusana ekipa rozkręca jakieś rury, i niby jastrząb spada na kiosk z prasą, gdzie w głębinach blaszanej budki, wśród stert dzienników hinduski sprzedawca zgrabiałymi śniadymi dłońmi przerzuca wydanie „Penthouse’a” w języku urdu. Kioskarz ma dziś na sobie jaskrawoczerwoną puchową kamizelkę z łbem byka i czarnymi literami CHICAOG BLLUS. Na oko azjatycka podróbka.

– Ty jak zawsze wcześniej, co? – wita Anglika, który wygrzebuje dla siebie egzemplarz gazety ze środka sterty. Przez te dwa semestry Anglik zdążył już sobie przyswoić przesąd, by nie brać egzemplarza z samego wierzchu.

– Prawie siódma rano, gdzie tam wcześniej.

„New York Times” od września kosztuje już trzydzieści pięć centów. Zachłanność jest cnotą, twierdzi Wall Street. Sprzedawca wrzuca monety do blaszanego pudełka i życzy miłego dnia. Za kioskiem Anglik przystaje i omiata wzrokiem pierwszą stronicę. Poniedziałek, 31 października 1988 roku, będzie słonecznie, bardzo zimno. Palestyńczycy spalili czwórkę Izraelczyków w podmiejskim autobusie. Philip Morris przejmuje koncern Krafta za 13,1 miliarda dolarów, oferuje 106 dolarów za akcję. Więc gdyby tak mieć sto akcji Krafta. Tysiąc akcji Krafta. Hmm. Umierające reaktory atomowe rodzą nowe problemy dla Ohio. (Na zdjęciu dwóch facetów w hermetycznych srebrnobiałych kombinezonach i maskach – kosmici z Ohio?) W Kabulu szykuje się nowy sowiecki namiestnik, Nadżibullah, Departament Stanu uważa go za liberała. Trwa strajk dżokejów na torze Aque-

duct. Reagan przyciągnął do republikanów młode pokolenie wyborców. Rzeczywiście, za parę dni wybory. Reagan, sędziwy amant, uszminkowany trup. Upiór, który za tydzień kończy straż nad gasnącą dekadą. Nie za tydzień, zmiana urzędu dopiero w styczniu czy w lutym.

Przed wejściem do całodobowego sklepu spożywczego piętrzy się sterta pomarańczowych dyń. Dziś wieczór, jeśli ktoś jeszcze nie zdążył, wydrąży się w ich karbowanych skorupach głębokie oczodoły, wstawi do dyniowych brzuchów świeczki, każe rozbłysnąć widmom. Anglik znów nie kupił dyni, drugi rok niepewny, czy ma się wyglupiać tak samo jak tutejsi. Z kwadratem gazety pod pachą Anglik przeciska się przez drzwi małej piekarni i do wąsatego Gwatemalczyka za ladą mówi:

– Jak zawsze, *amigo*.

Drugi, mniejszy Gwatemalczyk, w koszulce COLUMBIA BAGELS, upycha do papierowej torby trzy duże obwarzanki, jeden z makiem, drugi z ziarnem sezamowym, trzeci ciemny, słodki, z rodzynkami. Śniadanie i lunch, i podwieczorek, siedemset pięćdziesiąt kalorii, dolar i dwadzieścia centów. I dobrze, bo stypendialny czek przyjdzie dopiero jutro, a zanim Chemical Bank przeleje i tak skromną kwotę na konto, miną następne dwa dni. Mike Tyson też jadał bajgle, i proszę. Z kolacji można zrezygnować. – Porządną kolację zjemy dopiero po Oskarze – żartowali nie dalej jak wczoraj z Jakiem Finkelsteinem, tym samym, który wciąż powtarza, że Spielberg to szmaciarz („ale genialny szmaciarz”), i który powinien chyba trochę przystopować z amfetaminą, bo kiedy mówi, coraz częściej połyka końcówki wyrazów.

Anglik wymyka się z piekarni. Nie poprosił o kawę, i bardzo dobrze, regularna lura, a w mieszkaniu są jeszcze

dwie torebki malezyjskiej herbaty ziołowej. Na ulicy wciąż pusto, ziemia drży pod nogami, z okratowanych otchłani dobiega żelazny skowyt hamulców kolejki podziemnej. Trzęsienie ziemi ustaje, więc z torbą w ręku, z gazetą pod pachą Anglik rusza przed siebie, omija białe cielsko autobusu, znowu przebiega pierwszą jezdnię i staje na wysepce, olśniony nagłym widowiskiem. Zamiast mgły i zimy w szybach wysokich piętér odbija się kąpiące, czyste, płynne złoto. – Kamera! Akcja! – woła Anglik sam do siebie, na co drzemiący na ławce włóczęga na chwilę odmyka jedno krwawe oko i przez kędziory skołtunionej brody wydmuchuje kłęb pary. Anglik opuszcza wzrok i rusza, niechcący rozdeptując butem dwie czerwone plastikowe zatyczki od fiolek po cracku, lecz nagle, tknięty nowym pomysłem, zamiera w pół kroku, zwija w trąbkę i upycha gazetę w tylnej kieszeni starych czarnych spodni z The Gap, po czym sięga do papierowej torby.

Gruby, miękki obwarzanek z makiem. Za nim sezamowy. Za nim rodzynekowy. Przyciśnięte do siebie w klatce złożonych dłoni, już odmieniły kluchowatą postać i tworzą twarde obiektyw, tunel, optyczny lep na rzeczywistość. Połyskujące zrumienioną skórką ciasto zmienia się w instrument, w ssawę, przez którą można wciągnąć w siebie realność, zatrzasnąć ją jak w mysz w pułapce, utrwalić jej fragmenty, zmontować je w ciąg, który dla nieuzbrojonych oczu wciąż rozsypuje się na nieskoordynowane fragmenty. Jest kamera, można jechać, najwcześniejszy dzisiaj klaps na Broadwayu, kręcimy z ręki, bez dubli, *cinema verité*, proszę państwa, i to pierwszą jadalną kamerą świata. Anglik wskakuje na obmurówkę zeszroniałego kwietnika i przykłada oko do dziury w obwarzankach, zataczając powolny krąg. Najpierw panoramka, potem bliższe plany. Szwenk, szwenk. A potem śniadanie...



## Zwiastowanie

Miękkie ciasto wokół obiektywu skupia światło jak w grubej soczewie, w obrębie której przedmioty tracą rzeczywisty kontur, rozplývają się i robią jednakowo odległe. Tu potrzebne jest rybnie oko, a nie teleobiektyw, ale nic, kręćmy. Anglik z zadartą głową czyni półobrót. Tam gdzie piętrzyły się domy, teraz pobłyskują rzędy szarych, brunatnych i ceglanych plam. Żelazo schodów pożarowych odrealnia się i przechodzi w szpaler czarnych krech, nie do odróżnienia od przepływających niżej, w tym samym ruchu kamery, suchotniczych pręg miejskich drzewek – czysty ruch, czerni, biel, prążki, czysty Dżiga Wiertow – a jeszcze niżej, gdzie za dnia błyszczą szklane witryny, zasłonięte teraz blaszaną powieką żaluzji tatuowanych we wzorzyste graffiti, u wejścia na plac budowy, pośród sterty ciśniętych na trotuar, zdemonutowanych rdzawych rur, rozbłyskuje coś nagle bielą tak dojmującą, że Anglik zamyka oko i bezwiednie ściska w palcach ciasto improwizowanej kamery, opuszcza ręce, mruga i patrzy w tamtą stronę.

Człowiek, chyba zgarbiony człowiek. Ale ta biel, srebro? Poprawić ostrość. Kamera z trzech złożonych obwarzanków zbliża się znowu do oka, pierścień okularu ściska wiązkę światła i dopomaga źrenicy spojrzeć dalej. Białe plecy. Czarne włosy. Wysokie czoło, wąsy. W tej samej sekundzie srebrna postać, którą Anglik ma w kadrze, odwraca wzrok w jego kierunku.

– *Jesus!* – Obwarzanek z rodzinakami upada na trotuar. Anglik podnosi go pospiesznie, prostuje się, upycha obwarzanki z powrotem do torby i przysiada na wysokiej obmurówce wysepki między dwoma pasmami jezdni. Kaprawy

włóczęga znów otworzył oko i patrzy na niego jak na wariata. Anglik ogląda się, podnosi prędko i rusza w kierunku białej zjawy przycupniętej na stercie rur.

– Carlos.

Białe widmo podrywa się z miejsca. Idą ku sobie, coraz wolniej.

– O, kurwa żesz...

– Carlos.

Nie padli sobie w objęcia, ale Carlos polskim obyczajem natychmiast podaje mu rękę. Prawie się nie zmienił, tyle że stracił trochę włosów i ma na sobie ten dziwny, metalizowany kombinezon. Poza tym wygląda dokładnie tak, jak wyglądał dobrych parę lat temu w innym kraju i na innym kontynencie, czyli tam gdzie powinien się w tej chwili znajdować. W mieście, które dla tutejszych nazywałoby się Rocklove. Bo *double-u* czyta się *vee*... Tyle jeszcze Anglik pamięta. I nie tylko tyle.

– Siemasz z rana – mówi Carlos po polsku, dość zaczepnie, i chowa rękę, ale prędko dodaje: – *So what's up?*

– O to samo chciałem cię zapytać.

– *Shoot* – łaskawie przyzwala Carlos. Jego angielszczyzna okazuje się dość komiczną mieszaniną zwrotów z polskich czytane Szkutnika i slangu północnego Brooklynu. Akcent pozwala go natychmiast określić jako rozbitka ze Wschodniej Europy. Ale uwaga: Carlos mówi po angielsku. Duka przeokropnie, jak gdyby przemawiał alfabetem Morse'a, ale da się go zrozumieć.

– Niebrzydki garniturek – Anglik pochyła się, dotyka metalizowanej tkaniny kombinezonu, w który oblókł się Carlos. – Twój? Czyścisz elektrownie atomowe?

– Że jak?

– Skąd masz takie wdzianko?  
– Z tych... azbestów, skąd niby.  
– O... Usuwasz azbesty? To niezdrowo.  
– Już nie. Właśnie mnie wypieprzyli.  
– W sensie wyrzucili? Za co?  
– Zły stosunek.  
– Do czego stosunek?  
– Ogólny stosunek. – Carlos wzdycha i na chwilę podnosi się z miejsca. – Najbardziej to do pracy w dziurawej masce. Dziurawe są tańsze, swoją drogą – dodaje po polsku Carlos i pokazuje pękniętą gumę wokół pierścienia, do którego przykręca się pochłaniacz. – Chyba mnie, kutas, nie lubił. *Foreman*, znaczy, brygadzysta. Ale żeby tak tuż przed wypłatą...  
– Polak?  
– Polskiego pochodzenia. Ale z Rzeszowa. Pamiętasz Rzeszów?  
– Nigdy tam nie byłem.  
– Nigdy nie mów „nigdy” – Carlos uśmiecha się i siada.  
I co teraz, myśli Anglik, co zrobić z tak mile rozpoczętym dniem, czy wołać egzorcystę, żeby wypędził zjawę, czy też gadać z nią, aby zadać pytanie, którego nie da się zadać w sposób zręczny? Najlepiej poczekać.  
Obok nich zaczynają przemykać ludzie. Carlos siedzi i wyraźnie niczym się nie przejmuje. Nie podnosi się z rur. Zresztą kosmita w kombinezonie nikogo tu nie dziwi, a już na pewno nie w dzień defilady przebierańców, dzień, w którym dzieci chodzą od drzwi do drzwi i przedstawiają wybór z tych niezbyt trudnych: *Trick or treat*, albo dajesz cukierki, albo ukręcamy łeb. Za dziećmi zwykle idzie czujnie rodzic, pilnując, i słusznie, czy na młode stadko nie czyhają

zbożeni. Czy wąż siedzący na rurach przynosi *trick*, czy *treat*?

Wąż siedzący na rurach to posłaniec. Łysiejący srebrny zwiastun. Jeśli mu dać cukierka, może coś wyjawia? Na przykład, nowojorski adres kogoś, kogo Zoe zaocznie nienawidzi.

– Jadłeś już śniadanie?

– Jadłem... Wczoraj – dorzuca chyba żartem Carlos. – Ale co słyhać, co robisz w ogóle? Z teatrem już nic nie tego?

– Z teatrem? Thatcher zamknęła teatry.

– To tak jak u nas. Spawacz zaspawał. A Narodowy się spalił.

– Aha. Nie, jestem teraz tutaj, w szkole filmowej.

– Aha.

– No, i tak... – Anglik mógłby długo opowiadać o tym, jak pani premier zlikwidowała radę miejską okręgu Londyn i ociosała siekierką fundusze na działalność teatralną, jak spotkany na korytarzu w Bush House kędzierzawy Tony Minghella najpierw klął, a potem powiedział: – Zazdroszczę ci, jesteś młody, możesz to cisnąć w diabły, możesz zacząć robić reklamy pasty do zębów w Euronet albo kręcić filmy, ja już do końca życia będę dłużył przy tych jednoaktówkach dla BBC 2. Chyba że się wpienię i naprawdę ruszę do Hollywood, jak wszyscy. Bo tu już nic nie ma, tylko turyści, gorzej niż w Bangkoku. – A potem, kiedy już jechali odnalezioną w podziemnym parkingu czerwoną hondą civic Minghelli w stronę Kensington i stacji Notting Hill Gate, gdzie Anglik mógł się przesiąść w swoją linię metra, Tony dorzucił: – Ty też się zastanów. Z kamerą byłoby ci do twarzy.

Dopiero teraz, kiedy minęły dwa lata, Anglik umie docenić absurd tamtej rozmowy. Obaj z Tonym nie mieli po-

jęcia o filmie, o całym wszechświecie zazębiających się kół, zapadek, lustrzanych powierzchni, złotych pręg światła w mroku cuchnącym potem i prażoną kukurydzą. Teatr, czy nawet telewizja, to nie to samo. Inny montaż, inne światło. Anglik uczył się obsługi tego aparatu po troszeczku, nieśmiało, za to w samej jaskini zbójców. Anglia miała świetne szkoły filmowe, ale za Atlantykiem były jeszcze lepsze, po których w dodatku można było dostać do ręki kamerę. A nawet reżyserskie krzeselko. W perspektywie. Tony na razie podobno i tak nadal tkwi w Londynie.

– To co, może miałbyś ochotę na kawę? – odzywa się znowu do ulicznego upiora, ni w pięć, ni w dziewięć, bo uświadamia sobie znowu, że ma w domu tylko ziółka w torebkach. – Albo może lepiej na herbatę? Chyba że się spieszysz?

– Teraz to ja już się nie spieszę – uspokaja go Carlos i zaczyna miąć w palcach karbowany przegub pochłaniacza.

– No... To chodźmy do mnie, co?

## Spacer po arboretum i herbatka w oranżerii

Ruszają, a wokół nich przyspiesza naraz całe miasto, jak poranni derwisze zaczynają wiraże żółte taksówki, jęczą autobusy, garniturowy tłum, miętosząc swoje gazety, biegnie kiwać się w wagonach kolejki podziemnej, jęczą klaksony, gońcy w tęczowych strojach śmigają na górskich rowerach, czepiają się autobusów, byle szybciej, w coraz prędszym fioletowym wirze, który kipi wśród zboczy z kamienia i szkła. Dryfują lodowe góry białych ciężarówek, dzień rozkręca się, rozsnuwa opalizujące kłęby pary ze studzienek ka-

nalizacyjnych i z hukiem podnosi się ponad kamienną wyspę, ponad ślepe zamczyska, glazurowane termitiery i rzędy krzywych, zasmolonych domków z grzebieniami żelaznych schodów pożarowych. Niema czarna skała, przywalony żelazobetonem głuchy gnejs wyspy, zaczyna wibrować, powoli, lecz tak intensywnie, że pięść dźwięku kołysze nawet kadłubami policyjnych helikopterów i tłustych sterowców z tetragramem FUJI wysoko na niebie. Drży powietrze i skała, metal i kamień. Z placu budowy, przy którym siedział Carlos, dobiega chór pięciu młotów pneumatycznych. Na pozbawionej okien ścianie wysoko nad ulicą spod białej farby odci-na się zatarty stary napis. THE WAGES OF SIN IS DEATH.

– Dawno tu jesteś?

– Dwa lata.

– Aha. Aha, nie zostawiłeś tam żadnych... normalnych rzeczy?

– Nie, tak nas mikrobusem przywożą, w kombinezonach. Też wbrew przepisom. – I po parunastu krokach: – Myślałem, że mieszkasz w Londynie.

– Już nie.

Następnych kilkanaście kroków.

– Uhm... A czemu?

– Zmęczyłem się Londynem.

Skręcają obok księgarni i idą jeszcze kawałek uliczką, która schodzi do ogołoczonego z liści parku. Zaraz za rogiem uderza ich w twarze lodowaty podmuch zza Hudsonu. Góra śmieci zdążyła zniknąć, nie licząc trzech czarnych worków, które ktoś rozpruł, a zawartość rozsypał po całej ulicy. Na schodkach kościoła śpi już tylko jeden bosonogi. Anglik robi taneczne *pas* między zgniłymi cebulami. Carlos w swoim kosmicznym kombinezonie i ochronnych buciorach su-

nie przed siebie jak futurystyczny czerwonoarmijski czołg zabłąkany w radioaktywnych ruinach Hamburga. Anglik zerka na niego, bierze oddech, milczy, zmienia zdanie i mówi tylko:

– To tutaj. Proszę.

Trzaska zapadka dolnego zamka. W sionce leży na podłodze pełno chińskich jadłospisów z Hunan Garden. Za drugimi drzwiami, obok karbowanych skrzynek na listy, zaczynają się wąskie i kręte schody o trzeszczących stopniach. Cuchnie kotami, wilgotnym kurzem, olejną farbą i środkiem na karaluchy, a na trzecim piętrze także acetonem, którym Anglik klei próbne skrętki, zanim je wsadzi do swojej marniuchnej przeglądarki.

Znów szurgot klucza w zamku. W kawalerce jest ciemnawo. Za jedynym oknem, z wyjściem na schody pożarowe, widać studnię podwórka i ślepą ścianę sąsiedniego budynku. Anglik zapala metalową lampę na metalowym biurku, zdobytym na wyprzedaży po pożarze sklepu z materacami.

– Przepraszam, że nie pościelone.

– Nie rozumiem. Co?

– No, bałagan.

– To ja przepraszam, bo w butach i w ogóle.

– Nic nie szkodzi.

– Zabawne, że się tak spotykamy. Wiedziałeś, że jestem w Nowym Jorku?

– Ktoś mi mówił. Chyba rok temu... Już nastawiam wodę. Masz zapalniczki? Carlos rzuca Anglikowi wymiętoszoną książeczkę papierowych zapalek i odwraca się do chwiejnej półki z książkami.

– O wampirach? O, i jeszcze. I jeszcze. Coś nie tak?

– He? A, te książki? Nie, piszę scenariusz. Nawet chodzę na seminarium z prozy wampiryzmu, mogę sobie wybie-

rać zajęcia na sąsiednich fakultetach i akurat mi podeszło, a kredyty się liczą normalnie... Dziś tam idę, najlepszy temat na Halloween. Nieważne... To do filmu.

– Aha – Carlos, nie odwracając się, mruży po polsku:

– U nas też każą oddać krew, jak się chce kupić kaszanki.

– Co?

– Nic. Taki dowcip.

– Polski dowcip?

– Eee... Chyba ruski. – Carlos zapala camela i szybko zmienia temat: – A co to będzie za film?

– Jeszcze nie wiem. Na razie to mam tylko taką wizję i siedem minut taśmy. Noc, krew, dziewice, Transylwania, palowanie. Schemat, ale z tego się robi metafora. Kapitał, nędza, akumulacja, przemiana, podróżowanie obrazów...

– Nie rozumiem. Dziewice?

– Dziewice też. Symboliczna akumulacja.

– Aha. – Po chwili: – To gdzie masz kamerę?

– W szkole. – I gasząc gaz na dwupalnikowej kuchence: – Przepraszam, ale jest tylko ziołowa.

– O, ty też masz karaluchy.

– Niestety. Nic nie pomaga psikanie. Co, ty też?

– Ja? Mało. Za zimno im w piwnicy. A cukier masz?

Anglik zatrząskuje lodówką pełną puszek z filmem i stawia na chwiejnym stoliku resztki podwędzanej mozzarelli, napoczęte foliowe opakowanie salami, słoiczek masła orzechowego.

– I co tam w Polsce?

– To samo. Dawno nie byłem.

Przez chwilę patrzą sobie w oczy. Anglik przełyka ślinę.

– Weź sobie tę pokrywkę po taśmie, będzie popielniczka. I jak tam wszyscy?



– Jacy wszyscy?  
– No, wiesz...  
– Zależy – Carlos wydmuchuje kłęb dymu, kaszle i parzy się herbatą.

Anglik odwraca się do okna i cicho, bezbarwnym tonem pyta:

– A Lidka jak tam? Wszystko dobrze?

Carlos przez chwilę milczy i dopiero kiedy Anglik odwraca się od okna, odpowiada:

– Skąd mam wiedzieć? Przecież wyjechała.

– Dokąd?

– Nie wiem. Myślałem, że ty wiesz. – Carlos, nie mogąc się doczekać reakcji, wzrusza ramionami, chwytą najbliższy, makowy obwarzanek i zatapia w nim zęby.

– Nic nie wiem.

– Ja też nic nie wiem – z pełnymi ustami zapewnia go prędko Carlos.

– Ach, tak.

Rozmawiają o tym i owym, jak gdyby skrawki informacji mogły załatać ziejącą wyrwę pięciu lat, zmienić ją w poczciwy, zakurzony trawnik w miejskim parku imienia Hanki Sawickiej, w którym przechadzają się znajome postacie, a w szemrzącej fontannie chlapią się berbecie, które zdążyły się urodzić krewnym i znajomym i za parę lat na tych samych ławeczkach będą ćwiczyć picie wina, chyba że przepędzi je majowy festyn, barobusy, kolejarskie puzony, ormowcy.

– I co, urządziłeś się tu trochę? – pyta w którymś momencie Anglik.

– Trochę – przytakuje Carlos i ziewa. – No, tak. Najwyżej tylko dziś mam taki kłopot...

– Co za kłopot?

Carlos powoli, z mozołem tłumaczy istotę problemu. Ma wynajętą piwnicę na Maspeth, ale rotacyjnie, na zmianę. Co drugą noc. Taki układ, dzień i noc w pracy, a potem do domu. Ale dziś nie jest w pracy i nie ma piwnicy, bo zmiennicy też nie są w pracy, są w piwnicy. Rotacja, raz on ma *basement*, raz oni, do tej pory wszystko grało. Przed jutrem trzeba coś wymyślić, to znaczy nie ma sprawy, jak się poprosi, to tamci dadzą mu się dziś przekimać na cemencie. – Bywało gorzej – dodaje, biorąc spory kęs następnego obwarzanka, z rodzynkami.

Anglik upija łyk indonezyjskich ziółek. Może faktycznie z cukrem miałyby trochę lepszy smak?

– Jeśli chcesz, możesz tu dziś przenocować – wypowiada wreszcie słowa, które powinny mu przejść przez gardło bardziej naturalnie, w końcu dług to dług. Nieistotne, najważniejsze, że słowa dały się w ogóle wypowiedzieć. – A jutro wrócisz sobie na Maspeth. To Queens czy Brooklyn?

– Nawet nie wiem. Chyba Brooklyn, a może... Naprawdę?

– Jasne. – Reszta przychodzi Anglikowi już łatwiej. – Warunki, widzisz, jakie są, ale mam nadzieję, że ci nie przeszkadza.

– Co ty. Dzięki. Może rzeczywiście bym został.

– Czuj się jak u siebie.

– Serio?

– Uhm... Serio, jasna sprawa – ucina Anglik, patrząc, jak na brudnym parkiecie lądują kolejne sezamkowe ziarenka z trzeciego obwarzanka.

– To fajnie.

Anglik dopija cieką herbatę. Stuknięcie odstawianej filiżanki żłobi drobną skazę w zimnej bryle ciemnego kryształu, w którą zmienił się pokój podczas ostatnich dziesięciu

minut. Znow milczenie. Carlos z szurgotem podnosi się z kulawego fotela i podchodzi do półki z kasetami.

– Jak chcesz, to coś sobie włącz – zachęca go Anglik. Carlos sięga po pierwszą z brzegu kasetę i wciska ją do przenośnego odtwarzacza, przykucniętego pod brudnym oknem obok pomarańczowego telewizorka Sanyo. Szumy i cisza, po której odzywają się folklorystyczne chórki, zatarty przez czas, widmowy chorał wiem z północnych wrzosowisk.

*One kiss, one kiss, of your lily-white lips,  
One kiss is all I crave...*

Carlos trzaska wyłącznikiem, odkłada na bok *English Madrigals* i znowu z chrzęstem grzebie w stercie kaset. Brzęczy szyba w spaczonej, oblażącej z farby ramie okiennej. Labradorski wiatr gwiżdże nawet w studni podwórka, dźwięczy w pasywnych wzlotach pożarowych schodów, spływa z góry niczym chłodny lizol albo miętowa płukanka do ust i zderza się przy kratkach kolejki podziemnej z idącym z tunelów ciepłym podmuchem, niosącym woń odpadków, sadzy i moczu, do czysta ścierając z betonowych powierzchni zapachy gnijącego, zwyczajnego życia. Lodowate kieszonkowe tornado unosi spośród patyków na dnie podwórka bielejącą tam płachtę gazety i okręca w tańcu aż pod trzecie piętro.

– Ale ona żyje, prawda? – upewnia się naraz Anglik.

– Ja nic nie wiem – powtarza Carlos, który dotąd patrzył w okno, i odwraca badawczo wzrok w stronę rozbebeszonego łóżka.

Z kolejnej kasety zaczyna pokwikać Klaus Nomi, od pewnego czasu nieboszczyk. Carlos słyszał całą historię, ale nie wie, jak powiedzieć po angielsku: Adidas hula – więc

tylko wzrusza ramionami i wyłącza kasetę. Pudełka, książki, maszynopisy, wielkie jak kremowy lotniskowiec pudło komputera IBM PC, z tych najstarszych, bez twardego dysku. Pisma. Paski filmu 16 mm, prześwietlone, puste. Kolejne kasety.

– Nie masz jazzu?

– Mam tylko jazz.

Z taśmy już od trzydziestu minut rozlegają się plumkania Keitha Jarreta, kiedy Anglik zaczyna pakować swój bu-raczkowy plecaczek. Rozmawiali przez ten czas, częściowo na migi, o nowojorskim radiu z czterema tuzinami rozgłośni od krańca do krańca skali, o tym, jak z dwudziestu scenariuszy powstaje jeden jedyny film, o poczekalniach na dworcach lotniczych. Pora się jednak zbierać. Poniedziałek: najpierw do południa warsztaty z montażu, potem trzeba złapać jakiś lunch – Anglik składa w pół, a potem we czworo papierową torbę po obwarzankach – a dziesięć po drugiej w żelbetowej sali seminaryjnej na wysokim piętrze szkoły stosunków międzynarodowych zaczynają się zajęcia z literatury grozy. Anglik, który jest tam trochę w gościach, nie cierpi dyskusji, jakie co chwila wszczynają okolczykowani doktoranci z kozimi bródkami, ale musi przyznać, że zbiera przy okazji mnóstwo ciekawych pomysłów.

– Dziś Halloween. Wybierasz się do Village na bal wampirów?

– Eee, już raz widziałem – wzdycha Carlos, któremu z całej nocnej parady przebierańców sprzed roku w pamięci utkwił jedynie facet przebrany za wymarzonego Walkmana Sony®. – A ty?

– Jeszcze nie wiem. – Anglik zapina suwak, przerzuca plecaczek przez ramię i sięga do słoika na zakurzonej górnej półce.

– Tu masz klucz, gdybyś chciał gdzieś wyskoczyć. Ten z nacięciem jest od dołu, a ten tutaj, yale, od mieszkania.

– W Polsce było yeti, a nie yale.

– W Polsce wszystko było bardziej yeti niż yale.

– Co?

– Nic, nic. Może, jak już przejrzysz, wyrzuć potem te gazety. Skrzynka do recyklingu jest na dole – dopowiada Anglik i trzaska drzwiami.

## Dis City

Na Broadwayu nadal trwa poranne szaleństwo, zbiorowa scena sprzed rampy, jak gdyby pełny skład schodzącego już niedługo po trzech tysiącach przedstawień *A Chorus Line* nakarmiono przed występem mieszanką LSD i amfy. Metropolitalne gołoborze, a na nim rozpędzeni ludzie, migotliwe napisy, turkoczące ruchome głazy samochodów, nic nowego. Anglik zwinnie omija odjechanego żebraka, nad którego głową wiruje chmura demonów, i zerkna na napis w czarnej gablocie u wrót kościołka. „Synu, wierz we Mnie i nie słuchaj, co wygadują księża”. W piwniczce obok bocznych drzwi kościoła uruchomiono garkuchnię dla nędzarzy. Na razie drzwi są zamknięte, lecz już zdążył przed nimi wyrosnąć spory ogonek. Twarze jak z Hieronima Boscha. Anglik odwraca wzrok od wrzodów i kikutów, odruchowo, jak wszyscy, przebiega jezdnię na czerwonym świetle i w porę uskakuje przed furgonetką z napisem AVANTI DEMOLITION na burcie. Ludzie spieszą się bardzo, gestykulują, wymachują czarnymi neseserami, w biegu parzą usta kawą z papierowego kubka, albo się zupełnie nie spieszą, tylko leżą na chodniku przy blaszanych żaluzjach jeszcze nieotwartych sklepów.

Już po drugiej stronie Broadwayu, oślepiiony kolejnym laserem słońca, Anglik przystaje przy długiej ladzie z używanymi książkami. Bukinista otwiera tylne drzwi swojego odrapanego, niegdyś granatowego mikrobusu. Na asfalt jezdni wysypują się nagle dziesiątki tomów. Spinoza, święty Augustyn, *Leviathan* Hobbesa, *Pensées*, anielska dusza Keatsa uderza o bruk, wiatr szarpie kartkami Nietzschego. Anglik rusza dalej, rzuca krótkie „Hej” znajomej płaskodennej Chince z drugiej grupy, mija dwa tłuste posągi ściskające w kamiennych paluchach cyrkle i globusy i znika w tłumie drepczącym centralną alejką uniwersytetu.

### Łączność wszechrzeczy

W ciemnym mieszkanku, które przed chwilą opuścił Anglik, rozlega się tymczasem trzask podnoszonej słuchawki i cichutkie pi-pi-pi wystukiwanych cyfr.

– *The country you have dialed is not responding. Please try again. The country you have dialed is not...*

Pi-pi-pi. Pi-pi-pi-pi. Piiiiip.

– Halo...

– Halo! Pani Marleno, tu Carlos. To ja, Carlos.

– ...

– Jak to skąd? Nie, dlaczego mam być w kraju? Nie, dalej z Nowego Jorku dzwonię, bo... Nie, dlaczego z Dyziem? Ma tu być? Nie, od znajomego. Tak, tak, wszystko dobrze. Mniej więcej, ale nie o to... I co tam we Wrocławiu? Proszę? Nie, jeszcze trochę posiedzę. Nie, nie mam teraz jak wrócić, trochę długów narobiłem. Nie, ale ja dzwonię do pani w takiej sprawie... W dwóch sprawach. Tak. Tak, bardzo bym prosił... Bo moja mama dalej nie ma telefonu, inaczej

bym pani nie zawracał głowy... Nie, ja wiem, ale naprawdę, pójdzie pani jej powiedzieć? Naprawdę? To się strasznie cieszę... Dziękuję, naprawdę. I niech pani zobaczy, jak tam mały, mój synek. Mieszka z babcią, ja tu zbieram... Słyszała pani może, widziała go pani? Aha, na wiosnę? No, nieważne. To niech jej pani tylko powie, że wszystko jest okej. Proszę? Czemu się martwi, co, że nie piszę? Nie wiem, niech jej pani powie, nie, o czym tu pisać, dolarów też nie wsadzę do listu, na każdej poczcie podobno prują te koperty, jak tylko zobaczą, że USA... Nie, najlepiej niech jej pani powtórzy ode mnie, że może na święta wróć. Góra na Wielkanoc. Góra. Na Wielkanoc bilety tańsze, w jedną stronę też. Ja wiem, że PanAmem najtaniej, nie, żadnym iłem nie polecę, co pani... Czeskim też nie. Mały musi się doczekać, ja nie będę ryzyko... Ale nie o to, ja nie o tym... Że, w każdym razie, wszystko jest w porządku, tak, że pracuję... Nie, nic ciekawego. Nudna praca, właściwie już się zacząłem rozglądać, żeby... Nie, w budownictwie. Takie porządkowe prace. Tak. Nie, na razie to niewiele... Nie, bo to nie takie proste. Niech pani nie mówi mamie. A jaka pogoda w Polsce? Bo tu wieje jak na dwo... Halo? Halo! Nie, jestem, jestem. Ale Dyzio, myślałem, że już wrócił? Ile można tak pływać... Drugi rok się tłucze na tych statkach, tak? Pani jest matką, to pani wie najlepiej. Jak to? Dlaczego myślała pani, że jest u mnie? Skąd by... Wiem, że nie ma adresu, skąd ma mieć... Nie, naprawdę? Dzisiaj tu przyplęwa? Serio? Nie, ale o której? Gdzie? Bo ja... Skąd do pani dzwonił, z Wysp Dziewiczych? Ładna nazwa. Ciekawe, czy tam... Aha, mówił, że malowniczo? Co? Jutro leci do Polski? Aha, PanAmem, tak? Ale to jutro, zaraz, nie, która jest teraz u pani? Uhu. Nie, ja nic nie wiem... No jasne, zaraz pędzę... Ale nie wie pani, czy w jakimś hotelu mają się zatrzy-

mać, czy jak... Racja, cały big-band po znajomych się nie zatrzyma... Nie, ja też słyszałem... Mhh. Wszystko jedno, czy ukradnie Pagart, czy agencja... Co, i Pagart, i agencja? Dobrze, jakoś go spróbuję poszukać, tylko wie pani... Duże miasto... Jasne, może mi mignie... No. Już dzisiaj miałem jeden taki przypadek, tak... Nie, zaraz idę szukać. Przepraszam, co Dyzio pani mówił? Dlaczego dopiero w południe mogą zejść na ląd? Aaa, niby że po pasażerach... E, nie, to dobrze, to jeszcze mam czas... Tutaj? Zimno. Zaraz, gdzie moje zapałki...

Carlos wygrzebuje z twardej paczki ostatniego wykruszonego camela i ze słuchawką w ręku usiłuje podejść do pokrytego nalotem sadzy parapetu, na którym leży zszywka papierowych zapałek.

– Co? Dlaczego uwalniają ceny? O strajkach to słyszałem. Nie, nic nie wiem, jak to? Halo? – uwiązany na zbyt krótkim kablu Carlos wyciąga ramię jak najdalej do okna, pochyła nos do mikrofonu i przy okazji dźga nie napoczętym papierosem plastik słuchawki. Camel pęka i zgina się pod kątem prostym. – Nie. Ciekawe. No nic, to ja będę kończył, pani Marleno, nie chcę nadużywać... Ale Lidka nie wróciła, nie wie pani? Tak, tak, nie. Ja wiem, że jest tutaj, ale nie dzwoniłem, nawet nie wiem... Nie, nie od siebie, nie, przeprowadzałem się i jeszcze sobie nie założyłem... Tak. To ściskam. Strasznie dziękuję. Proszę tylko powiedzieć mamie, że niedługo napiszę. I czy mały rośnie, pani zapyta, tak? Aby do wiosny, tak?... Właśnie, idę go szukać, przynajmniej ktoś jeden wróci... Sama pani widzi, jak nas wszystkich wywiało. A o Gipsonie coś pani wie? Bo też nie mam kontaktu... Naprawdę mieszka u Michaliny? Tam strasznie zimno, w tym Montrealu, prawda? Pewnie, że chcę numer. Jak? Pięćset czternaście? Kierunkowy, tak? Zaraz...



Carlos okręca się, porywa ze stolika ogryziony ołówek i wolną ręką zapisuje rządę cyfr na brzegu pierwszej strony „New York Timesa”.

– Jak dalej? Już mam. Świetnie, zaraz zadzwonię. On też mógłby się czasem odezwać. Co on tam robi? Jasne, pewnie, sam go zapytam. Nie, nie. Pytałem, bo wiem, że pani się dobrze zna z jego mamą... Co? Dlaczego? Aha. No, no. To co, ja będę kończył... Tak, tak, będę uważał. Nie, ale co ja zrobię... Dziękuję w każdym razie... No, tak. To, pani Marleno... No, do widzenia!

Carlos odkłada słuchawkę i z szelestem srebrnobiałego kombinezonu pada na łóżko, a potem zaraz zrywa się i podchodzi do parapetu. Zapałka parzy go w palce i rozplomienia luźne włókienka tytoniu sterczące z rozprutej bibułki. Carlos kaszle i zaciąga się jeszcze raz, a potem niepewnie zerka na telefon. Biała ręka sama wyciąga się do zimnej słuchawki.

Pi-pi-pi-pi-pi...

– *Please dial „one” before selecting the area code. This is a recorded message. Please...*

Pi-pi-pi-pi-pi...

– Halo? Yyyy... *Est-ce je...* Yyyy... A, to ty, koleżanko! Jak to, kto mówi? Ej, Michalina, kolegi z ławki nie poznajesz? No, Carlos... Nooooo. Co ty tak po francusku do mnie? A, nie wolno w Quebecu inaczej? Wiem, że dawno nie dzwoniłem. Świnia jestem, też wiem. Zgubiłem numer. Ale jak tam? Nie, trochę kanał, ale jakoś się plecie. Ty, nie zgadniesz, kogo dziś spotkałem... Małe miasto, mówię ci... A ty jak tam? Ojciec dalej ma szklarnię? Jak to? Ale jaja. Ty, słuchaj, jest Gipson? Podobno u ciebie mieszka, mam gratulować? Gdzie to jest, nad tobą? A, rozumiem... I kto to odśnieża?... Ale sama chcia-

łaś do Kanady. Co? Dlaczego Quebec to nie Kanada? A ja myślałem... Nie, no co ty... Ale słuchaj, masz jak zawołać tego Gipsona? Niby jak, „wyskoczył po papierosy”? Tak się mówi, jak się chce z domu dać w długą... Ty, pracuję tu z takim jednym, mówił, że w Polsce żona go nie puszczała na krok, wiedziała, że coś się kroi... Po papierosy do kiosku też nie... I wiesz, jak ją podszedł? Szły święta, był grzeczny, nic nie tego, i powiedział jej, że wychodzi po choinkę. Że z dziećmi będzie zaraz ubierał i w ogóle. Głupia musiała być baba, mogła wysłać za nim te dzieci, żeby miały oko... Jak podszedł... Za trzy miesiące dostała od niego widokówkę ze Statuą Wolności. A może Empire State Building, erekcja taka skalna w każdym razie... To kiedy Gipson wróci? Może ja za kwadrans zadzwonię, jak już przyjdzie z tymi fajkami? Jak? Przez który rezerwat? Ten sam, co to ja?... Tak? To ile tych fajek ma przywieźć? Czemu ciężarówkę? Na zapas? Ale dlaczego nie możesz mówić? Tu jest wolny kraj, nie? Nie? To zaraz... Aha, i może do ciebie przekreślić z tamtej strony? Aha, zawsze dzwoni? Aha, to jeszcze lepiej, świetnie, to mu powiedz w takim razie, żeby zaraz zadzwonił tutaj, albo nie... Nie, inaczej, najlepiej, jak już będzie po tej stronie, niech zadzwoni i od razu siada w Greyhounda, tam musi być jakieś miasteczko z autobusami, na każdym filmie było... Jak? Plattsburgh? Niech siada w Greyhounda w tym Placburku i wali prosto do Nowego Jorku. Co, osiem godzin? Nieważne, aha, i nim wsiądzie, niech ci powie, o której tu będzie. Czeka, zostawię ci mój adres i telefon. Zaraz... Aha, telefon tutaj to jest tak: kierunkowy dwieście dwanaście, a numer... Niech przeczytam... Najpierw sześć sześć sześć... Nie, serio, taka dzielnica... A dalej... Zapisłaś? Adres, zaraz... Kurczę, ja nie wiem, jaki tu jest adres. Nie, nie dzwonię od siebie, to zna-

czy... Zaraz... W każdym razie to na West Sto Trzynastej czy Czternastej, na rogu Broadwayu. Niech siada i przyjeżdża, ja go znajdę na tym rogu... Ja jeszcze do ciebie zadzwonię w takim razie. Jak coś, to tu jest maszyna, niech się nagra, bo ja muszę zdybać taki jeden statek... Uhu. Uhu. Powiedz mu, że, no, że jest sprawa. Dyzio może ma dzisiaj być, tak, naprawdę, no i że jest impreza. Może też się byś... Jaki narzeczony? Zaraz, myślałem, że mieszkasz z Gipsusiem... Co, to on u ciebie mieszka? Nie, ale zaraz... Francuz? Nie, no przestań świntuszyć, nawet nie chcę o tym słuchać... Ty, muszę kończyć. To jak się odezwie, to wiesz... Niech ci tylko powie, o której mam go spotkać na Port Authority. Tak, tak, wyjdę... A u ciebie wszystko gra, Michalina?... Aha, Lidka do ciebie nie dzwoniła? Co ty, do mnie też nie, w ogóle... Nieważne. No, buzia!

Carlos podnosi ze stolika oderwany przedni odcinek papierosa, starannie odrywa filtr od niedopałka w puszcze po filmie, osadza krótki kikut w kołnierzu zbrunatniałego filtra i trzaska zapalką. Wystrzępiony papieros strzela płomieniem. Carlos staje przy oknie i przez minutę patrzy na ślepy mur, jak gdyby ceglane powierzchnie były pismem, werseta-mi miejskiej księgi, która jednak zamiast słów nadziei powtarza tylko po milionkroć krótki, zimny katechizm: beton, żelazo, asfalt, cegła, zaprawa, sadza, kurz, beton, śmieci, urwana firanka, zamazana szyba, beton, cegła. Nieba nie widać, tak jak nie widać dna podwórka. Za plecami Carlos ma ciasny cudzy pokój, zasłany rozwłóczonymi koszulami, pełen otwartych książek w papierowych okładkach, z biurkiem, na którym kłębią się zwoje szesnastomilimetrowej taśmy jak czarne jelita ryby z nadoławskich bagien. Carlos opiera czoło o zimną, dygoczącą szybę i na próbę dotyka za-

kurzonego szkła czubkiem języka. Ostatni raz był na rybach cztery lata temu, kiedy został już ojcem, okropnie się zaziębił. I kichał później, jak mógł najciszej, żeby nie obudzić małego. Cztery lata, dawno.

Carlos prostuje grzbiet, by ostatni raz zaciągnąć się resztką papierosa. Jego oczy są zupełnie suche. Pod zwojami filmu na biurku leżą maszynopisy i wydruki komputerowe. Carlos włącza skrzekliwe plastikowe radio i przez chwilę szuka ulubionej stacji. Kiwając się w rytm frazy, na którą czekał od kilku dni, rzuca okiem na gruby magazyn literacki z datą *Fall 1986* na okładce i otwiera stronę na: *It is no fiction, then, that the Low Meadows Street has its beginning among a cluster of squat, six-story tenements, built a century ago by Kaiser bricklayers. The inner yards, once concealed behind a maze of gates and gangways, gape open now. The peeling facades are all pockmarked: four decades before, splinters of metal moving through dust and flame at high velocity tore the plaster to its dry quick...* Carlos wzrusza ramionami, ciska magazyn pod biurko, wypija szklanekę wody z kranu i mlaska, bo woda z odległych o sto mil gór Catskill jest naprawdę świetna, a potem patrzy na zegarek. Wieloczynnościowe casio, kupione u Latynosów na Czternastej („no, kurza melodia, z kurantem i dopalaczem!”, pochwalili koledzy z ekipy), pokazuje dziesiątą dwadzieścia, piętnaście pełnych sekund i czterdzieści sześć setnych następnej. Do południa jest jeszcze trochę czasu.

Carlos jeszcze raz rozgląda się po cudzym wnętrzu, ale na próżno. Ani jednego zdjęcia. Notatnika z adresami też ani śladu. Carlos zasuwą zamek i zaraz rozsuwa go znowu, wysuępuje się z objęć srebrnobiałej tkaniny i staje przed ścienną szafą z ubraniami. Garderobę gospodarza projekto-

wał chyba Henry Ford, wszystko czarne, poza jednym na oko europejskim, błękitnym pulowerkiem w żółte rybki i fabryczne kominy. Carlos pożycza sobie odkryte na dnie szafy czarne spodnie, dockersy, i na własną koszulkę z napisem WHITE EAGLE EPICUREAN DELIGHTS, pamiątkę z parudniowej fuchy w polskich delikatesach na Park Slope, narzuca następane znalezisko, brezentową czarną kurtę z kapturem. Obejdzie się bez swetra, nawet by się zresztą nie wbił w te rybki i kominki. Główny guzik dockersów napręża się, ale wytrzymuje. Carlos maca się po kieszeniach, z zachwytem odkrywa dwa banknoty dolarowe i trzydzieści pięć centów drobnymi. O, i nawet jeden żeton na kolejkę podziemną.

Zwinięty srebrny kombinezon łąduje na razie w plastikowej torbie obok łóżka. Carlos wtyka głowę do mikroskopijnej łazienki, której żółte kafelki z paskiem w czarno-żółtą szachownicę nadają wnętrzu wygląd skamieniałej i wywróconej na lewą stronę zwykłej tutejszej taksówki. Pstryka mizerna lampka nad umywalką. W lustrze nadal to samo: przekrwione oczy, nieporządna szczotka wąsów, śniada cera, która w tym świetle wygląda jak lekko przybrudzona ziemia, wręcz zielonkawa. Carlos wzdycha, gasi radio, bierze klucze z półki, chwilę mocuje się z zamkiem i raz-dwa pokonuje kolejne zakręty wąskich schodów. Na ulicy bez oglądania się mija plac budowy, a ściślej przebudowy, gdzie jego brygada nadal patroszy zakitowane azbestem wnętrze dawnej kotłowni, szerokim łukiem omija czarne widmo chrapiące na płacie tektury przy schodach i znika w jamie, nad którą para żeliwnych słupów z zielonymi kulami lamp i napis DOWNTOWN ONLY zwiastują zejście na peron kolejki.

Carlos zbiega po dwa i trzy pokruszone stopnie naraz, płynnym łukiem omija stracha na wróble, który wyciąga

ku niemu rozczapierzoną dłoń i błagalnie patrzy mu w twarz, wciska złoty ze srebrnym środkiem żeton w szczelinę i wpada na peron dokładnie w chwili, kiedy w huku żelaznych kół, w łomocie buforów przelatują wzdłuż peronu pierwsze srebrne wagony. Huk pociągu głuszy melodię *Always*, wyśpiewywaną zgrabnie przez kolejnego, peronowego już żebraka, w jednej chwili wypełnia cały duszny grobowiec stacji i przez kratki wentylacyjne wysoko nad torami wzbija się nad poziom ulicy, płosząc szare gołębie, które przed chwilą przycupnęły jak stadko czujnych szczurów przy krawężniku, rozdziobując gnijące czerwone owoce. Gołębie i huk wzbijają się nad kolejne piętra, gdzie cichszy już zgiełk ulicy miesza się od góry z coraz wyraźniejszym wizgiem pasażerskich odrzutowców, co pół minuty przeciągających niewidzialnym korytarzem w stronę La Guardi. A na południu, w dole Hudsonu, po stronie, z której nadciągają kolejne airbusy, widać nawet stąd, z wysokości stu i dwustu metrów, jak do kamiennych osypisk pośrodku długiej wyspy przybliża się biały sarkofag wycieczkowego transatlantyku.

#### W każdym porcie po torcie

Z odległości dziesięciu kroków, za brudną panoramiczną szybą nadbrzeżnej poczekalni, okrętowa biel ujawnia wszystkie swoje skazy, guzy nitów, rdzawe zacieki, martwą chropowatość, przywodzącą Carlosowi na myśl odwieczny osad na dnie muszli klozetowej w krzyckim mieszkaniu jego mamy, na szóstym piętrze gierkowskiego bloku. Carlos studiuje burtę wycieczkowca od dwóch godzin, odwrócony plecami do niskiej sali, gdzie w łunie pomarańczowych ja-

rzeniówek kolorowo odziany tłum pasażerów, idący od budki z napisami NO ENTRY IMMIGRATION, miesza się z oczekującymi, z kierowcami limuzyn ściskającymi w śniadych dłoniach kartoniki z wypisanymi nazwiskami. Carlos nie boi się, że przegapi zejście Dyzia, bo strumyczek schodzących z pokładu na rampę przystani nad Hudsonem jest nadal cieniutki. Poza tym na orkiestrę i tak przyjdzie poczekać, pasażerowie mają pierwszeństwo, i słusznie, bo większość z nich wygląda, jakby za chwilę miała się rozlecieć, opaleniżna na ich pergaminowej cerze wygląda nieprzyzwoicie, jak olejna farba. Przeciętny wycieczkowiec jest chyba po osiemdziesiątce. Carlos odwraca wzrok od kraciastych marynarek i różowych elastycznych spodni i rozdrażniony decyduje się na zakup, o którym marzy od półtorej godziny. Arabski kioskarz najpierw udaje, że nie rozumie, lecz wreszcie do paczki papierosów dorzuca – należące się przecież – darmowe zapalniczki. Carlos odwraca się i zaczepia nogą o stertę „New York Newsday”. Gazety rozsypują się wachlarzem. Carlos wzdycha i poganiany złym wzrokiem Araba zgarnia je do kupy, a kiedy podnosi głowę, słyszy swojskie słowa:

– Ej, ale powoli, panowie, powoli, nie róbmy bydląt!

Carlos uśmiecha się i niecierpliwie czeka, aż zza pleców pierwszej grupki klezmerów w identycznych jasnych garniturach wynurzy się znajoma okrągła gęba. Chyba jeszcze okrąglejsza niż dawniej.

– Dyzio! Dyzio, ej!

– Co „ej”?

W następnej sekundzie robią już niedźwiedzia, Dyzio jednym łapskiem, bo chociaż puścił wózek z bagażami, nie wypuszcza z dłoni ucha od nowiutkiego futerału saksofonu.

– Ej, masz klej? – kończy kwestię Carlos i uśmiecha się jeszcze szerzej. Do Dyzia dobijają pozostali bigbandowcy.

– Salcesonista, kolegę spotkałeś?

– Ty masz szczęście, bracie.

– Pewno, w każdym porcie po torcie... – mruczy Dyzio i szybko przedstawia przyjaciela, a potem dłuższą chwilę naradza się z typem o urodzie fryzjera, do którego wszyscy zwracają się per Alek. – Ty, to co robimy? – odwraca się do Carlosa.

– Wiesz, może byśmy tak gdzieś usiedli. Albo pochodźmy, poziedzajmy – podsuwa tamten.

– Alek, to jaki plan? – pyta Dyzio szefa orkiestry. – Gdzie ten nocleg mamy, w Radissonie, tak?

– Jak masz sałatę, pędź do Radissona, młody – gasi go kapelmistrz Alek. – Nocleg jest w Edisonie. Czterdziesta Siódma i coś tam... Cholera, żeby nie te badania lekarskie dla armatora, można by już dzisiaj wieczór lecieć do starej.

– Bo tu kolega chciałby mi miasto pokazać...

Pertraktacje trwają krótko: Dyzio w ślad za innymi muzykami ładuje dwie plastikowe walizki, dwie nylonowe torby turystyczne, neseser i pudło z wieżą stereo na tył mikrobusu, z ociąganiem wręcza Alkowi paszport („Dobra, ja wiem, że tylko na przechowanie”) i prawie z rozpaczą powierza futerał z saksofonem starszemu gitarzyście.

– Żebyś mi nie zgubił, Jarek, co? Bo to dwa tysiące dolarów, yamaha.

Gitarzysta, suchy czterdziestolatek, patrzy na niego zmęczonymi, podkrążonymi oczami. Kiedy gramoli się do mikrobusu, sprawia wrażenie ciężko chorego.



– Nie bój się nic, księżniczko afgańska. Przechowam ci konewkę. Tylko się nie upij – dorzuca i uśmiecha się smętnie. Wygląda, jak gdyby miał już dość podróżowania.

Po chwili mikrobus, spory, szesnastoosobowy ford, wysuępuje się spomiędzy dziesięciu srebrnych autokarów Academy Travel i znika w zimnym smogu Dwunastej Alei. Dyzio i Carlos odprowadzają wóz wzrokiem aż pod lotniskowiec-muzeum, a potem ruszają w drugą stronę, bo zamiast zjechać windą na poziom jezdni, zaczynają marsz długą i nagle pustą rampą dojazdową terminalu na północ, w górę rzeki, pod zimnym niebem, w samo dojmująco zimne południe, a za ich plecami kiwa się przy kei biały ogrom statku, jak gigantyczne pudło kuchennej zamrażarki, która za chwilę połknie kolejną partię siniego mięsa, by zabrać je w bujne zepsucie tropików, w duszne mikrofalowe gorąco, pod karnewałowe niebo prosto z reklamy linii wycieczkowych na czwartym i siódmym kanale TV. Carlos sięga po nieodpieczętowane papierosy. Dyzio, także opalony i nabity statkowym żarciem jak tropikalny tucznik, kręci przecząco głową i ogląda się jeszcze przez ramię.

– To yamaha, wiesz? Dwa tysiące dolarów, stargowałem na dziewięćset. Samograj, bracie.

I Carlos, zaciągając się zimnym dymem, słucha teraz morskich opowieści, pocztówek dźwiękowych z Antigui, St. Croix, Wysp Zawietrznych i Nawietrznych, Malediwów i Lakadiwów, a także fiordów Alaski – bujnych gawęd przepłatających się z zawiłą relacją o karaibskich kursach wymiany, o meksykańskim rynku podrabianych zegarków movado: – Reszta ekipy zamiast czarnego movado ze złotą tombakową kropką na cyferblacie kupowała sobie rolexy, wyszło im aż dwadzieścia pięć dolców, nie piętnaście, niby drożej,

ale rolex to zawsze rolex – o różowych kolanach i truskawkowych włosach norweskich pokojówek ze statku, o sprośnych obyczajach greckich oficerów i filipińskich stewardów, o płetwach rekina i zupie z tychże, i o kłarneciście, który zawsze wszystko równo pochrzanił, mówił, że jest flecistą i nie bardzo umie na kłarnecie, ale na szczęście mało kto wśród okrętowej publiczności umiał się zorientować w tych kiksach, za to Alek, kapelmistrz, wkurwiał się jak małpa z Indonezji...

– To co, popływałaś sobie? Dwa lata, tak? Dużo grania?

– Dużo, ile chcesz, tylko... Bo, wiesz, na takie kruzy to się wybierają sami emeryci. Garują całe życie świątek, piątek i niedzielę, a potem, jak już są nad grobem, to się wypuszczają zaszaleć. Dansingi były najgorsze. Chłopaki mówiły mi przed wyjazdem, że jadę grać dla trupów, ale nie łapałem, musisz sam zobaczyć. Taka osiemdziesięciolatka w srebrnej sukni bez pleców podchodzi do ciebie w przerwie i mówi: „A może zatańczymy *Continental, dear*”, a ty dałbyś słowo, że babcia ma już na tych gołych plecach plamy opadowe... Uśmiecha się, to jej majtki razem z pieluchą podjeżdżają do góry. Ale nic, cały dzień aerobikują, a wieczorem swingują wszyscy, aż im sztuczne szczęki klekoczą... Co tydzień nowe dziadki. Najpierw Australia i Pacyfik, w końcu Miami, Panama, Puerto Vallarja, ale ciągle ta sama historia. Świra można dostać. Nic, tylko by podrygiwali. Dla trupów grałem. Statek umarłych, nie kabaret.

– Faktycznie. Nie jest lekko – podsumowuje cicho Carlos.

– A ty co tu właściwie robisz? – pyta nagle Dyzio, kiedy przebiegają na czerwonym świetle wszystkich dziesięć pasów jezdni i zatrzymują się zdyszani koło przepastnej bra-

my wjazdowej do bazy śmieciarek przy Pięćdziesiątej Ósmej. Za nimi mruga napis ZUMBACH, szczerzą się niklem luksusowe samochody na wystawie salonu. Korzystając z czerwonego światła, dwaj cwaniacy z Dominikany próbują wciskać kierowcom ohydne chińskie misie z zielonkawego pluszu.

– Ja? O, zbieram na taki samochodzik jak ten. Na saba. Syn mnie prosił.

– I co, dużo uzbierałeś? Twój mały ile ma lat?

– No, na razie mam trochę długów, ale... Prosił mnie, więc sam rozumiesz.

– Nie, ale poważnie.

– Poważnie... Różnie jest. Ale się w końcu uda... To co, jutro lecisz? PanAmem?

– A skąd wiesz?

– Twoja mama mi dziś mówiła, bo dzwoniłem.

– O, i co u niej? A, zresztą... pojutrze mi sama opowie. Ostatni raz dzwoniłem do niej chyba z Curaçao. – Dyzio sapie, bo wspinają się wciąż po pochyłości, na grzbiet wąskiej wyspy, mijając kolejne aleje niskich kamienic, kin porno, zaciągniętych żelaznych żaluzji, murów w konwulsjach graffiti. Idą między coraz wyższe termitiery, których wejść pilnują mrówki-wartownicy w mundurach z lampasami. – Bo ja wracam, wiesz? – dodaje prędko Dyzio i zerka na czarną kurwę, dygoczącą w siatkowych pończochach i w mini.

Wychodzą nagle z zachodniej dzielnicy prosto na dno wąwozu zbyt wysokich domów, w dolinę miejskich cieńni, gdzie z monochromatycznością tła kontrastują tylko kiście dojrzałych bananów na wózku ulicznego sprzedawcy, mamroczącego głośno pod niewiadomym adresem: – *One dullah, one dullah!*

– To jak ci tu, w ogóle?

Carlos wzrusza ramionami i pociąga Dyzia za ramię ku brudnym schodom przy Columbus Circle. Ten rzuca ostatnie spojrzenie na odległe nagie drzewa Parku Centralnego po lewej, szkielet neonu na Essex House, wąż dółnego odcinka Broadwayu, ruszającą spod ulicznych świateł kawalkadę żółtych taksówek i już chyba tylko dla podtrzymania konwersacji zauważa:

– Bardzo tu tak... wielkomiejsko.

Ruchome schody unoszą ich betonową platformę przy budce z żetonami. Carlos maca się po kieszeniach. Papierosy i trzydzieści pięć centów bilonem.

– Co, brakło ci? Nic się nie martw, ja dzisiaj stawiam!

– Dyzio klepie się pulchną łapą po specjalnej kaburze na pieniądze, zmyślnie ukrytej między pulowerkiem a pachą jasnej marynarki. Zwilża palce i mozolnie odlepia z cienkiego zwitka jedną studolarówkę. – Masz, nie wiem, po ile tam...

Carlos, miętosząc studolarówkę, pochyla się nad okienkiem, lecz za chwilę odwraca się zmieszany, odchodzi na bok i rozkłada ręce.

– Co, nie chcą wziąć? Czekać, ja z nimi pogadam – podnieca się Dyzio. – Halo, o co chodzi, sto dolarów USA, w najlepszym banku na Antylach mi zmieniali. Co jest?!

Gruba Murzynka z budki mówi prędko coś, czego zupełnie nie słyhać przez kratkę otworu. Carlos tłumaczy koledze, dlaczego nowojorskie kasy i sklepy nie przyjmują studolarówek, chyba że od japońskich turystów.

– Fałszywe? Jak to, fałszywe! Rozmienić też, kurwa, nie mogą? Bo ja...

– Wiesz, co? Chodźmy! – przerywa mu Carlos i ciągnie Dyzia z powrotem na piszczące ruchome schody. – Przej-

dziemy się, pokażę ci Broadway! A tę stówę to schowaj. No, więc... Ej, kretynie! Nie na ulicy!

Dyzio upycha pod połą marynarki skórzane olstro i upewnia się z przejęciem:

– Tu naprawdę jest taka przestępczość?

Carlos opowiada mu anegdotę za anegdotą i nawet nie zauważa, kiedy zaczyna machać rękami. Kiedy jest przy najciekawszym momencie, czyli przy tym, jak jego znajomy w toalecie McDonalda na 125 Ulicy – a może to był Burger King? W każdym razie w Harlemie, nie? – znalazł na umywalce ludzki palec, Dyzio sam wyciąga paluch ku niebu nad Lincoln Center i zauważa beztrąsko:

– O, sterowiec!

Carlos wzdycha. Dyzio wciąga go do koreańskiego warzywniaka za Lincoln Center, rozmienia wreszcie swoją setkę i wynurza się z dwoma wysokimi puszkami amerykańskiego piwa w dwóch osobnych papierowych torebkach. Upija łyk, wzdyga się i warczy:

– O, Boże, co to jest?

Dopijają prędko budweisera i spluwają, a potem w pogoni za mniej syntetycznym smakiem w następnym warzywniaku kupują dwie butelki grolscha z porcelanowymi kapslami i skręcają na nadrzeczny bulwar. Zimne piwo parzy im gardła na mrozie. Uch. Carlos ocenia resztę pieszego szlaku na siedem piw, osiem – zależy, jaki Dyzio ma spust. Ale nie będzie lekko.

## Tom's Diner

Wesoły kondom sterowca z reklamą GET MET widać o tej porze także z chodnika przy Broadwayu, czterdzieści

przecznic na północ. Anglik zagadał się na ulicy przed gar-  
kuchnią zwaną Tom's Diner z Aną i Patrykiem, którzy u To-  
ma żywią się nieprzerwanie od paru miesięcy, właściwie już  
na zasadzie odruchu. Rodzice Any to kubańscy emigranci,  
a Patryk z kolei jest Anglikiem, tak samo jak Anglik, chociaż  
ukończył Oksford, nie Cambridge. Poznali się przypadkiem  
jakiś czas temu. Wchodzą razem do środka, zamawiają, kto  
bi-el-ti, kto cheeseburgera, kto makaron z roztopionym żół-  
tym serem, najtańsze tutaj danie oprócz szklanki zimnej wo-  
dy, która jest za darmo. Patryk i Ana, doktoranci, siadają na  
czerwonym skaju, leciwa latynoska kelnerka jeszcze raz wy-  
ciera laminatowy blat i zabiera jadłospisy. Na ścianach Toma  
wiszą oprawione wycinki z gazet, nawet szwedzkich,  
opisujące bar, o którym na swojej drugiej płycie śpiewała  
absolwentka pobliskiej żeńskiej szkoły wyższej. Płyte od-  
twarzały przez parę tygodni wszystkie stacje radiowe świa-  
ta, nie wiadomo dlaczego, bo tutejsze obiady śmierdzą starą  
ścierką, a jarzeniówki powlekają twarze i talerze niezdro-  
wym światłem. *Pim-pa-ram-pam-I-am-sitting-in-a-diner...*

W głębi Sto Dwunastej zaczyna bić zegarowy dzwon  
wielkiej katedry, już pierwsza. Siedzący za Patrykiem i Aną  
czarny listonosz, który widać obszedł już swój rewir i za-  
parkował wózek z resztą poczty pod okiem portiera w we-  
stybulu domu naprzeciwko, zamawia kanapkę z pastą rybną  
i dwie kawy z mlekiem, a potem otwiera gazetę na sprawoz-  
daniach z wczorajszych meczów NBA. Dominikańczyk przy  
kasie zagłębił się w lekturze „Noticias del Mundo”. Anglik  
zerka na śniadą Anę, która w odległy sposób przypomina mu  
kogoś, z kim niedawno rozmawiał przez telefon. Głośno za-  
stanawiają się nad metafizycznością nazwiska Bergman. Bo  
czy *Siódma pieczęć* to naprawdę lepszy film niż *Casablanca*?

Z Patrykiem i Aną Anglik ma się znów zobaczyć za godzinę, na seminarium z wampiryzmu, ale na razie płaci swoją część rachunku, zostawia drobne na piętnastoprocentowy napiwek i wychodzi na zewnątrz. Powinien jeszcze zajrzeć do domu, więc omal nie wpadając pod srebrną ciężarówkę z napisem MR. MUSHROOM, przebiega jezdnię i przy drzwiach 112 Café natyka się na Christine, ostatnią osobę, którą chciał dziś spotkać. Przystają pod zatartym napisem z przestrogą dla grzesznych i Anglik w myślach gratuluje sobie po raz setny, że pół roku temu, zanim poznał Zoe, kiedy spotkał krótko ostrzyżoną, piersiastą blondynkę z wydziału dziennikarstwa, nie poszedł z nią do łóżka. A tym by się pewnie skończył tamten wieczór, gdyby wcześniej Anglik nie objadł się nieświeżą sałatką z krewetek. Christine też przed chwilą zjadła lunch, mały albo duży, kalorie nie są istotne, bo Christine jest chuda jak chart, często biega w nadrzecznym parku i na szczęście ma inne kłopoty niż tusza. Zapatrzony w jej dekolt w rozchyleniu flanelowej koszuli, Anglik wbrew sobie wraca myślami do smętnej historii Christine, która przyjechała z Salem pod Bostonem. Jej przodkowie, w wysokich czarnych kapeluszach, wieszali pewnie czarownice. Rodzice z kolei chcieli, żeby Christine z wyróżnieniem skończyła dobrą uczelnię, a potem następną... – Ale w Nowym Jorku zrozumiałam, że do czegokolwiek się zabiorę, zawsze, zawsze się znajdą lepsi ode mnie. Zawsze, zawsze! – podkreśla gestem Christine, a spod kraciatej flaneli wychyla się obandażowany przegub. Anglik uważa, że Nowy Jork czy rodzice to tylko złudzenie, że winien jest zwyczajnie diabeł. Dziś Christine jest na szczęście spokojniejsza, opowiada tylko bardzo szybko i co rusz z lękiem spogląda na Anglika, jak gdyby się bała, że go nudzi, albo że to, co mówi, nie jest na

poziomie. Po paru chwilach umawiają się, że zadzwonią do siebie.

– *Take care.*

– *You too.*

Anglik przebiera nogami, mija okna Daigaku, gdzie nad zimną rybą, opiekanymi rączkami w lakierowanych skrzynkach i sosem sojowym z zielonym chrzanem pochyla ją się dwaj japońscy chłopcy w garniturach i dziewczyna, też Japonka, w granatowym kostiumiku, pewnie ze szkoły biznesu. Przechodzi obok zakładu fotograficznego i drogerii, mówi „Cześć” dwóm lesbijkom, które poznał jakiś czas temu w zadymionym bufecie w Marlinie, i jak zwykle skręca obok kościółka obleganego przez blekotliwy tłum głodnych schizofreników – zabłąkanych spadkobierców pomysłu stanowych władz, by opróżnić szpitale psychiatryczne i pozwolić pacjentom na własną rękę znaleźć drogę powrotu do społeczeństwa. Na razie łagodny, brudny tłum ciśnie się do drzwi kościelnej stołówki, a potem się zobaczy, potem przyjdzie pora na wykarmioną cukrem, skrobią i silnymi lekarstwami nową, zaskakującą wizję. Jeżeli ich Bóg istnieje, jest na bardzo silnych prochach.

Wieje wiatr. Wariaci opatulają się kocami i zawojami, trzęsą się gliniarze objuczeni latarkami, kajdankami i rewolwerową bronią krótką, u Toma bufetowy po raz setny przeciera kontuar. Anglik wbiega po swojej serii schodków, przekręca klucz, orientuje się, że Carlos gdzieś wybył, ciska na biurko dwie puszki ze świeżymi skrętkami, nad którymi siedział rano w montażowni, zbiera do torby książki i kserokopie, pije wodę z kranu, zasuwą środkową szufladę komody, w której trzyma spodnie, odkłada na stertę przeczytany egzemplarz „New York Timesa” i znów wybiega na ulicę,



uświadamiając sobie po drodze, że nie sprawdził nowych wiadomości na automatycznej sekretarce. Trudno, szkoda czasu. Dobrze, że przynajmniej nie zapomniał zabrać gętkiej dyskietki z pierwocinami scenopisu i pudełeczka, które wczoraj wcisnął mu Jake Finkelstein. W pudełeczku po cukierkach tic-tac grzechocze pojedyncza różowa tabletki. Drobiazg w sam raz na taki dzień jak dzisiaj.

## Seminarium

Niebo tymczasem posiniało. Anglik nie lubi tego nieba, które jest zbyt wysokie i zbyt dramatyczne, za mało też na nim pyzaty obłocznych defilad, do jakich przyzwyczajają przestworza na południu Anglii. Na wielkim dziedzińcu uniwersytetu nie ma dziś prawie nikogo. Parę chwil później Anglik ogląda już to samo niebo z wyższej, dwunastopiętrowej perspektywy. Wielkie okna salki seminaryjnej wychodzą na bezkres szarych i czarnych dachów, ruiny Harlemu ciągną się od stóp uniwersyteckiego wzgórza aż po stadion Yankees na Bronksie, za tasiemcem autostrady Deegana. Co chwila miga kolejny blaszany odrzutowiec, jak fruująca rura kanalizacyjna, za to sterowiec gdzieś zniknął. Może odleciał na swoje Teterboro? Wszyscy już są, rozpakowali torby i plecaczki, wyjęli mazaki, rozłożyli papiery z notatkami. Choć to już ósmy tydzień zajęć, Anglik nie przestaje się czuć nieswojo wśród tej grupy, która w przeciwieństwie do filmowców, kultywuje indywidualną szajbę, nie grupową. W obramowaniu najbliższego okna Anglik widzi piękną Nancy Gagnier, z czerwoną krechą markującą wargi na bardzo białej, szczupłej twarzy. Leworęczna magia, zapadnięcie się w niebiański, lecz zarazem chyba wręcz wężowy spokój, cała Nancy.

Obok siedzi druga kobieta, o twarzy zeszpeconej dziwnym zezem i naznaczonej wiotczeniem tkanek. Zwiastun zmian, które przyjdą naprawdę za dwadzieścia lat, czy może znak wewnętrznych procesów, o których lepiej głośno nie wspominać? Obie, Nancy i ta druga, są w czerni, lecz jako znaki nie przedstawiają nic prócz siebie samych, w kosztownej tautologii. Pierwsza czyta wyjęte ze stosu notatek nuty, cały czas trzymając dłoń między udami. Druga po swojemu patrzy w sufit i nie notuje, choć trzyma blok przed sobą, przesuwając tylko raz po raz czubkiem palca po krawędzi ostrych zębów. To nie są niewinne gesty.

– Zgłębiając te rozdziały, stajemy u samych źródeł niezliczonych opowieści o wampirach kobiecych i męskich, opowieści, w których wiarygodna transylwańska anegdota jest tylko pretekstem mającym nas zwabić do lochu, między lepkie pajęczyny seksualnej podświadomości Zachodu... – zaczyna z przejęciem, czytając z kartki, blady student, któremu dziś profesor powierzył wprowadzenie do zajęć. Przez uniesione lekko w górę okno wpada nawet tu, na dwunaste piętro, jazgot klaksonów i zniekształcone echo megafonu z dziedzińca, gdzie kolejna grupka entuzjastów demonstruje w obronie fok, delfinów, a może Litwinów? Powierzchnia mlecznych kloszy wielkich lamp niczym zamglone zwierciadło ukazuje zmrużone, okrutne oczy zebranej wokół stołu piętnastki.

Anglik siedzi tym razem między Neilem, australijskim filozofem, a Beth, która ma piegowate plecy i z sobie wiadomych, jak na Amerykę niezwykłych powodów nie nosi stanika. Beth ma małą, kształtną, gadzią czaszkę i nieustannie skubie wargę, a kiedy pisze, jak Joyce kuli się w znak zapytania, przez co na oczy spada jej grzywka rudawoczarnych

włosów, przeszkadzając jej stawiać znaki. Beth jest niewielka, jej oczy pod zaskakująco długimi rzęsami mają porcelanowy połysk. Beth, chudy kot, przynajmniej w zestawieniu z wesołym, psim nosem siedzącej obok niej Morgan.

– Myślę, że powinniśmy na renesans wampiryzmu spojrzeć w kontekście historycznych zmian, jakie w kilkadziesiąt lat po buntach Ludytów uczyniły rewolucję przemysłową procesem, zgódźmy się, nieodwracalnym – chrypi tykowany siwy profesor, z pasją zaciągając się pall mallem bez filtra. Przeciwnikom swojego palenia w czasie zajęć proponuje zwykle samotną przechadzkę po świeżym powietrzu. – Bram Stoker, Poe i autorka *Frankensteina*, że już nie wspomnę o Conan Doyle’u, przeczuwali nadejście rządów weberowskich ekspertów. Których to rządów kulminacja, jak się państwo już pewnie zorientowali z zadanych na dzisiaj materiałów, nastąpiła za czasów Trzeciej Rzeszy.

– Ale Trzecia Rzesza, z tym swoim regresywnym esesmańskim kultem nagich męskich torsów, to była aberracja, oni zbłądzili z powrotem w średniowiecze! To nieszczęśliwy naród, tylko we Wschodnich Niemczech przetrwał jakiś pierwiastek idealizmu, tam jeszcze trwa poszukiwanie idealnej projekcji libido w przyszłość. Jeżeli wchłonie ich kiedyś Zachód, cały ten przemysłowy idealizm płci przepadnie, zastąpi go natychmiast turystyczna prostytutka Club Med czy Bangkoku – podnieca się niewysoka dziewczyna z twardym północnoeuropejskim akcentem. Jej brudnobiała koszulka z napisem ATOM-ENERGIE? NEI, TAKK dziwnie kontrastuje z chabrowym jedwabiem bluzki Beth.

Natychmiast przerywają jej inni seminarzyści. Rejwach głośzy słowa tłustego chłopca w okularach, który usiłuje przedstawić swoją teorię lingwistycznego charakteru wampiryzmu.

– Bo czymże jest jako ikoniczny symbol Transylwania? – peroruje grubasek. – Upośledzoną umysłowo przyrodną siostrą Europy czy w ogóle Zachodu, Kopciuszkiem z zespołem Downa, wariatką, którą zamknęliśmy na strychu.

– Nie na strychu, tylko we wschodniej przybudówce!

– I nie my, wszystkie takie „my” wpycha nam w usta patriariat, ten sam patriariat, który się co rusz wymyka na ten strych, żeby ją tam sobie macać! – wtrąca przenikliwym głosem Wielki Zez, która potrafi odczytać każdy tekst jako inscenizację kazirodztwa.

Neil notuje prędko, tknięty nowym pomysłem. Takich zajęć nie było w rodzinnej Australii. Milcząca Nancy Gagnier przesuwając wzrokiem po rzędkach nut i pomrukuje cichutko. Profesor dźga tępy ogryzkiem ołówka w konспект i oznajmia:

– Otóż nieistotne, czy sprowadziła tu państwa teoria, czy rzemiosło – tu skinienie szpakowatej, wystrzyżonej na języka głowy w stronę Anglika i Franco, Brazylijczyka, który zapisał się na te zajęcia, bo kręci po portugalsku rapowy wideoklip na motywach z *Tarzana*. – Najważniejsze, żeby nie tracić z oczu seksualnego charakteru całej tej figuracji! Transylwania, tak? Ale dlaczego „trans”? O jakie niedozwolone przejście tutaj chodzi? Jeżeli Dracula rzeczywiście jest parodią Chrystusa, parodią czego jest Lucy? Ta sama zarażona Lucy i ten sam Dracula, którzy zaczynają krok po kroku zmieniać w wilczą, wyuzdaną seksualnie Transylwanię sam Londyn, środek wiktoriańskiego, przemysłowego świata rozumu. Zgoda, Transylwania to *id* tamtej Europy, a może i nas samych, górską i cygańską przechowalnię demonów, które rozpoznajemy dlatego, że to nasze demony, ukryci my sami. Transylwania to miejsce, gdzie mieszka nasz strach. Seksualny i wszelaki.

– Seksualny? – zaciekawia się student Jamie, a jego pasiaste szelki zaczynają tęczyć. Anglik oddycha z ulgą, bo już się martwił, że kwas nie zadziała i tylko do końca dnia będzie mu się odbijać cukrowym różem. Niestety, bez pomocy małej chemii nie byłby w stanie wytrzymać takich dawek teorii krytycznej.

– Tak, bo jeżeli Dracula to monopolistyczny kapitał i obsesja Matki, i marksizm i psychoanaliza chowają się pod czarną peleryną, to...

– Ale kiedy Lucy wije się jak w ekstazie, w tej scenie w trumnie, kiedy Van Helsing przebija ją kołkiem i spod kołka bucha czarna krew...

– Zaraz, zabijają ją dlatego, że zaraża Londyn Transylwanią. Zwyczajny orientalizm, kolonizacja biegunów seksualnych... Idzie o to, żeby nie mieszać Londynu z bantustanem – dopowiada ciemnoskóry Rob.

Anglik się nie odzywa. Ukrył twarz w dłoniach i oszołomiony popatruje na obecnych przez szczeliny między palcami, ciepłe żaluzje, zza których może bezpiecznie obserwować splątane wokół stołu Ofelie ze źdźbłami traw w wilgotnych włosach i mężczyzn, którzy co rusz zmieniają się na mgnienie w sękaty, omszały pnie. Twarze profesora i grubaska puchną w pulsujące białe grzyby. Za chwilę wszyscy zaczną się spierać na temat czarnego kota, który spokojnych i zadowolonych z życia księgowych popycha samą swoją obecnością do zbrodni, do zadawania siekierą prędkich, niezdarnych ciosów prosto w czaszkę.

## Transylvania Station

Anglik nie przestaje myśleć o własnej Transylwanii, takiej bez karpackich zamków, borów, wilkołaczyc stad

i opustoszałych wiosek, w których zabrakło czosnku i krucyfiksów. Tamten kraj wyglądał inaczej, ale trudno. Żeby o nim tutaj opowiedzieć i zostać wysłuchanym, trzeba go najpierw zdradzić, przerobić na krwawą sztampe z celuloidowymi wampirami i dopiero wtedy spróbować mówić prawdę. Anglik miałby nawet ochotę powiedzieć wszystkim tutaj, że jeśli na chwilę przestaną się brandzlować symbolami, opowie im o swoich ostatnich dniach w tamtych stronach – nie w Transylwanii wprawdzie, niech już będzie, że w Silesii – pewnej dawnej zimy, w faktycznie wilczej porze. Działo się to na skraju Europy, lecz w miejscu nie tak rozrywkowym jak na filmach z Belą Lugosi, tylko w lutowym zakamarku pewnego złego i pustego roku, w miejscu, które zachowało się w pamięci niczym płaska wyspa, nieosiągalna, lecz znana do znudzenia. Skąd pewnego dnia uciekał zimą kilkaset kilometrów przez nocne dygotliwe rozjazdy i dźwięczące tory, gdy rzadkie zagajniki przemykały w mroku za brudnymi oknami pociągu relacji Warszawa–Wrocław–Frankfurt am Main. Jego Transylwania skończyła się dopiero za Fuldą, wiele godzin później. Uciekał najpierw najmniejszym samochodem świata na dworzec główny, z postojem w pustawym bufecie, w którym wionęło marnym tytoniem i ekspresową herbatą w wysokich szklankach. Obydwoje z Lidką parzyli sobie wargi, ale pić wrzątek było im jednak łatwiej niż rozmawiać. Lidka paliła papierosa za papierosem, a że trzęsły jej się ręce, popiół spadał jej na wypukły brzuch. A potem szarpnęły wagony, za oknem przesunął się koniec peronu, neon pedetu, potem ślepe ściany, odrapane drogowskazy, jakieś drzewka, skrzypiące plastikowe wiaty przystanków, druty, Görlitz, przemytnicy i celnicy, niewidzialny pośród nocy nowy wspinały świat NRD, Leipzig Hauptbahnhof z rosyjskimi

żandarmami na peronie, noc, pola minowe, znów druty wygrywające w zamrzniętym powietrzu melodie wstawiania rannych zórz, a kiedy weszła srebrna kula zimowego słońca, Anglik pił pierwszą od dawna kawę na dworcu we Frankfurcie i przerzucił wczorajszego „Guardiana”, czując się, jakby wstał z grobu. Za trzy kwadransy miał przesiadkę do Hoek Van Holland. Potem był prom, pociąg, a wreszcie już tylko Londyn w zimnej mżawce.

Anglik zaciąga suwak kurtki i skręca z głównej bramy kampusu w dół Broadwayu. Mijają go pierwsi przebierańcy: zgarbiona kobieta w czarnym spiczastym kapeluszu o szerokim rondzie, zamiatająca chodnik peleryną, mężczyzna-motył w sinych trykotach. To nie kwas, to zaduszkowy karnawał, dzień plastikowych szkieletów i dyń z pecewu. Na wystawie butiku z fikuśną damską bielizną także piętrzą się dynie, prawdziwe, spowite w czarną koronkę. Kiedy Anglik skręca w swoją uliczkę, jak zawsze w zimowy dzień zatrzymuje go lodowaty podmuch znad rzeki. Czyli można uznać, że zima nadeszła miesiąc przed terminem. Podmuch taki, że zaraz tu przywieje białe kanadyjskie misie. Anglik szczęka zębami, trzaska zamkiem drzwi frontowych, chwilę mocuje się z opornym zamknięciem skrzynki na listy, wpycha rachunek telefoniczny i reklamówkę biura podróży do kieszeni kurtki i już bez pośpiechu wspina się na górę, postanawiając, że tym razem zada swoje pytanie. Zada je wprost, głośno i będzie je powtarzał tak długo, aż Carlos odpowie.

Anglik zatrzymuje się raptownie tuż za progiem, bo w mieszkanku jest ciemno. Jesienią dzień prędko przestaje docierać w bezdenną studnię podwórka. Między stertami książek i nielicznymi sprzętami wibruje chrapanie, stłumione jednak, bo postać uwalona na łóżku owinęła się razem

z głową w najlepszy pled Anglika – domowy, w kratę, nie ten byle jaki, kupiony za siedem dolarów w latynoskiej tandeciarni naprzeciw Woolwortha. Anglik po omacku dociera do wnęki kuchennej i zapala małą żarówkę nad blatem. Dwa smukłe, brązowe żuki umykają pospiesznie za listwę. Anglik nalewa sobie pełną szklankę pysznej wody z kranu i nie odwracając się, zauważa:

– Bo prześpisz życie, Carlos...

Koc zaczyna się tymczasem poruszać, pączkuje z niego najpierw dłoń zdobna złotym zegarkiem z czarną tarczą, a potem głowa o pozlepianych pomadą włosach. Anglik zachłystuje się wodą, a Dyzio mruży oczy, mruga, mruży: – Mój ty Boże, co za spotkanie – okrywa się z głową i przewraca na drugi bok. Anglik odstawia na bok pustą szklankę i trze czoło, żałując już, że dał się namówić na kwasek. Fakt, że mogłoby być gorzej. Są ludzie, którzy w kłębach taśmy filmowej widzą czarne robaki. Anglik odchrząkuje dwa razy.

– *Hello again.* – I po chwili, ostrożnie: – *Is there more of you?*

Spod koca odpowiada mu bujne chrapanie.

### Port Authority Bus Terminal

Na dworze jest jeszcze jasno. Carlos przystaje pod wystawą sklepiku z pornografią, gdzie w oprawie neonowych liter XXX jeżą się kępy beżowych sztucznych członków, i zadziera głowę w stronę dalekich ramp, po których jeden za drugim jak japońskie gąsienice wpełzają do dworcowego brzucha szarosrebrne autobusy dalekobieżne o przyciemnionych szybach. Rampy sięgają piątego piętra, szóste-go. Carlos prędko liczy autobusy, kalkuluje w myślach wy-



trzymałość betonu, moduł Younga, kąty nacisku. Ósma Aleja otacza go najdelikatniejszą ektoplazmą dieslowskich spalin i wszechobecnym hukiem. Carlos rusza, uskakuje przed zieloną cysterną z napisem MYSTIC na burcie i przebiega jezdnię. Kierowane fotokomórką szklane wrota rozjeżdżają się przed nim ze zgrzytem.

Ściany otchłannego wnętrza witają go tym samym plastikowym beżem, na którego tle wiją się zielone kichy neonów, białe sztychy jarzeniówek, dym przypalanych hamburgerów. Ruchome schody chyboczą się, każdy stopień z osobna, jak krzeselka ponemieckiego wyciągu narciarskiego na Szrenicę. W górnej hali Carlos sprawdza na zakurzonym monitorze godzinę i stanowisko przyjazdu. Zdążył, wiedział, że zdąży, chociaż Gipson, dzwoniąc sześć i pół godziny wcześniej z północnych rubieży stanu Nowy Jork do mieszkania ich angielskiego kolegi, powiedział tylko:

– No, hej. Michalina mówiła, że cię tu złapię. To co, ja się zjawię. Nawet mi pasuje. Tylko mnie, kurczę, znajdź na tym Port Authority, bo inaczej zginę. Jadę za dziesięć minut. Kierowca już nawet poszedł się wysikać. Aha...

Na „aha” rozmowa się urwała. Potem Carlos popędził na przystań, a kiedy przywitali się z Dyziem i dotarli do mieszkania, gdzie osłabły nagle Dyzio wykrztusił z siebie: – Rekiny przyplłynęły – i zleął, okazało się, że prawie pora znów pędzić na Czterdziestą Drugą. Carlos okrył więc muzyka ple-dem i piechotą ruszył w dół Broadwayu. Szedł i szedł, znakiem orła torując sobie drogę wśród krawaciarzy wychodzących z pracy, dostał w łydkę kantem aktówki, potem otarł się o niego transwestyta w lokówkach, lecz oto wreszcie, godzinę i pięć minut później, Carlos staje przed metalowymi drzwiami peronu na wysokim piętrze dworca, którego przesła wibrują jak ściany glinianej wieży.

Nie czeka długo. Oprócz niego przy srebrnych drzwiach, za którymi ma się zatrzymać dalekobieżny auto-  
kar, stoi gruba Murzynka w pomarańczowym dresie i dwaj  
młodzi kolesie, jeden z kitką, drugi ostrzyżony na jeża, obaj  
w misiowych kurtkach, niegroźni, o irlandzkiej urodzie.  
Za szybą miga co chwila nowe srebrne cielsko, od ryku diesla  
dygocze poręcz, potem cisza, znów ryk, znów dygot i migot.  
Na szybę drzwi pada wreszcie podwójny snop światła, znak  
zwiastujący, że to już. Carlos nie zdejmuje jednak dłoni z po-  
ręczy, bo obaj młodzi kolesie dziwnie prędko podrywają się  
z miejsca i ustawiają po obu stronach drzwi na peron, a przy  
okazji sięgają do kieszeni, jeden po srebrną odznakę w skó-  
rzanej oprawie, a drugi po automatycznego glocka. Carlos  
nie mieszka długo w Nowym Jorku, ale wie, że zwykli gliniar-  
ze nie chodzą z glockami. Dla zwykłych gliniarzy są rewol-  
wery colt. Glocki natomiast...

Przednie drzwi autobusu otwierają się z sykiem. Wi-  
dać, jak zaskakująco szybko wyskakuje z wnętrza pierwszy  
pasażer, mały Murzynek w skórzanej kurtałce i berecie nasa-  
dzonym wysoko nad świecącym czołem. Jeden z gliniarzy,  
ten z kitką i odznaką, wychyla się zza framugi. Murzynek  
przez szybę w drzwiach pokazuje mu język i pędem rusza  
wzdłuż burty autobusu, uciekając w czeluście dworca. Taj-  
niacy patrzą po sobie, łapią za drzwi odblokowane właśnie  
przez dworcowy komputer drzwi, rzucają się w ich paszczę  
i ruszają w pogoń. Carlos, który tymczasem zdążył prze-  
pchnąć się bliżej, odprowadza ich wzrokiem, a że ustawił się  
w przejściu, zaraz zaczynają go potrącać kolejni pasażero-  
wie – ci bez bagażu, którzy nie czekają, aż kierowca odchyli  
blaszaną pokrywę schowka. Z ramp dworca płynie do pocze-  
kalni woń zastarzałych spalin i czadu, słychać ryk silników na  
pochylniach. Pusto.

Carlos czuje, że ktoś łapie go za łokieć i pociąga do tyłu. Bezwiednie próbuje się bronić i poddaje się dopiero wtedy, gdy wreszcie dociera do niego poddenerwowany szept tuż za plecami:

– Robimy spierdalanko, stary. Raz, raz.

Wmieszani w gromadę pasażerów, Carlos i Gipson drepczą w stronę ruchomych schodów, lecz w ostatniej chwili skręcają i przemykają się do przedsionka windy pasażerskiej.

– W dół?

– Do lochów.

– Dobrze, rzecze generał. Jebitnie. Ale ty...

– Ani słowa, przyjaciółko – ucina Gipson i wciska najniższy guzik. Wysiadają w brudnawej salce przy kasach Adirondacks Trails i nie spiesząc się ani nie rozglądając, wychodzą przez najdalsze drzwi, już przy Dziewiątej Alei. Znikają w szarówce, raz po raz ciętej na strzępki reflektorami żółtych taksówek pędzących im na spotkanie. Idą na północ wraz z tłumem, jak w ciżbie młyńskich kamieni. Na rogu następnej przecznicy oglądają się za siebie i uspokojeni, nareszcie robią niedźwiedzia. Potem Gipson wyciąga papierosa.

– To te, po które pojechałeś? Te, co Michalina mówiła?

– Nie, inne. Tamte były marlborasy, nie golden american... I trochę więcej. Ciężarówka.

– Ciężarówka?

– Niech ci będzie, że furgonetka. *La camionette* to po polsku będzie... Furgonetka papierosów.

– Ty żeś się rozpałił, stary.

– Nie, tylko czasem pomagam chłopakom. Jak wódz pozwoli.

– I pozwala? – Carlos zaciąga się nareszcie. Ruszają dalej.

– Aha, bo rezerwat jest na samej granicy, okraciem, tu Kanada, tu Stany. Sam wiesz, bo tamtędy szedłeś, nie? Nam normalnie wódcz nie pozwala się kręcić, ale czasami ma lepszy humor i wtedy można podjechać tą kamionetką. Furgonetką, niech ci będzie. Potem stamtąd dzwonię do Michaliny, już z za drutów, że Ciocia Kamela zdrowa, albo ona dzwoni, gdzie trzeba, że stryj Malborski już jedzie.

– I jak na tym wychodzisz?

– No, przebiecie jest. Tu u was są fajki po dolar pięćdziesiąt, a tam już prawie po sześć. To znaczy pięć amerykańskich. Tak?

– Tak. Zgadza się. A wódcz też pewnie ma coś z tego.

– Ma. Tylko że jak się nagrzej, dzwoni po GRC. Takie konne FBI. Wykopuje ten cały topór...

– Tę machawkę.

– Właśnie, i wtedy się trzeba zwijać.

– Ale teraz to nie wódcz cię gonił?

– Teraz... – Gipson ogląda się, przystaje, gasi swojego papierosa i wysupłuje z kieszeni niewielki, pękaty pakuneczek. – Nie, dziś wódcz był prawie trzeźwy. Za to w autobusie przysiadł się do mnie taki mały czarny, próbował ze mną po angielsku, ja do niego, że tylko po francusku, a ten się zaraz ucieszył i dawaj mi nawijać w *patois*, mówi, że jest z Haiti i czy jadę do Nowego Jorku, czy tylko do Albany. Ja, że do Nowego Jorku, turystycznie, mówię, tak samo jak w biurze paszportowym na Jaworowej. Cel turystyczny.

– Wtedy, coś sobie wpisał, że na wycieczkę turystyczną do Lourdes?

– Bo mogłem ich wziąć tylko na Lourdes. I tak cud, że dali. Nieważne, jedziemy, jedziemy i ten mały czarny dalej

nawija, nawija, rozmawiamy o trockizmie, a potem on się mnie pyta, czy mu mogę pomóc. Ja, że z dziką rozkoszą. *Avec un plaisir sauvage, mon ami*, a on, żebym mu przy wysiadaniu paczkę potrzywał, jak będzie brał bagaż z kufra.

– I gdzie ta paczka?

– Jak, gdzie? Tutaj – Gipson gładzi gazetowy pakuneczek.

– Aha. – I po chwili rozglądając się: – Oho. Ty, chodźmy może trochę szybciej.

– Nic się nie zmieniłeś, stary – śmieje się Gipson.

Idą kamiennym korytkiem ulic Hell's Kitchen, rozmawiają to głośno, to cicho, co pewien czas wykrzykując: – Numer! – albo: – Odjazd! – a para ich oddechów podrywa do góry strzępki wiadomości, z domu, z antypodów, komu się udało, a komu posypało, i rozpełzając się wśród drobin mrozu i smogu, unosi zdyszany, coraz cichszy komunikat między bursztynowe paciorki latarni i wyżej, w jadownicy granatowy przestwór, ten sam, który kolumną mroku zalega podwóreczko pod oknami pokoju Anglika, odcinając wnętrze od reszty kosmosu.

## Pogromcy duchów

Pokój jest kobaltowym grobem, kokonem, na którego ciemnym dnie chrapie Dyzio, a w centrum przytulają się do siebie dwa inne owadzie kształty. Trzeba by ustawić co najmniej trzy kamery, trzy jednookie siostry, żeby zapisać to, co wszystkimi zmysłami rejestruje ikonoskop mózgu Anglika. Pierwsza kamera szerokokątna, by ogarnąć. Druga z teleobiektywem i mikrowziernikiem, by wnikać. I trzecia, termoczuła, by wyłuskać z ciemności podczerwienne widma

dwóch ciał w długim splocie, który trwa dotąd, dopóki wreszcie Zoe nie odchyli się za siebie i nie wciśnie włącznika. Pomarańczowy telewizorek Anglika migocze, biała pręga na ekranie pęcznieje i rozpęka się na miliard iskier, a potem wraca w dawne łożysko, przybierając ludzką postać: na ekranie różowa od mrozu prezenterka, robiąc chu-chu w mikrofon, opisuje to, co i tak widać za jej plecami. A widać tłumną defiladę przebierańców, LIVE FROM THE VILLAGE, jak głosi napis na dole ekranu. W pochodzie idą ludzie-pająki, ludzie-muchy, ludzie-uchy, ludzie-dynie i ludzie-gruchy, wieloczłonowy smok i nawet jeden jegomość z gigantyczną marchewą zamiast nosa. Słysząc, jak gapie biją brawo, ktoś woła: – *Get this one!* – prezenterka znika, a kamera sunie po rządach wysokich okien, w których widać szeregi krągłych dyniowych mord z gorejącymi oczodołami. Ekran telewizora to jedyne źródło światła w całym pokoju.

– *Same shit as every year* – kwituje migawki Zoe, po hiszpańsku.

– Przełącz, jak nie chcesz – podpowiada jej zachwycony Anglik.

– Zostaw, *maricon*, zaraz będzie mój film. Oglądałeś *Ghostbusters*?

– Nie oglądam byle czego. Horror?

– Nie, o duchach. Jak się zwalcza, no, te... upiory.

– Da się? Niech mi tu kogoś przyślą.

I po chwili, kiedy od telewizora dobiega już rytmiczne *Who you're gonna call? Ghostbusters!*, Anglik pyta Zoe, tę samą, jego własną Zoe, która godzinę temu zastukała do drzwi i wsunęła się przez nie zwinnie, Zoile-Zoe, czarnopierzastego węża, gwiazdę Patagonii, kobietę o piegowatym dekolcie:

– A ty jak zwalczasz swoje upiory?

– Ja... Już o tym rozmawialiśmy, nie chcę... – Zoe patrzy w podłogę.

– Powiedz mi.

– Poważnie, tak? Jeśli są jakieś moje duchy... Ale wiesz, że są. Dobrze. Ja ich nie zabijam, żadnych srebrnych kul. Chcę im pomóc zniknąć, chcę im przynieść ulgę. Nie zwalczać. Więc po pierwsze, ja im chcę pomóc. A po drugie, te moje są prawdziwe. Nie jak twoje.

– Dlaczego? Bo kiedyś wzięliście z André ślub w konsulacie czeskim w Asunción?

– Nie. Dlatego że dwa miesiące zdychał w moim łóżku, a ja musiałam na to patrzeć. Mogłam go najwyżej umyć co jakiś czas. Więc się nawet przyzwyczaiłam, że nie będzie żył. I może teraz dzięki temu mam sposób na duchy, *no*?

– I dlatego oglądasz durne komedie? Przepraszam.

– Nie. – Zoe odejmuje język i wargi od ucha Anglika i odstępkuje dwa kroki. – Tylko od durnych komedii trochę mniej boli. Wiesz? Bo te moje widma są takie, że bołą, ciągle bołą. Nie paradują po ulicach w Village. Nie łaskoczą w czubek kutasa jak jedna panienska ze Wschodniej Europy. Tylko bołą!

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Nie chcesz? To nie zaczynaj. Oglądaj sobie film! – wrzeszczy Zoe i urywa w pół słowa, bo coś ociera się jej o łydki. Zoe przyklęka, wsuwa głowę pod stolik i przybliży twarz do pucatej gęby Dyzia, który pracowicie przeciera oczy. – *Chinga tu madre! Que pasa?*

– *El condor pasa* – odpowiada jej Dyzio po namyśle.

– *Ciao!* Więc to jest ten twój polski kolega? – upewnia się Zoe, schylając się i klepiąc Dyzia po różowym policzku.

– Nie ten, akurat. Ten to inny. Ale też z Polski. Kolega kolegi. Nie wiem, skąd się tu wziął.

– Aha.

– Mnożą się. Replikanci. Chcesz, zapytamy go o wspomnienia z dzieciństwa. Replikanci nie mają, więc ich łatwo rozpoznać. – Anglik uśmiecha się, widzi w myślach zbliżenie replikanckiej źrenicy, palce Deckera na laserowej kolbie, trzeba mieć naprawdę klasę Ridleya Scotta, żeby zasrany komiks przemienić w gotyckie delirium... Złoty medal dla scenografa... Nawet nie trzeba dużego budżetu. Jak dobrze, że Zoe wróciła. Gdzie się podział jej klucz?

– Ale ta kurwa nie przyjdzie? – upewnia się Zoe.

Anglik rozdziawia usta. Natychmiast wracają do rozmowy sprzed dziesięciu dni.

– Nie udawaj. Ta twoja. *Chingita de Pologna*.

– Tylko jej tu brakuje. Ona nie była kurwą, już ci mówiłem.

– Wiem, uczciwa kobieta. Za inną byś nie latał po East Village. Z inną nie miałbyś dziecka. O innej nie kręciłbyś filmu ze mną w roli głównej. Tak?

– To nie było moje dziecko. Ta postać to symbol. Nic nie zrozumiałaś – obrusza się znowu Anglik.

– Nie twoje? To czyje?

– Chyba kolegi tego, co tu zległ – Anglik popycha stopą opięte jedwabną koszulą plecy Dyzia i łagodnie kołysz bujnym cielskiem. – Nie tego. Drugiego, też zaraz tu pewnie przyjdzie.

– Co ona niby robi w Stanach? Z dzieckiem się wybrała?

– Nie wiem, co robi. Nie, dziecko zostało tam. Nie spotkałem jej, tylko słyszałem, że tu jest.



- Myślisz, że ci wierzę?
- Co, że tylko słyszałem?
- Że z nią nie śpisz.

Anglik przestępuje z nogi na nogę, rusza do kuchni. Anemiczny karaluch, niedobitek zeszłotygodniowej inwazji, raz-dwa chowa się za listwę przy szafce.

- Ja... Nie umiem jej znaleźć.

Podskakują obydwój, bo uszy rozdziera im metaliczny jęk brzęczyka domofonu. Anglik sięga do guzika na metalowej tabliczce między wejściowymi drzwiami a wnęką kuchni. Zamiast od razu zwolnić zapadkę zamka na dole, włącza jednak interkom.

- Who is it? – pyta.
- Ja! – chrypi głośnik.
- *Who?*
- No, *me*. Ja, swój.

Anglik unosi brwi, bo głos, zniekształcony trzaskami, bezcielesny, na pewno nie należy do Carlosa. Chociaż co do tego, że to głos z Polski, nie ma wątpliwości. Zastanawia się z palcem na przycisku, jak rosyjski generał, który дума, czy wysłać międzykontynentalne pociski w stratosferę. Może jak chmura aniołów rakiety, jebudu, spadną na imperialistów, a może tylko zasyczą? Co to będzie, co to będzie?

Kolejny jęk dzwonka.

- *Dos, tres amigos, che?* – Zoe zapina bluzkę.
- Nie wiem. – Anglik rozmyśla się i prędko zabiera palec z guzika, który zwalnia zamek.
- Co, następny? – Zoe chichocze i sama przyciska guzik.
- Po to mi oddawałaś klucze, żeby wpuszczać, kogo popadnie?

– *Soi guardiana de la porta!* – wrzeszczy Zoe i uprzedzając pytanie, szeroko otwiera drzwi. – *Madre...*

Gipson ma źrenice jak główki szpilek, a kuchenna jarzeniówka powleka mu chudą gębę seledynowym blaskiem. Czarne spodnie. Chlebak. Rozgrzebane gazetowe zawiniątko, wystające z kieszeni na piersi. Uśmiezek, ten sam co przed pięcioma laty.

– Dobry wieczór? Carlos ten, poszedł jeszcze... *a magaziner. Food. And drink*, przede wszystkim.

– Twój przyjaciel – powtarza cicho Zoe, zerkając na minę Anglika, i znów po hiszpańsku doszeptuje: – Wejdz, maro. No, wejdz, nie bój się. Już jeden taki tu leży.

Jak posłuszny zakłęciu, skłębiony na podłodze koc zaczyna się poruszać, spod kraciatej wełny wysuwa się czyjś but i po omacku potrąca wysoką stertę książek i papierzysk. *Narration in Light* Wilsona zwala się na zbiór dramatów Ibsena, Ibsen, koziołkując, potrąca kserokopię *Postmodernizmu, czyli logiki kulturalnej późnego kapitalizmu* Jamesona, kserokopia rozsypuje się po pokoju, a Dyzio po raz kolejny tego dnia przeciera oczy i mruczy, wymotując się z koca i gramoląc na nogi: – Cholerny tor przeszkód... Ooo, gdzie łazienka?

Gipson sztywnym krokiem przechodzi przez środek pokoju, uchyla drzwi łazienki przed kłusującym Dyziem i nieruchomieje. Anglik wzdycha i zatrząskuje drzwi wejściowe. Z łazienki dobiegają wyraźne odgłosy torsji, *diminuendo*, i za chwilę *da capo*. Długie *arpeggio* wody z kranu. Beknięcie. Zoe patrzy na Anglika i zaśmiewa się bez pamięci.

## Gwiezdne wojny

Kiedy Carlos wymyka się przez automatycznie przesuwane drzwi sklepu spożywczego, niebo nad ulicą zdążyło się zmienić w banie z płynnym kobaltem. Carlos przełyka ślinę, bez skutku, bo wewnątrz ust wydaje mu się zarosłe szorstkim, zlepionym zamszem. Miasto pod granatowym niebem także zdążyło się przemienić w las graniastych kryształów o różnych odcieniach szarości i czerni. Carlos rusza dnem skamieniałego ostępu, ściskając pod pachą styropianowy pojemnik z pieczoną gęsią. Było Gipsonowe dwadzieścia dolarów z Jacksonem na okładce, jest gęś. Sto kroków dalej, pod witryną wielkiego baru Carlos ociera się o gromadę roześmianych kościotrupów z plastikowymi kosami. Szkielety nie kłękają: przebierańcy mają na nogach białe sportowe buty. Carlos na wszelki wypadek nie odwraca się plecami do rozkrzyczanych truposzów, tylko sunie boczkiem i pod drzwiami czarnego kościółka omal nie potyka się o śmierdzący, rozkudłany ludzki tłumok, leżący bezwładnie pośród skorup dyni. Obok ciała leży osmalona zapalniczka BiC, a czarne palce ściskają pękniętą szklaną rurkę. Jeszcze dalej leży gazetowa trąba, z której gardzieli gęstą strugą wypływa rzeczka sosu pomidorowego.

– *Addio*, pomidory – wymrukuje Carlos i zerka na szkielety, niknące już na szczęście jeden po drugim za drzwiami następnego baru. Wesoły cmentarz u wrót kościoła pustoszeje, droga wolna, koledzy i Anglik czekają na gościniec, ale Carlos jeszcze przez chwilę tkwi w miejscu. O czarny mur kościoła ktoś dzisiaj roztrzaskał surowe jajko, już prawie zakrzepłe. Carlos ma wrażenie, że cały mroczniejszy świat za jego plecami powlókł się głuchą ciszą. Trwa to tylko mgnienie, bo ludzki łachman na chodniku wydaje

z siebie jęk, zaczynają trąbić poobijane dryndy Latynosów, wyje czyjś autoalarm, przez niebo przewala się grom stareńskiego 727, który za chwilę usiądzie na pasie La Guardii. W huku i zgrzycie metalu i kauczuku znowu idą w ruch miejskie młyny.

Kiedy Carlos odwraca się, ponad chodnikiem przelatuje kolejna fala śmiechów, pohukiwania i bip-bip-bipczenia jak z kosmosu. Nadchodzą nie szkielety tym razem, tylko żołnierze gwiazdnych wojen: Darth Vader z łbem jak zabytkowy odkurzacz, błada Księżniczka Leia z krzaczastymi brwiami godnymi Breżniewa, długoręki, połączany robot Three-P-O, a za nimi jeszcze jedna postać, w czarnym burnusie z kapturem, spod którego okola, spod czaszki, zamiast oczu pobłyskują złote blaszki, niby płatki rozpalonej miki. Carlos dałby sobie głowę uciąć, że to gorący metal, a nie sportowe okulary Oakley z powlekanymi szklami. Kosmiczny konwój znika w ulicznej hiperprzestrzeni, pora samemu włączyć dopalacze i iść, więc Carlos przestępuje ponad nogami tłumoka na trotuarze, potrąca butem dyniową skorupę i przez lodowatą próżnię wieczoru rusza w stronę, kędy czeka nań luby domek Anglika.

Pewno za sprawą piwa pitego na pusty żołądek, Carlos czuje się pełen poetyckich uniesień. Styropianowe wieko pudła z pieczoną gęsią z University Food Mart miło grzeje mu dłonie, za paskiem uwiera butla gatorade – niczego smaczniejszego nie udało się zakosić, gatorade jest ciepła i niegazowana, i całe szczęście, bo doprowadzić napój ze sklepowej lodówki żadna sztuka, ale jak potem nosić w spodniach kwartę lodowatej pepsi-coli? *Best when served cold*, senk ju waszu mać. Oho, będzie jeszcze jeden zakup. Alkohole na stole...

## Tres Amigos

Kiedy Carlos w ślad za gęsią wsuwa się do mieszkania, Gipson i Dyzio nadal stoją objęci przy oknie. Anglik siedzi sztywno w kulawym fotelu, a Zoe przygląda się ciekawie kieszonkowemu lusterku, na które wysypano szczyptę białego proszku. Obok lusterka leży zwinięty luźno w trąbkę banknot dolarowy.

– Poczekaj, sama zgadnę – uprzedza Anglika Zoe. – To twój przyjaciel, tak? I, czekaj, sama zgadnę... Hmm, czyżby z Polski?

– Tak się składa – odpowiada Anglik. Obładowany Carlos odstawia kolejno na blacik koło zlewozmywaka pudło z gęsią, lemoniadę dla sportowców i wreszcie, wysupłaną z niebieskiego plastiku, niemal dwulitrową butlę wódki Wolfschmidt.

– Głodni, głodni? – dopytuje się. – Wóda najtańsza, i tak mi zabrakło na popitkę – dodaje tonem usprawiedliwienia. – Co, kochani? Po małym?

– To już wszyscy? Nie masz ich więcej gdzieś na dole? – dopytuje się Zoe, nagle bliska hysterii. – Niech wszyscy przyjdą, wpuść wszystkich! A ja będę Viridianą.

– A ja wujem-impotentem? – upewnia się kwaśnym głosem Anglik.

Zoe klęka przy nim i kładzie mu głowę na udzie.

– Nie. Ty tylko...

– Co?!

– Przytul mnie na chwilę. A im daj jeść.

– Już i tak jedzą – burczy Anglik pośród trzasku rozrywanej gęsi. Bieleją kości odzieranego ze złotej i chrupiącej skórki, pryska tłuszcz, wolfschmidt pieni się w wyszczerbionych kubkach do kawy, po czarnym kolisku pokoju zaczynają

przemykać pomarańczowe ogniki papierosów, na białym ekranie rozjarzonej wnęki kuchennej przesuują się tam i sam kolejne sylwetki. Anglik wychyla się z fotela, łapie równowagę i podkręca dźwięk w telewizorze.

– *Ghostbusters!!!*

## Ojcowie

Gipson sięga po pękatą butlę wolfschmidta, smukłymi palcami ściska szklane ucho i wlewa sobie biały płyn prosto w gardło.

– Za tatusia, za mamusię – popędza go Dyzio z chichotem. Anglik i Zoe cofnęli się do kuchenki i zaciekle szepczą do siebie, oparci o zlew.

– Za tatusia, eee... – rozmętnia się Gipson. – Można, tylko po co? Skurwielowi już niewiele pomoże.

– Jak, po co? Żeby żył nam długo i niech mu gwiazdka, i w ogóle. Czuj ojca swego jak matkę swoją. Nie?

– Ja wiem? Niby mogę poczcić, tylko za co? – Gipson filozoficznie upija z szyjki następny łyk.

– Hmm?

– Mówisz, jakby naprawdę było za co czcić tych dziadów. Gdyby było, to może nie musielibyśmy tu siedzieć w jakiejś ruderze... Tylko byśmy jeździli kareta. Nie?! – prawie krzyczy Gipson.

Dyzio sięga po omacku do blatu stolika, namacuje kupkę białego proszku na rozłożonej gazecie i ładuje sobie szczyptę do lewej dziurki w nosie, smarka dośrodkowo i rozpromieniając się zauważa:

– Kareta, ale nie ta. Ja tam bym swojego poczciał, skubanego. Jakbym wiedział, gdzie jest i co robi.

– Przecież wiesz, gdzie jest.

- Wiem. I co, lepiej mi od tego?
- Bo to jest, panowie, tak. Człowiek zna tylko to, co było. Ich zna, a siebie ni cholery. Wiesz, co było wczoraj, ale nie dziś. Widzisz zaprutego ojca...
- A jak nie, to i tak pamiętasz.
- Dokładnie. Ale nie widzisz siebie. Nie wiesz, gdzie jesteś...
- Gdzieś na Manhattanie.
- ...wiesz tylko, gdzie są tamci, razem z ich całą historią najnowszą, martyrologią, łapówkami, imieninami... Tacy się wydają prawdziwi, ale to przecież tylko zjawy.
- Fakt, ale... Się decyduj, czcimy czy nie czcimy. No?
- Czekał, daj mu się spokojnie napić.
- No?!
- Uuuuuch! Dobrze, czczę. Emerytom też się coś należy.
- Nawet jak rentę mają z MSW?
- A co? Nawet jak nie dali matce grosza od piętnastu lat. Pewnie. Takie samo DNA jak twoje!
- Takich dziadów?!
- Ale co ci zależy? Czcij! Czas przypomnieć ojców dzieje, nie? To i tak już trupy. Trupy na innym kontynencie. Skończone, straszne fujary. Nie ma o czym gadać. A ty? Czegoś się rozplakał?
- Ze łzami idziem na groby. Kurwa.
- To zdrowie trupków, panowie. Proponuję. Nieustające.
- Ale zagryzaj, zagryzaj. Hola! Gardzisz gęsią i pierogiem?
- Jakim – chlip – kurwa, pierogiem?
- Z grzybami. Grzyby, grzyby, psylocyby.

– Coś mi się widzi – oznajmia Dyzio, wciąż rozciągnięty brzuchem do góry na brudnej podłodze wzdłuż łóżka, śpiący rycerz i Giewont w jednej osobie. – Znów cosik strasznie łódką kołysze. *Hey! Your place is rocking!* – oznajmia radośnie pod adresem Anglika, który wytknął głowę z kuchenki. Oparty o parapet Gipson zapala tymczasem papierosa od papierosa i podryguje w miejscu, z nosem czerwonym jak u Renifera Rudolfa.

– Co ci się widzi? – po chwili pyta Carlos, trochę bez związku.

– Zima. Zima mi się widzi. – I Dyzio wbija wzrok w gipsową sztukaterię sufitu, prawie w całości zakrytą mrokiem, z wyjątkiem krzywego prostokąta światła kładącego się na suficie od strony kuchennej wnęki. – Lodowiec jak stąd dotąd.

## Królowa

– Wiesz, tyś się wcale nie zmienił. – Dyzio ma rację, bo rzeczywiście, Gipson nadal tkwi w powyciąganym sweterku, gdy tymczasem tors Dyzia opina jedwabna koszula z połyskiem.

– A w co się miałem zmienić? Niby jak?

– Normalnie. Patrz w telewizor. Baba się zmienia w lwa czy tam psa, księgowy w babę, wampirzyca w narzeczoną. Więc.

– Cały ten budynek to wielka antena, skupiająca spirytystyczne zawirowania – słycać jednocześnie z ekranika, na którym dzieją się rzeczy dziwne. Niebo gnie się jak trąba z fioletowej gumy i nie wiadomo, czy to efekty specjalne, czy znowu nawala telewizorek.



– Patrz, oni tak jak my – rozmarza się Dyzio. – Zapadli się w dziurę razem z radiowozem, ale wyszli. – *Trick*. Na tym polega kino. I życie też. Pamiętasz?

– Wyszli? Zobacz, patrz teraz!

– Lepiej popatrz do kuchni. Ty, wiesz do kogo ona jest podobna? – Gipson świdruje wzrokiem Zoe, która pilnie grzebie w pomiętej paczce marlboro lights, szukając wśród wykruchów czegoś, co się jeszcze nadaje do palenia. Zoe. Śniada cera, oczy orzechowe, tylko usta dużo pełniejsze i bardziej kręcące się włosy.

– Łał. Taka sama. Nic mu się gust nie zmienił. Ciekawe, Anglicy przeważnie wolą wymokłe.

– Kolekcjoner, co? Ognia, *madame*? – Gipson przybliża się do Zoe i trzaska papierową zapalką. Zapalka więźnie między rzędami białych fosforowych główek, łańcuch mikrowybuchów skacze Zoe do oczu, osmala rzęsy i przy okazji dokładnie spopiela jej znaleziony niedopałek. Gipson zdeptuje dymiący kartonik. Swąd, cisza i tylko filtr wciąż dymi w siarczanym oparze.

– O, *pardon*. Ale... naprawdę jesteś podobna do niej. Tropikalna wersja.

– Jak z obrazu panienka, co?

Zoe upuszcza ogarek filtra do popielniczki, dmucha sobie na palce i puka się w czoło.

– Myślisz, że Carlos...

– Nie wiem – i kiedy Gipson z Dyziem zaczynają do siebie naszeptować, Zoe naprawdę rusza w stronę Carlosa, a w oczach ma pytanie.

## Nieprawda

- Nieprawda! – rzuca się Carlos.
- Co, „nieprawda”? – Dyzio wyszczerza się do niego.
- Nieprawda, że żyjesz tu jak śmieć?
- Co jak śmieć? Dobra, niech ci będzie, że śmieć. Nie twoja sprawa, przecież ty, koleś, jutro sobie wracasz do domu, całe miasteczko czeka, pogralesz sobie, pojedłes, opaliłeś się i z powrotem do dziury.
- Do rury – podchwytuje Gipson.
- „Rurę” zamknęli, na Łaziennej puste okna podobno, bez ram – prostuje Dyzio.
- Na swoją kupę gnoju, palancie, o tym mówię. Znasz wiersz o owsiku? Raz owsik wyszedł z dupy i ruszył na zakupy. Wiesz?
- A zrobiwszy zakupy, powrócił do dupy. Wiem. Ale to była jego ojczyzna. Sam tu niby masz lepiej? W ogóle nie żyjesz.
- Nieprawda!
- Chcecie wiedzieć, jaka jest prawda? – nachyla się między nich Gipson i kolejny raz rozwija gazetę. – Machnijcie sobie jeszcze po linijce – terkocze, wypisując śnieżnym proszkiem grube zawijasy na blacie stolika. – Może się wam przejaśni. Bierzcie, zdobyczne.
- Gdzie mi to sypiesz, pało!
- Nie sypię, gazeta mi się przedarła. Było mi poprosić tego bambusa, żeby dał lepszą tutkę.
- Zapakował, jak trzeba, tylko ty rozwijasz co chwila. Ty, Gipson... – zdumiewa się nagle Dyzio, który już trzy razy zdążył wysłuchać relacji z pościgu na dworcu autobusowym.
- Co? – Gipson mruga oczami czerwonymi jak u królika, a poblask jarzeniówki omywa mu białka oczu.

– Ty patrz, jaki poliglota tamten twój bamburyło. Kilo koki sobie zawinął w „Dziennik Związkowy”. Zobacz, „w służbie wychodźstwa polskiego w Ontario” – Dyzio bezlitośnie rozszarpuje gazetowy zwitek i czyta dalszy ciąg winietki.

– Tak mu zapakowali – Gipson wzrusza ramionami, ociera grzbietem dłoni zasmarkany nos. – I co się gagicie. Ja mieszkam w Quebec, nie w żadnym Ontario.

Gulgocze szklana gardziel. Siedzą kręgiem, a wokół nich i ponad nimi smuży się dym, frytura ze skwierczących na gołym palniku resztek gęsi, dym z goldenów Gipsona i ostatniego marlboro light, jedynej marki, jaką pali Zoe, sine opary nad bajorkami rozlanej wódki, tuman pary nad zapomnianym czajnikiem... Anglik podnosi się, gasi gaz, mnie w dłoniach kartonowe pudełko po ziołowej herbacie i wreszcie skupia wzrok na podświetlonym jarzeniówką słoju, w którym mieni się turkusowo kolejny polski cocktail.

– Czysta pół na pół z gatorade. I wolty są, i jony – zachęca Carlos, skądinąd absolwent technikum elektrycznego.

– Po co mieszasz? Zostaw te zielone gluty na popychadło.

– Trzeba mieszać.

– Nieprawda!

– Uszkin mówił.

– A gdzie w ogóle Uszkin?

– Uszkin? Uszkin jest w RPA.

– Daleko zajechał tym tramwajem.

Anglik słucha głosów, a Zoe wynurza się zza szarego tumanu, podchodzi, oplata go ramieniem i syczy:

– Coś tak zeszywniał?

Anglik odwraca się od niej i przysiada w kuchence. W telewizorze miga najpierw plansza z przekreślonym duchem, a potem zaczyna migać i kłaskać reklama piwa Miller Light. *And everybody-is!-haaving a wooooon-der-fuuul tiiiiime!!!*

## Pogromcy duchów II

Dyzio przegina się mozolnie w tył, sięga przez Gipsona i szarpie klamką lodówki. Z wnętrza bucha zapaszek zjeźdźcałego jogurtu, zimno pobłyskują stosiki puszek z filmem.

Za załomem ściany telewizor znów pluje niebieskim światłem, koniec wstawki reklamowej, więc widmowy głos przez szpary aparatury cedzi: – *I don't think you're human.*

– To gdzieś ty nam zniknął, przyjacielu? Znowu wpadłeś do jakiejś wody? – Gdyby nie czkawka, angielszczyzna Dyzia byłaby dosyć płynna.

– Co? Ha, ha. Nie, po prostu zmieniłem zainteresowania. Z teatrem koniec. Nie będę się zamykał w grobie. Chcę robić filmy.

– To różnica?

– Pewnie. Teatr a film to inne widzenie. Scena to lenistwo – Anglik szuka możliwie prostych określeń, ale zaraz macha ręką i tłumaczy prędko: – Bo film to wolność. W jednym epizodzie możesz zmieścić czterdzieści przesunięć w przeszłość, w przyszłość, we wspomnienia różnych ludzi, połowę z tego możesz upchać w ogóle poniżej progu percepcji. Kamera, ekran, oko zmieniają cię w pilota myśliwca, absorbujesz dane ze wszystkich zegarów naraz, w ogóle o tym nie myślisz, tylko patrzysz. Teatr jest dla ślimaków, jacyś ludzie kręcą się po pokoju i plotą, że drogo, że nudno, że film widzieli, ale zapomnieli. A mnie uczą, że żadne ujęcie

nie powinno trwać dłużej niż dwie sekundy. Trzydzieści dwa poziomy zmian, autopowtórka, baza danych z lokalizacją każdej klatki, gotowe wyciemnienia, spowolnienia, jeśli już musisz mieć spowolnienia... Ja nie mówię nawet o zdjęciach, o technice, ale o narracji mówię.

– To gdzie masz kamerę?

– Carlos mi zjadł – Anglik uśmiecha się.

– Co on mówi? – dopytuje się Gipson, nie otwierając oczu.

– Ale o czym chcesz robić filmy? Chyba nie o tym? – Dyzio podnosi z podłogi obok taboretu wymiętoszony tomik *Draculi* Brama Stokera. – Bo to już było!

– Nie. Tak. O tym. I o was.

– O nas? Bardzo proszę. *Jeszcze Polska nie zginieeeta, póki kuuura w garnku! Jak się kura dogotuuuje, zeżrem po kawalku!!!* Cali my w tej pieśni. Ale po co ci do tego jeszcze wampiry?!

– Siadaj, siadaj! Walnij sobie jeszcze linijkę i nie świruj!

– Wszystko było – zgadza się Anglik. – Wampiry to tylko *trick*, taka sztuczka, żeby dosięgnąć widza. Ja chcę odwrócić Stokera, znów przenieść wszystko do Wschodniej Europy, w wasz klimat, ale inaczej, bo w *postindustrial*, w beton, stal, noc, różne tam wasze podziemne schadzki w pieczarach i pustych kościołach, tylko żeby to nabiegło takim *techno*. Uważacie? A wszystko po to, żeby kiedy już się wejdzie w widza, dokonać przewrotu. Z filmu trzeba zrobić lustro, lecz takie lustro, żeby kroilo stal – mówi Anglik i dalej chce opowiadać o mrocznych szczytach Karpat nad blankami zamku, ale przed oczami nagle ma tylko grzędy polodowcowych wzgórz, odrapane drogowskazy z blachy, plastikowe wiaty przystanków pekaesu, szyldy GS, w których

wiatr wygwizduje w zamarzłym powietrzu smętne mazurki. Wszystko było inaczej. Dyzio chyba odgaduje te myśli, bo przerywa mu bez ceregieli:

– Byłeś u nas, nie? Pomieszkałeś sobie, i co? Same wampiry widziałeś i te... – przez chwilę nie może sobie przypomnieć, jak jest po angielsku nietoperz, pomaga dopiero skojarzenie z Batmanem. – Jak chcesz nas filmować, to nie kręć. Nie rób z nas wariatów, co ja jestem, Szczęka? Na czorta komu jakieś komiksy – dodaje po polsku do Gipsona, który zamyśla się i stwierdza bez przekonania:

– Ja Kapitana Żbika cenię.

– Nie rozumiesz. O was, no, o tamtym świecie, można robić kino albo tak, albo wcale. Co z tego, że pokażę bloki, dziewczynki od pierwszej komunii, kolejki... Kogo to obchodzi? – próbuje tłumaczyć Anglik.

– Przecież to taka sama Europa, śródziemnomorska – sapie Dyzio.

– O, nie, kochany, wy może jesteście co najwyżej bliźniakiem Europy, i jeszcze do tego bliźniakiem-wariatem, pokręconym, z wieńcami czosnku po kieszeniach! Ja niczego o was nie wymyślam, ja tylko biorę pewną konwencję i...

– Do dupy z twoją konwencją – stwierdza Dyzio z zapalem. – A ten jazz na półce też ma bez sensu – zauważa po polsku. – Sam Telefoniusz Monk... Pewnie nawet nie słyszał o Namysłowskim, o Stańce.

– O Urbaniaku?

Anglik przechyla się i wreszcie zatrząskuje drzwiami lodówki, jak przed chwilą w telewizorze poskramiacz duchów, który w swojej filmowej lodówce odkrył szczerzących kły Hetytów. Dyzio wygląda na nadąsanego, Gipson odmyka oko i wzdycha:

– Dżazz, dżez. Jebał was pies.

– No, nie, ale poważnie z tą Transylwanią... – Anglik stara się wyłożyć im rzecz możliwie zwięźle. – Ja myślę, że skoro te obrazy już istnieją w oczekiwaniach widza, to trzeba tak zrobić, żeby wróciła równoległa rzeczywistość. Kruki, kłęby ptaków, noc, Drakula, czerwonoarmiści w papachach... Sztafaż, oczywiście, gnój, ale na tym gnoju wyrośnie moja wizja... Nieważne. – Po chwili: – A wy co robicie?

– Obrastamy grzybem – Dyzio przed chwilą usłyszał to na filmie.

– *Don't choose anything!!!* – niesie się przeraźliwy krzyk z telewizora. Po chwili przez ekran toczy się już z boku na bok monstrualny ludź z ciasta.

– Takich filmów nie chcesz robić?

– Co? Jak ten? Przecież to dziadostwo, kit – Anglik przygląda się dekoracjom, demonim gniazdom w paszczach gargulców, poprzewracanym niebieskim radiowozom, strugom zielonej ektoplazmy. – To nie jest kino.

– Dyzio, czy on mówi, że to nie jest kino?

– Tak mówi.

– *Return to the nearest convenient parallel dimension!* – pada z telewizora.

## Bzik tropikalny

Carlos klęczy przed Zoe i próbuje jej wytłumaczyć, dlaczego się tak spłoszył na jej widok, kiedy z gęsią pod pachą wmaszerował do chaty Anglika. Spłoszył – to niedobre słowo. Prędzej już: zgorszył się, sparzony nagłym absurdalnym oburzeniem. Anglik zafundował sobie tropikalną postać osoby, o której teraz Carlos nie myśli już nawet „Lidka”

i w ogóle stara się nie myśleć, bo gdy myśli, widzi zamiast ludzkiej twarzy coraz bledszą gwiazdę, zimną jak azbest, zniekształcony obraz za pancerną szybą, zjawę, która – Carlos może przewijać tę scenę w pamięci raz za razem – znika w długiej perspektywie Avenue of the Americas niedaleko skrzyżowania z Houston i która kiedy indziej, na kolejnej kasecie pamięci, przepada w mlecznej czerni tunelu, zamknięta we wnętrzu rozpędzonego na kształt błyskawicy srebrnego wagonu, znów na dole miasta, przy Franklin Street. Jednemu dane bywa odtworzyć zaraz stan posiadania, znaleźć zamiast pogniecionego zdjęcia kobietę, w dodatku zwrotnikową papugę, może przez sen wąchać jej ciepłe włosy albo obudzić ją i powiedzieć, że wącha jej włosy, może żyć, to znaczy nie pamiętać. Ale drugiemu musi wystarczyć zamarty wizerunek. No, i dziecko zostało, chłopiec zostawiony u dziadków, pakiet genów bawiący się już w strzelanego albo zapatrzony w telewizyjną wersję przygód Koziołka Matołka.

– Bo jesteś trochę podobna do jednej znajomej.

– *Mierda, motherfucker*, co ty wiesz w ogóle?! – wybuchła Zoe zniecierpliwiona. – To ona do mnie jest podobna!

– Ona, do... – Carlos patrzy przeciągle na Zoe i na Anglika, który patrzy na nich przez kłęby papierosowego dymu i powoli podnosi się z miejsca.

## Konfrontacja

Carlos wstaje, przetacza się z nogi na nogę, przybliża twarz do twarzy Zoe tak, że kolebią się nos w nos, i stwierdza:

– Podobna.

Anglik uśmiecha się trochę złośliwie i mówi:



– To ona.

– Ale! – Carlos robi się zły, prędko wyjmuje z chudego portfeliaka stare zdjęcie, mizernego połamania od fotografa ze Świdnickiej, i przytyka Zoe prawie do czoła.

– I co?

– Takuteńka – przytakuje Anglikowi Gipson.

Anglik milczy, bo ma coś lepszego niż odpustową fotkę. Ma film. Ale gdzie się podziewa Lidka, nie ma pojęcia. Co gorsza, staje się jasne, że nie wie tego i Carlos – inaczej by tak nie chuchał na swój głupi obrazek, który przytknięty do twarzy śniadej Argentynki, przesunie każdy jej rys o ułamek milimetra i odsłoni widmo dotąd tylko przeczuwane, twarz z przeszłości, tę, której próbował nie szukać. Anglik myśli, że krótki film o Zoe wychodzącej z szarozielonego morza potrafi tej samej sztuki dokonać dużo lepiej.

## Ikonoklazm

W zadymionej jamie kuchni Dyzio i Gipson rozpruwają kolejną paczkę fajek, iskrzą zapałkami, bezradnie szukają wzrokiem popielniczki. Gipson klepie się z rozmachem w czoło, łapie za klamkę lodówki i wyszarpuje wielką puszkę. Płaskie blaszane denko łąduje na podłodze u stóp Dyzia. W środku są trzy mniejsze puszki, każda w sam raz, żeby służyć jako popielniczka. Dyzio otwiera jeszcze trzecią małą puszkę, dla Carlosa, chichocze i spowija Gipsona celuloidowym wieńcem. Gipson odmotuje z siebie zwoje brunatnego filmu i upycha je za lodówką.

– Francja. Już możesz strzepnąć.

– No, więc po co było Powstanie Warszawskie?

– Czekać, wepchaj to gdzieś, do końca, porządek musi tu być, przyjacielu.

Anglik nie widzi tego wszystkiego, bo stoi w tej chwili przodem do Carlosa, wpatrzony w jego poruszające się usta. Carlos mówi coś głośno do niego – lecz czemu po polsku? – a zarazem oburącz odpycha od siebie Zoe, która wrzeszczy i próbuje dosięgnąć go pazurami. Do Anglika dociera tylko ich splątane, powtarzające się:

– Jak: gdzie? Gdzie ona teraz jest?

– Gadaj, *Polacco*, gdzie ona jest?

Anglik zbliża się do nich powoli z taką miną, że Zoe bezwiednie opuszcza ręce. Stąpa jak przez dom pełen gadających karaluchów wielkości ratlerka, dom uczyniony w skropie żółwia padłego na zarazę. Wypełzłe z trumny robactwo mówi ludzkim głosem. Anglik będzie dziś jednak niezmiennie uprzejmy.

– Zoe, zamknij się wreszcie. A ty, Carlos, przestań tak się na mnie wybałuszać. Nie wiem, gdzie jest Lidka, i nie mam zamiaru jej dla ciebie szukać. Pewnie dalej jest w Nowym Jorku. Wyśmiałaby cię, gdyby cię teraz widziała. I mnie też. Nie o to chodzi.

– *Paren de hablar de esa puta ahorita mismo!*

– Zoe, zamknij się! Wiesz, czego nie rozumiesz? Że ona mi nie jest potrzebna. Żywa, z nóżkami, z rączkami. Pewnie gdzieś tam sobie żyje. Może tutaj, może znów w Holandii. Wzięła i wybiegła, jak zwykle. A ty, Carlos, biegiesz za nią jak pies, przez ulice, prosto pod ciężarówkę. Zaraz, coś ci powiem. I tobie też coś powiem. Wy tego nie wiecie. Wy nie umiecie... Umiecie tylko wrzeszczeć! Tak, Zoe, zgadza się, ten film nie jest o tobie. I co? Tylko ja umiem zrobić tak, żeby ją mieć ze sobą na zawsze. Jeżeli zechcę.

Anglik cofa się pod drzwi kuchennej wnęki, uśmiecha się i ciska im dwojgu przez ramię:

– *Necromancy time!*

Trzy taśmy z materiałem z Brighton Beach trwają w sumie siedemnaście i pół minuty. Po wywołaniu i montażu zostanie może siedem minut. Przy dwudziestu czterech klatkach na sekundę Anglik zamiast jednego ckliwego wspomnienia będzie miał na każde skinienie dziesięć tysięcy kadrów odkrywających przeszłe i przyszłe widziadło. Kręcił ten materiał trzy dni. Dwa dni dojeżdżali z Zoe kolejką linii D, trzeciego dnia, w niedzielę, Finkelstein zdołał wyciągnąć z podziemnego garażu swojego zablokowanego tam pomarańczowego saaba i pojechali wspólnie, przez kamienne przegródki górnego Manhattanu, przez most na Queens, a potem przez breughlowski, parterowy ogrom Brooklynu. Zoe, uczesana inaczej niż zwykle, nie pytała o nic, wynurzała się raz po raz ze sztucznej mgły, zaczynali kręcić, przysiadali na piasku, uważając, żeby nie nadepnąć na strzykawki, wytrzępywali szarawy piasek z butów, śmiali się, otwierali puszki z cienkim piwem, dla rozgrzewki rzucali kamieniami w mewy, a potem, kiedy było już za ciemno na zdjęcia, patrzyli jeszcze na mrugający na stalowym ekranie przestrzeni toksyczny pożar zmierzchu ponad New Jersey.

Siedem minut, dziesięć tysięcy klatek i tyleż strumieni światła, łączących się w jeden pulsujący wizerunek – narzeczcie uwięzione, ruchome przekleństwo. Anglik obmyślał tę etiudę dwa lata. Mokra włosy i ramiona w mrocznej, zaparowanej łazience, mokra Lidka w żółtozielonej wodzie, potem Lidka w pociągu do Holandii, przez dobę słuchająca zawodzenia niemieckiego powietrza nad dachem wagonu, Lidka nad zimowym kanałem z kreskami drzew, jej nagłe telefony, które zaczęły się jeszcze w Anglii, jej iskrzący sweter, kiedy się wreszcie obejmowali na ludnym Washington Square, powolny ziemski obrót pojedynczej ludzkiej rzeczy,

motyle odłamki, przedestylowane w prawie doskonały obraz, który wgryzie się pod powieki milionów, chociaż na razie wciąż czeka na wywołanie, ukryty w mikroskopijnych bąblach jodku srebra na plastikowych zwojach.

– Kurwa, wrzeszczą i wrzeszczą, porozmawiać nie dają o dawnych Polakach – zauważa sennie Dyzio i rozdusza papierosa na dnie swojej puszki.

Anglik przestępuje nad nim i pewnym gestem otwiera drzwi lodówki. Sześcianik wnętrza mży jałowym światłem. Błyszczą druty pustej górnej półki.

– Braliście coś stąd?! – rzuca się w ich stronę.

– Co? Aha. My. Niiieeee. Myyy? Skąd. *Don't worry.*

*Be happy* – uspokaja go Dyzio.

– Wariat, na co mu to denko? – zdumiewa się Gipson i uchyla się przed srebrnym dyskiem, który Anglik ciska mu w twarz. Śmierzący popiół wiruje wokół nich i szczypie w oczy, pod nogami rozgniatają się pety. Anglik wyszarpuje teraz ze szczeliny między ścianą i blachą lodówki kolejne szeleszczące metry ślepego brunatnego makaronu.

– *My picture.*

Robi się cisza, w której prawie słyhać, jak Anglikowi coś bulgocze w gardle.

## Król-Duch

– To, to jest szczyt wszystkiego, to jest niesłychane, zawsze jest tak samo! Wypełzacie zza boazerii i zaraz się dzieje coś niedobrego. Nie macie co się tak patrzeć. Nawąchaliście się tego kolumbijskiego cukru pudru i debatujecie, jacyście ważni i skrzywdzeni. Zamki budujecie sobie na tym proszku, ale gdzie wam do zamków! W Karpatach to są zam-

ki, a wy jesteście polne plemię, odurzacie się sfermentowanym maniokiem, a potem się jeszcze dziwicie, że....

– Hę? – przerywa ten prędko płynący potok słów Gipsissimo.

– Chuuuuu. O, tak od was jedzie wódka – pokazuje Anglik. – O!

– To nie chuch, tylko duch! – cieszy się Dyzio. – Bu!

– Duch! – podchwytuje Gipson. – Nasz duch. Mam ducha, bo... Bo, kurwaśmy, w końcu, królewski szczepek piastowy. Znasz taką piosenkę, nie? DU, du du DU du, du du DU. Dyzio, jak to będzie po angielsku, „duch będzie nam hetmanił”?

– A, kij go wie.

– Nie, ale po angielsku.

– Jesteśmy, patafianie jeden, więksi od ciebie, bo mamy ducha. Ty, powiedz mu!

– A duch ma chuch. Ta-daaa!!!

– DU, du du DU du, du du DU.

– *Will you stop it! Now! Enough is enough. I said, enough!*

– Weź go przytrzymaj, co? On mówi, że powiedział *enough*.

– Słyszałem, że powiedział *enough*. Mam uszy, nie – burczy Carlos i nadal zwojami zaświeconego filmu próbuje opleść Zoe i Anglika.

– Gówno prawda – Dyzio staje obok i palcem wskazującym oskarżycielsko dźga Anglika w dołek. – Ty mówisz o nas „plemię”? I zgoda, zgoda, bracie. Czterdzieści lat tak będziemy chodzić, całym plemieniem, po kanałach, kloakach pod tymi zasranymi *avenues*. Czterdzieści, tyle się chodzi. Nawet głupi Kaczmarek tak śpiewał. A plemię, wiesz, to zależy od plemienia... Bo skąd ci nagle wezmę inne plemię, ha? Jest, co jest.

Anglik strząsa z siebie śliskie zwoje filmu. Ma wielką ochotę wtłoczyć kłęb szeleszczącej taśmy prosto między pyzate policzki, między oczy, które świdrują go spod fryzurki na jeża, zatkać potok słów dyktowanych białym piórem kokainy, wolfschmidta i nostalgii, słów bezsensownych i jak zawsze chełpliwych, bez większego po temu uzasadnienia. Anglik uspokaja się jednak, odpowiada na spojrzenie wzrokiem zupełnie naraz zimnym i skupionym. Pora się policzyć. Dyzio stoi chwiejnie tuż przed nim, Gipson dłubie sobie smukłym palcem w nosie, a Carlos kręci po kuchennym blacie blaszaną pokrywką od filmowej puszki. Zoe sika w łazience, nie domknąwszy drzwi.

– *Begone, you mucus* – sarkastycznie powtarza Anglik kwestię z filmowej komedii, a widząc, że jego goście nie rozumieją, dopowiada: – Już, zabierajcie się stąd, smarki.

– Ha?

– *Take a walk*. Już.

– Ty! Odrzuć miecz, palancie.

– *I'm serious! Out!* – wrzeszczy zaskoczony własną reakcją Anglik, robiąc zamach zapasowym statywem od kamery, pożyczonym na wieczne przechowanie od Finkelsteina. W jego stronę szybuje przez pokój brunatna, mocno nadgryziona gęś, która jak piłka odbija się od ściany i ginie w płataninie nóg. W miejscu gdzie plasnęła, ściekają po ścianie długie strużki ciemnego sosu.

Popłoch i zamieszanie trwają dłuższą chwilę, trzaska ostatni cały talerz z koreańskiego kompletu z Woolwortha na Sto Dziesiątej Ulicy, a kiedy wlokąc za sobą torby i kurtki nocni goście zaczynają schodzić po stopniach, Anglik z rozmachem zatrzaskuje drzwi mieszkania, aż huk roznosi się po całej ciemnej klatce schodowej.

– Druga Jałta, panowie – słyhać zduszony okrzyk, a potem rumor, przekleństwo i niekończący się hurgot spadającego po stopniach bezwładnego ciała. Po paru minutach, kiedy zapada cisza, Anglik wymyka się na schody, odchyła plastikową firankę i przez wąskie okienko zerka na ulicę, gdzie Gipson i Dyzio mocują się z ciałem Carlosa. Wreszcie udaje im się oprzeć Carlosa o żelazną poręcz zejścia do piwnicy, spleść dłonie w koszyczek i jak w lektyce podnieść go do góry. Carlos chwieje się i posłuszny wezwaniu grawitacji, znów się obsuwa na ziemię. Gipson i Dyzio biorą go pod ramiona i wloką w ciemność, w stronę parku, ale zaraz się reflektują, zawracają i wloką pod górę, w kierunku Broadwayu. Anglik wraca do mieszkania, gdzie zastaje Zoe przed lustrem, przebraną w srebrny kombinezon.

### Pocałunek kobiety-pająka

– Nie, stary, *cojones* chyba sobie robisz – prycha Zoe, zła jak jeszcze nigdy. – Czemu go uderzyłeś tym statywem?

– Nie uderzyłem, tylko mi się nadział – odwarkuje Anglik i rozdeptując pety, potyka się o skłębiony zwój taśmy. Statyw po naprostowaniu wędruje do kąta, między resztę sprzętu. Kopnięte resztki gęsi turlają się aż pod drzwi łazienki. – A ty z czego się znowu śmiejesz?!

– Bo mi wesoło – Zoe naraz uśmiecha się promiennie. Nigdy nie lubiła tego filmu. – Dobrze, że ją zabili.

– O czym ty mówisz?

– O twoim ołtarzyku.

Anglik chce wyjaśnić Zoe, że wszystko, co sobie uroiła pod czarnymi łukami brwi, pod śniadym czółkiem, to brednia, przekłamanie i zwid, że film był ważny, bo był fil-

mem, przedstawieniem, czymś ważniejszym niż to, co przekazywane, co jest tylko pretekstem, jak dwie zdechłe ryby i cytryna są tylko pretekstem do dzieła, które będzie nosić tytuł martwej natury i wisieć setki lat po tym, jak atomy srebrnych łusek i żółtej łupiny rozpierzchną się pośród innych, identycznych cząstek. Sra-ta-ta-ta. Za dużo tych słów, więc Anglik milczy i pozwala dłoni Zoe wędrować po swoim ramieniu, plecach, obojczyku, pozwala jej palcom zatrzymać się przy guziku koszuli.

Za oknami powinna być głęboka noc, lecz w studni szybu wentylacyjnego mży szare rozproszone światło. Anglik widzi więc w mroku pokoju brwi Zoe, dwa piękne łuki uniesione pytająco ku niemu, widzi obrys rozchylonych ust. Nie widzi tylko wyrazu oczu. Czy tłą się w źrenicach płomyki nienawiści, zazdrości, szyderstwa?

– Wróciłaś – szepcze wreszcie Anglik, sam nie wiedząc, czy to stwierdzenie, czy pytanie.

– Może wróciłam. Może nie. Myślisz, że ci powiem?

– Zoe śmieje się leciutko. – Ktoś wrócił, ktoś do ciebie przyszedł, ale skąd wiesz, czy to jestem ja?

– Skąd wiem?

– Jest ciemno. Skąd wiesz, kto obok ciebie stoi? Widzisz mnie?

– Widzę. Żadna sztuka widzieć po ciemku.

– Bo ja tym się różnię od widma, co je sobie możesz trzymać w pudełku. Od laleczki z taśmy. Może nie wiesz, kim jestem, ale wiesz, że... Wiesz, durniu, że ja jestem.

– Jesteś – powtarza Anglik, obejmując ciepły, ciemny kształt, szczupłe plecy pod materiałem, biodra, które pod naciskiem dłoni rozpoczynają półobrót, uda, które przyciśnięte do parapetu na mgnienie więżą pod sobą Anglikowe dłonie, kiedy wyszarpane palce zaczynają szamotać się ze



srebrem kombinezonu, a potem ze srebrnym guzem u pasa czarnych dżinsów Zoe. Teraz Anglik rzeczywiście już nic nie widzi, bo nurkuje nosem w ciemną mgławicę włosów, a im mniej widzi, tym raptowniej próbuje szarpać guzikiem i zamkiem. Następne szarpnięcie, ciasna obręcz kombinezonu i dżinsów razem z niebieskimi majtkami zsuwa się aż do kolan i więzi nogi Zoe, która krzyczy krótko, w zaskoczeniu. Szarpiący się z własnym zamkiem Anglik też przeżywa moment zdziwienia, bo mimo ciasnej, przygiętej pozycji, prawie natychmiast udaje mu się wśliznąć swój pulsujący, ciężki młot na czarownicy między pośladki Zoe. Była gotowa, udawała zaskoczenie? Domysł gubi się w szamotaninie, w oddechach, szeleście materiału, w coraz prędszym stukaniu perłowych guzików bluzki Zoe o parapet. Słyszy jeszcze urwane: – *Despacio!* – lecz zaraz drgający młot trafia w sam środek wielkiego zegara, rozpalone trybiki i balanse pryskają na wszystkie strony, czas staje w miejscu. Kiedy zaś dużo później sekundy znów zaczynają swój ruch, Zoe wykręca głowę daleko do tyłu, znów patrzy na Anglika i cicho mówi:

– Tylko się nie przestrasz.

Anglik odejmuje przykurczone dłonie od pupy Zoe, powoli wysupłuje się spomiędzy jej nóg, ale sens tych słów dociera do niego dopiero po chwili. Rzeczywiście, obie ręce i członek ma grubo usmarowane krwią.

– Nie zapytałeś – ni to wyjaśnia, ni to się skarży Zoe, ostrożnie podciąga majtki z kiwającą się podpaską, a potem ciasne nogawki dżinsów. – Chyba, że... *Te le gusta, che?* Na Indianina?

Anglik nareszcie wzdycha z ulgą, olśniony myślą, że to nie jego krew. Ale jak mógł... Milczy więc nadal, z rękami rozłożonymi na boki i z krwawym palem sterczącym przed nim jak wyrzut sumienia, bo makabryczny wzwód, zamiast

się skończyć dyskretnie, wyraźnie robi sobie bis, niby rozochocony niedobitek zamierającej parady ulicznej.

– A teraz mnie pocałuj – Zoe przechyla twarz ku Anglikowi, który bezradnie unosi ramiona, trzymając dłonie byle dalej od dziewczyny. Zoe zaś przesuwa czubkami palców wzdłuż członka Anglika, potem muska nimi swoje wargi i powtarza: – Pocałuj.

Za matową szybą najbliższego okna w studni szybu wentylacyjnego zapala się nagle jarzeniówka. Na dolnej wardzie Zoe widać trzy czarne kropelki.

– Pocałuj mnie.

### Na skale czarnej

– Za-za-za zimno na spacer! – skanduje się Gipsonowi, któremu aż latają zęby. Ziąb rzeczywiście jeszcze gorszy niż za dnia. – Po kiego mi się było tutaj tłuc, w ogóle? Taki mikroklimat to ja mam w Kanadzie... Uważaj, jak go niesiesz, jakieś schody tu pierdolnęli.

Kolejny lodowaty podmuch napełnia koryto Amsterdam Avenue.

– Schody do nieba – odruchowo odsapuje Dyzio, zgięty wpół pod ciężarem Carlosa.

– Dalej, dalej! – popędza go od szczytu szerokich stopni Gipson. – Tu jest załom. Nawet się da usiąść, jakieś tektury leżą.

Układają ostrożnie Carlosa i sami przysiadają na rozplaszczonych kartonach, oparci plecami o wrota z brązu. Nad ich głowami wypiętrzają się kolejne kondygnacje olbrzymiej neogotyckiej fasady. Katedra jest o tej porze nocy jak zimna fajansowa góra, w środku pusta i doskonale czarna,

nie opromieniona nawet jednym kwantem światła. Katarakta nocy zasnuwa każdą rubinową szybkę witrażowej rozety nad portalem.

– Zamienię willę na Krzykach na śpiwór w Nowym Jorku! – zaśmiewa się Gipson, wyciągnięty na tekturach jak panisko.

– Gdzie ten, kurde, śpiwór? – Dyzio też się trzęsie, stawia na sztorc kołnierz marynarki i zaczyna nie na żarty tęsknić za dusznym karmelem Karaibów, albo niechby już chociaż za rozchrapanym pokojem w hotelu Edison, karaluchy niech już nawet będą, karaluch głowy człowiekowi nie odgryzie. Lecz gdyby nawet ruszyli w tej chwili z Carlosem na plecach do centrum miasta, przez pięćdziesiąt kolejnych przecznic, i tak nie dojdą do hotelu muzyków przed dniem. Spać się jednak nie chce, nie po takiej dawce śnieżynek.

– A masz lepszy pomysł?

– Ee. Ty, podłóżyc mu jeszcze tektur?

– Czekać, na leżąc nie, podnieśmy go, bo jakby mu się wikt cofnął, byłby jak druga Joplinka. Tylko łysa. Dawaj go między nas. Pionowo, pionowo – terkocze Gipson. – A tekturkę pod plecy. Rewelacja, stary. Siedzi jak na zebraniu, nic byś nie poznał, że...

Tektura łopocze na wietrze.

– Ty. Czy ty się go w końcu zapytałeś, po co wtedy laź na ten komisariat?

– Kiedy? A, wtedy? Hm. Pytałem.

– I?

– Mówi mi: „A po co było Powstanie Warszawskie?”

– Aha. – Po chwili: – Niby racja.

Czubek zwieszanej bezwładnie głowy Carlosa poczyna zataczać nieznaczny wpierw, a potem coraz szerszy

łuk po paraboli, jak gwiazda, wlokąc przez obszary powietrza resztę ciała. Na spotkanie szybującej twarzy wybiegają z dołu granitowe stopnie i łączą się z nią w krótkim zimnym pocałunku. Z góry, z kolejnych półek fasady katedry patrzą chłodno na ten upadek figury nadrzędnej hierarchii: anioły, archanioły, cherubiny, serafiny, trony i moce.

Dyzio i Gipson podrywają Carlosa za ramiona i odwracają twarzą ku niebu. Kropla za kroplą, w gęstym pochodzie po wyziębionej skórze twarzy, po lepkiej kleistej tekturze, po śliskim granicie, krew spływa czarną strużką z ciętej rany pośrodku czoła, z rozdrapanego policzka, z brody, spod ucha, jak z czaszki ofiary na szczycie schodkowej piramidy, choć katedralnych stopni jest tylko dwadzieścia i jeden. Rankiem z nocnego kroplistego korowodu, ściekającego coraz dalej i niżej, zostaną tylko zakrzepłe rozgwiazdy na kamieniach. Ale teraz jest noc.

- Patrz, jak spikował.
- Jak bolid tunguski.
- Budzić bolida.

## Iluminacja

- Hej, Carlosik, ocknij się! No, tak cię proszę.

Carlos, któremu się wydaje, że pływa we mgle jak w chmurze i że z chmury wynurza się raz za razem ogromny Murzyn z tubą, ogłaszając pobudkę, odmyka wreszcie powieki i mówi cicho, z wysiłkiem:

- Ja już wiem.
- Ty, on coś mówi!
- Przytkaj się, bo go nie słyszę.

– Trzeba pozabijać duchy... i zrobić forszę – chrypi pokrwawiony Carlos. – Opatrzność chce, żebyśmy zawładnęli eterem.

– Jasne, jasne, stary. Dyzio, prędko, przytrzymaj mu...

– Trzeba tam wrócić i zawładnąć eterem – powtarza Carlos, a Dyzio uświadamia sobie, że u początków wieczoru to samo zdanie recytował z telewizora Dan Aykroyd. – Zbudujemy radio – dodaje Carlos, milknie, zamyka oczy i dygocze. Nocny wiatr omywa im twarze i ręce jak ciekły azot.

– Z takim ryjem faktycznie się nadaje tylko do radia – wzdycha Gipson, garbi się i wzrusza ramionami.

– Dobrze, że zimno. Mniej go boli.

– Patrz, krwawi i krwawi – szepcze Gipson bezradnie, z kluchą w gardle, i co rusz zerka na piętrzącą się w mrokach, niedosiężną, choć odległą od schodów tylko o sto metrów, błądą bryłę szpitala Świętego Łukasza. Mżą jarzeniówki nad opustoszałą rampą izby przyjęć, przy której czuwa pusta karetka i policyjny radiowóz, niestety nie pusty. Gipson i Dyzio starają się nie patrzeć w tamtą stronę. Mrugający kogut powstrzymuje ich skuteczniej niż krucyfiks broniący przystępu do komnat.

– Chyba że zaczniemy udawać trąconych, co? Tu sami tacy, żadna glina się nie przypierdoli. Tylko go damy opatrzyć i spadówa! – podrywa się Dyzio.

– Myślałem, że chcesz zdążyć na ten swój samolot.

– Ja...

– Nie gadaj, tylko rwij koszulę.

Trzeszczy jedwab. Nad nimi pośród ciemnej nocy trwa wypiętrzony aż po samo niebo, wystygły reaktor katedry.

## Anioł nakazuje szukać

Anglik milczy. Zoe wyszarpuje sznur z kontaktu, odwraca się od gasnącego srebra telewizora i już wkładając buty, zauważa:

- Może pora im wyjść na spotkanie.
- Jak?
- Tak. Wiesz, jak zimno na dworze? Musimy ich poszukać.
- Żarty. Nie chcę ich więcej oglądać. Wiesz? A poza tym, to duże miasto.
- A ja ci mówię. Wstań.

## Lwowskie dzieci

Noc zdążyła stać się jeszcze bardziej przepastna i jeszcze zimniejsza, a w jej zakamarkach zarysy rzeczy zacierają się stopniowo i przechodzą w opalizującą szarość. Skuty mrozem beton dźwięczy pod obcasami Zoe. Anglik człapie w swoich rozłazących się martensach, dla których jest to już na pewno ostatni sezon. Wiatr znad Kanady mrozi gałki oczne i dlatego zamiast podnosić wzrok na kopułę biblioteki głównej, tej bez książek, lepiej nos zwrócić ku ziemi, opatulić się kołnierzem cienkiej kurtki i jeszcze raz prędko sprawdzić, czy nikt nie chowa się za załomem wielkich kampusowych schodów albo wśród wątych tujek za kaplicą Świętego Pawła. W środku nocy otwarte są tylko dwie główne bramy. Strażnik ukryty wewnątrz patrolowego chevroleta na głównym deptaku też niczego nie widział. Śmieszne, jak chuch szedł mu z okienka prosto w puste niebo. Oba poblis-

kie parki, Riverside i Morningside, odpadają. Za daleko, zbyt straszno. Broadway jak wymarły. Może Amsterdam Avenue?

– I co będzie, jak już ich znajdziemy? – denerwuje się Anglik.

– Co wtedy? Wtedy... zabierzesz ich z powrotem do siebie – mówi Zoe z namysłem.

– Oho. Po prostu?

– Po prostu. Co tak na mnie patrzysz? Nie każę ci ich adoptować. Musisz im pozwolić trochę zostać, do rana czy tam dłużej. I już.

– I... Aha. I już – Anglik zatrzymuje się i patrzy na Zoe, która odwzajemnia spojrzenie. – Okej, powiedz mi tylko jedno. Dobrze? No więc, skąd wiesz, że muszę?

– Bo musisz. *Si, si, si*, nie musisz. Nie musisz? – I Zoe uśmiecha się lekko do Anglika, który nic już nie mówi, tylko uśmiecha się także, i rusza z miejsca. Anglik idzie za nią i klnie własną naiwność. Zoe chyba czyta mu w myślach, bo znów się zatrzymuje i mówi jeszcze: – Wiesz, że musisz... cymbale.

I Anglik też już to wie, i nie dziwi się, że Zoe tak nieomylnie skręca na Amsterdam Avenue w prawo, nie w lewo, i tak pewnym ruchem przeciąga go na drugą stronę siniego asfaltu. Idąc w dół, mijają szpital, wielopiętrowe pudło pełne cierpienia. Czy święty Łukasz lubi być patronem chorób wewnętrznych? Bez odpowiedzi dochodzą do narożnika kolejnej przecznicy. Od Sto Dziesiątej słychać skowyt radiowozu. Mróz zagnał w głąb kanałów wszystkie szczury, tej nocy nie żerują przy kubłach. Przy drucianym ogrodzeniu warsztatów kamieniarskich Anglik zatrzymuje wreszcie Zoe, przypiera ją do zimnej siatki i czując, jak pod palcami kruszą mu się okruchy rdzy, pyta po raz ostatni:

– Skąd wiesz, że tak trzeba?

Zoe wzrusza ramionami, przemyka się pod rozkrzyżowanym ramieniem i rusza dalej po pochyłości ulicy, coraz dalsza. Anglik dogania ją, zdyszany, po kilkunastu krokach.

– Zoe, posłuchaj...

– Ciiii... Coś słyszę, a ty?

– Niby co?

– Głosy...

– Śpiewają. Skurwysyny, śpiewać jeszcze mają siłę!

– Nie biegnij! Poczekaj!

– W dzień deszczowy i ponury... z Cytadeli idą góry... szeeregami lwowskie dzieeeci... aby tułać się po świeeeci....

Zoe i Anglik biegną coraz szybciej. Stukot podszew odbija się, coraz prędszy, od płaszczyzn i fałd szerniałego piaskowca katedry. Wiatr zmiata papierzyska z opustoszałych schodów.

– Poczekajcie!

– Stójcie!

Szurające kroki zamierają w miejscu.

– Hej! Dokąd... Dokąd go niesiecie?

– Ty, Dyzio, jak będzie, że do punktu skupu?

– Hmm... – Z namysłem: – Nie wiem, jak jest punkt skupu po angielsku. Czeka, położmy go... – I po chwili wysiłku, już pod adresem Anglika: – *Hello!* Znów chcesz nas bić?

Anglik patrzy na kaszlącego Dyzia, na chudzielca Gipsona, który jak pantograf wrocławskiego tramwaju gnie się pod ciężarem bezwładnego Carlosa, na Zoe wreszcie, która obsmarkaną chusteczką manipuluje przy brwi i nosie Carlosa, i znów na Dyzia, który zdążył już tymczasem się odwrócić i zamierza kontynuować przechadzkę przez sześćdziesiąt nocnych przecznic, w dół miasta, w karawanowym pochodzie donikąd.



– *I'm sorry* – mówi Anglik wreszcie, po prostu.

Karawana rusza znowu, zmieniając kierunek na zachodni i już bez śpiewu. Na Sto Dwunastej Ulicy nie spotykają żywego ducha. W kolejnych samochodowych okienkach migają kolejne, adresowane do złodziei tekturki: NO RADIO, NO RADIO, NO RADIO. Na Broadwayu porykuje nocny autobus M4.

Dopiero pod drzwiami domu Anglika okazuje się, że Zoe zgubiła klucze.

## Wyspa Ognia

### Hala odlotów

Jak ja wyglądam? Jak z krematorium w Dachau. Aż się sama wystraszyłam w umywalni tej usmolonej gęby. Lewa brew nadpalona, połowiczna Greta Garbo jestem. Garbo za stówę z Waryńskim. Carlos mówił – jak pierwszy raz dzwoniłam z wyspy – że taką stową można sobie teraz w Polsce... Wiadomo. Mówił, że do podkładania pod nogę stolika, żeby się nie kiwał, żeby piwa nie rozlać Pod Kasztanami. Znow siedzą Pod Kasztanami, mogli w ogóle nie wyjeżdżać, wehikuł czasu ich trącił. Jezu, stowa to przecież był dolar, potem pięć takich to był dolar, a teraz gdzie. Dobrze chociaż, że dolar dalej kosztuje dolara, nie?

Rany, bredzę, bo jak mam nie bredzić? Jak się dwie noce balowało i rozpirzyło spory kurort... Spory. Nie, właściwie to mały. Kismet. Był Kismet i nie ma. A Ty, Boże, daj mi zapomnieć, zapomnieć, jak wygląda człowiek bez rąk. Niby miał, no miał. Upalone kikutki. Takiemu byłoby łatwiej na tych plastikowych siedziskach. Słowo daję, dla kadłubków ta poczekalnia. I tak dobrze, że nie ma ludzi.

Chociaż, co niby mnie obchodzi, co ludzie myślą? Jacy ludzie? Dwóch czarnych, jeden z mopem na kiju, drugi posuwa na zamboni, tylko że nie do szlifowania lodowiska. Do lastryka! Lastryko i pecewu na tym JFK jak w blokach na Hirszfelda, i nawet żarówki, tak samo pali się co druga. Ale szlifują, bo wcześniej i pusto. Poczekalnia jak stąd do Wąchocka. Szósta rano. Hinduska dopiero się mocuje z żaluzją budki wolnoctłowej. Zadarła sari i ciągnie, i ciągnie z mozołem... Skąd baba ma tyle siły, a może to tylko ja jestem taka wypruta.

I dobrze, że pusto. Przynajmniej nikt się nie gapi, na mnie ani na moje nogi, czy na dziury w kurtce. Dobra była skóra, tyle lat, a teraz na szmelc. Nawet nie warto wlec do samolotu... Właściwie, całe szczęście. Świńska skóra czy tam cielęca, a mogła być moja. Z poparzeniami trzeciego stopnia. Bym miała ręce jak... No, jak się na takie mówiło...

–*Jak stygmatyczka?*

Dokładnie. Zerżnięta dziewczica, ze strzępiastymi stygmatami zamiast skóry. Bym miała już do końca życia łapy jak *lobster szcypce*. *Lobster*, homar. W Polsce i tak nie ma. A może są, tam teraz jest wszystko, Carlos mówił przecież przez telefon, biedaczek. Sama zobaczę, tak? Niedługo? Jakie niedługo, trzynaście godzin do odlotu, potem osiem godzin, ponad osiem, do Warszawy, a potem nie wiem. Nawet nie chcę wiedzieć. Zaraz otworzą ladę PanAm, o ósmej trzydzieści, mają napisane, to sobie przestawię bilet. Mam *open*, od roku mam *open*, bilet był w jedną stronę, ale *open*. A ja sobie zrobię okej. I dobrze, że tak miałam, wiedziałam cały czas, że niech się co tam chce dzieje, ja mam bilet. Ważność dwanaście miesięcy. Tyle sobie dałam. Dokładnie tyle. Żeby sobie zrobić okej. I co? Nawet trzy tygodnie zapasu zostało.

Zrobiłam sobie okej, nie ma co. I proszę, wracam. Więc będzie tak, jak chciał, wyszło na jego...

– *Naprawdę?*

Wychodzi, że trochę tak. Po to mi Carlos kupił ten bilet. Nie w żadnej agencji, gdzie tam, musiał w samym głównym biurze na Czterdziestej Drugiej Ulicy. *One-way*, otwarty, cashem zapłacił, pewno ich pierwszy klient bez karty kredytowej, i zaraz mi wsadził do wewnętrznej kieszeni. Do wewnętrznej, pewnie chciał łapę mi wsunąć przy okazji. I dobrze, jeden, który ma zdrowe odruchy, albo miał, bo może już też zdziczał z tego wszystkiego. Więc pamiętam, kiedy mi wsadzał bilet, ja odpychałam tę jego łapę z niebieską koperką, wrzeszczałam... Wrzeszczałam, że nie chcę PanAmem, że wszyscy Palestyńczycy tylko czekają, żeby wybombić PanAm, Lotem też nie chciałam, co to ja jestem, Anna Jantar? I British też nie chcę, przesiadki jeszcze sobie jakieś mam urządzać?! Wyszło na moje, po tym Lockerbie teraz naprawdę strach. Nic...

Ale tak naprawdę, to grymasiłam, bo taki bilet tylko wszystko utrudnia, jak się tu jest. Nie walczysz o życie, bo jakby co, masz wyjście. I tego nie chciałam. Więc wrzeszczeliśmy na siebie, aż się ruch zatrzymywał na Lexington, i tak się to zderzało wszystko, ręka, pierś, bilet, bilet, pierś, ręka, szamotanina pod kurtką, jakby lis wpadł do kurnika, ale wreszcie Carlos wyszarpnął dłoń, bez biletu, i znowu wrzasnął, że mnie do niczego nie zmusza, *open to open*, jak chcę, to mogę oddać i wziąć sobie te pieniądze, tylko że lepiej niech tego nie robię, bo jak się dowie, zabije... Tak się mówi, z tym, że on w tamto lato już się robił dobrze odchylony, emigracja robi z człowieka zwierzę. Niekoniecznie dzikie, czasem za potulne. Ale on zawsze był dzikus.

– *Asam, czy wtedy wracał?*

Gdzie tam. Mówił tylko, że ma misję. Że mały potrzebuje ojca, nie żebraka, jak już matkę ma kurwę. Serio, tak powiedział. Bo dzikus. Chciał powiedzieć co innego. Może nawet nie. Nieważne, powiedział, co powiedział, wepchnął mi bilet i poszedł. A może to ja poszłam. Więcej go nie widziałam. Nowy Jork duże miasto. Aha, nie. Potem widziałam go jeszcze raz. W srebrnym kombinezonie.

– ...?

Serio. Pojechał zresztą, wrócił do Polski, ale dopiero chyba w zimie. Na pewno nie PanAmem, nie stać by go było. Wracał bez grosza, tylko miał cały plecak notatek. Pewnie Air India czy czymś innym takim leciał, przez Frankfurt. Pytałam, czy książkę pisze. Nie, zaczął opowiadać, że to listy hitów. Bo się zahaczył, jak, nie wiem, w radiu LITE. Taka muzyczka, chuju-muju łagodna, jak w każdej windzie w Ameryce, tylko że na ukaefie, ale to wszystko mormoni. Mormoni mają kasę. Dlatego się śmiałam, jak mówił, że misja. Pozwolili mu patrzeć, jak się robi program. Pomagał im trochę, w końcu umiał z podziemia ciąć taśmę i przetykać te różne druty, gdzie trzeba... Miał szczęście, że mormoni, bo normalnie kto by go w ogóle wpuścił, nielegalny kosmita z wąsami, paszoł won z powrotem na scaffoldy! Ale tym akurat zależało. Bo tak. Bo może bredzi, a może faktycznie zrobi radio za Łabą, pierwsze prywatne radio, i wtedy, kto wie, wpuści ich na antenę, żebyśmy zamiast komunizmu budowali drugie Utah? Więc pozwolili mu, nielegalnemu, nauczyć się czegoś. Dlatego zaraz wyrwał. Jak już zrozumiał, że mnie nie namówi.

A właściwie to Anglik go przekonał. Nie do radia, Anglik nic nie wiedział o radiu. Nie znam szczegółów, tylko wiem, że jakoś go tam przekonał. Zeszłej jesieni chyba. I śmiesznie, bo to ten sam Anglik, od którego się wczoraj za-

czął cały pożar. Dzisiaj właściwie, nie wczoraj. Po północy przecież było. Dobrze mówię?

– *To, Lidka, w końcu kiedy?*

Ech, myślałam, że nic nie muszę tłumaczyć. Naprawdę, bym słowo mogła dać, że wiemy tyle samo. Co najmniej. Ale dobrze. Kiedy? To głupie pytanie. Kiedy był pożar czy kiedy rozmawiałam? Pożar nie – był, tylko pewnie jeszcze jest, a rozmawiałam z tym Anglikiem wczoraj rano, jak jeszcze miałam brwi i włosy. Na wyspie, wczoraj, bo w ogóle, to z nim rozmawiałam już parę razy w życiu. Ale się wszystko zgadza, bo go poznałam w kąpieli... Samba wanna blues. I teraz też, tylko wanna większa, Atlantyck. Od razu otwarty Atlantyck, bo to na Fire Island. Świetne miejsce, jak na Helu, tylko dzików nie ma w śmietnikach ani sanatoriów wojskowych. I też w pogodny dzień widać Gdynię. Żartuję. Kiedyś mnie chcieli zgwałcić chorążowie przy jednym z tych sanatoriów, ale miałam dwanaście lat, wtedy inaczej się wszystko odbiera.

No, więc wczoraj obudziłam się na Fire Island. W małym domku z siwych desek, z werandą też z siwych desek. Deski trzeszczały i skrzypiały, chyba dlatego że osiadała wydma pod nimi. Tam wszystko stoi na wydmach, a między wydmami są słone kałuże i szuwary, i rośliny trujące dzikie wino. Cały domek spał, tylko ja nie. Może mnie obudziło słońce, taka gorąca łapa na powiekach i policzkach, albo może warkot awionetki nad mierzeją. Bo tam co pięć minut latają takie samolociki i ciągną transparenty z reklamami, na przykład MYJ ZĘBY albo że dziś zabawa do upadłego na Jones Beach. Bo faktycznie, u nas też było do upadłego. Leżałam na materacu na podłodze, więc się przekręciłam do drzwi na werandę i patrzyłam, jak z zimnej szyby znika nasz

opar, pęcherzyk za pęcherzykiem sobie sublimuje w kosmos. Przecierałam oczy. Byłam głodna. Z głodu to wszystko, nie? Ciepło zza okna mnie owiewało jak parząca chusta. Tak się musiały czuć, przynajmniej na początku, póki się nie rozhajcowało, święte męczennice Kościoła. Takie jak tamte z mechanicznych obrazów w galerii u Chucka i Pawełka. Albo jak...

– *Nie zajmuj się świętymi.*

Nie, nie, ja zajmowałam się tylko mgłą, słuchałam oddechów śpiących, ale potem wstałam, żeby się pójść wysikać, i zaraz mało nie rymnęłam na jednej z tuzina butelek po tym ich haut-brion po sto dwadzieścia dolarów za flaszkę, rozwłóczonych po całej podłodze. Narobiłam rumoru, rzuciłam kurwą, głośno trzasnęłam zasuwką bardaszki, więc kiedy wracałam na wyrko, Kronholtz siedział już wyprostowany, przecierał oczy i mrugał. Na oslepek, bo jego kontakty pływały sobie w niebieskim pudełeczku z solanką, które zostało w łazience. – *Yo, Litka!* – wyrzeźił, a ja odkłapnęłam mu prędko, z irlandzka, jak Siobhan za ladą baru Bejrut przy alei A: – *Top of the mornin' to ye!* – Ale to mało ważne, bo tego baru już nie ma. Kiedyś zmywałam tam kufle, przez całe trzy tygodnie. Dopóki nasz brzuchacz-szef, z marlboro light, co mu jak zawsze dymił spod blond wąsa, nie ruszył raz w ślad za mną na zakaraluzzone zaplecze i nie wsadził mi łapy między uda. Pod czarne sztruksowe mini jeszcze z kraju. Tak miałyśmy się ubierać, mini, obcasy, skóra, *very downtown*, nareszcie wiadomo, po co. Znieruchomiałam, a potem odwróciłam się do niego – nie poruszył palcem, nie mrugał – wyjęłam mu papierosa spomiędzy warg, dmuchnęłam mu dymem, uśmiechnęłam się. Cały czas wpatrzona w te jasno-niebieskie oczka. I potem powoli, z rozmysłem rozdusiłam

mu tego papierosa na przedramieniu, na nagiej skórze tuż przy zgięciu łokcia. A kiedy zakwiczał, odskoczył i wyszarpanął mi paluchy spod majtek, to się odwróciłam, rozplakałam i w tym smrodzie opalanej szczeciny poszłam szukać plecaczka.

*– Ale cię nie uderzył.*

Gdzie tam. Stał odwrócony plecami i kiwał się przy kranie z zimną wodą. Machnęłam ręką na dwadzieścia bak-sów – na tyle mi wisiał. Siobhan pokiwała mi na pożegnanie, a ja walnęłam drzwiami i się zanurzyłam w tamten tłum, ten sam co zawsze. Chmary chuderlawych punków na rogu St. Mark's Place, bumy, żule, artyści areny, a obok charczą sobie białe autobusy, jadą gońcy rowerowi, taksówki. Wstępowałam w to wszystko jak w taką duszną, zakurzoną, wielką łąkę – taką z bzyczeniem różnych pancernych owadów. Zamknij oczy, to zobaczysz, łąka wielka jak Lower East Side, dookoła tylko potężne żujące paszczyki, czułki się prężą, portorykańskie chevrolety suną jak chrząszcze, fruną z torbami mali Chińczycy ze Spring Street... I gdybyś umiała, to byś usłyszała to wszystko, co ja słyszałam, najrozmaitsze ultradźwięki, chrupanie, sapnięcia, bo to drapieżna łąka – kwiatki-muchołapki, grzyby, pająki pod liśćmi. Ale ładnie tu, ładnie, chociaż trochę strach.

*– Ico ten twój Kronholtz? W domku? Powiedział ci chociaż dzień dobry?*

Nie. Tylko wysapał: – Nawzajem... – i z dłońmi jak przyspawanymi do skroni opadł na poduszkę. Leżał i szepotał, żeby go od razu dobić. Ciekawe, bo sama nie czułam ani tego pitego wczoraj bordeaux, ani reszty chemii. Pewno to dlatego, że nie palę cygar. Raz się zaciągnęłam, ale Kitahara z Marchettim zaraz na mnie wsiedli, że cygarami się nie można zaciągać. Nie można, i już. Nieprawda, jak się można



zaciągać arberiami albo popularnymi, te kubańskie *cohibas* to pryszcz. Kronholtz każe Marchettiemu szmuglować te *cohibas* do Stanów z każdej dwudniowej delegacji do Mediolanu. Ma dobrze odjechane na tym punkcie. Kitahara z kolei nic mu nie przywozi, przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Zapasy pluskwianego chivas regal ma na miejscu, a z Sendai czy Osaki przywozi sobie najwyższej marynowany imbir. Teraz jeszcze im zabronili palić w pracy, cały Drexel ma być strefą bezdymną. Będzie już zupełnie sterylne w tych ich gabine- tach, mahoń, jarzeniówki i brom w kawie, nic dziwnego, że potem w weekend chłopaki lubią sobie urządzić rozpiz- dowę. Kiedy na początku się włóczyłam, o, tak, po Manhatta- nie przeważnie, to mnie ciekawiło, co jest w środku, w tych drapaczach chmur. Potem się okazało, że patrzę na sto pięter biurek, segregatorów, spinaczy, gumek i fusów z kawy. Ta- kie same biurowe nieszczęście jest tam w środku jak w kan- ciapie pani Lusi we wrocławskim Budopolu. Taka moja znajo- ma, wyjechała potem do Włoch. Kronholtz czy Kitahara w dodatku robią dokładnie to samo co pani Lusia. Siedzą i liczą słupki. Takie długie słupki, w miliardach, ale na jedno wychodzi. Nic dziwnego, że piją. Doili wczoraj to bordeaux jak Lusia ciociosan.

– *I co było dalej? W domku na mierzei?*

Nic, rozczesałam włosy, wciągnęłam na pupę dół od bikini i stanęłam przed oszklonymi drzwiami na werandę. Okazało się, że chmury sobie poszły i zabrały ze sobą cały deszcz, chociaż wczoraj wieczór się wydawało, że ulewa wchlupie się lada chwila przez szmaciany dach autka Kron- holtza, a my się przedzieraliśmy przez najgorszy piątkowy trafik na Long Island Expressway. Cisnęliśmy się w tym por- sche jak w tramwaju, ja ze skrzynką tego haut-brion na kola-

nach, Marchetti z torbą jakichś wydruków, Kitahara z płetwami i siatką na mewy. Kronholtz szarpał sprzęgiem i w korkach rwał poboczami jak kretyn, bo głupio byłoby się spóźnić na ostatni prom. Przestało padać, dopiero kiedy parkowaliśmy za Babylon, na przystani. Wcisnęliśmy się na ostatnie wolne miejsce, koło jakiegoś poobijanego saaba, też ze szmatą zamiast dachu. Na promie kiwało. Ale teraz, rano, niebo było kryształowe, bez śladu tego paskudnego lepkiego oparu. Latem taki syf zawsze zawisa nad Nowym Jorkiem. Bagienna okolica. A tu kryształ. Zimna szyba aż mi sparzyła piersi. Patrzyłam właściwie pierwszy raz na wydmy, na wysokie fale jak płonący kryształ właśnie, na niebo. W zachwycie takim.

– *Atamci spali?*

Budzili się. Rozespany Kronholtz wyglądał jak dupa z uszami. To znaczy, dokładnie tak samo jak w wieczór, kiedy go poznałam. Poznałam go w East Village (bo wtedy się rzadko wypuszczałam poza Village, a powyżej Czternastej Ulicy byłam chyba raz), niewiele dni po tym, jak przypaliłam bossa z Bejrutu. Wieczorem zabrałam wtedy swoje graty od Siobhan, chociaż mi powtarzała, że jak chcę, to mogę jeszcze parę dni zostać. Może właśnie dlatego je zabrałam. W każdym razie, zaczęłam koczować u Pawełka, w atelier na Stanton. Mieszkało nam się bez problemów, bo Pawełek właśnie sobie przedawkował i był mało komunikatywny. Przeważnie leżał na meksykańskim materacyku, między swoimi spawarkami i częściami ruchomych figur Chucka, i jęczał: – Mamo. O, mamo. O, Jezu. – I tak parę dni. Ja przez ten czas przychodziłam i wychodziłam, zostawiałam drzwi przymknięte, bo mi nie dał kluczy... Ale wreszcie Pawełek się pozbierał i wyruszyliśmy jego szlakiem przez Alphabet City.

– Skąd taki Pawełek?

Pawełek, Pawełek. Z Pawełkiem poznaliśmy się w liceum ogólnokształcącym. Tam. Skorupy jesteście, tak w ogóle, ktoś pierdolnął glinianym garnkiem i nas rozsypało. Nie lubiłam Pawełka, ale znaliśmy się w każdym razie, i dół Manhattanu też poznawaliśmy wspólnie. I tamtego wieczora zaniósł nas z Pawełkiem – z Verkhoviny, gdzie w kiblu damskim w jednej kabinie ktoś rzygał, a w drugiej jakiś *lunachick* przypalał sobie koksik na łyżeczce zwiniętej z bufetu, aż smród szedł na salę – no, więc zaniósł nas do O’Hops. To tylko z pozoru uczciwy lokal, a naprawdę oszustwo, bo chociaż na podłodze są trociny, klientela to gówniarze z Wall Street, tacy, co raz chcą się poczuć radykalnie. Piją, palą, nawet klną, po paru piwach czują się jak aniołowie piekieł, ale potem stop. Łapka do góry, *taxi!* Wracają grzecznie do swoich mieszkań w wysokościowcach. Między meble z rurek. A rano, na śniadanie, znów zdrowe płatki albo jakieś zaszrane kiełki. Stąd wiem, że poznałam paru takich.

– Aha?

Ale Kronholtz był inny. On tylko wyglądał jak Chico Marx w rogowych okularach, ale na stoliku miał nie dwa piwa, tylko pięćdziesiąt dwa, co najmniej. Najrozmaitsze. Obok niego siedział gruby Koreańczyk albo Chińczyk, z czarnym wąsikiem. (Kitahara się potem strasznie obraził, że go wzięłam za Koreańczyka czy Chińczyka, ale dał się przeprosić.) Na trzeciego siedział chudy facet, który mógł być Włochem, ale na pewno nie Amerykaninem, bo nosił bródkę w szpic. Amerykanie brzydzą się zarostu i nawet mają w łazienkach specjalne obrotowe maszynki do pielęgnacji dziurerek w nosie. Siedzieli w garniturach i kłócili się po angielsku, każdy z innym akcentem.

Zresztą nieważne, bo ilekolwiek by mieli przed sobą tych piw, nie cieszyli się nimi długo, przez Pawełka, który chyba akurat wyważał jakieś drzwi percepcji, bo kiedy rakiem cofał się do mnie od baru, z czterema – tak na zapas – grubymi szklankami new amsterdam przy piersi, zamrugał naraz, pobladł, puścił szkło i z takim konwulsyjnym podrzutem odnóży, że na pewno jest na to termin medyczny, zwałił się tamtej trójce na stolik. Jak Jacek Wszola albo Susłow. Szczęście, że stół był z litego drewna, więc Pawełek tylko się rozpląszczył na blacie. Pod nim zachrupało szkło, piwo chlust, butelki lecą na podłogę jak wiosenne sople. Zielone od heinekena, brązowe z nalepkami bassa i mcsorleys, przezroczyste od corony. Chrzęst taki, że cały bar odwrócił się w naszą stronę.

– No, to *sorry* – szepnął Pawełek i zamknął powieki, a ten w rogowych okularach pochylił się nad bezwładnym ciałem i spokojnie mówi:

– Pięć heinekenów, osiem pięćdziesiąt, osiem mcsorleys, dziewiętnaście siedemdziesiąt pięć, cztery bassy, dwa naście sześćdziesiąt, dwa, tfu, rolling rock, ty chyba ocipiałeś, Kitahara, albo się umartwiasz, że to pijesz, cztery czterdzieści, pralnia chemiczna dla mnie i dla Kitahary, Marchetti ma krawat do wyrzucenia, Ferragano, sześćdziesiąt pięć, powiedzmy, usuwanie szkód, dla mnie narzut za analizę i kosztorys, czyli według moich stawek trzysta sześćdziesiąt za każdą zaczętą godzinę... Chłopcze, ta chwila słabości będzie cię kosztować sześćset osiemnaście dolarów i osiemdziesiąt centów.

– Tylko w wariancie optymistycznym – mówi na to ten Azjata. – Moja analiza: weź poprawkę na niewypłacalność. Czynniki ryzyka, tak, Lenny? Idziesz do O’Hops, jest

ryzyko. Albo akceptujesz ryzyko i inkasujesz mniej. Albo robisz *hedging*. A ty chcesz maksymalny uzysk.

– Ja zawsze chcę maksymalny uzysk, Kitahara. A poza tym, bez urazy, ale może ty mi powiesz, jak mam założyć *hedging*, kiedy idę pić piwo do knajpy? Nie, po pierwsze, jaką mam tu spodziewaną rentowność? Wyznacz mi w tym O’Hops *volatility* albo czynnik Beta, hę?

– *Hedging*? Mogłeś iść w sztruksach. Albo mogłeś się z nami z góry założyć, że cię ochlapią, o cenę pralni chemicznej plus narzut. Beta? Beta tu będzie jakieś 1,7. To porządny bar. A co do stopy zysku...

– W sztruksach mogą sobie chodzić palanty od obligacji miejskich. Ja mam innych klientów.

– Oho. A skąd ty się tu właściwie wzięłeś, *amico*? – pyta Pawełka ten z bródką.

Pawełek poruszył się i szepnął:

– Co?

– Skąd jesteś.

– Jaaa? Z... z.. z Polski.

– Oho! Prrroszę! W takim razie, jak wrócisz, bądź taki dobry i przypomnij tam u siebie, że wisicie nam na jeden przecinek siedem miliarda dolarów, plus dwieście pięćdziesiąt milionów z transzy euromarek. Plus odsetki – mówi na to ten w okularach, podobny do brata Marx. – I to od kiedy? Od siedemdziesiątego ósmego roku!

– Co? Aha.

Zrozumiałam, że są pijani. Albo gorzej.

– A teraz złaż ze stołu. A pani, młoda damo – okularnik zwrócił się nagle do mnie, chociaż cały czas był do mnie odwrócony plecami – pani niech będzie taka dobra i sprawdzi, czy pani akrobacie nie sterczy szkło z pleców.

– To nie mój akrobata – sprostowałam, przesuwając dłońmi po mokroteńkiej koszuli Pawełka. O dziwo, rozumiałam go nieźle. – Zdrów.

– Ale z twojego cyrku? Piękna wołyżerko? – okularnik popatrzył na mnie uważnie.

– Już nie – odpowiedziałam po namyśle.

Okularnik przyciągnął czwarty zydel. Posiedzieliśmy w O’Hops niedługo, chyba do drugiej nad ranem. Potem jedliśmy jakieś idiotyczne *crab cakes* w Bradley’s, gdzie dwóch trębaczy pojedykowało się w *She’s the Wild One*, a sekcja rytmiczna podawała sobie jointa z łapki do łapki. Potem kolejna żółta taksówka z kierowcą w turbanie, ledwo widocznym zza grubego pleksiglasu wewnętrznej szyby. Potem jechaliśmy towarową windą.

– Nie bałaś się?

Było mi wszystko jedno.

– I zostałaś u nich trzech, czemu?

Bo tak chciałam. Pawełek, kiedy się odobrazil, był już zajęty czym innym. Zabrał się nagle do produkcji nocnej sztuki ulicznej dla dzieci, z kukłami i fajerwerkami. Tytuł miał brzmieć *Hitlerdog*. Do wystawiania przed świtem, kiedy widownia ma dół hormonalny i łatwo jej rozdeptać nerwy. Koniec cytatu. Więc i tak nie było dla mnie miejsca, bo kiedy nazajutrz w południe zajrzałam na Stanton, wszystkie spawarki naraz dmuchały niebieskim płomieniem. Czulałam, jak mi się wyziewy acetylenu wżerają pod cerę. Raz-dwa spakowałam worek żeglarski i plecaczek i zamachałam na taksówkę. I tak.

– Co: i tak?

I tak zostałam białą niewolnicą. No, nie taką jak w reportażach z „Magazynu Tygodniowego”, że się polskie dziewczęta wywozi za granicę i w jakimś Amsterdamie zmu-

sza do, jak to było, do płatnego nierządu, serio tak napisali. Nowość, że nierząd ma być płatny, odwrotnie niż u nas, w Polsce zawsze trzeba było nadstawiać dupy za darmo, taka tradycja, Kicia to najlepiej odstawiał, jak na przepustce z Żagania wyśpiewywał z Józefem po litrze żołądkowej gorzkiej: „Ty dałaś duuuuu-py... za talerz zuuuu-py!”, i płakał, aż łzy leciały na mundur, bo akurat musiał sobie uprasować. Nie było mnie przy tym, ja już wtedy byłam w Amsterdamie i czekałam na meksykańską wizę, ale Mrówa pisała.

Więc, z jednej strony, ten krajowy niepokój moralny, ale z drugiej, nie bądź dzieckiem, wszystko wszystkim tam luźno zwisa, tak że trudno się potem doliczyć, co i jak. Co jest za darmo, a za co się płaci. Tylko w operze na końcu przychodzi kelner z rachunkiem w zębach i mówi: „Płacić, przyjacielu!” Tam w końcu pieniądze tak samo były nieprawdziwe jak teraz ta stowa. Dolary jeszcze, ale kto widział dolara, marki najwyżej i bony do Pewexu. I tak samo było z grzechem. Były śmiertelne i powszednie, ciągle się katechetka odgrażała, że się rozliczymy w mękach piekielnych, bo anioł powiedział, że zna nasze czyny, ale się wszystko i tak rozmywało... Nie zmywało, tylko rozmywało właśnie.

– *Bo zna.*

Kto, anioł? Może zna, i co z tego? W szóstej klasie byłam, jak tej hienie powiedziałam, że Chrystus nie jest księgowym, tylko nas rozliczy w tajemnicy, po swojemu. To wrzeszczała, że bluźnię, linijką machała mi przed nosem. Wtedy tak myślałam, bo moja mama była księgową, w Spomaszu. Ale teraz dalej tak myślę. Marchetti, ten też jest księgowym, niby Włoch, a wszystko ma poukładane, kredyt, debity, winien, ma. Wszystko mu się zgadza na wydruku. Katechetka też miała swój wydruk, tyle a tyle smoły dla tchórzów, tyle dla

niewiernych, dla obmierzłych, dla zabójców czy innych bałwochwalców, tak mnie się wydaje przynajmniej, a dla kłamców i guślarzy jeziorko z gorejącą siarką. Winien, więc ma. Ale są inne rachunki i anioł powinien o tym wiedzieć, bo inaczej będzie... Inaczej będzie cienkim bolkiem, biurowym gońcem od głównego księgowego. Tak miało być? Ja to widzę inaczej. Dlaczego? Dlatego że jak mierzyć pospolitą miarą, wyjdzie ludziom, że jestem im coś winna. Carlos sobie wyobrazi, że wracam do niego. Wszyscy inni będą myśleli, że do dziecka. „Gdzieś ty latała, suko jedna, dziecko zostawiłaś”. Ale urodziłam. „Ale zostawiłaś! Dlaczego?” Moja sprawa, dlaczego. O co chodzi, przecież wróciłam, nie? Nie doliczą się swojego, a ja ich też nie przekonam. Bo na papierku wychodzi, co wychodzi, ale to nie jest mój rachunek. Nie mój rachunek! Nie mój, więc nie płacę.

Tak samo powiedziałam wtedy, kiedy Carlos, kretyn, pytał mnie przez telefon, pienił się, ale niby spokojnie pytał, czybym sprzedała własną matkę. Ja mu, że matki nie, że ojca bym tylko sprzedała, bo sobie na to zasłużył, ale wiem, co chciał powiedzieć, i wiem, że nie miał racji. Bo to nie tak, że można wyznaczyć cenę na matkę, takich rachunków Marchetti nie potrafi. Dla niego liczy się to, co przełknie rynek, euroliry, miliard tusz wieprzowych *loco* za trzy miesiące i takie tam... Masówka, a matka jest tylko jedna. Ale mnie idzie o co innego: że... Są takie sytuacje, kiedy już się porobiły pewne rzeczy albo się dokonało, nawet nie wiadomo kiedy, takich wyborów i nagle się okazuje, że to już. Że opchnęłam matkę, nawet nie wiadomo kiedy ani za ile. Wszystkie takie sprawy zostały za mną, a ja muszę teraz iść dalej, brnąć, przeżyć, nie dać się zeżreć żadnym chrząszczom ani pająkom. A naokoło same chrząszcze, chitynowy, kurwa, świat, dla owadów, nie dla ludzi.



– *Ty zostawiłaś synka, a nie matkę.*

Tak... Ale wolę myśleć o matce. Bo matka... Matka wybacz, uzna w końcu – może nie od razu – że musiałam tak zrobić. A dziecko, nie wiem, co robi dziecko. Ale musiałam, musiałam i tyle, bo świat żąda od nas perfekcji, nie kluch. Świat nagradza doskonałość.

I dlatego tak się boję tego lotu. Nie, tego powrotu – bo lot to się jeszcze przesiedzi. Mogę nie otwierać oczu całą drogę, ale kiedyś w końcu otworzę. I co. Ludzie nie powiedzą, że wróciłam z miłości, jeden czubek będzie chciał tak myśleć, ale oprócz niego wszyscy wiedzą swoje. Tylko przegrani wracają. Wróciłam, widocznie mi się nie udało, nie wyszło, pusta wracam. A świat nagradza perfekcję. Nawet tamten niedorobiony świat. Tak samo nagradza, chociaż po swoim. Pokocha mnie, jeśli będę doskonała, jak z żurnala, jak powracająca, z kasą – inaczej nie. Ja już widzę te mordy. To... szyderstwo.

Najpierw by mi obmacywali torebkę i buty z Barney's (ale spaliły się, i nieważne, podkoszulkę mi obwąchają, tak będzie), a potem zaczną szeptać. Pokrzywiła się nasza doskonałość, co? Wróciło się na swoje miejsce, co? Jak hiszpańscy inkwizytorzy z Żydówką na pasku. I co im mam powiedzieć? Że tu jest inaczej? Że tego się żadną ich miarą... Że trzeba zrozumieć od nowa, no, wszystko? Ja im mogę co najwyżej opowiedzieć, jak prawie z lotniska, po przyjeździe, dzwoniłam do Vancouver do Kachy i pytam: – Jak? Stara, jak? – A Kacha z daleka, ale takim głosem, że zamarłam, mówi: – Sama zobaczysz. Wszystko u mnie okej. Roztyłam się jak stara pizda. Zadzwoń czasem, jak się urządzisz – i prawie zaraz brzdęk słuchawką. Nie mówiła już na mnie „Krzyś”, mówiła, że kładzie aluminiowy *siding* na garażu, bo to prak-

tyczne, zawsze lubiła narzędzia, zna się na tym, ale... Przecież to ja dzwoniłam! Ja! Ale okej – skoro nie ma miłości, niech będzie praktyczny *siding*, aluminiowy, bardzo proszę... Jezu, o czym ja myślę, króliki mi się w głowie pieprzą. Za długo siedziałam na tych bagnach nad oceanem albo uwalona jeszcze jestem. Tamci też byli uwaleni, to dobrze, może mniej poczuli, mniej się męczyli w ogniu. Więc nie doskonałość...

– *Prócz dróg doskonałości są jeszcze małe ścieżki.*

Kto tak mówi? Małe ścieżki są dla małych ludzi! Małe ścieżynki to nie dla mnie, wiesz? Ja, nim tu przyjechałam, słuchałam w kółko takiego czegoś, nawet nie piosenka to była, melorecytacja, ale z odlotem, i to się nazywało *Fabryka szczynny*, rock sprzed lat, ale wiesz, no i tam mówi taka dziewczyna, w fabryce, kontroluje rurę w słodkim smrodzie, w gorącu zakładu, zarabia grosze, poci się, drze się na nią jakaś Dotty Hook, bladź brygadzistka, i ta dziewczyna mówi, że zostało jej już jedno na tym świecie, zostało jej tylko pragnienie. Żeby wybyć. Pragnienie, by jechać daleko, daleko do Nowego Jorku i zostać w Nowym Jorku, zostać gwiazdą, zostać gwiazdą rock'n'rolla i nigdy, nigdy nie spojrzeć za siebie. Nie wrócić nigdy do tamtej fabryki szczynny. Do małych spraw. Pragnienie, żeby... I to już właśnie było, się odbyło, i szlus, i teraz koniec. Koniec Nowego Jorku, koniec spadania gwiazd, bo wracam. Małą ścieżką.

Coś jeszcze wiem. Będą już tylko małe ścieżki. Nic w tym zabawnego, że wracam między ludzi, których już nie miałam oglądać. Nie chciałam oglądać. Ale dalej się plątali, nawet po Manhattanie, od razu, kosmita Carlos w srebrze, ten mój idiotyczny i chyba cudem napotkany na Szóstej Alei Anglik, który nie wiem nawet, co tu robi. Wczoraj zjawił się znowu, i w samą porę, ale o wszystkim mówił, tylko nie o so-

bie... Głosy w słuchawce telefonu, miałam ich już nigdy nie słyszeć. I wracam. Wracam skazana na nich.

– *Małą ścieżką miłości.*

Jasne, że miłości! Tkliwości! Po co mi to?! Na co? Patrz, jeśli ten zamiatacz podejdzie i zapyta się, czemu gadam do siebie (ale nie zapyta – w tym mieście wszyscy gadają do siebie) albo wyciągnie łapy, wyjmę spod kurtki ostrze do tektury i błysnę mu w oczy. Tylko później każą mi przejść przez bramkę, więc będę musiała wywalić ostrze do kubła, przejść czysta, nie? Więc wrócę tam bez brzytwy, uległa. Pokuszę się z powrotem, małą ścieżką. Do tego, co się miało skończyć! Po co mi oni... „Prośbę i ofiarę wyśmiała, bo nikogo nie kochała!” – recytował mi ten czubek przedwczoraj przez telefon. I miał rację, bo myślał o tym ich małym, miłusim kochaniu. Jeszcze się ślinił, że jedyną odpłatą miłości jest miłość. Najpierw takie abstrakcje, a na koniec zaczął wrzeszczeć: „To pies z tobą, kurwo!” Tak... Żał mu, że chociaż się tyle naszarpał... Bo wcale mu dobrze nie zrobiło, że się za mną tutaj fatygował. Zadarł z podziemiem, gadali na niego, że po tylu latach się namyślił brać paszport za internat, zadarł z ambasadami, że koniecznie Stany, a nie RPA czy Kanada, zadarł z Kanadolami, bo jednak Kanada, ale jak tylko wylądował i odebrał pierwszą zapomogę, zaraz szur! – przez zieloną granicę czy tam inny rezerwat Mohawków, na Manhattan, szukać mnie po mieście, i dopiero jak znalazł, zrozumiał, że mój porządek a jego kochanie to są różne sprawy.

– *A kochanie z Marchettim? Z Kronholtzem, z Kitaharą? Było inne, większe?*

Po co pytać, przecież już tego nie będzie. Skończyło się w jeden dzień, cały *trip*. Tyle, co zostało – popalona kurt-

ka skórzana i to pieczenie między nogami. Siniak na udzie, zauważyłam go dopiero w kiblu. Szpony Kitahary albo Kronholtza. Płatki płonącej róży, cały brzuch jakby mi obierało od środka, po prostu pali. Ale inaczej niż po porodzie, wtedy wszystko się zmieliło nagle w taki flak, a teraz napięte, gorące, aż promieniuje tym pieczeniem. Doigrałam się wreszcie, mam w bebechu reaktor. Z uszkodzonym chłodzeniem. Jak Czernobyl walnął, też siedzieli wszyscy na basenie. Z dziećmi poszły we dwie, Julia z Mrówą, z wózkami, na WKS Śląsk. Woda była marzenie, a z nieba bez jednej chmurki śnieżył ciez. Kto mógł wtedy wiedzieć.

Umarłam, jak Carlosa matka mu powiedziała przez telefon, a on mnie potem, że mały chory. Białaczka – pierwsza myśl. Jechać. I zaraz druga myśl, i taka jasna, chłodna: nie pojedę. Ale się okazało, że nie, gdzie tam, nie białaczka, tylko zapalenie opon mózgowych. Nie jadę. Więc teraz będą pytania: jak mogłaś nie pojechać? Odpowiedź może być długa albo krótka. Krótka brzmi: odwalcie się ode mnie. Tak... Jezu, jeszcze jedenaście godzin na tym plastiku, do tego w stylonowych majtkach od bikini. Dobrze i tak, że w majtkach, a mogłam zostać z pogryzionym gołym tyłkiem i bez plecaczka, dziś w nocy. Jedenaście godzin. Dość czasu, żeby piechotą dojść do Manhattanu, pokręcić się, powiedzieć do widzenia drapaczom i menelom, i znów piechotą na samolot. Czas by się zabiło, bo po co mi jedenaście godzin?

*– I pójdziesz?*

A, gdzie tam. Nie ma powrotów. Bez butów jestem. I jeszcze by mi ktoś po drodze kasę zagwiżdżył. Bo trochę kasy mi zostało w plecaczku, jednak. Opłaca się nie wierzyć bankom, tylko nosić kasę w podróbce Louis Vuitton z Czternastej Ulicy. Właściwie, to to jest taka bezdomność, chyba że ktoś chce zostać ślimakiem z chałupą na plecach. Tak jest na-

wet lepiej, bo łatwiej się pozbierać, kiedy cię ktoś wyrzuci. Łatwiej się ewakuować, nie? Jak cię poszczują...

– *Ale jeszcze wczoraj rano nie myślałaś o tym bilecie?*

Wczoraj rano, kiedy stałam z nosem przyklepionym do szyby werandowych drzwi, nic nie myślałam, tylko słuchałam szczęku żeliwnej patelni na srebrnej superkuchence Viking. Za moimi plecami syknął głośno gaz, zatrzeszczała zapalarka, zaszumiały płomyki. Trzasnęła skorupka pierwszego jaja, które Kitahara wybijał prosto na rozpaloną blachę. Bez tłuszczu. Specjalna kuchnia, Viking. Wszyscy trzej bali się cholesterolu. Z szyby ulotniły się ostatnie kropelki oparu. W łazience na pięterku jazgotała elektryczna golarka Kronholtza. Marchetti śpiewał pod prysznicem, ale nie arię, tylko coś, co nazywał pieśnią jednookiego pasterza. Kitahara rozbełtywał jajka, krajał swoje rybska, a jednocześnie popijał chivas z kryształowej szklanki, w której cienko grzechotała kostka lodu.

– *A potem?*

A potem szarpnęłam zapadką u zamka i otworzyłam szklane drzwi. Poczułam wiatr i słońce, ale bardziej wiatr, bo z miejsca dostałam gęziej skórki. Przeszłam dwa kroki po szarych deskach deku. Gładkie deski, i zaraz obok nich szarozielone ostrza traw z wydmy. Z drzwi za moimi plecami buchał jajecznicowy, a potem rybny dym, od którego mnie mdliło, więc – ciągle w samych majtkach od bikini, i nie szkodzi, w Kismet nie takie rzeczy się widzi – ruszyłam jeszcze dalej, do schodków, które zaczynały się na końcu werandy. A potem zesłam po nich, licząc stopnie dotknięciami stóp, i...

– *I...? Czemu płaczesz?*

I... stanęłam na piasku.

## La Isla Bonita

Łaskotał go czubek nosa i prawa brew, więc na sekundę rozchylił powieki i znurkował wzrokiem prosto w środek ciemnej, pachnącej, kędzierzawej chmury. Załaskotało go jeszcze mocniej, aż kichnął. Chmura włosów omiotła mu twarz, uniosła się jak kurtyna i zniknęła. Zoe obróciła się i przykleiła swój nos do nosa Anglika. Patrzył teraz w jej oczy, ciepłobrązowe, o migdałowym wykroju i ani trochę nie zaspane. Zoe musiała się obudzić już dawno, ale zamiast wstać, leżała spokojnie, poddając się dotknięciom oddechu na szyi, z ciepłem promieniującym z obu ciał wzdłuż pleców, pupy, ud. Za to teraz podniosła głowę i prędkim ruchem wraziła dłoń głęboko między prześcieradła, a potem zacisnęła szpony na zdobyczy.

– Kraaa!

– Hej, hej, kondorze! Nie porywaj Marysi jagniątka.

– *Che*, twardy rożek wyrósł temu jagniątku. Czemu nie zakręcony, ha?

– Puszczaj, wariatko, bo ukręcisz! Ej! Szuuu, sio, ptaszzydło!

Kondor zniknął w śniegach pościeli i w szamotaninie zaczął dziobać łup. Anglik obrócił się bardziej na plecy i próbował myśleć o Inkach, lecz tam, gdzie u niego było Peru, jej, Zoe, objawiał się Jukatan, a węzowy dotyk jej języka kazał także Anglikowi bez chwili zwłoki ruszać w chmurę, na poszukiwanie zaginionego miasta Machu Picchu. Zginając grzbiet, Anglik przemknął między urwiskami i znalazł się tam, gdzie zawsze pragnął pozostać, w nagiej kotlinie pośród złotobrązowych grzbietów. Język, w ślad za węzłowym pismem czarnego runa, sam znalazł drogę do bram

miasta, podczas gdy na dalekich antypodach drugi język, miękki, lecz sprężysty, bez ustanku, niespiesznie to wstępował, to znów zstępował wzdłuż pulsujących boków różowej piramidy schodkowej. Anglik zastukał językiem do bram i pośród słonego ugoru Atacamy znalazł górski ametyst, fioletowy klejnot proszący o jeden jedyny pocałunek. Był tak wysoko, że brakowało mu powietrza. Zoe wzdychała cichutko raz za razem, w dżunglach koca, a Anglik rozwarł wreszcie oczy i jak słońce kordyliery spłynął w lagunę podwójnych warg, w pełen ciepła labirynt, tak niepodobny do kamiennych mauzoleów zmyślonych przez okrutnego staruszka Borgesa. Przesuwał język wciąż dalej, w dolinę wstrząsaną podziemnym spazmem, aż po ciasną studnię na samym drżącym dnie, i wtedy nagle, na drugim krańcu kontynentu ich ciał, w białym rozbłysku lawy eksplodował wulkan Popocatepetl.

Wysupłał się bez pośpiechu spomiędzy złotych ud Zoe, ziewnął, bezwiednie pomyślał o jedzeniu. Czuł się jak dmuchany jaguar, z którego schodzi powietrze. Patrzył na śniadą skórę Zoe, bardzo dziwną dla kogoś, kto prawie całe życie oglądał tylko blade, piegowate, z sinymi żyłkami i marmurkami skóry Północy. Wargi Zoe były odrobinę zbyt wydatne, by były subtelne (ale jak świetnie zamykały się na zdobyczy!), a jej oczy miały kształt jak u Alicji na małym niebieskim portrecie Modiglianiego. Anglik zgasił zaraz tę myśl, bo modelka Włocha była Polką, a dyskusję o fizycznych podobieństwach z Polkami – czy przynajmniej z jedną Polką – odbywali już z Zoe kilkadziesiąt razy.

Zoe musiała mu jednak czytać w myślach. Telepatia zazdrości.

– Jak ci ze mną tak dobrze, to czemu jesteś taki? – odezwała się naraz spod koca.

Anglik westchnął.

– Czasami mam wrażenie, że przesadzasz – zauważył, jak zawsze.

– A ja mam czasami wrażenie, że jesteś świnią... – zaczęła Zoe. Ich kontynenty rozjeżdżały się w huku pękającego kamienia. Zoe płakała. Anglik skłamałby mówiąc, że nie wie, o co jej chodzi.

Potem siedzieli na barierce drewnianego tarasu ponad wydmami, a Jake Finkelstein lał tabasco do miksera pełnego Krwawej Mary. Ze szklanek stroszyły nać zielone pałki selera. Shoshi, małaletnia asystentka zdjęciowa Jake'a, ubrana tylko w białą koszulkę gimnastyczną Bundeswehry, celowała światłomierzem to w wilgotną ściankę miksera, to we własną małą i spiczastą lewą pierś pod czarnym orłem. Sto metrów od nich, nisko nad falami warczała awionetka, ciągnąc za sobą transparent z reklamą wieczornego koncertu na Jones Beach. Za nią już nadfruwała następna, ze wstęgą na cześć piwa Budweiser. Komary, nie samoloty. Dużo bardziej podobała się Anglikowi atomowa ćma Mothra, której przygodę oglądali do późna na wideo, aż źrenice robiły się im wielkie jak spodki, czy od cudów japońskiej kinematografii, czy od holenderskiej chemii, której całe pudło przywłókł Finkelstein w bagażniku saaba. Warcząca Mothra robiła wrażenie. Matka pancernych owadów. Shoshi zakrzyczała przenikliwie, kiedy Godzilla urwała Mothrze skrzydło, i sama złapała się za ramię.

Ale teraz był dzień i nie licząc podbitych oczu, Shoshi wyglądała jak zadowolone, wyspane dziecko, którym zresztą była. Bóg jeden wie, do jakich podstępów i kłamstw uciekła się wobec pobożnych żydowskich rodziców, żeby wypra-



wić się z Finkelsteinem, Zoe i Anglikiem na cały, długi czerwony weekend.

Słońce zaczynało prażyć jak opętane.

– Nie ma gazety? – Anglik rozłożył się na siwych deskach tarasu i przez rozsuwane drzwi sięgnął do koszyka, z którego sterczały płachty „Timesa” z poprzedniej niedzieli. „Tiananmen: pierwsze doniesienia to dziesiątki zabitych” – zakłuło go w oczy, więc złożył płachtę i sięgnął po zszywkę z przeglądem recenzji książkowych. Twarde oprawy, na czele listy *Szatańskie wersety*. Nie do czytania, więc znów wziął się do polityki. „Dziś Polska flirtuje z pluralizmem”. Ciekawe, ale co dalej? Stronice miejskie, „Rosyjska mafia sięga poza Brooklyn, FBI rozsyła listy gończe za Agronem i Bałagułą”. Kronika towarzyska. Donald Trump, „Dlaczego kupiłem tę linię lotniczą? Powiem szczerze, dla mnie ludzie, którzy nabywają u mnie bilety, są najważniejsi na świecie”. Kolejne rozdziały księgi, która nie przetrwa jutra. W dodatku księga była sprzed tygodnia, pełna prorocत्व dawno wrośniętych w powszedniość. Anglikowi szkoda było czasu, chociaż ciekawiło go, co z tą Polską... I jeszcze Chiny, też ciekawe, i jeszcze Chomeini, eksplodujące syberyjskie gazociągi, wszystko naraz ciekawe, i co z tego? Cisnął gazetę pod ławkę i objął wreszcie palcami szkło Krwawej Mary. Wzdrygnął się – tabasco było zdecydowanie za dużo – a potem podniósł się na łokciach wyczekująco, bo od strony sklepiku przy moło nadciągał Jake, włokąc za sobą niski czerwony wózek.

W Kismet nie było samochodów ani jezdni, tylko wydmy, a na nich drewniane domki i chodniki z siwych desek. Kismet i inne osady siedzą okrakiem na Fire Island, wąskim pasku lądu, długim na dziesiątki mil. O południowy piaszczysty brzeg Fire Island uderza Atlantyk, od północy płytką cieśnina oddziela wyspę od równie płaskiej, wielkiej

Long Island. W zimie wygwizdów, za to latem sielanka. Do transportu ładunków służyły tu od zawsze czterokołowe wózeczki, na których akurat mieści się karton mleka i grube niedzielne wydanie codziennej gazety, dowieszone promem. W lecie ceny najmu za domki szły w tysiące dolarów, chociaż nie dorównywały astronomicznym cenom w Hamptons, bliżej wschodniego cypla Long Island. Ale Hamptons były dla wbitych w land rovery nowobogackich magnatów od nieruchomości albo dla *yuppies* w ohydliwych BMW, słowem, w oczach Anglika, dla grzecznych dzieci. Bardziej radykalne towarzystwo wołało Saltair, Kismet i inne budkowe sadyby na wężowym grzbiecie Fire Island. To Jake wynalazł ten dom, własność swojego znajomego, powieściopisarza z Tribeca. Pisarz co lato przyjeżdżał tu tworzyć superawangardowe „struktury narracyjne” (facet obraził się, kiedy go Anglik raz zapytał, czy to, co pisze, to powieści), ale ostatnio dał za wygraną i zamiast spędzać kolejne lato nad trzystronicowym monologiem wewnętrznym bez kropek, wyjechał do Teksasu zarabiać jako *ghostwriter* u miliardera od półprzewodników i soku pomarańczowego. Miliardero wi spieszyło się, żeby przed zgonem (rak trzustki) roztoczyć przed ludzkością swoją wizję urzędnika świata. Wysokość honorarium nie grała roli, więc pisarz wyruszył z dnia na dzień i nie zdążył nawet wynająć letniego domku nikomu zamożnemu, a ponieważ jego pięćdziesięcioletnia narzeczoną organizowała w tym samym czasie w Toskanii wystawę rzeźb z drabin, już z biletem lotniczym w ręku zadzwonił do Jake’a i wcisnął mu klucze.

Co się świetnie składało, bo niedawno, po wielkiej przerwie, do Anglika telefonowała Lidka i kiedy ją zapytał, z walącym sercem, co u niej, powiedziała, że nic, tylko skóra

jej złazi, nie nie nie – u Polaków zawsze musi być tych zaprzeczeń pięć – opalenizna jest od słońca, Lidka spaliła się, piękny weekend, blisko, bo w Kismet. A potem powiedziała, że chciała porozmawiać, i... Przerwała, oświadczyła, że w tej chwili nie może, że zadzwoni kiedy indziej. Anglik nie był pewien, czy dzwoniła rzeczywiście jeszcze raz, czy tylko tak się jej wtedy powiedziało, na sekretarce też nie znalazł żadnej wiadomości, więc kiedy Jake zapytał, czy w następny weekend Anglik wybierze się z nimi do Kismet, Anglik spojrział na niego jak na upiora.

– I Zoe zabierz, niech sobie przewietrzy głowę z tych średniowiecznych świętych – dopowiedział Jake i zatrzepotał czarnymi rzęsami. Lubił Zoe, śmiał się tylko z jej studiów nad kobiecym mistycyzmem hiszpańskim, zwłaszcza odkąd mu Zoe powiedziała, że stanu łaski nie da się zobrazować. Skoro się nie da, to i filmu z tego nie będzie. Za to za świńskimi kawałami Zoe przepadał.

Zamiast obmyślać wykręty, Anglik rzeczywiście zabrał Zoe. Zapakowali się w pomarańczowego saaba Jake'a i pod wieczór ruszyli przez park, Drugą Aleję, rdzawe koronki mostu na Queens, w strugach ruchomego metalu, a pręgi niskiego słońca kładły się im na plecy zza parkanu śródmiejskich drapaczy. Jake prowadził lewą ręką, a prawej nie wyjmował spomiędzy ud Shoshi, która się nie odzywała, tylko wierciła nieznacznie, a oczy schowała za ciemnymi okularami – markowymi, za trzysta dolarów. Anglik miał ochotę poszperać w kasetach i puścić dla niej *Cheap Sunglasses*, żeby sobie domknąć ujęcie, ale Shoshi w lusterku miała tak wniebowziętą minę, że dał spokój. Pędzili jak wariaci aż do samego Babilonu. Babilon, Long Island – Anglika śmieszyła ta nazwa, ale nie było tu żadnych Sumerów, tylko trzy sta-

cje benzynowe, supermarket Waldmana i w pobliskim Bay Shore prom na wyspę, której krecha zamykała ciemniejący horyzont.

Wstali późno, i wcale się tym nie przejmowali.

– *Last night I dreamed of San Pedro la la la la la...* – gardłowo załkało radio, wyniesione z saloniku pisarza na słoneczny taras, gdzie rozstawili sobie leżaki.

– Wyłącz tę kurwę – podskoczył Jake, który lubił czyste techno, nie podróbki. Wymyślił nawet film o ślepym nastolatku, który w piwnicy w Manchesterze komponuje *beats* do muzyki techno – hipnotyczne hiperrytmy, które działają jak najczystsza ekstaza, tyle że nastolatek o tym nie wie, nie wie nawet, że istnieją kluby i *rave*, wyłapuje tylko z powietrza jak antena pewne emanacje, ale że chodzi o duże pieniądze, więc wkrótce ma w piwnicy gości, nieciekawych gości... I tak dalej. W każdym razie Jake nie tolerował podróbek.

– Madonna to nie kurwa – obruszyła się Shoshi i prawie wydeła wargi. – Nabierasz się na wygląd, a tak naprawdę...

– Tylko wygląd się liczy, obraz w czasie. Liczba reinkarnacji na minutę. Ich rytm. A tu... – Jake westchnął. – Niby zmiany, niby tempo, ale ciągle miga ta sama klatka. *Sru tu tu tu, ra ta ta, la isla bonita.*

– Madonna by ci jaja ukręciła, jakby cię słyszała.

– I za to ją kochasz?

– Za to też – Shoshi zaśmiała się złowieszczo.

– A tę panią, na przykład, też kochasz? Bo taka operatywna? – Jake zaśmiał się i przesunął w stronę Shoshi i Anglika barwną okładkę dodatku ilustrowanego, na której pulchna pięćdziesięciolatka z marsową miną stała pod rękę z tę-

gim wąsaczem, wśród fabrycznego pejzażu jak ze wschodu Europy.

Zaciekawiony Anglik sięgnął po magazyn. „Kiedy sytuacja staje się krytyczna, Polacy często zaczynają marzyć, że pomoże im ciocia z dalekiego Buffalo...” – zaczynał się artykuł, a dalej było: „W zakładzie stworzonym na ruinach niemieckiej stoczni, budującej kajzerowskie krążowniki, a potem u-booty dla Hitlera, miało w tym roku spłynąć z pochylni czternaście masowców...” „Czy anioł-milionerka z USA wspomógł Wałęsę?” – wołał jeszcze śródtytuł.

– Co mnie obchodzi jakieś stare babsko, z milionami czy bez? – zachnęła się Shoshi. – Madonna to coś więcej niż szmal. Bo Madonna... Madonna...

– Madonna to nie żadna *material girl*, tak? Uczciwa dziewczyna, tylko niezrozumiana? Tak?

– Madonna to znak, debilu. Madonna to wiara.

– Wiara?!

– Wiara. Że się wyzwolisz, przejdziesz na wyższy poziom, Jake!

Finkelstein zarżał.

– Oho, chcesz na wyższy poziom, Shoshi? A umiesz śpiewać la-la-la i kręcić dupą?

– Zamknij się, debilu!

Zniechęcony obrotem rozmowy, Anglik podniósł się, siorbnął sobie Krwawej Mańki i podszedł do poręczy tarasu. Słońce wibrowało nad gorącymi wydmami. Na słupku usiadła tłusta mewa wielkości indyka. Po deskach drewnianej uliczki hurgotały kolejne czerwone wózki. Potem Zoe położyła mu ręce na ramionach. Nie zauważył, kiedy podeszła, usłyszał dopiero jej szept:

– Zostań ze mną.

– Ja... – spróbował się nieznacznie odsunąć, wyplątać z ucisku.

– Nie jest ci ze mną dobrze? Zostań ze mną.

– Tak. Nie. Zaraz, ja...

– Dokąd idziesz?

– Zaraz wrócę, tylko... – Zeskoczył z tarasu prosto w piasek, gorące strużki wsypały mu się do mokasynów. – Naprawdę, zaraz wrócę – powtórzył i ruszył przed siebie. Obejrzał się dopiero na zakręcie drewnianej uliczki. Zoe stała bez ruchu przy poręczy, tam gdzie ją zostawił.

Szedł przez wyspę. Wszystko było białe i zbyt gorące, oślepiał go gorący blask od płaskiej wody zalewu, od szarych desek kładki, od nieba. Przeszło mu przez głowę, że to już drugi przypadek w rodzinie. Jego dziadek oślepił naprawdę, i także na wyspie: na Krecie w maju 1941 roku. Był drugim mechanikiem na unieruchomionym od marca „Yorku”, w dyżurnej obsadzie generatora, i stał przy rurociągu z parą, kiedy trafiło w maszynownię. Ojcu Anglika opowiedzieli o tym koledzy dziadka, ci, którzy go wynieśli z brzucha okrętu po żelaznych stopniach. Czekali z tą opowieścią przez pięć lat obozu jenieckiego. Dziadek został bez twarzy, więc nie widział, jak na gołych zboczach nad zatoką Suda lądują następni niemieccy spadochroniarze, jak „York” się pali razem z ropą na wodzie. Umarł im na rękach. Kiedy wiosłowali do brzegu, policzki schodziły mu z twarzy niby pergamin. Ojciec Anglika miał dwanaście lat, kiedy tego słuchał.

Ta wyspa też była biała, ale niska, nie skalista. I też ciągnęły nad nią samoloty transportowe, jeden za drugim, jak karawana wielorybów z ludźmi w brzuchach, bo tędy schodził korytarz powietrzny ku miastu. Desant następował na JFK, desant z całego świata – czarni, żółci, w paski, w ciapki. Służba imigracyjna broni swoich budek do końca, lecz fala

przedziera się dalej, za szklane drzwi, przez bury Queens, na Manhattan. Nad wyspą, od krańca do krańca niebosktonu, stoi kolejka odrzutowców. Anglik zastanawiał się, ilu z tych ludzi wróci do domu. Z nim włącznie. Przyszło mu do głowy, że chociaż Heathrow wygląda podobnie, w Anglii wszystko jest mniejsze i dlatego łatwiej się tam odnaleźć.

Anglia była jednak za duża, żeby ją uważać za wyspę, i za zieloną. Z Anglii brakowało mu tutaj właśnie świeżych zielonych chwastów i wiktoriańskich piramid z cegły i żeliwa, z wżartą w mur węglową sadzą, i jeszcze podłóg z grubych dech, małych śmiesznych samochodów i w ogóle małych, śmiesznych, zwyczajnych rzeczy. Tutejsze piramidy były z czarnego kamienia i czarnego szkła, które wypija światło. Anglik powtarzał sobie, że tak ma być, bo na Manhattan nie przyjeżdża się po rzeczy śmieszne i małe, tylko żeby wystartować w stratosferę, poza zieloną warstewkę zwyczajności, w czarny chaos. Na wyższy poziom. I nawet kiedy manhattański człowiek-pocisk wyjeżdża na weekend, musi to być wyjazd ambitny. Inaczej wszystko nie ma sensu i można w ogóle się nie ruszać z domu.

Wszystkiego tego musiał doświadczyć na własnej skórze. Żaden urzędnik imigracyjny na JFK nie wręczył mu ulotki ze stosownym pouczeniem. Dopiero kiedy się sam sparzył, kiedy komisja skwitowała ironicznym „bardzo to angielskie” pierwszą etiudę filmową, a druga etiuda, dłuższa, nawet nie wywołana, uległa zagładzie, zaświetlona i wepchnięta za lodówkę – wtedy Anglik sobie uświadomił, gdzie się znalazł. Tutaj się zwyciężało albo wracało do domu. Choćby nawet do Anglii, do starego domu rodziców w Sevenoaks. Wrócić do domu oznaczało mniej więcej tyle, co przetrząść swoją szansę. Jeszcze się bronił przed tą myślą,

z zaciśniętymi ustami patrzył na ludzi, którzy z zapasami, zakupami, torbami, w świetlistych dresach i nowiuteńkich adidasach jechali na lotnisko, by wsiąść w samolot powrotny. Powtarzał sobie, że syci chwały, nie wiedzą, iż wracają ku kłęsce.

Wmawiał sobie, że nie przeszkadza mu myśl o powrocie. Mógł wrócić do Anglii nawet jutro, nie wiedział tylko, co by tam robił. To samo? Wszystko jedno, nieważne: i tak, zanim wróci albo pozostanie, musi jeszcze kogoś odnaleźć. Powracał do tej myśli od miesiący, a od niedawnego telefonu nosił ją w głowie bez przerwy. Co się stanie, kiedy znowu spojrzą sobie w oczy? Pewnie nic. Za dużo takich rozmów odbyli już w jego myślach. Kiedy się spotkają, może nie trzeba będzie nic mówić? Tego chciał, lecz zarazem przeczuwał, że będzie zupełnie inaczej.

Poszedł uliczką, a potem wąską kładką z szarych desek, ułożoną ponad chronionym pasmem wydm. Z piasku sterczały słonowodne trzciny, ostre trawy i łodygi trującego bluszczu. Zatrzymał się przy zakręcie tej drewnianej autostrady i oparł dłonie o sztachetki płotu rozpiętego na zarzewiałych drutach między wydmami a ścieżką. Czuł się tak, jak gdyby wstępował na ostatnią plażę planety. Nie chciał wracać do miasta, widocznego ze szczytu kładki jako siny warkocz smogu daleko na horyzoncie. Nie miał ochoty cofać się do domku pisarza, między bulgotanie radia, pod pytający wzrok Zoe. Wiedział, że za chwilę pójdzie przed siebie pod błękitną michą nieba, przez piach, najpierw publiczną plażą z ratownikami, a potem plażą golasów, szukając kogoś, kto nie ma mu nic do powiedzenia.

Zdawał sobie sprawę, że trudno kogokolwiek znaleźć na szerokiej plaży, kiedy się idzie ze wzrokiem wbitym



w piasek i tylko czasem czubkiem mokasy na potrąca brunatne krabie skorupy, podobne do zardzewiałych wojskowych hełmów. Na plaży, która ciągnie się trzydzieści mil – a jeśli wrócić na Long Island mostem na drugim krańcu mierzei, jeszcze dalej, kolejne dziesiątki mil, aż pod Montauk. Z jednej strony huczał Atlantyk. Dzika woda, ostry surf, dobry na małą deskę, ale nie na pływanie żabką. Z drugiej strony mierzei pobłyskiwała płytka cieśnina, upstrzona białymi kadłubami motorówek, obramowana bagniskami i trzcina. Między wodami, tą spienioną i tą zgniłą, na wąskim pasku piachu pleniło się życie – blade ciała na deskach, podrumienione cielska na leżakach, brunatne plecy i fiuty nagich siatkarzy, wachlarze rąk skaczące jedne po drugich ku tęczowym spodkom *frisbee*. Środkiem mierzei, prosto w jego nozdrza, walił dym z porannego grilla.

W sylwetce brodzącej w resztkę fali na styku suchego i mokrego piachu było coś tak oczywiście znajomego, że zatrzymał się i otworzył usta do okrzyku, jeszcze zanim sobie to uświadomił. Obok ucha zafurkotała mu wielka mewa i podniosła się ciężko ponad fale. Poprzednim razem było podobnie – gdy wiele miesięcy temu schodził w zmierzchu na dolny dziedziniec uniwersytetu i tuż nad jego głowę przesunął się wieczorny ptak, bezszelestnie, jak na zwolnionym filmie, niemalże muskając włosy. Nie zauważył go z początku, bo szedł prędko, a kamienne płyty pomostu nad aleją odbijały rozproszony szum taksówek z mokrej jezdni na dole. Za przejściem chodnik wciskał się między ceglane ściany dwóch budynków. Szedł jak po dnie wąwozu, a wprost nad nim, wyżej, leciał ptak, choć czemu prawie po ciemku? Kiedy ptak zniknął w mroczniejącym powietrzu, zbiegł po schodach na plac w obramowaniu kolejnych gmachów. Szedł

dalej, a w jego głowie jaśniał rozprysk tych niemych pięciu sekund w tunelu między Księgozbiorem Azjatyckim i Philosophy Hall.

Nie poznał wtedy, jaki to był ptak, bo go oślepiła ruda zorza za Hudsonem, ale wiedział, że ujrzał znak. Następnego dnia na Szóstej Alei spotkał Lidkę. Tak jak spotkał ją teraz: obojętną, osnutą dymkiem, wtedy z autobusowych palin, a dzisiaj z grilla. Dziś także umarł.

Poznał, że jest pijana, dopiero kiedy urwała w pół słowa swoje powitalne: – *Top of the...* – i roześmiała się bardzo nieprzyjemnie. Kwaśna alkoholowa smużka zawirowała między nimi, kiedy Lidka pocałowała go na przywitanie. Potem nadal stali bez słowa. Anglik żałował, że Lidka jest za mądra, by zdobyć się na niewinne: „A skąd się tu wzięła?” Szkoda, bo czasem byle jakie słowa pozwalają przeskoczyć na drugą stronę przepaści.

Była tylko w majtkach od bikini, ale tutaj nikogo to nie dziwiło. Tym razem Anglik nie zezował na boki. Na ramieniu Lidka miała czerwoną pręgę, o którą wołał nie pytać.

– Ciekawe, skąd tyle dymu – odezwał się wreszcie, żeby coś jednak powiedzieć.

– Kitahara spalił ośmiornicę – odpowiedziała Lidka swoim chropawym, ale dużo lepszym niż dawniej angielskim.

– Przypalił?

– Przypalił.

– Kitahara?

– Mówię, że Kitahara.

Potem znowu nastąpiła cisza. Minuta albo trzydzieści minut.

– Masz przyjaciół, którzy z samego rana przypalają ośmiornice?

– Słuchaj... Czego ty ode mnie chcesz?  
– Porozmawiać... – Przełknął ślinę. – Przecież to ty mówiłaś, że chcesz porozmawiać.  
– Kiedy? Ach, wtedy! – Lidka prychnęła, zapatrzyła się w piasek, a potem odezwała się cicho: – Nic nie wiesz. Więc się nie wpychaj.  
– Coś tam wiem.  
– Co niby?  
– Wiem, skąd się tu wzięłaś.  
– Ale nie wiesz, dokąd chcę zajść. Mało wiesz, kochany.  
– Powiedz mi więcej. Skąd mam wiedzieć?  
Ta sama leciutka asymetria piersi. Ale wydały mi się cięższe niż wtedy. Upływ pięciu czy sześciu lat, dziecko. Jeszcze niepodległe grawitacji, piegowate jak dawniej, ale już zmienione od czasu, kiedy poznał ich dotyk.  
– Powiedz mi.  
– Co ci będę mówić. I tak nic nie pomożesz.  
– Wiesz, że ci pomogę. Zawsze.  
– Nie. Mnie nie trzeba pomagać. Dlatego. W ogóle...  
– Lidka szukała słów. – Wiesz, rzeczywiście, kiedyś chciałam, żebyś mi pomógł. Ale nie, żeby z tobą wyjechać, tylko żebyś na chwilę został i nauczył mnie jednej rzeczy... Bo mi wtedy strasznie imponowałeś. Wiesz czym? Bo byłeś... w ruchu.  
– Bo mogłem wyjechać z Polski, a ty nie?  
– Nie, nie dlatego. Ja w końcu też wyjechałam. Byłeś w ruchu, a myśmy siedzieli. Powiem ci po polsku. Myśmy siedzieli na murku, a ty byłeś w ruchu.  
– Tak, ale... Nie byłem u siebie, więc... – zaczął.  
– Ale... Ale teraz obydwójce jesteśmy w ruchu, ty i ja, i nie u siebie. Więc nie proponuj mi gościny. Jestem na swoim. Jak szukamy szczęścia, to szukamy.

– Nie rozumiem, jak mówisz szybko po polsku – próbował ją zatrzymać, nim powie coś, czego się już nie da cofnąć.

– Wiem, że nie rozumiesz. Wytłumaczę ci, chcesz? No, więc jesteśmy w ruchu, dwa ekspresy, pędziliśmy może nawet ku sobie, ale się miniemy. Ja jadę do Europy, ty do Chin czy gdzie tam. Najwyżej zaiskrzy, kiedy się będziemy mijać...

Nie był pewien, czy usłyszał to wszystko, czy tylko sobie wyobraził. Lidka strząsnęła włosy z ramienia.

– Skąd masz taką szramę? – Nie wytrzymał.

– Oparzenie. Koksik przypalaliśmy na patelni i płomień strzelił. Ale nie bój się. Jestem niezniszczalna.

– Masz szybkie towarzystwo – spróbował przedrzeć się do niej na oślep. – Koks, weekendy na wyspie... – i spojrzął znacząco na ciężki złoty naszyjnik w kształcie splecionych delfinów. Ładnie współgrał z jej oliwkowym, opalonym dekoltem, z wężami czarnych włosów na karku.

– A co, miałam klopy Żydówkom szorować na Boro Park? – wybuchnęła nagle Lidka, bez ostrzeżenia, w bladej furii, jak gdyby potracił obnażony nerw. – Ostatni raz ci mówię. Jestem wolna. Czego chcesz?

– Prawdziwy feminizm – zażartował. Lidka nie żartowała.

– Wsadź sobie takie uwagi! Znam różne grube lesbije w ramoneskach i lubię je tak jak ty. Ale nie o tym mówię. Więc się nie przyczepiaj. Ja się akurat nie uważam za kobietę. Ani za mężczyznę zresztą też nie. Mnie nie ma, rozumiesz? Dopiero się staję. Może będę kobietą, może owdem. Może larwą.

– Czym?

– Larwą, kurwa, nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? Na razie jestem jak w skórzanym kokonie takim, i co?!

Może robię głupstwa. Ale mnie nie naprawiaj, nie przerabiaj. Mnie tu jest dobrze, bo tu jest ruch. Nikt się na mnie nie gapi. Może się coś ze mnie wylęgnie wreszcie... – dokończyła tak cicho, że ledwie ją dostyszał w grzmocie fal.

– Ale dawniej... – zaczął, zdumiony zmianą, bo Lidka, chociaż mówiła szybciej niż dawniej, co chwila zamierała bez ruchu, zagapiała się, na sekundę zmieniała w manekin, a potem znów wybuchała, jak teraz:

– Zapomnij o „dawniej”! Ty dalej myślisz, że wszystko jest jak dawniej, dalej odbywamy na migi jakąś wielką rozmowę Wschód–Zachód. Zapomnij, tego nie ma, i zostaw mnie w spokoju. Rób swoje filmy. Mnie nie trzeba ratować. A może myślisz, że jestem ci coś winna, że mnie raz odkułeś od poręczy? To się zdarzyło, piesku, na innej planecie.

Było południe. Promienie padały prosto z góry, z mocą przemysłowego rentgena.

– I nie chcesz tam wracać? – powtórzył po raz nie wiadomo który. – W Polsce jest teraz... rewolucja. – Brakowało mu lepszego słowa.

– Wszędzie jest rewolucja. U mnie też.

– A po co wyjechałaś?

– Wyjechałam, bo... Co się pytasz? Wyjechałam, bo nie lubiłam być czarną owcą, kurwą z wielkim brzuchem. Celowali mi w ten brzuch paluchami. To uciekłam. Fajnie, mogę być czarną owcą, ale nie tak. Wolę za morzem. Zapłaciłam za bilet i siup.

Od zastygłego uśmiechu dygotały jej policzki. Uśmiech na sprężynkach. Gorąca furia w przymrużonych oczach. Stali naprzeciwko siebie, po kostki w rozprażonym piasku. Minął ich gliniarz jadący małym, warkotliwym łożem wzdłuż plaży, ale nawet na Lidkę nie spojrzął, przyzwyczajony do golasów.

– I jesteś zadowolona? – zawahał się, bo *happy* mogła zrozumieć po swojemu. I tak zrozumiała, bo parsknęła:

– Co cię obchodzi nagle, czy jestem szczęśliwa? Co to w ogóle znaczy?

– Ja tylko pytam, czy wszystko jest okej – wycofał się, byle prędezej.

– Nic nie jest okej, i co z tego?! Coś się zmieni, że mi o tym przypomnisz? Jest, jak jest, ale tu jest Ameryka, nie? Tu się nikt nie skarży. Jedna Ahumada mogła sobie wysłać braci za ocean, nie musiała sama, tak jak ja z tego Meksyku, brodzić tu przez jakąś głupią Rio Grande... – dodała nagle Lidka.

Nic nie rozumiał.

– Ahumada?

– Taka jedna. Potem zrobiła karierę w Hiszpanii. Dawno. Braci posłała na konkwistę, a sama została.

– Ale twoi bracia są tutaj – parsknął śmiechem, wbrew sobie. – Miałem przyjemność ich gościć.

– Wiem. – I po sekundzie: – Nieprawda. Ja nie mam braci.

– Ale masz za to nowych przyjaciół – podsunął. – Przypalasz z nimi ośmiornice i co tam jeszcze... – dokończył, celując palcem w szramę na skórze Lidki, w naszyjnik. – Kupują ci błyskotki.

– To nieprawda!

– Co nieprawda?

– To, co myślisz – dokończyła i nie podnosząc wzroku, zakreśliła wokół siebie krzywy krąg w piasku. – Idź już. Nie ma rozmowy.

W jej głosie usłyszał coś, co odebrało mu ochotę do dalszych pytań i nalegań.

– Och, Lidka – i nic więcej nie powiedział, tylko pomilczał chwilę, a potem także się odwrócił i czując kleszcze

na gardle, ruszył wzdłuż plaży, byle dalej, byle nie patrzeć na Lidkę, na jej zgarbione złote plecy.

Odwrócił się dopiero po stu czy dwustu krokach. Lidka stała teraz dalej od fal, przy samym wylocie drewnianej kładki nad wydumą, i rozmawiała z jakimś facetem w czarnej koszulce i z nakrapianym psem na krótkiej smyczy. Pies próbował wrazić nos w bikini Lidki, ta oganiała się, czarny facet raz i drugi ostro szarpnął smyczą. Nie patrzyli w jego stronę.

Dopiero teraz dotarło do niego, że na pożegnanie Lidka zapomniała mu zaproponować, żeby zostali po prostu przyjaciółmi.

Kiedy się odwrócił jeszcze raz, Lidka i czarny z łaciętym psem byli daleko, prawie pod drzwiami siwego drewnianego domu z tarasem, nad którym furkotała prostokątna chorągiew. To właśnie stamtąd tak dymiło, aż łzawiły mu oczy.

Nie szedł plażą prędko ani powoli, szedł w sam raz. Piasek chrząścił mu w butach. W uszach miał terkot awionetek. Obok niego potoczyła się wielka piłka z tęczującymi kontynentami. Zatrzeszczały dechy długiej kładki. Zatrzask przy furtce wystrzelił za nim jak rewolwer. Zaszurgotały odsuwane drzwi barku. Cmoknęła uszczelka lodówki, brzęknął dzbanek. Pił za szybko, aż mydlana słona zieleń marguerity chlupnęła mu do nosa. Po takiej nauczce na drugą kolejkę nalał sobie samej tequilli. Nie pomogło, choć dotarł do dna butelki, więc znów sięgnął do barku, gdzie stał jeszcze mescal. Jake, Shoshi i Zoe kłócili się na tarasie. Potem został już tylko miętowy likier marki Avalanche, niebieski jak płyn do chłodnicy. Smakował okropnie, więc Anglik splukał osad z gardła miniaturką likieru Kahlua. Mimo zawodowego bólu istnienia, powieściopisarz, właściciel domku, lubił so-

bie, widać, dogodzić na słodko. Na szczęście w drugiej, tajnej przegródce baru była jeszcze kanadyjska whiskey, której podły smak dawał się zabić lemoniadką, na przykład seven up, którą sobie przywiozła Shoshi. Pod lemoniadkę poszło głódziej, prawie do końca, kiedy nastąpił pierwszy kryzys. Anglik obserwował misterną grę drewnianych słojów na spodzie blatu kuchennego stołu, kiedy Zoe weszła do kuchni i potknęła się o jego nogę.

– O, Boże.

– Mnie nie ma – pouczył ją i pociągnął wprost z brązowej szyjki, w poczuciu, że wyrósł z lemoniadki. I aby wyjaśnić, co się dzieje, dodał: – Walczyłem z potworem morskim.

– I wygrałeś? – zdziwiła się Zoe.

– Nie. Nie wygrałem – dodał już z pośłania i zacisnął powieki.

– Posłuchaj! – Zoe nachyliła się nad nim. – Posłuchaj!... Posłuchaj!... Posłucha...

Świat był pełen ech i tęczujących barw. Czuł, że jest bardzo, bardzo długi, aż po kres materaca, z łaskotliwą skórą. Pierzasty wąż? Ale przecież wężem była Zoe, a on? On był krabem, parą szczypiec w wystrzępionych spodniach, a ponad sobą widział teraz szarozielony sześcian oceanu. Odwrócił się do ściany. Tu, na dnie sennego morza, prawie nie czuł targania fal, zaledwie echo pozostało po syrenich głosach, wabiących: „Posłuchaj!... Wróć!” Lecz nawet tamte głosy wabiły na próżno, bo odwrócił się i we śnie zaczął mozolnie zstępować w podmorski wąwóz pełen mroku. Nie bał się, tym bardziej że gardziel, chociaż mroczna, zaczęła się stopniowo rozszerzać, a w oddali, u celu, ujrzał snopy iskier. Odychając pod wodą, doszedł aż do żelaznych rusztowań, na



których siedzieli spawacze. Pomarańczowe iskry rozsypywały się po głębinie z kilkunastu miejsc naraz. Złapał dłońmi najbliższą sztabę i wreszcie spostrzegł, że brygada spawa podmorską klatkę. Obejrzał się: za sobą także miał pręty. Kawałek dalej, na piasku, stała Lidka. Zawołał do niej, a ona nie podeszła, ale odezwała się. Słyszał wyraźnie każde jej słowo. „Długo tu jesteś?” – zapytał ją. Lidka układała kręgiem wokół siebie różowe rozgwiadzy. „Tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni. Już zaczęłam śmierdzieć”. Nie zrozumiał z początku, dopiero po chwili, a później jeszcze zauważył mimo odległości, że Lidka ma mokre majtki, i zapytał, dlaczego. „Płakałam” – odpowiedziała po prostu, i rzeczywiście, łamał jej się głos.

Odwrócił się więc i zaczął wspinać na pręty, jak doświadczalna ośmiornica, która górą przełazi do pojemnika z przynętą. Gdzieś z wysoka, z powierzchni morza, mżył poblask, migot fal. Opuścił wzrok i przekonał się, że kratownice zostały daleko i że przed sobą ma błotnistą ścieżkę przez czarne zarośla. Przygryzł wargę, rozumiejąc nagle, że znowu śni mu się tamta zima, bąble kry na rzece, zimowe kanały obok czarnej śluzy, wśród ceglanych osypisk i ścian magazynów, w kopcącej świecy dymu z komina browaru. Wpatrzeni w siną wodę, stali tam bez słowa: ona, on i ich zdrada, ciągle bez osądu. Potem tamten kraj zniknął, wyjechali stamtąd. „Ja będę jeszcze śniła o tamtym spacerze” – dopowiedział jej martwy głos z dali. Na dnie oceanu walały się w tym miejscu śmieci, opony, zębate koła, nadłamane śruby okrętowe. Tuż obok jego stopy z mułu wystawał pęk kluczy. Wahał się, czy je podnieść.

Czyjeś dłonie, wiele dłoni, pochwyciły go i jak szczeniaka cisnęły w ciemność, lecz kiedy otworzył oczy, nadal był

pod wodą. Klatki nie było widać, ale mógł to być podstęp, bo czarownica pilnująca Jasia i Małgosi miała przecież oczy i z przodu, i z tyłu, dookoła, i wewnątrz także była pełna oczu. I powiedziała dzieciom: „Wstąpcie tutaj”. I potem rozpałała piec. Jaś siedział w klatce i nie mógł pomóc Małgosi. I Małgosia sama musiała pchnąć czarownicę w białą czeluszczycę płomienia. I Jaś i Małgosia wracali do domku na grzbiecie uczynnej kaczki, ale w połowie drogi Małgosia uderzyła Jasia i zepchnęła go z kaczki, i Jaś musiał sam iść szukać domu. A kaczka przebiła szkło morza, aż sypnęły się ogniste odłamki, i poszybowała górą, coraz dalej i dalej, ku Ukrainie. Małgosię trzeba było teraz dognać i zabić, ucinając głowę.

Oparł się o porzewiałą pancerną blachę. Spod glonów i rdzy ledwo było widać wypukłości nitów. Każdy otwór iluminatora był studzienką w kolejny wodny przedział nicości. Ruszył powoli po dnie morza wzdłuż kadłuba „Yorku”, aż dotarł do miejsca, w którym eksplozja kotłów rozerwała blachy na strzępy. Przycupnął instynktownie, w samą porę, bo z wielopiętrowej wyrwy strzeliły światła latarek. Płetwonurkowie nie dostrzegli go, zajęci szamotaniną z kobiecym ciałem, które wlekli na gumowym pasku. Lidka szarpała się słabo, dostała gumę, a potem powlekli ją ku górze. Na koniec mignęły mu tylko czarne płetwy. Domyślał się, że skoro stoi przy zatopionym „Yorku”, niedaleko musi być brzeg. I rzeczywiście, za zgniecioną jak tektura, wrytą w muł rufą krążownika dno zaczynało się podnosić, aż ku miejscu, gdzie pochyłość przeszła w pionową wapienną ścianę. Wspiął się po niej mozolnie, starając się nie patrzeć w dół. Powierzchnia morza była coraz bliżej. Musiał się spieszyć. Palce ślizgały mu się po mokrym wapieniu jak po świeżym gipsie. Dotknął ściany językiem, była słońca.

Kiedy wypełznął na brzeg i rozlepił powieki, było zupełnie ciemno. Poderwał się z materaca i powiódł oczami po twarzach Jake'a, Zoe i Shoshi.

– Co wy tu robicie... – wyszeptał.

W głosie Jake'a usłyszał wysiłek:

– Czekamy. Aż oprzytomniejesz. To nie wyglądało najlepiej, zdajesz sobie sprawę? Z tym pulsem?

– Co? Która godzina?

– Dziesiąta.

– Dlaczego tak ciemno?

– Dziesiąta wieczór. Wypałeś się?

– Nie spałem. Zaraz... – Spróbował się pozbierać z materaca, którego słony smak ciągle prześladował jego podniebienie, ale udało mu się tylko przewrócić na siebie stojaczek z czasopismami – jedno o urządzaniu wnętrz, drugie grube eseistyczne i trzecie otwarte na prozie porno. Skupił wzrok na drobnym druku. „W autostradowym pędzie, wśród rozbłysków chromowanej blachy, nie zdejmując z pedału gazu czubka czółenka firmy Manolo Blahnik, dyskretnie, ostrymi szczypcami paznokci ujęłam wyprężony w wulkanicznym kraterze rozporoka, mięsisty członek mojego partnera, bankiera z City, a w weekendy płetwonurka...” Dopiero w tej chwili poczuł, jak bardzo mu zaschło w ustach.

– Co to jest...

– Egzemplarz autorski. Chyba. Nasz przyjaciel pisarz dorabia sobie na boku. Ale styl ten sam, widać klasę. – Jake roześmiał się i szturchnął go w żebra. – No, wstawaj, pora potaćnić.

– Z pijanym nie tańczę – zaznaczyła Shoshi, która zdążyła się pozbyć szwabskiej koszulki. Zoe nie mówiła nic. Patrzyła tylko i zaciskała wargi.

– Idźcie, ja... Zaraz was znajdę – szepnął, lecz widząc, że nie ruszają się z miejsca, podniósł się sam i ruszył ku drzwiom. – Trochę powietrza najpierw...

Na drewnianym tarasie stanął przy barierce, ze wszystkiego najbardziej świadomy chropowatości listew pod opuszkami palców. Gwiazdy, gwiazdy. Hałasy z sąsiedztwa. Za domami stygnąca piaskowa pustynia, śpiące ostre trawy. Nie mógł biernie czekać.

Dał susa przez barierkę, wykopał się z piachu i dobrnął do osiedlowej deskostrady. W miejscu, gdzie w bok, w ciemność odchodziła druga, węższa kładka, stała przepiśowa tablica pożarowa, z której dyndało czerwone wiadro. Bosak okazał się do niczego, za długi. Zamiast niego udało mu się wyszarpnąć z drucianych uchwytów strażacki topór z podwójnym ostrzem.

Dosłyszał, jak Jake i Zoe wykrzykują gdzieś niedaleko jego imię, więc puścił się w drugą stronę, klaskając podszwami o deski. Biegł, jak tylko mógł najprędzej.

## Ahumada

Anglik za dnia zapamiętał tamten domek, lecz przyjsie nocy rozdeło i powykrzywiało wymiary kosmosu, bo za kolejnym zakrętem drewnianej uliczki okazało się, że dalej jest już tylko srebrna wydma, którą co pół minuty muska strumyk światła z latarni morskiej przy Robert Moses Park. Wyplątał się nie bez trudu z trzciniowiska i co rusz objając kolana o czerwone drzewce topora, wczłapał z powrotem na deski. Tym razem skręcił prawidłowo. W mrocznej perspektywie miał teraz przed sobą wpierw domek o podświetlonych pomarańczowych zasłonach, potem domek z latarnią

i wreszcie domek z trzepoczącą japońską chorągwią, monochromatyczną za dnia i w nocy. Po skwarze dnia morski dmuch gładził skórę jak wiew z mrocznej paszczy wielkiego klimatyzatora. Anglik zagapił się. Ponad wydmmami, dachami szarych szop i czubami sosen kołowały gwiazdozbiory – te same co zawsze kolacyjne kropki, stygnąca kasza rozsmazana po granatowej ceracie.

Gwiazd pełgało tysięczne mrowie, ale między drzewami trwała ciemność. Nie było jednak wcale cicho, bo z sąsiedniej uliczki letniskowych domków huczało agresywnym techno wielkie *block party*. Tańczyła tam cała ulica, aż tu niosły się wrzaski i trzask fajerwerków, więc Anglik stropił się na myśl, że być może skrada się niepotrzebnie, bo ta, której szuka, kołysze się w samym środku falującego tłumu, otoczona setką dupków w czarnych błyszczących koszulach i – mimo nocy – w czarnych lustrzanych okularach słonecznych. Ruszył jednak znowu przed siebie, choć wolniej, teraz prawie po omacku, a grzechot cykad mieszał mu myśli jeszcze bardziej niż przenikliwe skrecze i dudnienie woferów. Cykady, moskity, parząca roślinność – Eden, dzisiaj zwłaszcza, tak bardzo nie jego własny.

Może tak to odczuwał dlatego, że noc zmieniła pastelową, wąską wyspę w tunel i wysłała z wydmm wszelkie kolory. Anglik czuł się tak, jak gdyby szedł przez wielkie miasto, nad które nadciągała czarna chmura. Popołudnie jak noc. Będzie śnieżycą, jak z czarno-białych zdjęć z lat czterdziestych. Kanciaste taksówki z wystającymi reflektorami, reporterzy w kaszkietach, ogniki cygar pod baldachimami hotelowych wrót, kłęby pary ze studzienek kanalizacyjnych, zziębnięte prostytutki w kapelusikach i wirujący nad tym wszystkim śnieg. Śnieg, który wypija światło niby bibuła na zielonym

suknie biurek, w żółtym stożku światła kreślarskiej lampy, tej samej w stu tysiącach okien, o które postukują szare paluszki lodu. Może tylko jazz pomógłby rozchylić ten lodowaty mrok, ale jazzu nie było, tylko oddalone techno, dudniące jak rozpędzony ruch uliczny, chlupot słonego błocka spod tysięcy opon.

Szedł coraz wolniej, jak gdyby z góry założył sobie wynik nocnego marszu. Niechętnie przełożył nogi przez barierkę i nie próbując nawet się kryć, przeczłapał przez ciąg mroku za domami w stronę, z której przyzywał go czerwony pobrzask za szybą. Prawie na pewno nie musiał się bać wkopanych w ziemię czujników alarmowych. Nikt też nie trzymał tu złych psów łańcuchowych, jak w Polsce, gdzie – pamiętał – ujadają zza każdej wysokiej siatki. Siatek też tu nie było, co najwyżej drewniane płotki, chroniące wydmy.

Stał teraz w głębokim cieniu przy ślepej ścianie willi. Od góry miał tuż nad sobą nawis wąskiego balkonu. Odłożył topór między kielkujące z piasku iglaki, przesunął się za węgieł domu i czując, jak prędko wali mu serce, przybliżył twarz do okna parteru. Przekonał się zaraz, że czerwony odbłask za szybą idzie z plazmowego ekranu komputera firmy Toshiba. Model walizkowy 3200, z ulepszonym procesorem 286. Anglik widywał takie tylko na wystawach. Musiał kosztować majątek. Komputer stał na blacie filigranowego biurczka. Anglik sam nie wiedział, czym tłumaczyć lekki zawód, jaki odczuł. Czy spodziewał się lasu świec, ognia w kominu, pochodni zatkniętych w mury zamku Silling?

Ktoś, kto tak sobie pozostawił włączony drogi komputer, zapewne nie opuścił domu. Może jest gdzieś w pobliżu, w następnym pokoju, tym wychodzącym na patio? Tylko kto? Ten Kita-hita? Ktoś inny? Anglik podkradł się aż do

skraj tarasu, lecz kiedy rozległo się stamtąd ujadanie psa, cofnął się do swojego ciemnego ukrycia i spojrzął do góry. Dolną krawędź balkonu miał prawie w zasięgu wyciągniętych ramion. Mały podskok i już... Pierwsza próba wyszła mu wprawdzie dość koślawo, ale za czwartym razem zdołał się podciągnąć, szurnął ściskany dotąd między kolanami toporzyskiem po deskach balkonu i przepełził pod dolną poprzeczką poręczy. Nie miał czasu, żeby się przejmować drzazgami. Sam się zdziwił, że tak dziarsko pełźnie po dachach ku oszklonym drzwiom i tak pewnie przekręca klamkę. Dopiero teraz, kiedy znalazł się w środku, w półmroku piętra, zaczęło mu świtać, że na widok uzbrojonego w siekierę włamywacza mieszkańcy domu mogą zwyczajnie sięgnąć po broń. Kita-hita wypali mu z colta prosto w czoło, a dopiero później będzie zadawać pytania, każdy amerykański sąd go uniewinni... Przesunął więc topór z powrotem pod drzwi balkonu i po omacku oparł go o ścianę, by nie rzucał się w oczy.

Rozejrzał się, przyzwyczajając wzrok do półmroku. Leżał na wykładzinie pośrodku wąskiej galerii, po której obu końcach były drzwi do sypialni i łazienek. Bliżej prawej sypialni cedrowa galeria zakręcała, przechodząc w wąskie schody na parter. W wielkim salonie pod galeryjką, zastawionym jakimiś foteliskami, było jeszcze ciemniej. Tylko od przymkniętych drzwi na dole padała na niższe stopnie pręga białego światła. Anglik nastawił uszu. Znowu ten sam dźwięk: brzęk metalu, odgłos rozdzieranej tektury. Żadnych ludzkich głosów.

Dom był dużo większy od sadyby nowojorskiego pisarza. Inaczej też pachniała w nim ciemność – nie papierosowym dymem, solą, lizolem i papierzyskami, lecz perfumami,

rozgrzaną blachą, cedrem, dymem cygar. Także przypaloną rybą. Na kłęczkach przepelznął do szczytu schodów, a po drodze parę razy przyłożył ucho do desek podłogi. Był prawie pewien, że na górze nie ma nikogo prócz niego. W razie czego mógł przez balkon uciekać w cień nocy. Najpierw jednak musiał zejść na dół, ku prędze światła zza drzwi drugiego salonu. Najtrudniejsza do przełknięcia była świadomość tego, co tam zobaczy. Świadomość ta trwała w nim, zimna i niewzruszona, nawet w największej gorączce, gdy pędził tu przez kolczaste wydmy. Nie chodziło nawet o to, że przybysza z odsieczą za późno. Jego wtargnięcie było od początku czymś nadprogramowym, gagem, który nieoczekiwanie okraja, lecz poza tym w niczym nie odmieni spektaklu, na który od początku nie miał wstępu.

Dlatego nie zamknął oczu i nie westchnął, kiedy już z dołu schodów, przez szparę spojrział w jasność i zobaczył to, co miał zobaczyć, to znaczy nagie plecy Lidki. Ktoś w czarnej połyskliwej koszuli, odwrócony do niego plecami, po omacku odkładał na bok, na niski stolik białawą rurkę jednorazowej strzykawki, a palcami drugiej ręki trzymał Lidkę pod łokieć. Kiedy puścił, dziewczyna znieruchomiała. Człowiek w czarnej koszuli niespiesznie rozerwał opakowanie następnej strzykawki.

Lidka kłęczała nago na jasnej, ustawionej centralnie kanapie, w półobrocie, z piersiami wtulonymi w oparcie. Ktoś leżał na wznak między jej nogami, bezwładnie, jak sinawy nieboszczyk z brodą, omywany blaskiem kilku halogenów na statywach. Ktoś trzeci, niewysoki, stał przy szczelnie zamkniętych werandowych drzwiach na balkon. Anglik zagryzł wargę, bo czarny nachylił się nad Lidką, sięgnął między włosy na jej karku i, jak gdyby na próbę, szarpnął ku sobie



czarną, rzemienną obrożę, której nie było tam rano, gdy Lidka stała na plaży. Trzeci mężczyzna, mały, czarnowłosy Azjata w samych spodenkach-bokserkach, zbliżył się, zasłaniając Anglikowi widok, poprawił coś przy obiektywie kieszonkowego camcordera na minikasetki ósemki, przesunął trójnog trzy cale w lewo i gładząc się po przodzie spodenek, zbliżył się do kanapy od strony oparcia.

Czarny przycisnął tłok strzykawki. Po ciele mężczyzny, który leżał między udami Lidki, przebiegł spazm. Czarny sięgnął między nogi leżącego gestem, jak gdyby poprawiał ustawienie mechanicznej zabawki. Pod dotykiem jego dłoni Lidka wyprostowała się odrobinę i rozluźniła nogi. Od drugiej strony Azjata przyłożył do jej skóry długie jasne ostrze, lecz wysoki powoli pokręcił głową. Ostrze zniknęło na powrót w czarnej pochwie, odłożonej zaraz za kanapę. Wysoki od niechcenia przesunął czubkami palców po plecach Lidki, po jej brodzie, wargach. Lidka liznęła jego palec i usadzona wciąż okrakiem na leżącym brodaczu, zaczęła się lekko kołysać.

Azjata przerzucił nogę przez oparcie kanapy, przysiadł, przysunął się ku twarzy Lidki, złapał za ramię i przyciągnął jej głowę do czarnego jedwabiu spodenek. Zapewne zdążył je zsunąć, chociaż ze swojej kryjówki Anglik widział jedynie czarne splecione włosy Lidki, rozkołysane w ciągłych, nagłych zatrzymaniach. Azjata nie zwalniał uchwytu, lecz i nie przyspieszał rytmu, jak gdyby regularność składni była dla niego istotniejsza niż krzyk krwi. Wysoki też wysunął chude nogi z nogawek, lekkim gestem odłożył spodnie na stolik i z gracją baletmistrza dziabnął się strzykawką w żyłę w zgięciu pod kolanem. Lidka kołysała się prędzej niż przed chwilą, a palce u nóg miała zagięte do góry. Wysoki odechnął głośno, prawie westchnął, a potem sięgnął do okrąg-

tego pudełka, namaścił sobie dokładnie czubek członka sterującego spod czarnej koszuli, przyklęknął między nogami bezwładnego brodacza tuż przy białej w tym świetle, rozkołysanej pupie Lidki i znów zasłonił Anglikowi widok. Lidka krzyknęła krótko, syknęła, a potem, nie zwalniając, lekko zmieniła pozycję. Teraz, ilekroć się unosiła do góry ponad brodaczem, którego członek, gruby i wcale nie bezwładny, z najcichszym cmoknięciem wysuwał się z jej pochwy, wysoki wsuwał swój chudy jak marchew, śniady członek głęboko w jej pupę, a kiedy się cofał, znów opadała na drugi, grubszy tłok, ten brodacza, wciskając go w siebie najgłębiej, jak mogła. Cały ten czas nikt z ich całej wielogłowej, wielorogiej plątaniny – złożonej z czwórki osób, chociaż pasywny brodacza, nieprzytomny, prawie się nie liczył – nie spieszył się, nie krzyczał, nawet głośniejszy nie oddychał. Szumiała tylko kamera, poskrzypywała skóra kanapy. Także Anglik starał się nie oddychać za cienkimi drzwiami na schody.

Ich poruszenia zmieniły rytm, dopiero kiedy od strony zamkniętych drzwi na taras doleciał nowy dźwięk, podobny do prędkiego drapania pazurów. Wysoki wyprostował się, spojrział na Azjatę i strzelił palcami. Azjata posłusznie zwolnił uchwyt u szyi Lidki, przełożył nogę za kanapę, podciągnął czarne spodnie i ruszył ku szklanym drzwiom. Wysoki przesunął się także, podniósł Lidkę pod pachy, objął ją i, już na stojąco, pocałował. Ten z kanapy wciąż leżał bez ruchu, w całej brodatej okazałości. Anglik przekonał się przy okazji, że czyjaś ręka (Lidki? wysokiego?) nasunęła brodaczowi na członek gruby gumowy pierścień, ściskając mu nasadę fiuta, aby wymusić priapizm. Anglika zaswędziało nos.

Zaszurgotały drzwi werandy. Wysoki przesunął się wraz z Lidką do bocznego oparcia kanapy i popchnął dziew-

czynę, tak aby z rozwartymi nogami usiadła na skórzanej poduszce. Nie całował jej już. Przesunął dłońią przez spoje- nie jej nóg, jak gdyby badał temperaturę. Lidka rozszerzyła kolana i pod naciskiem dłoni wysokiego rozłożyła się na bocznym oparciu na wznak. Anglik nie widział tego, bo wzrokiem śledził Azjatę, który od drzwi prowadził ku kana- pie, tuż przy nodze, tego samego plamiastego dalmatyńczy- ka, który rano mignął Anglikowi na plaży. Pies powarkował i zerkał na boki, także ku drzwiom na schody. Azjata po- pchnął go i pieśczośliwie przewrócił na grzbiet, a kiedy zwierzę poddało się poleceniu, zacisnął dłoń na czarno-bia- łym futrze pod psim brzuchem. Dalmatyńczyk poddał się te- mu, jak gdyby znał sztuczkę od dawna. Gestem zawodowe- go onanisty Azjata raz, drugi i trzeci poruszył futrzanym na- pletkiem, obnażając psi członek – długi, czerwony, w czarne nieregularne plamy. Dalmatyńczyk, wciąż na grzbiecie, war- knął i mokrym nosem dotknął nogi Lidki.

Azjata ponowił serię pieśczoł, a kiedy się upewnił co do psiego wzwodu, wstał, złapał za krótką smycz i szarp- nięciem ustawił dalmatyńczyka na tylnych łapach między udami Lidki. Ta dopiero w tej chwili, drapnięta czarnymi pa- zurami w skórę, spostrzegła, co się dzieje, wypuściła z ust członek wysokiego, który dotąd trwał nad nią przy oparciu, i spróbowała się zerwać, uciec, zewrzeć nogi. Wysoki przy- cisnął ją za ramiona do kanapy. Azjata pomagał psu znaleźć wejście.

– Nie!!! – Było to pierwsze słowo Lidki, jakie Anglik usłyszał w tym wnętrzu. – Niecee!!!

Anglik pchnął drzwi, jednym skokiem wpadł do salo- nu i zrobił dokładnie to, na co miał ochotę od początku, lecz dotąd bał się: przykucnął, złapał wyprężonego dalmatyńczy-

ka za zadnie łapy, podniósł, okręcił się, zgięty pod wierzgającym ciężarem, i z całym impetem wyrzucił psem w głowę tego wysokiego. Wysoki przysiadł, a w ślad za nim na podłogę poleciały statywy z halogenami. Żarówki prysnęły i zgasły, jedna tylko świeciła z podłogi. Anglik obrócił się, uśmiechnął pod adresem znieruchomiałego Azjaty i zauważył:

– Ładny piesek.

Azjata skoczył za kanapę, gdzie sekundę przed nim schronił się dalmatyńczyk, niechcący nadepnął psu na łapę i wśród panicznego skomlenia po omacku sięgnął po pochwę z samurajskim ostrzem. Wysoki zbierał się z podłogi usianej potłuczonym szkłem. Lidka, nie spuszczać z nich wzroku, cofała się do kuchennej wnęki w niewidocznej do tychczas dla Anglika części salonu. Świsnął miecz o obrysie prostokątnym jak brzytwa, wyszarpnięty z drewnianej czarnej pochwy. Anglik okręcił się i popędził ku schodom na górę, nie czekając, aż Azjata skończy brać zamach. Nie widział nawet, jak wysoki kurczowo chwyta się kanapy i patrzy na krew ciurkającą mu z bosej stopy. Brał po trzy stopnie naraz, pewien, że lada chwila poczuje grzebień stali między łopatkami. Na zakręcie prawie się wyłożył, zrobił jeszcze dwa kroki i potknął się o czerwone drzewce swojego strażackiego topora. Ostrze miecza przecięło powietrze mniej więcej tam, gdzie pół sekundy wcześniej była jego szyja. Azjata brał już następny zamach. Anglik złapał drzewce topora, spojrział hardo na przeciwnika, zmienił zamiar i jednym susem, obunóż przeskoczył balustradę galerii. Kiedy frunął, nad jego głową znów rozległ się świst miecza. Wylądował obiema stopami na pękatym fotelu klubowym, przekoziołkował, zerwał się i wyszarpnął upuszczony w locie topór spomiędzy klepek parkietu. Azjata był w połowie skoku przez poręcz, idąc

trop w trop. Anglik mocno odkopnął opatrzone kółkami fotel, rzucił się ku drzwiom do salonu z kanapą, przebiegł dzieląc kroków i w brawurowym uniku wcisnął się między ladę barku i zlew. Za sobą miał srebrne pudło kuchni Viking z tuzinem palników i piekarników. Usłyszał łomot stóp o podłogę, a potem prędko drobne kroki i świst miecza, kolejny raz, więc gdyby nie zimna pewność, że Azjata usiłuje go zamordować, Anglik odczułby wręcz nudę. Dał nurka pod blat i jednocześnie wrzasnął: – Zbieraj się! – do Lidki, szamoczącej się z nogawką dżinsów. Azjata wyrósł w prześwicie między blatem barku a kuchenką i wznosił ramiona do cięcia. Anglik cisnął w niego toporem, chybił, przewrócił się o nogi Lidki. Nad jego głową przemknął miecz i tuż przy spojeniu podłogi i ściany wbił się w mięsistą gumę przewodu, którym propan szedł do palników i piekarników vikinga z wielkiej butli na dworze. W przelocie Anglik zobaczył jeszcze, jak rwący z gumowej rury sprężony gaz zaczyna okrywać kauczuk chemicznym szronem. Lidka stanęła na nogi, Azjata z nieoczekiwaną siłą popchnął ją na masywny mikser firmy KitchenAid i popędził za Anglikiem, który zdążył dać susa przez barykady i tym razem, zamiast do drugiego salonu i na schody, popędził z przeskakaniem ku drzwiom na taras. Gaz śmierdzący całą kuchnię, dalmatyńczyk warczał spod kanapy, bieg trwał, padła przewrócona kamera wideo, na parę sekund zatrzymując pogoń, ale u samych drzwi tarasu zastąpił Anglikowi drogę kuśtykający wysoki, z długim widelcem do grilla w ręku. Drugą ręką zasunął szklane drzwi i wyceLOWał podwójnym szpikulcem w tchawicę Anglika. Anglik cofnął się dwa kroki, obejrzał na skradającego się ku niemu boczkiem Azjatę, prędko, kuląc ramiona, przykucnął, podniósł z podłogi swój topór i machnął nim prosto w goły goleń wy-

sokiego, który był tuż, tuż. Wysoki wrzasnął, złapał się za łydkę i zaczął podskakiwać na jednej nodze, znacząc każdy sus krwawym śladem bosej stopy. Gdzieś z boku świsnął miecz, lecz jednocześnie rozległ się dźwięk jak huk wielkiego gongu, a po nim stuk klingi o podłogę. Azjata runął na twarz do stóp Anglika, a Lidka sięgnęła nad kuchnię po kolejny miedziany rondel i cisnęła nim, tym razem w wysokiego. Udało jej się trafić w balkonową szybę, która pękła, lecz się nie rozsypała. Wysoki skakał na jednej nodze w stronę komody.

W całym wnętrzu zrobiło się sino od gazu. Lidka boso wbiegła do przedpokoju, porwała z wieszaka kurtkę i plecak, a potem szarpnęła zapadką szyfrowego zamka, bezskutecznie. Anglik złapał ją za frak, wywłócił znów do salonu – gdzie w najlepsze syczał gaz, wysoki szarpał się z szufladą, a Azjata zaczynał się zbierać z podłogi, i tylko brodacz leżał jak na katafalku, z wielkim posiniałym członkiem o wszelkich cechach *rigor mortis* – po czym pchnął dziewczynę ku schodom. Jeszcze nigdy nie czuł takiej jasności myśli jak teraz, kiedy włókł ją za sobą po stopniach na górę, zamiast na dół czy w bok, wbrew intuicji, za to takim pędem, że pocieszny brązowy plecak Lidki odbijał się od ścian. Za sobą mieli syczący półmrok, przed sobą zakręt schodów, galeryjkę, balkonowe drzwi, poręcz. Wysoki musiał wreszcie znaleźć broń, bo na schodach, a może w salonie z fotelami, huknął wystrzał. Równocześnie, bez umawiania się, Anglik i Lidka przełożyli nogi przez balustradę i skoczyli w mrok, pacnęli o piasek dwa metry w dole, zebrali się i popędzili w ciemność. W tej samej chwili rozległ się drugi strzał. Natychmiast coś, co było jak wielki oddech, nadrealne basowe „Om”, zatrzęsło powietrzem nad wyspą. Ze wszystkich okien domu

w ślad za gejzerem szkła wybiegł rozkłębiony płomień, położył ich obydwój na piasku, podniósł dach i na dziesiątki jardów dookoła rozrzucił płonące szczapy. Wybuch wytłoczył sponad nich całe powietrze, zastępując je rozżarzoną próżnią, lecz zaraz powróciła w to miejsce noc. Na oślepcy odczołgali się, byle dalej od ognia, którego było coraz więcej. Anglik zwietrzył swąd palących się włosów, a kiedy się pogładził po potylicy, poczuł, jak fryzura łamie mu się i chrzęści pod palcami.

– Co to było? – szepnęła zdławionym głosem Lidka, kiedy się zatrzymali po kilkudziesięciu chwiejnych krokach.

– Gaz, bo co innego? – Anglik wzruszył ramionami. – Zawsze możesz powiedzieć, że gaz.

– Co? Skąd gaz?

– Z butli. Tej, która... zaraz wybuchnie... Jak się jeszcze podsmaży w pożarze.

– Zaczekaj... To co w końcu wybuchło? – Lidka spojrzała na niego, jak gdyby nie rozumiała, co do niej mówi, i usiadła na drewnianym chodniku. Anglik nie próbował tłumaczyć, co będzie, kiedy wystrzeli się z pistoletu w zamkniętym pomieszczeniu, w którym zmieszały się powietrze i łatwopalny gaz pod ciśnieniem. Pogładził palcami jej ubrudzone czoło.

– Jesteś boso – zauważył. Lidka raz i drugi poruszyła palcami u nóg, jak gdyby się upewniała, że ma ich tyle samo co przedtem. – Zaraz ci coś u nas znajdziemy...

– Zabierajmy się stąd – odwarknęła Lidka, wstała bez pomocy i otrzepała kurtkę. – Ty, jak się stąd idzie do przystani? Tędy?

– Chyba... Chyba tędy. Ale zaczekaj! – i Anglik rzucił się za nią, pod prąd kolejnych grup ludzi, którzy z latarka-

mi i wiadrami nadbiegali od najbliższych domów. – Zaczekaj, nie możesz teraz... Dokąd idziesz?

– Do siebie – odmruknęła Lidka.

I pobiegła uliczką, później następną – na której ustał taniec. Wszyscy stali tam nieruchomo, zapatrzeni w pożar. Lidka szła jak nakręcona szerokim deptakiem, który wiódł do promenady przy przystani. Anglik co rusz zostawał z tyłu, lecz zaraz ją doganiał, próbował o coś pytać, świadomy, że Lidka, która uznała jego pojawienie się za rzecz najzwyczajszą pod słońcem, teraz próbuje się wywinąć, spławić go. To wszystko miało być inaczej – powtórzył w myślach po raz nie wiadomo który, otarł czoło wierzchem dłoni i syknął, tak go zapiekł sparzony naskórek. Lidka coraz to wpadała na zapatrzonych w pożar balowiczów, klęła, parła dalej. Byli już przy martwym zalewie na północnym brzegu. Po pękatym promie, który przybijał do kei sześć razy dziennie, nie było śladu. Rzędy białych, w ciemności szarych motorówek kołysały się pod pokrowcami z brezentu. Na końcu pomostu drzemały rządkiem podobne do kwok mewy. W osiedlu wyły domowe alarmy.

– Co się tam dzieje? – zagadnął ich ktoś z pokładu łodzi motorowej. Latarnia na budzie oświetlała liliowy napis „Federal Express”. Poczta o tej porze?

– Chyba poożar – udał irlandzkiego idiotę Anglik i zaraz zapytał z udawanym ludowym akcentem: – Łoo, to o taki godzinie się zbiera przesyłki?

Lidka spojrzała na niego dziwnie. Za to rudy pracownik FedExu uradował się, że ma się z kim podzielić zgorznięciem, bo odpowiedział, że owszem, właśnie tak, za specjalną dopłatą choćby o północy.



– Bo patrzaj, kolego, jadą niby odpocząc – ciągnął – i co? Dalej tylko siedzą przy tych swoich faksach i quotronach, nie oderwie się jeden z drugim od telefonu, pocztę kurierską chcą mieć co godzina, dzień i noc. Mogli w ogóle nie wyjeżdżać z tych swoich banków. Szkoda dla nich weekendu! Nie napiją się ani nie użyją, tylko ich jeszcze obsługuj, do rąk własnych... Pracoholicy i pedały!

– Ni ma lekko – zgodził się z nim Anglik. – Duuuużo tych przesyłek?

– Parę minut mi zejdzie. Ej, kolego? Pomóż, co, jak Irlandczyk Irlandczykowi? Rzuć okiem na łódkę, okej? – i nie czekając na odpowiedź, nocny doręczyciel złapał pęk pasias-tych kopert i pakunków, po czym ruszył ku nasadzie pomostu. Gdy zniknął między domami, Anglik wskoczył do motorówki, odmotał cumę i syknął na Lidkę:

– Na co czekasz? Chcesz jechać czy nie?

Lidka ostrożnie, jak gdyby ją coś bolało, zsunęła się z pomostu i przycupnęła na ławeczce ze zwieszoną głową, z ręką w wodzie. Anglik szarpnął zapłonem. Poskutkowało, dopiero kiedy wyciągnął gałkę ssania i przesunął wyłącznik na „on”. Łódka nie miała kierownicy, tylko rumpel połączony z manetką gazu. Na najniższych obrotach odbili od pomostu, puknęli w drugi, odepchnęli się i ruszyli w słoną, duszną ciemność, ku dalekim światełkom Bay Shore. Zalew miał w tym miejscu pięć mil, bez świateł niepodobna ich było znaleźć na ciemnej, spokojnej wodzie, więc mieli czas. Kiedy byli już ze dwie mile od wyspy, pomarańczowe niebo nad domkami rozdarł następny błysk i daleki grzmot – znak, iż ogień zdążył przeżreć mosiądz reduktora przy butli. Zwykle na takie efekty trzeba było na wyspie czekać do fajerwerków w lipcowy Dzień Niepodległości. Luna zajmowała przez

chwilę pól nieba, lecz prędko przygasła. Za to przybyło ognistych punktów na mierzei. Anglik bez większego skutku próbował w myślach ocenić odległość pożarów od domu, w którym zostawił Zoe, Jake'a i Shoshi.

– Naprawdę ukradłeś dla mnie łódź? – Lidka nachyliła się ku niemu. W jej włosach został swąd spalenizny.

– Niczego takiego sobie nie przypominam! – zbył ją, przekrzykując terkot silnika, pewien, że ludzie dobrze wychowani nie powinni rozmawiać o podobnych sprawach.

– Wiesz, jaki ty jesteś? Ty jesteś jak... – Anglik nie zrozumiał nazwiska, więc Lidka wrzasnęła jeszcze raz: – Jesteś jak Sebastian d'Orgeval!

– Kto? Francuz, znajomy?

– Nie znajomy. Z filmu!

– Z jakiego znowu filmu?

– O markizie Andżelice! – i widząc jego niepewną minę, Lidka zaczęła kolejno wyliczać, najpierw *Markizę Angelikę*, potem *Nieposkromioną Angelikę*, *Angelikę i króla*, *Angelikę i sultana* i wreszcie *Angelikę wśród piratów*, pospiesznie roztańczając przed Anglikiem długą paradę epizodów, walk na szpady, napadów na gościńcu, intryg, krynolin, kandelabarów, podwiązek i kąpeli w balii – etapy eposu, który francuska i włoska kinematografia wydały na świat około połowy lat sześćdziesiątych, czyli wtedy, kiedy się urodziła Lidka. Anglik niewiele pojmował z owych zawiałości. Nie przeżył tego, nie znał nazwisk i słów dudniących z czarno-białych telewizorów w niedzielne popołudnia na każdej klatce schodowej miasta, ani obrazów, których elektronowe strumienie żłobiły zawiłe ścieżki w korze mózgowej Lidki i jej młodszej siostry, przez całe lata siedemdziesiąte zamartwych przed ekranikiem, toteż dopiero poniewczasie, kiedy już

tylko ze dwieście jardów dzieliło łódkę od mariny w Bay Shore, zapytał:

– Ale co ten Sebastian de?

– D’Orgeval! On... Zawsze ją ratował, a potem nic od niej nie chciał. Może się wstydził. Wszyscy tylko ją, no wiesz, Andżelikę, zaraz łapali za cyca, tłumaczyli, że to dla Francji. A Sebastian nie łapał. Nawet jak już wiedziała, że nie odnajdzie męża, bo wiesz, jej męża porwano, i najpierw myślała, że on nie żyje... On się nazywał, czekaj, Jeffrey de Peyrac! I ona zawsze: „Jeffrey! Jeffrey!” bo jej się wydawało, że go widzi, i wtedy, łubudu, rzucają się na nią piraci albo ludzie sułtana, no i jak już było bardzo źle, jak już zgwałcili i chcieli zamordować, zaraz zza kotary wychodził Sebastian...

– Co ty pleciesz – obruszył się Anglik.

– Tak było! – nie ustępowała Lidka. Drżały jej wargi. Anglik zobaczył to dopiero w świetle latarni na molo. – I nic od niej nie chciał! Tak było! Mówię ci, że tak było! Tak było! – wrzasnęła już z brzegu. Anglik byle jak zasupłał cumę, wsparł się o chwiejną burtę i wyskoczył w ślad za Lidką. Na molo mimo późnej pory stał spory tłumek. Wszyscy patrzyli w stronę dalekiej wyspy, obrastającej ogniem. Z góry, spośród mroków, zahuczała para helikopterów.

– Co się tam stało? – zapytał ktoś, kto widział, jak wysiadają z łodzi.

– Kismet się pali! – odkrzyknął Anglik i pobiegł za Lidką. Przy krzywym pawiloniku firmy taksówkowej dyspozytor i dwójka kierowców także popatrywała na widowisko za wodą.

– Ale raz Sebastian też ją w końcu zerznął, jak szła się topić do Sekwany – oznajmiła Lidka, kiedy się z nią wreszcie zrównał.

– Seba... Kogo zerznął?

– Markizę Andżelikę. Więc się nie utopiła, tylko założyła pijalnię czekolady. A potem, czekaj, dopiero potem sprzedali Andżelikę sułtanowi... – dodała Lidka, zadowolona, że przypomniała sobie właściwą kolejność historii.

– Pijalnię czekolady, tak? Ty, z czego ty się tak cieszysz? – wybuchnęła nagle Anglik, ale Lidka już się odwróciła.

Kierowca był Portorykańczykiem wzrostu metr pięćdziesiąt w kapeluszu. Miał przylizane włosy, ciężka woń brylantyny stała też w jego aucie, antycznym lincolnie wybitym czerwonym pluszem. Kiedy trzasnęli drzwiczkami, na głowy posypał im się kurz. Kierowca przekręcił kluczyk i natychmiast brylantowym blaskiem zapłonęła złota korona z plastiku, zdobiąca wierzch deski rozdzielczej.

– Manhattan – przykazał Anglik. – Upper West Side.

– Masz pieniądze, *no problem* – sapnął Portorykańczyk, mocując się z wielką kierownicą. Anglik pieniędzy wprawdzie przy sobie nie miał, ale postanowił później zwracać sobie głowę szczegółami. Najważniejsze, że jechali i że za półtorej godziny, a może nawet za godzinę, bo o tej porze nawet na Long Island Expressway nie ma dużego ruchu, znajdą się u niego, razem, w jego *château*, bezpieczni jak markiz z markizą.

Jechali podmiejską, wąską szosą wzdłuż wybrzeża, aby w Babylon dobić do Southern Parkway. Stamtąd już ekspresową autostradą do miasta. Na razie co chwila się zatrzymywali na znakach stopu, w wyciu zdezelowanej automatycznej skrzyni biegów. Wreszcie jednak wyjechali z osiedla i ruszyli prędzej, czterdzieści mil na godzinę, przez nadbrzeżną równinę z trzcinami.

Anglik objął Lidkę, która nie odsunęła się, lecz znów spojrzała na niego w dziwny sposób, w zielonym półmroku cyfrowych diod ze staroświeckiej deski rozdzielczej. Ciągle jeszcze się trzęsła.

– Już dobrze – szepnął do niej. – Teraz już będzie nam dobrze.

Lidka odsunęła się, zastanowiła przez chwilę, westchnęła i nachyliła do kierowcy:

– Zatrzymaj się. No, już, stop!

Zaskoczony Portorykańczyk posłusznie nadepnął na hamulec. Lidka przegięła się nad kolanami Anglika i szarpnęła srebrną klamką drzwi po jego stronie, a potem popchnęła go leciutko.

– Wsiadamy.

– Co? Dlaczego?

– Dlatego – i pchnęła go mocniej. Wsiadł prędko na pobocze szosy i odwrócił się do auta, by pomóc się wydostać Lidce, lecz ta nagle, nie wysiadając, zatrzasnęła drzwiczki, wcisnęła zapadkę blokady i rzuciła kierowcy:

– Jedź!

Portorykańczyk obejrzał się na Lidkę, na Anglika szamoczącego się z klamką, wzruszył ramionami i nacisnął pedał gazu. Zajęczała przekładnia, samochód potoczył się pustą nocną szosą. Anglik biegł za nimi, ale zaraz został z tyłu.

– Na lotnisko. JFK – poleciła Lidka kierowcy.

Potem, kiedy w mroku zatarły się światelka lincolna i kiedy nie było widać nawet drugiego skraju szosy, i słyszał tylko ogłuszający chór cykad w zaroślach – Anglik ruszył wreszcie przed siebie, w odwrotną stronę niż ta, w którą umknęła taksówka. Wokoło miał szuwary, trzciny i trawy, u stóp migot tysięcy zielonawych światełek, a wyżej białą

gwiazdkę latarni morskiej. Daleko mrugał też jeszcze czerwony świetlik pożaru. Szept łąk, duszący nocny oddech traw przyzywał go, mówiąc: „Przyjdź. Wstąp w nas. Przybądź”. Cykady jazgotały jak oszalałe, horyzont za plecami na sto kilometrów podświetlała pomarańczowa łuna Manhattanu, a z nieba, chociaż to jeszcze nie był sierpień, jedna za drugą spadały gwiazdy.

Część trzecia  
RADIO CARLOS

*(Wrocław, 1991)*





## Święto wiosny

I znów ten sam co przed laty aluminiowy dworzycy linii krajowych, ta sama niepewność, czy krajowcy czegoś nie pokręcą, i wreszcie ulga, start. Błada blondyna ufortyfikowana za ladą stanowiska odpraw poprzydzielała im miejsca dziwnie. Benjy, kamerzysta, musiał usiąść po drugiej stronie przejścia, po przekątnej kabiny, a Anglik przycupnął na pojedynczym odkładanym foteliku naprzeciwko łysego chudzielca w owalnych okularach i czarnym, lnianym chyba i na oko chińskim garniturze.

Kiedy kołowali na pas startowy, mijając rozbebeszowanego na trawniku, odartego z farby ana-24, chudy uśmiechnął się do Anglika i po francusku zapytał, czy Anglik nie chciałby mu uczynić honoru i spocząć obok niego, na miejscu snadź wolnym, zamiast się wiercić na siedzeniu, które nie bez przyczyny zwie się *jump seat*.

– *Vous êtes très gentil, monsieur*, czemużby nie? – odpowiedział Anglik i korzystając z nieuwagi hostessy w błękitnym żakiecie, przesiadł się ukradkiem. Benjy siedział z przodu i dłuwał w nosie. Gwizdnęły trzy radzieckie silniczki, samolot (do którego wsiadało się przez ogon) zakręcił nad białymi rumowiskami Ursynowa i wziął kurs na połud-

niowy zachód, a anielica z kamienną twarzą podsunęła im batony prince polo.

– Jej misja to nie kontakt, tylko dyscyplina – zauważył od niechcienia Francuz i wysunął język pod adresem pleców w niebieskim bistorze. – Jezuicka tradycja. Mnóstwo tej policji na lotnisku, przyzna pan?

– Dla naszego bezpieczeństwa – uśmiechnął się Anglik. – Kuwejt się pali, terroryści, tak samo jest teraz w Londynie, w Nowym Jorku. Swoją drogą... Nie znam bardziej podejrzanego słowa niż „bezpieczeństwo”, wie pan.

– Securitate i tak dalej.

– Tak, a tu jeszcze wojna. Onegdaj na JFK też widziałem coś w rodzaju czołgu. Ale bez przesady. Ci antyterroryści w Warszawie to już tylko niedobitki. Parę lat temu siedzieli z tyłu w każdym samolocie.

– Ba, parę lat temu... To było przed fazą przejścia. Podziały jeszcze trwały. – Francuz przełamał prince polo i krytycznie przyjrzał się warstwicom wafla i kuwertury, czerni przeplatanej bielą. – Proszę popatrzeć na te prążki. Asfalt i pustynia. Murzyni i biali. Płaszczyna styku, ale bez przenikania. Ta sama dyscyplina. Poczęstuje się pan? – I prawie pacnął Anglika w nos czekoladowym patykiem.

– E, nie, cóż znowu, mam swój – Anglik zaczął się macać po kieszeniach granatowego blezera. Kamerzysta odhaczył zatraski futerału i przecierał obiektyw, ale widoki były mizerne. W dole, między chmurami, prześwitywały skierniewickie pola, jeszcze bez prążków upraw, szarobure, zaledwie zieleniejące. Prócz ich trójki w samolocie było jeszcze z dziesięć osób: dwaj młodzi, bykowaci turyści polonijni w fioletowych dresach i szerokich kapeluszach, kilku na oko biznesmenów, bo z aktówkami i pod krawatem – choć cze-

mu w kanarkowych i seledynowych marynarkach? – i jeszcze ktoś starszy, chyba naukowiec, we włóczkowym berecie i ze ściągniętą sznurkiem paczką nadbitek w ręku. Dwie niezbyt piękne panie w kostiumikach, jedno dziecko płci nieokreślonej z babcią, przejętą tym nagłym wniebowstąpieniem. Huczalo nadal niemiłosiernie, ale na inną nutę, a półki też prawie przestały drżeć. Baton znalazł się wreszcie, wciśnięty między nogawkę Anglika a bok podłokietnika. Gruby staniol nie ustąpił bez walki.

– Właśnie, a kiedy się przeniknie do esencji, wtedy się okazuje, że struktura przestała istnieć – skwitował Francuz te wysiłki. – Dawniej musieliśmy mieć czekoladowy baton w pancerzu opakowania...

– Czekoladopodobny.

– *Pardon?*

– Nic, nic. Taki miejscowy humor.

– Zna pan polski? Wspaniale. Hmm. A zatem, dawniej musieliśmy mieć prawdziwy baton, dzisiaj natomiast wystarcza nam etykieta, znak firmowy. Mars, Tweety, cokolwiek, pod warunkiem, że to już znany. Musimy mieć wokół siebie te znaki jako szum. Kiedy go nie słyszymy, wędniemy...

– Jak z CNN w czasie wojny perskiej, prawda? Co pięć minut musimy wysłuchać komunikatu, i koniecznie niech mówi Arnett. Gotowe hasła. Zrobotyzowane bomby przeciwko beduinom. Zamiast wojny przeżywamy obrazy wojny. BBC za tym już nie nadążało, ITV tym bardziej... – zagadał z głębi własnych myśli Anglik.

– Te obrazy to nasze opium, *monsieur*, opiumowa mgła. Symbol krzyża przenieśliśmy w miejsca, które za chwilę zgniecie laserowa bomba. Oślepia nas ten opar. To pańska kamera?

– Mojej ekipy. Jedziemy, jak pan mówi... naprodukować trochę mgły.

– *Très jolie.*

– A pan?

– Ja? – Francuz podciągnął nogawki zaprasowanych spodni. – Ja będę miał w tym mieście odczyt w Alliance Française. Ale pozwoli pan... Jestem Gilles de... – nazwiska Anglik nie pochwyił, za to pojął, że Francuz w chińskim lnie wykładu na kampusie Paris XIV historię upadku cywilizacji i oprócz wykładu ma jeszcze w planach wizję lokalną.

– Bo tę tutejszą nową wolność trzeba rozumieć przez widmo pewnej niewoli, dużo większej niż życie w kraju, który jest sowieckim satelitą. My żyliśmy podobnie od samej rewolucji francuskiej, tylko po drodze udało nam się o tym zapomnieć. U nas to pękło wcześniej, a u nich trzasnęło dopiero co, a dopóki nie pękło, żyli jak w labiryncie kartonowych pudeł, zlepionych klajstrem dziewiętnastowiecznej idei.

– Ich system a nasz system...

– System to system, *cher ami*. System żywił się nami i przepychał nas przez siebie jak pokarm, z przedszkola do szkoły, ze szkoły do wojska, z wojska do pracy, szpitala, więzienia, a każde z tych ciasnych miejsc narzucało własną, ale wciąż tę samą dyscyplinę, osobny sposób zuniformizowanej deformacji. Istniały granice.

– Ale potem mury runęły?

– Runęły. To potężne obrazy, prawda? Te nocne sceny burzenia muru w telewizji, a potem kawałki berlińskiego betonu na sprzedaż, tak? Lubię atmosferę przewrotu, *vous savez*, nic przyjemniejszego niż pływać w czarnym morzu oszalałego motłochu. Ale to wszystko kłamstwo, ta wolność, tylko ci tutaj jeszcze o tym nie wiedzą.

- O czym nie wiedzą?
- Że nadal ich oblepia bezcielesna skorupa. Zamiast murów więzi nas wszechobecna modulacja, za którą musimy bez przerwy nadążać, przeskakiwać z jednej krainy do następnej, przerzucać się z jednego mentalnego kanału na drugi. Bez nadziei, że ustali się bieguny świata czy odzyska naszą nieszczęsną „dwuwartościową logikę” – choćby nawet logikę więzienia.
- Niewola? Teraz?
- Niewola dopiero nastąpi. Ci sympatyczni ludzie, a pan, zdaje się, razem z nimi, nie pojmują, że nowy świat, owszem, już nie ugniata nas w foremce jak przedtem. Zamiast ugniatać, dostraja nas do siebie, jak się dostraja radio. Zamiast więziennego numeru każdy dostanie numer karty kredytowej. Może jeszcze dziś. Lada chwila mucha odnajdzie wyjście z butelki.
- Skoro pan to wszystko wie, po co jeszcze oglądać? Szkoda zachodu.
- Chcę się przekonać, co zrobi mucha.
- Wittgenstein, tak?
- *Exactement*. Jestem filozofem, czyli kimś, kto treduje muchy. A pan, jeśli wolno zapytać? Filmowcem, tak?
- Ja jestem tylko kamerą. Kamerą z ciasta.
- Paradne. Hmm... Więc był pan już w tym mieście?
- Tylko raz. Dawno. Ale aż siedem miesięcy.
- Aż tak długo?
- Tyle mi to zabrało czasu. Żeby znaleźć wyjście z butelki. – Anglik uśmiecha się zdawkowo, zły na Francuza, który zasłania okienko. W okienku zaś trwa jaskrawobiały opar.
- Proszę tak na mnie nie patrzeć. Nie robię newsów.
- Każdy obraz, proszę pana, każdy kadr to część aparatury zniewolenia, nie bardziej nieludzkiej niż Oświęcim,

niż *La Kolyme*. Po prostu dręczą nas te nowe technologie. Jedne prą do zniewolenia nas, drugie do wyzwolenia.

– Jak to? Nie ma różnicy między Kołymą i CNN?

– Nie ma. To jak ze szpitalem psychiatrycznym. Wiadomo, twierdza, gniazdo udreki, trzeba to rozpirzyć. Dopiero z tego zamieszania mogą powstać małe otwarte kliniki albo hospicja, albo ośrodki pielęgniarstwa, tyle że z czasem wszystkie te alternatywne formy również mogą się przeistoczyć w więzienie o obostrzonym rygorze. Więc kiedy się kończy państwo neostalinowskie, na plan pierwszy wychodzi... Jeszcze nie wiemy co, ale się przekonamy. Idzie o to, *mon ami*, by ciągle, nieustannie szukać nowych broni. Taka permanentna rewolucja.

– Ja się właśnie zastanawiałem, czy jest pan trockistą  
– Anglik uniósł brew i przy okazji zdał sobie sprawę, że z czoła ściekają mu krople potu. W samolociku było gorąco, zdecydowanie za gorąco, jak na marcową porę, choćby bezchmurną. Benjy, kamerzysta, dawno zdążył rozpiąć trzy górne guziki koszuli. Francuz wachlował się ziemistą okładką „Tel Quel”, wizg silników nie zmieniał tonacji, i tylko ten coraz większy gorąc... Trwali w powietrzu jak opakowany w staniol wałek schabu w czeluści pieca konwekcyjnego. Nawet klucha stewardesa dostała rumieńców, a zabarykadowani dotychczas piloci uchylili drzwi do kokpitu i widać było, jak raz po raz ocierają sobie czoła i karki nad kołnierza-  
mi granatowych mundurów. W powietrzu kabiny czuło się wyraźny swąd rozgrzanej izolacji, półpłynnej cyny, parującego towotu.

Anglik miał ochotę nachylić się i dotknąć okienka, przekonać się, czy przezroczysta tarczka wypełniona bielą sparzy dłoń. Po palcach spływały mu strużki pseudoczekolady. Jak długo jeszcze do lądowania?

– *Madame!* – zwrócił się tymczasem Francuz do stewardesy, która skrupulatnie go ignorowała. – *Madame*, proszę... – I po dwudziestu sekundach: – *Madame*, domagam się, żeby natychmiast włączyć klimaty...

Anglik podkulił nogi, pozwalając rozgestykulowanemu Francuzowi przepchać się do przejścia. Postawny cywil w drugim krańcu kabiny wyprostował się raptownie, lecz pozostał na miejscu. Kamerzysta czujnie przysunął bliżej siebie futerał. Ospali, apatyczni pasażerowie spojrzeli na krzykacza, a potem znów opuścili głowy. Gorąco, tłumaczył Francuz. Tak, gorąco! Dostatecznie gorąco, by niezwłocznie włączyć klimatyzację i podróżować w tej odrobinie komfortu, za którą zapłacili. Prawdziwymi pieniędzmi. Czy załoga, czy linia wyobraża sobie, że ujdzie jej płazem traktowanie pasażerów jak trzodę?! Jeżeli, niech załoga sobie zakarbuje te słowa, jeżeli piloci natychmiast, każde dziecko wie, że samolot klimatyzację PO-SIA-DA, więc bez wykrętów, bo inaczej... Będą grube nieprzyjemności. Mało komu będzie miło, kiedy ambasada...

– Co tam się, Kysiu, z tyłu dzieje? – Drugi pilot obejrzał się nareszcie przez ramię.

– Pasażer mi wierzga... – Pani Krysia usiłowała oderwać dłoń Francuza od błękitnych klap swego żakiecika. – Panie Lutkuuu!

– O co chodzi?

– Ajerkondiszon. Wentylację chce, żeby mu włączyć.

– Gdzie ja mu włączę... Facet nie wie, co mówi... – rozsierdził się kapitan i również przez ramię warknął na pakującego się już do kokpitu Francuza:

– *Mister! Stop!* No, żesz ty...

– *Non!* – Francuz próbował sforsować drzwi, i nacierał na stewardesę jak Asterix w starciu z rzymskim walcem drogowym. Drugi pilot mocniej ścisnął stery.

– No! Kurwa, dlaczego patrol już z nami nie lata! – W kapitańskim głosie pobrzmiwała jednak dziwna nuta rezygnacji, jak gdyby i on miał już dosyć swojego ptaka z taszkienckiego aluminium. – Dobra, jak chce, niech ma. Włączam! To jest jak-40, a nie lear-jet...

Wajcha instalacji klimatyzacyjnej, pchnięta stalową dłonią pilota, powędrowała do samego końca skali. – Proszę, lepiej? Może teraz lepiej? Ha? *Happy?* Tak? To patrz pan, co się teraz będzie działo.

Najpierw nie działo się nic. Stewardesa się odsunęła, Francuz wycofał się z powrotem na przód kabinki pasażerskiej, drzemiący w pierwszym rzędzie opasły typ w fioletowym dresie beknął przez sen, podniósł głowę i łypnął na potrójny wyświetlacz zegarka z grubą bransoletą. Zaraz potem jednak ton silników pojaśniał odrobinę, a ze szpar nawiewników zaczął się wymotywać szary opar.

– Tak ustawili dmuch w tym egzemplarzu, że *bleed* idzie po plastiku jakimś takim cholernym... A potem się robi tak – dla ilustracji kapitan puścił sterownicę i powoli załopotał dłońmi nad głową. – Hej, *mister*.

W ślad za siwymi kłębuszkami z instalacji popłynął do kabiny żółty, gryzący dym o ostrej woni palonego pecewu i czegoś jeszcze. Zaraz potem dym zgęstniał, paru pasażerów z fioletowym na czele zaczęło wrzeszczeć na stewardesę, na Francuza, na pilotów, ktoś zerwał się i próbował pozamykać najbliższe ryjki nawiewników, a ktoś inny na cały głos załkał: – O, Jezus Maria! – I tylko naukowiec podniósł beret z fotela obok, nacisnął go sobie na uszy, pozbierał papiery,



wstał, ruszył na tył i z udręczoną miną zatrzasnął za sobą drzwi toalety. W kabinie mało co już było widać w żółtawych oparach.

Anglik spojrział w górę w nadziei, że z ukrytych schowków wyskoczą lada chwila maski tlenowe, przewidziane na taką ewentualność, ale nie ujrzał ani masek, ani nawet schowków. Zmieniony w tubę z gazem samolot skłonił się tymczasem na bok we wcale nie łagodnym zakręcie. Siła odśrodkowa popchnęła Anglika, ponad oparciem fotela, ku zwróconemu na kilka chwil ku ziemi okienku, za którym z szarego i zielonkawego tła, pośród kabinowego dymu i gorąca, jak obraz w peryskopie łodzi podwodnej wyrosło nagle miniaturowe miasto.

Przed oczami Anglika zamigotały kwadraciki dachów, taśmy ulic, znajome bliźniacze wieżyczki katedralne, mały i duży komin elektrociepłowni, chruśniaki bezlistnych parków, mosty, a potem już szpitale, nasypy, blokowiska i domki, coraz bliższe i coraz mniej zaczarowane.

Zanim sadowiały się na powrót Francuz oderwał Anglika od okienka, widać jeszcze było przez chwilę szare plecy rzeki i mech zimujących traw naprzeciwko zoologu. Anglik miał wrażenie, że patrzy na koszyk ze zwiędłego sitowia, niegdysiejsze schronienie, po latach znalezione nad brzegami, dziś już za małe, by mogli doń z powrotem wpełznąć i on, i przede wszystkim ci inni, których tu poznał. Miasto czekało na niego. Zawsze to samo miejsce, stragan różności, karmiący później przez lata wyobraźnię, Transylwania bez wilków, kraina bez cudów, pusty plac. Odmieniło mu życie. Tak miało być?

– Proszę popatrzeć, jak płasko. Tak już do Uralu. *Les steppes*. Od de Custine'a nic się tu nie zmieniło! – odezwał się zbyt głośno wciąż wzburzony scysją Francuz.

– Akurat patrzy pan w stronę Hamburga. Ale też płasko.

– Król Ubu nie mieszkał w Hamburgu, *mon ami*. Tylko tutaj możliwe są takie skandale!

– Z pewnością ma pan rację. – Anglik nie próbował podtrzymać konwersacji, za to zdumiał się własną obcesowością. Dawniej nigdy, przenigdy nie uciąłby w ten sposób cudzej kwestii, już prędzej próbowałby zmienić temat albo powtarzałby: *Oh, do you really think so?*

Piloci zamknęli drzwi i chyba wyłączyli trujący nawiew, bo między fotelami pojaśniało, chociaż gorąco było nadal jak w ruskiej bani z duraluminium. Zgrzytnęły drzwi toalety, bereciarz pospiesznie usadowił się w foteliku, silniczki zawyły jeszcze przeciąglej, a potem para masywnych kół walnęła o pas, a w okienku widać było już tylko zeszlóroczną trawę.

Stewardesa z tego wszystkiego zapomniała podać im twardego cukierka.

Wysiedli po chwiejnych schodkach na asfalt, w naftowe spaliny. Benjy niczego nie kręcił, ani z ramienia (*steadicam* spakowali głęboko), ani ze statywu. Nie było czego oglądać. Na wózku akumulatorowym Stalowa Wola przyjechały ich bagaże. Wyrzucano je sztuka za sztuką na ladę pod wiatą pokrytą falistą płytą. W szczelinach spękanego chodnika leżały niedopalki. Z filtrem i bez.

Pasażerowie już wsiadali do lotniskowego jelicza. Kierowca zatrzasnął luk bagażnika, na wszelki wypadek odwrócił się jeszcze do Anglika i kamerzysty, wzruszył ramionami, wsiadł także i wykręcił pojazdem. Odjechały też dwie z trzech czyhających na kurs taksówek. Kamerzysta i Anglik musieli jednak czekać, aż z samolotu dowiozą im zostawio-

ną w specjalnym kapitańskim depozycie pakę z dużą kamerą. Wreszcie ktoś w niebieskim kombinezonie wpadł pod wiatę, cisnął pakunek na blaszaną ladę, aż zadźwięczała, i zniknął bez słowa.

– *Fragile* – odezwał się kamerzysta pod adresem granatowych pleców. – Nikt po nas nie wyszedł? – upewnił się.

– Robimy niespodziankę – uciął Anglik i dodał: – Są takie sytuacje, że trzeba improwizować.

– Na przykład w buszu – zgodził się z nim Benjy. – Swoją drogą, takie afrykańskie widoczki dobrze idą. Jeden raz kręciłem safari i już siedem razy szło na Nature Channel.

– O lwach?

– Nie. Jak się gnu pierdola.

– Świetnie, Benjy. Dziś będziemy kręcić, jak się ...ehem... pierdola wielkie systemy polityczne.

Benjy przysiadł na ladzie pod wiatą i westchnął ciężko.

– Za mądre dla mnie. Ja muszę kręcić konkret. Z gnu prosta sprawa. Samiec dostaje wzrodu jak stąd do Kili-mandżaro, stoszy grzywę, daje kopa w srakę jakiejś hienie... Jak nie znajdzie samicy, będzie się ocierał o land rovera, co mu tam... A w dokumencie politycznym, co? Jak poznać, gdzie samica?

– Ech, Benjy. Trzeba szukać.

Anglik odwrócił się i spojrzał przez siatkę na łąki za placem postojowym, na dzikie pola tam, gdzie bezdrzewny horyzont drapała kreska komina kotłowni. Teraz, gdy roz-wiał się kłęb naftowego swądu z dysz jaka-40 i gdy zza opony białych chmur wyrzało słoneczko, w nozdrza uderzyła go absurdalna, przemożna woń czarnoziemiu, zwierzęcym ciepłem omywająca lotniskowe baraki, drzewa i płoty z dru-

cianej siatki. W powietrzu była wiosna, najjawniejsza i najprawdziwsza. Rozpoczęła się tym razem w pełnej zgodzie z kalendarzem, mimo chmur sadzy, które od miesiąca sunęły znad Kuwejt, próbując zasnuć niebko nad kontynentami – nad szczęśliwą Arabią w pocętkowanych burnusach, nad zestrachanym od gazowych alarmów Izraelem, nad bunkrami Albanii, nad igloo Eskimosów, nad piaskowcowymi falusami dopiero co zbankrutowanego Canary Wharf w nowym londyńskim City, no i nad tym oto prowincjonalnym lotniskiem w pustym rdzeniu kontynentu. Na dworze była wiosna i Anglik poczuł, że się uśmiecha bezwiednie, jak ostatni głupek, właściwie gotów przysiąc tu na murku i wystawić buzię ku słonecznym promyczkom.

– To jak, panowie, taksóweczkę?... – usłyszeli za sobą. Ośmielony brakiem reakcji wąsacz już sięgał po ich torby i skrzynki. – Drogo nie będzie. Fifty, okej? Hotel? Hotel?

Anglik obrzucił prędkim spojrzeniem seledynowy we wzorki dres, zamszową kurteczkę nad kopułą brzucha, lotnicze ciemne szkła z pomarańczowym połyskiem, łysinkę. Nie potrzebował przewodnika po tym miejscu, ale musieli z Benjym jakoś się dostać do centrum. Ostatecznie mógł więc być kawowy mercedes 220 o leciutko zwichrowanej symetrii blach – znak, że nie skradziony, tylko powypadkowy.

– Co, *fifty*? – zaniepokoił się Benjy. – Pięć dych chce?

– Ale nie w funtach, w złotych. *Five-zero-thousand, right?* To znaczy, chce pięć dolarów. Dawniej od razu prosili w dolarach albo w takich dolarowych kuponach, które drukowała tajna policja. To się nazywało „bony” czy jakoś tak. Bony Pekao. Ciekawe, co się z nimi stało. Nic, ładujmy się. Fundacja zwraca koszty – uspokoił jeszcze Benjy’ego Anglik, który przypominał sobie przy okazji, jak to niedawno inna,

zaprzyjaźniona ekipa zdjęciowa (ale rozrywkowa, nie dokumentalna) w Leningradzie wynajęła sobie na wyłączny użytek pomost nawigacyjny krążownika „Aurora”. Dostali pełny zwrot kosztów za wszystko, łącznie z łapówką dla mera Leningradu i drugą dla fabryki „Oktiabr’” za beczkę złotej farbki do malowania nóg męskich torsów. Kręcony na „Aurorze” klip propagował dziarski homoseksualizm tak bezczelnie, że radość brała na widok różowych lateksowych zwieńczeń trzech kominów okrętu, pod którymi, w rytmie techno rodem z najlepszych *raves waves* w „The Fridge”, fikał owłosionymi nogami atletyczny marynarski balet. Lenin, tatarski Merlin tamtego interesu, musiał wirować w swoim szklanym grobie.

Fakt, że co innego budżet radykalnego skrzydła MTV, a co innego Fundacja, pozbawiona marketingowego *tie-in* z Estée Lauder i Benettonem. Ale za taksówkę zwrócą, nie ma obawy. Kiedy cztery tygodnie temu usiedli nad budżetem mini-serii w pokoju konferencyjnym trzydzieści cztery piętra ponad ołowianą gładzią East River, Turnbull, szef budżetu, śmiał się, że za takie pieniądze będzie ich tu stać na nocleg w pałacu prezydenckim. „Tylko uważajcie, Mister Walesa wygląda na typa, który chrapie”. Amerykańskie żarty, rodem z komedii telewizyjnych. Anglik kurczył się, gdy słyszał takie dowcipy, butne i przeraźliwie głośne, aż echo szło po wszystkich tych *corridors of power*. Zachciało się normalnemu człowiekowi zadawać z Jankesami i takie są skutki.

Ale bez dowcipasów nie byłoby filmu, bo opowiadali je ludzie, od których w stu procentach zależał budżet. Żadnych szans na kasę z BBC, żadnych widoków z Channel Four, pozostawali więc tylko *Yanks*. Dlatego dyplomacja. Błyszcząca gładź stołów konferencyjnych, tłuste okruchy francuskie-

go pieczywa, kawa jak ciepła saudyjska ropa naftowa. Wykresy i prezentacje. Niebotyczny koszmar Nowego Jorku w lutym. I udało się. Jest budżet, jest zamówienie, będzie film, i zwrot kosztów też będzie, tylko trzeba przedstawić rachunki.

Zamamrotał, a potem zaniósł się lwim rykiem dieslowski silnik, cmoknęła kłapa bagażnika, a potem para tylnych drzwi, mercedes w podskokach wytoczył się z małego parkingu i ruszył obok liszajowatych domków, koło żelaznej bramy jednostki wojskowej i czerwonej wiaty przystanku autobusowego, i dalej, w pola, za którymi zaczynały się pierwsze kostki blokowisk Nowego Dworu. Wszystko to już raz było, choć trochę inaczej. Bloki przypominały te w robotniczej Anglii, regały, na których dojrzewają rzędy mechanicznych pomarańczy gotowych do *ultraviolence*. (Siedem powodów, dla których Kubrick spieprzył tę ekranizację. Ale Anglik nie nakręciłby tego lepiej, więc nie ma rozmowy.)

Domy wyrastały z zabronowanej brunatnej pustyni jak dalekie kartonowe Jeruzalem, miraż, podejrzany Syjon, gdzie można stracić sakiewkę albo zdobyć koronę. Ile razem będzie tych wszystkich okien, ile jest razem zeschłych przez zimę pelargonii w płytkich klatkach balkonów? Jeśli się uwierzyło tej architekturze, kręciłoby się biblijne dramaty z życia robactwa w serze, jak w tym nowym projekcie Kieślowskiego. Tylko jak zrobić prawdziwe kino? O czym? O gnu? Anglik mógł sobie tylko po raz dziesiąty powtórzyć, że nie przyjechał kręcić filmu przyrodniczego. Miał to być dokument. Świadeństwo.

Taksówkarz wrzucał biegi jednym palcem, jak gdyby próbował pasażerom zaimponować pomysłem niemieckich inżynierów ze Stuttgartu. Święty Krzysztof kiwał się

epileptycznie pod lusterkiem, do wtóru proporczykom zachodnich klubów piłkarskich. Dłoń kierowcy pogładziła gałkę radia Blaupunkt i z czterech kątów samochodowego wnętrza uderzył ich naraz gasnący puls techno:

*I used to think that the day would never come  
I'd see delight in the shade of the morning sun...*

– Pam pa ram pam pam. Tak, moi mili, pobzyczeli chwilę dla nas, i dla mas, faceci, którzy ostatnio przedstawiają się jako New Order, i Bóg z nimi, wszyscy wiemy, co to naprawdę za jedni, i wiemy, czemu powiesił się Curtis. Ale tymczasem pora na raport o sytuacji na ulicach dolnośląskiej, z przeproszeniem, metropolii. Na razie zator mamy tylko przy estakadzie na Krzywoustego, przewrócony traktor z przyczepą, na całej nawierzchni rozkwaszone buraki cukrowe. Na miejscu jest nasz człowiek z mikrofonem, Krzysiu, nadawaj!...

– No, więc, proszę państwa, jest nieciekawie, kolejka tirów sięga w tej chwili chyba już pod Oleśnicę, buraczany, proszę państwa, horror, buraczano-drogowy, co chwila „chrup” albo „brzdęk”, widzę dwie piaskarki z MPO, które...

– Nie. Wloncz – poprosił Anglik manipulującego przy gałkach taksówkarza i na powrót wsłuchał się w głosy, z których przynajmniej jeden brzmiał nader znajomo. – Jaki... Jaki *station? This* radio, jaki?

– Aaaa, toooo? Miejscowe takie, nowe. Nawet fajne. Młodzi. Wojsku zacharapcili częstotliwość – zaczął taksówkarz, ale wyczuwając, że słuchacze przestają go rozumieć, wyjaśnił im krótko: – Radio Carlos.

– *Right* – westchnęło się Anglikowi, który też zaraz zwrócił się do szofera: – *Excuse me*. Zna pan ich adres? Jaki adres? Adres tego radia?

– Nie jedziemy do hotelu? – zdumiał się Benjy. – Miał być hotel Rock-Love. To co?

– Zmiana decyzji, Benjy. Umiałbyś sfilmować radio?

Bloki były coraz bliżej, w podkładzie hu-du-du-du spod maski i z głośników. Gnali przez kiełkujące, rude pola, obok kompleksu pustych szklarni, zwolnili przy szlabanie bocznicy kolejowej, a potem skręcili na mostek, przez skrzyżowanie, wypucowaną trójramienną gwiazdą na masce celując w sam środek osiedla-sypialni. Brunatny autobus przegubowy ofuknął ich sadzą. Kiedy okrążali niemyty zad ikarusa, Anglik pochylił się, żeby się poskrobać w łydkę, i w tej samej chwili taksówka szarpnęła i zatrzymała się gwałtownie, aż znów zakotłowali się w panice święty Krzysztof i Smurfetka.

Taksówkarz zaklął odruchowo, a potem pewną ręką nacisnął klakson. Za nimi ryknął klakson autobusu. Nadal stali jak przedtem. Taksówkarz pokręcił korbką i wytknął głowę przez okienko.

– Nieee, no, kurde, to są żarty – rzekł po chwili słabym głosem. Stali w korku, który nie chciał drgnąć, klaksony to nasilały buczenie, to znów cichły. Anglik pociągnął w końcu za klamkę i wysiadł, żeby się rozejrzeć. Chmury zniknęły gdzieś w jednej chwili. W jaskrawym świetle widać było, że wąż aut, przeważnie fiatów albo ciężarówek, dokładnie zakorkował ulicę. Obok wprost z błotnistej ziemi wyrastały ośmiopiętrowe bloki mieszkalne, a u ich stóp zaczynał się bagdadzki bazar.

Anglik przeszedł z jezdni na chodnik i omal nie włożył się na brezentowym łóżku polowym, za którym było następne i następne, i stolik turystyczny, i znów łóżko. Zapobiegliwe dłonie wykladały na brezent coraz to nowe paczki kawy Jacobs i Wiener Café, pudełka gum do żucia Mamba,



sztaby papierosów Marlboro i Golden American, cukier w kilogramowych sinych torbach, keczupy jak pociski, jaja w kartonach, rajstopy i koronkową bieliznę, wideokasety i sweterki, prężne penisy bananów i jeszcze maść żeńszeniową z Wietnamu, i złote butle oleju silnikowego Castrol 5W40. Przykucnięty Anglik oglądał to wszystko, kawę, srebrne biustonosze, wieprzowe półtuszkę dyndające u metalowych drzwi ciężarówka-chłodni, z której sztolni dobywano dalsze poście karkówki, orle skrzydła żeberka, gicze jak obeliski... Płachty gazet spijały delikatną posokę. Tony surowego mięsa pod bladym niebem – krajobraz jak po bitwie pod Hastings, tylko much mniej, bo to jeszcze marzec.

Anglik dopiero po chwili zaczął słyszeć gwar i zdał sobie sprawę z ludzkiej ciżby wokół, z targowania, nawoływania, przepychanek kipiących wśród całego ogromu dóbr objawionych na placu przy blokach. Ludzkie dłonie sięgały po towar, odliczały banknoty, ale mięsa było coraz więcej – idąc ku przodowi zatoru, Anglik mijał kolejne stoliki, łóżka wystawowe, najeżone kiełbasami bagażniki. Tyle mięsa, tyle kakao i milupy, tyle egzemplarzy „Gazety” na straganach przed pawilonem spożywczym, który jeden jedyny trwał jak eternitowy głaz, omywany nagłym potopem z niemieckiego rogu obfitości.

Anglik szedł dalej. Cukier, tym razem prosto z wywrotki, po cztery dwieście. Piwo butelkowe w skrzynkach, piwo w puszkach, piwo w rękach bambrów na odrapanej ławce, piwo w siatkach kobity z siatkami, cała rzeka piwa biegła równolegle do zamartej ulicy. I jeszcze ananasy, i owoce kiwi, prawda, że już nieco zapadnięte. I znowu piwo, i wiórki kokosowe. Strugi mleka w kartonach i miodu w słoikach, a ponad tym wszystkim rajski muzyka bootlegowych kaset.

Anglik już miał ochotę wrócić do taksówki – popędzić Benjy’ego, żeby brał kamerę i kręcił, byle prędzej, na wypadek, gdyby czarodziejski bazar pod blokami rozwiął się jak miraż, pozostawiając pusty rozdeptany placyk i czerep pawilonu spożywczego, w którego wnętrzu sól i ocet czuwają jak para upiorów, lecz postanowił najpierw dociec przyczyny zatoru. Minał jeszcze kilka samochodów dostawczych, traktor, lotniskowy autobus, w którym siedział pewnie Francuz – a może ktoś go zabrał prywatnym wozem, Anglik żałował teraz, że stracił filozofa z oczu w przepychance do wyjścia z samolotu – i wreszcie ponad ramionami gapiów dostrzegł, co się stało.

Ulicę tarasowała na ukos ciężarówka z dwukołową przyczepą, cała przechylona pod naporem obluźwanego ładunku cienkich stalowych rur. Wielka masa tych rurek rozsypała się po granitowym bruku, inne sterczały na boki niby wąsy karalucha, jedna zaś, najdłuższa, zapuściła swój koniec w przedniej szybie poloneza zatrzymanego tuż za przyczepą. Gwiazdzisty rozprysk na przedniej szybie auta nie pozwalał zobaczyć, co dzieje się w środku, więc Anglik przekradł się bokiem, by zerknąć na to, o czym szeptali ludzie dookoła:

– Patrz pan, przeszła równo przez szybę i brzuch, i fotel też, ta rura. Tyłem mu wyszła, razem z czerwoną szmatką. Ale się wpierdolił.

– Równo nadziany. Żyje?

– Nie wiem. Patrzył się.

– Nadziany jak na rożno.

– Karetkę chyba słyszą... Zaraz pobiegli dzwonić, tylko że budka zepsuta.

– Mówi się rożen, a nie rożno.

Z okienka wozu zwieszała się bezwładna, blada ręka o zaciśniętych palcach. Anglik obejrzał się jeszcze na nie mniejszy korek samochodów jadących od drugiej strony i nie spiesząc się, zawrócił do mercedesa.

– Tym razem zator mamy po zachodniej stronie miasta – gadało radio w mercedesie. – Już za chwilę nasz redakcyjny helikopter... Wiemy, proszę państwa, nie mamy helikoptera i jest to pewnie jeszcze jedna różnica między Wrocławiem a Sajgonem. Przy okazji polecamy, restauracja „Sajgon” przy Wita Stwosza zaprasza, dania kuchni egzotycznych! A tymczasem czekamy na telefoniczne doniesienia, co się tam naprawdę dzieje, pierwszy i trzeci słuchacz, którzy zadzwonią do nas z informacją, mają szansę otrzymać...

Benjy spojrzał pytająco na Anglika i sięgnął pod nogi po futerał ze staroświecką szesnastką beaulieu. Duża telewizyjna kamera ikegami siedziała w bagażniku, razem z kablami, bateriami, mikserkiem i parą mikrofonów (obscenicznym palczastym sonnheiserem i zwykłym lavalierkiem). Do szybkich reporterskich zdjęć lepiej nadawała się właśnie zwyczajna szesnastka, którą Anglik lubił, bo przypominała mu nie tak dawne szkolne etiudy z plaż pod Nowym Jorkiem i świeże, musujące paranoję wywiady z Czernowilem i Korwinem, które robili w Warszawie. Benjy odgrażał się wprawdzie, że jeśli prędko nie dostanie arriflexa, kolejny film Anglik będzie sobie sam robił weselną wideokamerą na kasety bez dźwięku, ale na razie mieli to, co mieli, to znaczy dużą kamerę do scen pozowanych, obmyślonych z góry, i małą, gdyby było trzeba coś szybko kręcić bez przygotowania. To samo dotyczyło dźwięku, bo oprócz profesjonalnego fostexa Anglik miał w kieszeni zwykłego walkmana z nagrywaniem, takiego samego jak ten, na którym Michelle Shocked nagrywała swoje *Texas Campfire Ballads*.

Materiał z dużej kamery dawał się miksować na komputerze, taśmy z szesnastki trzeba było ciąć i lepić ręcznie, lecz Anglik uważał, że wszystko jest, jak należy. Duża kamera była Don Kichotem od barwnych wizji, szesnastka – Sancho Pansą powszednich obrazów.

– Nie kręcimy? – upewnił się Benjy.

Anglik pokręcił przecząco głową: ciężarówka z rurami to nie olbrzym z naręczem włóczni, a poza tym drogowej makabrze brakowało jedyności. Żywe od much mięso. Zimna biała pierś przeszyta drutem. Mgła stereotypu, nie tędy droga.

Anglikowi nagle zachciało się wydostać spomiędzy tych bloków. Jechać! Kierowca chyba czytał mu w myślach, bo gestem wskazał, by zatrzasnęli drzwiczki, wcisnął wsteczny i wtoczył mercedesa na krawężnik. Jechali wolniutko po chodniku, tyłem, wzdłuż burego węża samochodów i traktorów, które zdążyły się ustawić za nimi. Młoda matka z wózkiem w porę wtoczyła swój wehikuł w chwasty przy drucianej siatce. Kiwało, spod kół szedł kurz i zeszłoroczne liście. Potem taksówkarzowi udało się zajechać, wciąż tyłem, w otwartą bramę posesji, wykręcić i precyzyjnie się między autami na pustym przeciwległym pasie jezdni. Nie wracali jednak na lotnisko, bo zaraz, za tym samym co poprzednio mostkiem i przejazdem, taksówkarz skręcił w wysypianą jakimś żużlem czy szutrem dróżkę, która wiodła prosto w pola.

– Skrót – wyjaśnił im, a Anglik i Benjy pokiwali tylko głowami, bo było zbyt spokojnie i gorąco, by upatrywać tu zasadzki. Sunęli powoli, wóz nurzał się w zieloność pierwszych bylic, o karoserię szorowały baziaste wierzbowe gałęzie, a w ślad za autem z poboczy szutrówki spoglądały połu-

pane emaliowane garnki, mandale łysych opon, rumiane cegłówki, strzępy gąbki i worów po cemencie i reszta zawartości prowizorycznych przydrożnych wysypisk. Po dnie rowów ciurkała oleista woda, a błoto na drodze mlaskało wręcz dosłyszalnie, lecz kiedy Anglik odkręcił okienko, poprzez chlupot i trzeszczenie radia do jego uszu dotarł inny melodyjny szum, a z nim uderzenia metalu o metal, jak dźwięk gongu na przejeździe kolejowym. Kiedy koła mercedesa obróciły się jeszcze kilkadziesiąt razy, zza zarośli dobiegł ich niewyraźny śpiew.

– Wolno – poprosił Anglik taksówkarza omijającego kolejne błotne doły i zaraz dodał: – Stop, dobrze? – bo w prześwicie między tarninami ujrział mroczną karawanę wielobocznych oliwkowych kształtów. Namioty, jurty? Ze sto metrów od nich, tam gdzie widoczne zza tarniny tory kolejowe zataczały łagodny łuk, by zniknąć za żelazną furtą w murze, zza którego wyzierały dwupiętrowe, koszarowe budynki, na lewej, bliższej z pary bocznic, stał kolejowy eszelon bez lokomotywy. Na platformach widać było szeregi oliwkowych ciężarówek, które zamiast skrzyń miały coś w rodzaju barakowozu zwieńczonego wianuszkami rur i filtrów. Od eszelonu dobiegał dziki śpiew i pohukiwanie. Był jasny dzień. Niebo zrobiło się białe. Od pól wionęło mokrą ziemią.

– *Aaaaaj, dawaaaaj!* – I znowu: – *Aaaj, aaaaj, dawaaaaj!!!* – huczało raz po raz spoza rzadkiej kotarki świeżych liści.

Taksówkarz nie miał widać ochoty na piknik pod murem ruskich koszar, obok których prowadziła szutrówka, bo nie pytając o nic, wrzucił jedynkę i wcisnął gaz. Ani drgnęli, tylko dieslowski silnik zadudnił na niebezpiecznie wysokich

obrotach, a spod tylnych kół wystrzeliły kaskady rzadkiego błocka, w którym utknął samochód. Taksówkarz zaklął, przełożył bieg na trójkę i powoli puszczając sprzęgło, łagodnie dodał gazu. Usłyszeli syk i bulgotanie, potem silnik mercedesa zadygotał w spazmie i zgasł. Taksówkarz wyrzucił bieg na luz, włączył zapłon, wrzucił czwórkę i łagodnie puszczając sprzęgło, dodał gazu. Zamlaskało błoto, silnik zadygotał i zgasł, samochód osiadł niżej – a potem jeszcze niżej, bo kierowca spróbował wydostać ich z pułapki na wstecznym. Czerwone lampki na tablicy rozdzielczej zamrugały i zgasły. Siedzieli bez ruchu, tylko kierowca jęczał raz po raz:

– Koniec. Zajebią mi auto jak nic. Wsadzą na platformę i sru nad Wołgę, mafię na ryby wozić. Szkoda merca.

Anglik poklepał go po ramieniu i doradził spokojnie zaczekać, a sam mrugnął na Benjy'ego, by ten przysposobił kamerę. Z torby podręcznej wydobył walkmana i szepnął:

– *Forward, the Light Brigade!*

Benjy ociągał się, ale Anglik złapał go za rękaw, wyciągnął z taksówki prosto w błoto i kazał brać się do zdjęć. Taksówkarz sięgał już do wnętrza po gumowe dywaniki, więc nie widział, jak Anglik i Benjy dają susa przez rów i znikają w rzadkich krzaczkach. Zasłona była tak mizerna, że obaj jednocześnie zaczęli rwać pęki trawy i kaczeńców, by choć trochę zamaskować swoją obecność.

– Safari! – Benjy cieszył się jak dziecko.

Ostatnia z platform, ta najbliższej koszar, była pusta, a tuż przy niej, prawie w poprzek torów, legła przewrócona ciężarówka-cysterna. Musiała się przy załadunku ześliznąć z rampy, a może szarpnięty przez przetokowych wagon uciekł nagle spod jej przednich kół. Teraz zielona cysterna leżała na boku, a spod uchylonych pokryw sikały strugi pły-

nu. Wokół cysterny kłębił się taneczny tłum w zielonkawych mundurach, jedni w uszankach, drudzy już w letnich furażerkach, a wszyscy z menażkami albo kubkami w ręku.

Anglik i Benjy przycupnęli za ostatnim krzakiem i wy-celowali kamerę i mikrofon w wirujący, roztańczony krąg wokół cysterny. Wiosna i wyjazd musiały rozsadzić ostatnie okowy posłuszeństwa, bo szarże i szeregowcy jedni przez drugich, w rozchełstanych bluzach, z parcianymi pasami dyndającymi pod brzuchem, tłoczyli się do źródła. Biała struga spod pokryw jak język bladego ognia spływała do naczyń. Parunastu żołdatów pląsało, paru strudzonych napitkiem zasnęło, a kilku innych przycupnęło z boku, sięgnęło po harmonię i chrypiało rażno:

*Nad Donoj i w Zamosti tlejut bielyje kosti,  
Nad kostiami wiejut wietiergi...  
Pomniat psy-atamany, pomniat polskije pany  
Kon-armiejnyje naszy klingi,  
Pomniat psy-atamany, pomniat polskije pany  
Kon-armiejnyje naszy klingi!*

– To polskie wojsko? – zdumiał się Benjy z ukrycia. Kamera szemrała już w najlepsze.

– A, skąd. Armia Czerwona wraca do domu. Ewakuacja. Nie czytałeś?

– Czytać? Ja wolę telewizję. Ty, oni piją to coś! To... benzyna?

– Ciszej! Chyba nie. Może spirytus.

– Takie dziwne samochody. Rakietowe?

– Prędzej od obrony chemicznej. Widzisz te znaki?

– Coś się słabo bronią. Patrz, następny leży. Robię zbliżenie – Benjy wychylił się zza krzaka, pechowo, bo w tejże sekundzie odpłynęła w bok kolejna chmura i szkło

obiektywu posłało rozbłysk prosto w gromadę tańczących młodzików w zielonych kapotach. Parunastu najbardziej nakręconych wirowało nadal, nikt też nie oderwał się od ludzkiego supła przy strudze z cysterny, ale trójka mundurowych, którzy dotąd trzymali się z boku, zaczęła szeptać i popatrywać w stronę krzaczków.

Anglik i Benjy próbowali chyłkiem wycofywać się z pierwszej linii zagajnika, kiedy od eszelonu zawibrował podoficerski gwizdek i rozległy się pierwsze krzyki. Jednocześnie od strony błotnej drogi, na której utknęła taksówka, doleciał ich wizg silnika i chlupot błota spod buksujących opon, a potem zgrzyt przerzucanego biegu. Mercedes jakimś cudem wygramolił się z topieli i na wstecznym ruszył w stronę, skąd przybyli, unosząc ze sobą ich bagaże.

– *Fuck* – powiedzieli równocześnie Benjy i Anglik, choć wcale się nie umawiali. Ktoś biegł w ich stronę od końca eszelonu, a z boku słyszeć było, jak ktoś inny przedziera się ku nim przez krzaki.

Pozostawała ucieczka do przodu. Przeskoczyć tory, okrążyć koszarowy mur... Obaj filmowcy przykucnęli jak do sprintu i na trzy-cztery pomknęli przez podmokłą łączkę, wśród kaczeńców, w kierunku sznura wagonów. Anglik wielkimi susami biegł przodem, za nim kicał Benjy z kamerą pod pachą. Przykucnęli pod wielką platformą z ciężarowym uralem i wyjrzeli ostrożnie. Harmoszka zdążyła ucichnąć, żołdaci przerwali piknik i szli teraz szpalerem wzdłuż wagonów, zaglądając pod nie co rusz. Anglik poruszył się, co musiało zostać zauważone, bo wielki czerwonołęby starszyna ryknął w ich stronę:

– *Wy kto?!*



Dzieliło ich już tylko kilkadziesiąt kroków. Zanim Anglik pomyślał, co dalej, Benjy jak ostatni idiota wychylił się razem z kamerą i obwieścił czerwonoarmistom:

– *It's alright! Relax, mate, it's alright. We're just making a film here!*

Czerwona gęba starszyny zrobiła się sina. Warknął coś i żołnierze rzucili się hurmą w ich stronę. Benjy wreszcie się zorientował, że coś jest nie tak, i zanurkował z powrotem pod platformę, a potem pod następną. Anglik pełził tuż za nim, cały czas ścigany wściekłym głosem podoficera:

– *Nu, ostanowities', chui pogannyje! Kak my wam ustroim nowuju wiesnu... Kak kamieru wam w żopu zasażu, i mgnowienii wam budiet ne siemnadcat', a zamietelno bolsze! Ja, jeb twoju mat', pokażu, kak z kinokamieroj nado rabotat'! Posmotritie na eti szpionnyje mordy. Ej, riebiata, udarim po zapadnym swinjam! Pust' poczuwstwujut russkij kułak, mudraki!... Stoj!*

Anglik i Benjy wycofywali się za kolejne platformy. Przy przedostatniej trochę ich zasłonił brezent kryjący przyczepę do dezaktywacji. Dalej była jeszcze jedna platforma, a po niej już tylko gołe pola. Od strony koszarowego muru także ktoś nadbiegał. Anglik zapatrzył się w słoneczną plamę w prześwicie między rdzawymi buforami. Ciepło, miło. Wiosna. Tylko co dalej?

– *Kuda swołoczi udrali?* – rozległo się znów, bardzo blisko.

– *Oni... Oni pod wagonom!*

– *Ech, Griszka, dawaj mnie siuda awtomat!*

Szczękniętą przeładowywany pistolet maszynowy, a równocześnie od strony koszar rozległ się zgrzyt rozsuwanej żelaznej bramy i warkot dieslowskiej lokomotywy przetokowej. Ścigający odwrócili się na chwilę w tamtą stronę.

Po równoległym do bocznicy głównym torze jechał wzdłuż sołdeckiego eszelonu miniaturowy skład, szara kanciasta lokomotywka i dwa kryte wagony towarowe.

– Nazywam się Bond. James Bond – Benjy wyszczerzył się niepewnie do Anglika i przerzucił sobie przez plecy ramię kamery. Anglik zaszczękał zębami. Wiosna, może ostatnia?

Czerwonoarmiści zawrzeszczeli chórem i rzucili się w ich stronę, lecz Benjy i Anglik zdążyli już wyprysnąć spod platformy, podbiegli do nabierającej pędu spalinówki i kurczowo złapali się metalowych uchwytów. Benjy cisnął kamerę na stalową podłogę i podciągnął się w ślad za nią. Anglikowi poszło gorzej, bo przez kilkadziesiąt metrów wisiał na rękach i desperacko przebierał nogami nad umykającym torowiskiem, lecz wreszcie Benjy i brodaty facet z kabiny wciągnęli go także. Wachlarzyk pogoni zostawał daleko z tyłu. Anglik odprowadził wzrokiem zatrzymany eszelon, wzdrygnął się jeszcze raz i nareszcie rozkurczył ręce. Zdziwił się, że z rozharatanych dłoni kapie mu krew, bo do tej pory zupełnie nie czuł bólu. Kiedy się tak zdążył urządzić?

Dopiero po chwili podniósł wzrok na obsługę lokomotywki. Krępemu maszyniście w kombinezonie czarnym od smaru towarzyszyło jeszcze dwóch mężczyzn. Obaj byli w dżinsach, jeden, mały i krępy, z wąsikami à la Adolf, miał na sobie amerykańską mundurową kurtkę z blaszanym orłem w koronie przyczepionym do kieszeni, drugi, łysiejący i brodaty, ubrany był w wyciągnięty sweterek.

– Ale zara, zara, autostopowiczów mi jeszcze bierzecie? – z wyrzutem zwrócił się do tych dwóch maszynista. Do tej pory stał odwrócony przy swoich wajchach, ale teraz, gdy z dudnieniem diesla wyjechali na szerokie pole, zajął

się opieprzaniem pasażerów: – Kurna, nie dosyć, że człowiek dupy nadstawia za lewy kurs, i to gdzie, do ruskiej jednostki...

– Jaki lewy, jaki lewy kurs? – zmiłgował go mały, tłusty. – Jest kwit od wicedyrektora DOKP.

– A ja, panie, wiem, kto teraz dyrektor, a kto wice? A w przepisach jasno stoi, że postronnym do kabiny wstępu...

– Wiesz pan co, pocałuj pan konia w chuja – zirytował się brodaty. – Gonią Ruscy ludzi, znaczy, trzeba pomóc. Nie? Nie?!

– Noooo tak, ale, panie...

Zamilkli.

– Niech mu się łeb zabuja – wtrącił się nagle, ni w pięć, ni w dziesięć, mały z wąsikami.

Anglik i Benjy prawie nie słuchali tej wymiany zdań, bo co rusz zerkali wstecz, na malejące bryły eszelonu obok żelaznej bramy. Nikt ich nie gonił ani tyralierą, ani na ręcznej drezynie, ani helikopterem szturmowym mi-24. Kamera, na oko, też dobrze zniosła rejteradę.

– Dżon kluii – Anglik zwrócił się wreszcie do brodatego tysonia. Mały zajęty był płuciem na umykające słupki przy torowisku.

– Uprzejmie proszę – odrzekł machinalnie brodaty, przyjrzał się Anglikowi i zaszeptał: – O, kurwa...

– Dla-sze-go „kurwa”? – Anglik po polsku próbował wyrazić swoje zaniepokojenie.

– O-o... – nie ustępował brodaty. – Więc wróciłeś.

– Józef... – Stali kiwając się na karbowanej żelaznej podłodze lokomotywki i patrzyli na siebie. – Józef... – powtórzył Anglik z niedowierzaniem. – To ty zostałeś kolejarzem?

– Znasz tego kolesia? – dla żartu zagadnął swego kompana Józef, łysiejący, z jeszcze ostrzejszym nosem niż przed ośmiu laty.

Grubasek obrzucił Anglika ciekawym spojrzeniem i roześmiał się na cały głos:

– No, nie! Znowu?

– Co oni mówią? – Benjy złapał Anglika za łokieć.

– To co zawsze – Anglik też już śmiał się na cały głos.

– Józef... To – pokazał na lokomotywkę – to twój nowy... nowy *job*?

– Co? Nie, nie, nie, nie. Nie wiem, jak ci wytłumaczyć. Nie *job*. Biznes. Import-eksport biznes.

– Oooo. Import-eksport biznes?

– Dokładnie. Nie umiem ci przetłumaczyć, ale... biznes.

– Jaki eksport?

– Co?

– Co ty eksport?

– Maski gazowe. Do Izraela. Interes na zdechłe ryby, kurde flak – Józef posmutniał i zamilkł.

– Co?

– Nic. Ostatnie gacie stracę na tym Saddamie. Nie ważne – i machnął ręką, ale zagadał do niego maszynista. Zwalniali przed semaforem przy zjeździe na główną linię, a potem stanęli w ogóle, więc maszynista mógł na spokojnie wysłuchać Józefowej opowieści o fantastycznym przebiegu, jakie mieli osiągnąć na pięćdziesięciu tysiącach masek gazowych, które oddali im w komis czerwonoarmiści. Pod zastaw nowego audi quattro („wytrzasnął go skądeś tam Żozo”) sołdaci lutową nocą, kiedy nad Jerozolimą wyły scudy, załadowali towar do obu podstawionych im wagonów. Z bocznic

przy dworcu głównym maseczki miały pójść do Niemiec, a stamtąd podstawionym przez Lipszyca i Leviego („takie dwie sieroty z Izraela”) samolotem prosto na lotnisko Ben Gurion. Państwo Izrael brało każdą ilość. Niestety, kiedy transport dotarł dopiero na wrocławską bocznice i czekał, aż się wyrobią listy przewozowe („kurde, trudno się robi takie listy”), nad płonącym Kuwejtem załopotały białe flagi. Rynek na maski załamał się w ciągu jednej nocy. Nie dość tego, poprzedni właściciele nie chcieli słyszeć o zwrotach.

– Sam pan widzisz. Pojechaliśmy i grzecznie, nie wyszło z komisem, oddajemy, pięćdziesiąt tysięcy co do sztuki, a oni z ryjem... Paszli won, żadnych masek nikt nie wydawał, prawie że bronią przygrozili. O audi szkoda pytać. To najmniejszy problem, nie? Łatwo przyszło, łatwo poszło.

– To czym się pan martwisz?

– Jak, czym? Wagony muszę oddać. Na razie się nikt w DOKP nie czepia, ale jak mi dawała osiowe, postojowe...

– Ii, to porzuć pan. Bocznic teraz pustych tyle.

– Zna pan jakieś? – ożywił się Józef.

– Zajrzyj pan jutro na lokomotywnię, pogadamy. Tylko, sam pan wiesz, lepiej jakby znów było pisemko... Bo ropa to jest.

– Kuwejcka, co?

Anglik i Benjy stali z tyłu kabinki i słuchali ich prędkich dialogów jak na tureckim kazaniu. Benjy skrajem mankietu pucował ocaloną kamerę, a Anglik rozcierał sobie kolano. Na otwarty pomost lokomotywki zawiewało ciepłem z rozmarzłych pól, zwłaszcza kiedy ruszyli spod semafora. Mały (Gałeczki! Tak na niego wtedy wołali!) zwiesił nogi na torry i paląc długiego golden american, cierpliwie pluł na podkłady. Kilometr przed nimi, za siwym polem i labiryntem komunalnego cmentarza, zaczynały się pierwsze fabryki.

Wjeżdżali do miasta. Diesel lokomotywki dudnił teraz na całego, otwierały się przed nimi kolejne semafony, zielone światła zapalały się jedno za drugim, towarowe wagony z maskami gazowymi tłukły buforami na rozjazdach. Anglik patrzył na mijane zaplecza zakładów przemysłowych przy Grabiszyńskiej, tylne fasady postrzelanych kamienic-niedobitków, boczki mieszkalne, bocznicę hurtowni – rewers wszystkiego, co ogląda przybysz wjeżdżający tam główną bramą, w triumfalnym rydwanie niemieckiego autokaru turystycznego. Siwy osiołek lokomotywki niósł ich powoli, z coraz większym wysiłkiem, bo wjeżdżali już na pochyłość nasypu. Potem przed oczami Anglika i obiektywem uruchomionej tymczasem przez Benjy’ego kamery przesunęły się kamienne bruki, pierwsze niebieskie tramwaje, pierwsi ludzie, potem szare domy, skąpane w rzadkim słończku styropianowe pudło hotelu „Wrocław”, betonowe kwietniki bliżej dworca. Z wysokości nasypu miasto otwierało się przed nimi jak zaniedbany, zakurzony po długiej zimie, zdziczały ogród o kamiennych ścieżkach. Anglik patrzył i patrzył, terkotała kamera.

Ominęli dworzec główny skrajnym, południowym torowiskiem i zwolnili dopiero przy wielkim i tłocznym placu rozrządowym. Zeskakiwali kolejno, Józef, Gałeczki, Benjy. Anglik podał Benjy’emu kamerę, nachylił się i skoczył na rdzawe kamienie podsypki. Przeszli za torowiska, obok baru celników, a potem po żelaznej kładce nad torami dostali się na drugą stronę terenów kolejowych. W ślepych podwórku, za kubłami stał odrapany mercedes-błaszak z zamazanym napisem „Schreiberei Butzek” na żółtej burcie.

– Uff, nie zapierdolił nikt radia – ucieszył się Józef i otworzył gościom tylne drzwi furgonetki. Anglik przysiadł za fotelem kierowcy.

– Dokąd? *Wohin?* – spróbował to tak, to owak Józef i przekręcił gałkę radia, w samą porę, by znowu w głowie Anglika rozległo się: „Tu Radio Carlos...”

– Właśnie.

## Ile kamieni w bruku

Było samo południe, obwieszczane hejnałem z głośników w oknach, wnętrzach sklepów i kabinach taksówek przycupniętych na postoju przy Solnym. Anglik słyszał brzęk tej melodii ze wszystkich stron, kiedy z Benjym szli na przełaj przez bruk Rynku jak przez czerwone piaski Marsa, wprost ku wysokim drzwiom w obramowaniu czarnego betonu. Przez cały czas Anglik nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przed ów dziewięciopiętrowy szwabski biurowiec, wciśnięty między szare kamieniczki, dotarł nie w szoferce mercedesa blaszaka – lecz na pokładzie wehikułu czasu. Nie tylko hejnał był ten sam co dawniej: ta sama była martwota, w którą się wdzierały nuty, te same mury, ba, ten sam co osiem lat wcześniej mógł być nawet pijak, który zadrzemał na ławce za pomnikiem Fredry. Znajoma ospała pustka. Czymś nowym, ostrym i nieoczekiwanym były natomiast parasole, wykwitające właśnie jak pęk plastikowych kwiatów u wejścia do ratuszowej restauracji, ponad stolikami, które rozstawiała ekipa w jaskrawoniebieskich kombinezonach. Płaty koloru aż biły w oczy, odcinały się od bladego nieba i od zaciekających murów niczym pierwsza pozimowa rabatka.



Co sądzi o tym wszystkim Benjy, o to Anglik nawet nie pytał. Pomachali Józefowi, który musiał jechać dalej – *business is business* – odepchnęli ciężkie skrzydło głównych drzwi i stanęli przed szklaną budą portierni. Anglik zawczasu przygotował się psychicznie na nieuniknioną pantomimiczną scysję z portierem, lecz okazało się, że i tu zaszła zmiana. Portier, a właściwie parka portierów, bo obok szarawego samca w szklanej klatce siedziała jeszcze ospała samica, nawet nie podniósł głowy znad czasopisma ze znakiem drogowym na okładce. Anglik i Benjy bez przeszkód znaleźli się więc w ciasnej windzie, dokładnie jak im to zdążył objaśnić Józef. Za to na górze, na wysokim piętrze, gdzie na pancernych drzwiach ktoś wyspikał sprayem fantazyjny wielki napis gotykiem RADYJO KARLOSS, zastąpił im drogę masywny koleś w wojskowych spodniach w ciapki, w glanach i czapeczce z naszywką „security” nad daszkiem. Drugi, identyczny typek rozgościł się z nogami na stoliku i szturmową pałką wystukiwał sobie na udzie rytm wideoklipu, jaki leciał w przenośnym telewizorku firmy Otake.

– Do kogo? – usłyszeli.

– Yyyyy... Do... – Anglik wyrzucił z siebie nazwisko, ale świadomy, że je przekręcił, dodał prędko: – Do Carlos. Proszę.

– Do pana Carlosa, tak? – upewnił się ochroniarz i uprzedził: – To może potrwać.

Nie sięgnął przy tym po telefon ani walkie-talkie, tylko odwrócił się do ekranu. Anglik wzruszył ramionami i rozejrzał się po westybulu. Plakaty, jeden z Reaganem, drugi z człowiekiem z marchewką zamiast nosa, trzeci z *Panoramą racławicką*. Stolik z popielniczką z białego plastiku. Gołe ściany. Zapach nowej farby emulsyjnej. Jak długo przyjdzie czekać?

Nie czekali nawet minuty, bo za ich plecami zaszurkotała znowu winda, huknęły otwierane drzwi i z wnętrza kabinki zaczęła się wymotywać gromada ludzi. Najpierw plecami do przodu wycisnął się z windy wielki grubas w zielonej kurtce, potem jacyś młodzi ludzie w marynareczkach i z aktówkami, kwitnąca blondyna na szpilkach i wreszcie ktoś, kto przypominał Carlosa po serii elektrowstrząsów. Ten ktoś ryczał właśnie pod adresem grubasa:

– Nie, kurwa! Nigdy! Na to nie pójdziemy. Powiedz im, Żożo, w co się mogą ugryźć! Wiszą nam na dwa miliardy i chcą promocji?

– Nie za frajer – zaproponował wielgas, który zablokował pozostałym wyjście z windy.

– Jak nie? Promocja niby nie kosztuje? Komu mam fundować czas na antenie? – pienił się Carlos. – Jakimś klezmerom z Cieszyna z neserem ruskich dolców? Kurwa, koniec świata! – i w półobrocie spojrzął na Anglika, najpierw machinalnie, a potem z niedowierzaniem, ale nim zdążył coś powiedzieć, Żożo szarpnął go za łokieć i odwrócił ku sobie.

– Masz to zrobić!

– Bo co?!

– Bo ktoś ci zamknie tę budę!

– Tej „budy” słucha całe miasto!

– Nie szkodzi. Jeszcze pogadamy... – Żożo wyswobodził pasażerów windy. Kabina odpłynęła zaraz na parter, a ochroniarze pośpiesznie otwarli żelazne drzwi.

– Hej, *welcome!* – Carlos otoczył Anglika ramieniem i przeprowadził go przez próg rozgłośni, gdzie panował wielki ruch. Benjy skoczył za nimi. Wewnątrz, pod czerwonymi lampami z napisem „cisza” kłębili się i przemykali radiowcy, raz po raz dzwonił jedyny, choć wielofunkcyjny telefon na

ladzie recepcjonistki, zza drzwi z kartonową wywieszką „kolegium redakcyjne” buchał papierosowy dym, pod nogami walały się kapsle od wody mineralnej, a białe plastikowe foteleki obsiedli ludzie, którzy albo czekali na swoją kolejkę na antenie, albo przyszli w interesach. Przez uchylone drzwi z mosiężną tabliczką „Dział Marketingu” dolatywał szcęk igłowej drukarki. Pachniało kawą, ludzkim potem i rozgrzaną aparaturą elektryczną. Carlosa wchłonął natychmiast ów wir, więc Anglik i Benjy wycofali się aż pod okno, gdzie było trochę miejsca. Anglik nie pamiętał takiego rejwachu z najlepszych lat, kiedy w Londynie galopował półkolistymi korytarzami gmachu BBC opodal rokokowego torciku kościoła Wszystkich Świętych. Z nowego miejsca widzieli z Benjym jednocześnie wnętrze studia nagraniowego za gruba szybą i, osiem piętér w dole, szare kamienie Rynku z tuzinem nowiutkich tęczowych parasoli. Benjy zagapił się ciekawie na konsoly w plątaniu kabli.

– Piękny sprzęt, japoński, najnowsza generacja – zauważył fachowo. – Musiał kosztować majątek.

– Ciekawe – zgodził się Anglik, który jeśli się w ogóle czegoś spodziewał, to sitkowego mikrofonu i lampowej aparatury ze zdemontowanej zagłuszarki, a nie konsoly i przetworników, które chyba dopiero co zeszły z taśmy montażowej Ono-Sendai. Prosto spod igły była też recepcjonistka w skórzanej spódnicy mini i w rajstopach ze srebrnej siateczki. Anglik dojrzał to, gdy przemykała obok nich, niosąc tacę z herbatnikami. Młodziutka i zupełnie niepodobna do... Nieważne. Anglik westchnął. Zza drzwi marketingu znowu dolatywały teraz podniesione głosy jak w operowym duecie:

– I co z tego, że jesteśmy wam winni forszę?

– ...  
– Ale jak mam to zrobić, jak?  
– Macie dojście i przez kurię, i przez urząd.  
– Ale w urzędzie, to, kurka, wiesz...  
– No, to przez drugi urząd. Pamiętaj, na radio można duże zakupy zrobić.  
– A co z Izbą Skarbową?  
– Dwie stare kurwy i liczydło. Cykasz się?  
– Hola, komputer sobie przecież sprawili.  
– To co? Za kasyno na was nie wsiedli, to za to też nie wsiądą.  
– Albo jednak przez UOP...  
– Chcesz, to zadzwoń do Krzycha, on tam teraz zarządza. Mnie tam, kurwa, bez różnicy.

Oprócz irytacji i napięcia Anglik słyszał w tych głosach podniecenie. Nie entuzjazm, bardziej uniesienie hazardem. Cokolwiek się tu działo, musiało wciągnąć tych wszystkich ludzi, łącznie z Carlosem, który nagle znów się zmaterializował koło nich, ruchem ręki poprosił, żeby jeszcze chwilę poczekali, i ścigany bipczeniem interkomu, zniknął w pędzie za drzwiami ze szklaną tabliczką „Prezes”, skąd zaraz dobiegł Anglika i Benjy’ego chrzęst szkła, krzyk i gniewne słowa:

– Kto mi to tu, kurwa, podłożył?!

Recepcjonistka pędziła już w tamtą stronę ze szmatą. Anglik ostrożnie cofnął się aż do okna studia nagraniowego. Na krzeselku przed studiem przycupnął ktoś, kogo Anglik zapamiętał z dawnych czasów, aktor teatru, w którym usiłował niegdyś odbyć staż. Artysta, korzystając z chwili zwłoki, przepowiadał sobie prędko tekst:

– Nasze drugie Heathrow. Nie gdzie indziej, tylko tu, na dolnośląskim skrzyżowaniu przyszłych transeuropej-

skich szlaków autostradowych, w miejscu sowieckiej bazy lotniczej powstanie port lotniczy cargo, który będzie nowym polskim Heathrow. Przedsięwzięcie z udziałem kapitału zagranicznego ma mieć wartość dwóch miliardów dolarów, a spółka akcyjna, która stanie się gospodarzem obiektu, planuje wkrótce swój debiut giełdowy w Warszawie i w Londynie. Wykupując cegiełkę, państwo także mogą zostać udziałowcami Cool Cargo... Chwileczkę, co? – aktor przestał poruszać wargami i podniósł głowę na ogolonego na zero chłopaka w zamszowej marynarce z frędzlami.

– Pytam, co jeszcze dziś nagrywasz z promocji? – powtórzył łysy.

– *Drugie Heathrow, tak? Witajcie we wrocławskim Las Vegas i jeszcze, jak zdążę, Wchramie świętej Jadwigi.*

– Dużo teraz bierzesz od sztuki?

– Za mało.

– Bierz więcej, póki sponsor jeszcze płaci – pouczył aktora łysy, omiół niewidzącym wzrokiem Anglika i Benjy'ego i popędził w drugi kąt rozgłośni. Drzwi małego studia uchyliły się w tejże chwili i wyjrzała zza nich pucata gęba Dyzia.

– O, *welcome*. Ktoś mi mówił, że już jesteś – usłyszał Anglik. – Z nieba mi spadacie. Mogę was o coś zapytać? – tym razem Dyzio zwrócił się także do Benjy'ego.

– Na przykład o co? – Anglik nie bardzo umiał się zdobyć na ciepły ton. Benjy patrzył zdziwiony na tłustego muzyka, połączony klarnet i widoczne za drzwiami studia dwie wymalowane dziewczyny przy dwóch mikrofonach.

– Bo... Może wy wiecie, jak się robi dzyngla? Ale chodźcie, chodźcie do środka, bo czasu szkoda. Mam studio tylko do czternastej, potem wchodzi ministranci. – A kiedy weszli, prędko zatrasnął za nimi dźwiękoszczelne drzwi.

– Bo, posłuchajcie, mamy coś takiego... Zaczęliśmy niby jako *rap*, ale sponsor kazał złagodzić, więc się zrobił z tego trochę *skank*, a trochę *popelina*... Wydawca jest z Niemiec. Dobrze, że nie kazali jodłować. Więc, no, posłuchajcie, czy te chórki równo wchodzą. Antoś, zapuszczaj!

Usadowiony za szybą dźwiękowiec włączył komputerową perkusję, syntetyczne ra-ta-ta-ta, na którego tle para dziewcząt na sygnał zaczęła melodyjnie szczebiotać w mikrofony:

*Gdy materiał cudo – jaki wybrać wykrój?  
Jak firanki zrobić? Ciuszki dzieciom – jak?  
Nożyczki do ręki! Fastryga jak fryga!  
Kontrafałda z karczku! Błyskawiczny strój!*

Nim skoczne sylaby umilkły, dźwiękowiec włączył z kolejnej ścieżki welwetową kaskadę trąbek i saksofonów, kolejne tło, przy którym Dyzio, z mikrofonem w dłoni, łagodnym głosem wywodził:

– Jak tego dokonać, pokaże wam „Szycie i Życie!” Ponadto dowiecie się stamtąd, jak być modną, jak upiększyć mieszkanie... A wszystko zobaczycie na setkach barwnych zdjęć... Do tego bogaty zestaw papierowych wykrojów, zupełnie za darmo!

– Tyle nowych sztuczek! Pomysłów za grosik! Z nami zadasz szyku! Z nami szyj i żyj! – dokończyły już mniej zgodnie dziewczęta, a Dyzio uzupełnił rzeczową antyfoną:

– „Szycie i Życie” do nabycia w kioskach Ruchu i w prenumeracie już od dziś! – i zaraz podniósł jasny wzrok na słuchaczy w niemym zapytaniu: I jak?

– Ci, kuchnia, mówiłam, żebyś zaczekała z wejściem, a ty co? – pierwsza z dziewczyn, z krótką platynową czuprynką, wykrzywiła się do koleżanki. Ta tylko odęła wargi.

– Powiedz, trzeba coś tu zmienić? – nie wytrzymał wreszcie Dyzio i zapytał Anglika wprost. – Bo mnie się wydaje, że jest okej. Nie?

Anglik pomilczał jeszcze chwilę.

– Hmm, w swoim rodzaju to jest pewnie rzeczywiście okej – zaczął. – Słów, to wiesz, że nie rozumiem, a reszta... Ale te chórki, to... Koniecznie?

– Jak to, dżyngiel bez chórków? – zdumiał się Dyzio.  
– Dlaczego?

W odpowiedzi wyręczył Anglika Benjy, uradowany, że jeszcze ktoś z miejscowych mówi po angielsku:

– Bo te chórki są do dupy. Dlatego.

– Tak?! A dlaczego?

– A bo ja wiem, dlaczego? „Dlaczego” to pytanie filozoficzne, a za mną trzeba konkretnie. Nie? – Benjy na serio włączył się w dysputę. – Zaraz. Wiesz co? Daj dziewczynkom przerwę, a mnie włącz to casio, co tam stoi, poćwiczmy... Jak to szło? Dyma terrier szuuudo?

– Gdy materiał cudo, aha. Ale najpierw masz takie wejście... – Widać było, że spochmurniały Dyzio na nowo zapala się do projektu.

– Dyma-terrier-szudo-aha! Git. Ale ja chcę innym wejściem – przerwał mu Benjy, przysuwając sobie taboret i wduszając kolejne przyciski syntezatora. Dziewczyny patrzyły jak oniemiałe na jego jasne dredy. Anglik ominął obie i dyskretnie wysunął się z dusznego studia na korytarz.

Nie miał kamery, magnetofonu ani notatek i zupełnie mu to nie przeszkadzało. Za szybą, osiem pięter w dół, widział Rynek, milion brukowych kamieni jak milion twarzy. Pod parasolami zdążyło przybyć ludzi.

– O, nie, ja nie będę czekał jak ten durny, aż do mnie zapukają i wywiozą do lasu – usłyszał za sobą kolejny znajo-

my głos. Rozpoznał Gipsona. – Teraz i tak wyjeżdżam, powiedz im, że oddam w piątek, jak wrócę. Poważnie.

Rozmówca odpowiedział coś, co musiało być slaniem albo nie miało żadnego sensu. Niezrażony Gipson podniósł głos:

– Nie chowam dupy w piasek, tylko towar trzeba najpierw przywieźć. Do Lourdes muszę jechać, po koncentrat. A kasetki się przywiezie z Hamburga następnym razem. Nie będę nadkładać drogi, ten rzęch Józefa nawet po autostradzie ledwo się turla. Orłowskiej na kasetach i tak jeszcze zostało. Z zamówieniami dupa. Przednówek, i dlatego.

Anglik odwrócił się od okna. Gipson nawet nie mrugnął.

– Witamy w kraju – mruknął dosyć przyjaźnie i sięgnął po goldeny: – Zapalimy? *Tu veux fumer?*

– *Pas moi, merci. J'ai quitté... tu sais.* – Anglik uczynił pojednawczy gest i ratyfikując oczywistość, dodał swoją koślawą, ale jednak francuszczyzną: – Czyli, ty też wróciłeś?

– Pewnie, że tak – ucieszył się Gipson i ciągnął po francusku: – Nawet mi władze w Ottawie zafundowały darmowy przelot. Kanada–Okęcie non stop. Jak lord się leciało.

– Ach, tak? Dali ci – Anglik poszukał francuskiego słowa – stypendium?

– Nie, przyjacielu. Ty się jednak nic nie zmieniłeś. Deportowali.

– O, tak mi przykro.

– Co ty, nareszcie nie muszę w końcu marca paradować w watowanych kalesonach. Więc co tu robisz? Ty... A może byś mi pomógł w firmie wysyłkowej?

Anglik spojrział uważniej na chudą gębę Gipsona, pachnącą Calvinem Kleinem i papierosami. Propozycja była, jak rozumiał, najzupełniej poważna.



– Mam inne plany. Miałem – poprawił się. – Jestem tu pierwszy dzień. A poza tym... – zawahał się i ciszej zapytał: – Wszyscy tu teraz pracujecie?

– Co to znaczy „wszyscy”? Ja tu nie pracuję, to Carlosa zabawka. Ale punkt dobry, to zawsze człowiek wpadnie pogadać. *Très simple, non?*

– Powspominać?

– Nie, co tu wspominać? Na razie się jeszcze nic nie wydarzyło. Ale szykujemy teraz taką kampanię...

– Poczekaj. Chętnie o tym z tobą porozmawiam, ale... Lidka też tu jest? – wyrzucił z siebie wreszcie.

Gipson skrzywił się trochę i rozdzuszając filtr, wyjaśnił:

– Z nią to jest taka trochę... inna historia. Nie, nie pracuje tutaj. Coś ty. – I widząc, że Anglik nie spuszcza z niego wzroku, wzruszył ramionami i dodał: – Lidka ma swoją firmę.

– Bo ja myślałem, że...

– Nie nie nie nie nie.

– A ona tutaj... nie przychodzi?

– Jakoś nie. – Gipson podniósł filuternie brew pod adresem Anglika i dodał od niechcienia: – A co, zależy ci, żeby się z nią spotkać? Bo jak ci bardzo zależy, to wiesz, *peut-être... on peut ça arranger...* Tylko będziesz mi za to coś winien, oczywiście. To jak? Chcesz adres?

– Ja nic nie chcę. Nic ci nie jestem winien... – Ale Gipson najspokojniej w świecie czekał, aż Anglik znowu się odezwie, i rzeczywiście po chwili usłyszał ciche: – Chcę.

Za ich plecami przedfilowało ku drzwiom drugiego studio stadko uczestników dyskusji radiowej: dziadkowie w kubistycznych garniturach, jacyś młodzi odziani w skóry,

brodacz w czarnej tołstojowskiej koszuli. Gipson dziobnął palcem w plan miasta na ścianie korytarza.

– O, tu ją znajdziesz. Wiesz, jak dojechać? Na pewno nie wiesz, to środek takiego blokowiska, dziki zachód... W każdym razie, jak pojedziesz tędy, powiesz taksówkarzowi, żeby za przedszkolem skręcił w lewo, tam gdzie budują kościół. Nie, jasne, że mu nic nie powiesz, ale *pas de problème*, napiszę ci adres. Masz jakąś kartkę?

Anglik wyjaśnił w prostych słowach, że udało im się pozbyć drugiej kamery i reszty dobytku.

– Ty masz do nas pecha, *mon ami*.

– Wyraźnie.

– Dobra, czekaj... – Gipson sięgnął do kieszeni spodni po ulotkę reklamową i na skrawku miejsca pod grubą czcionką TANIEJ TANIEJ TANIEJ nagryzmolił wskazówki, jak jechać.

– To twojej firmy? – zapytał Anglik, zezując na ulotkę.

– Firma trochę moja, tylko że nie na mnie. Wiesz, jak jest – zbagatelizował pytanie Gipson. – Nie ma się co afiszować, pchać w oczy tym bandytom...

– Proszę?

– Nieważne. Początki są trudne, nie? Aha, i słuchaj... Jak się z nią będziesz widział, przypomnij jej, że wieczorem piknik.

– Że co? Powtórz, proszę.

– Piknik. Wieczorem, wszyscy idą. Ona będzie wiedziała, o co chodzi. Gra?

– *D'accord* – uspokoił go Anglik i rozejrzał się, by sprawdzić, gdzie jest Benjy. Kamerzysta zdążył się tymczasem na dobre przeistoczyć w dźwiękowca i zza konsoly Casio wysyłał lawinę dżunglowych dźwięków, spośród któ-

rych co rusz przebijało skrzekliwe: szycie-życie! szycie-życie, szycie-życie!..., a potem znów chórek: – W życiu nic nie ma oprócz szycia, aha! – Benjy dostrzegł w końcu, że Anglik macha do niego przez szybę, lecz nawet nie ściągnął z uszu pękatych słuchawek, tylko powiódł uspokajająco dłonią i pokazał, że jeszcze nie wychodzi. Anglik ominął stadko chłopców w białych koszulkach i granatowych spodenkach, którzy żując gumę, wiercili się pod drzwiami studia i co rusz okładali się nawzajem śpiewnikami, sprawdził, czy ma portfel, i ruszył ku pancernym drzwiom i windzie. Z odsłuchowego głośnika kipiały zawzięte głosy dyskutantów w drugim studio.

– Bo o co chodzi, tak powiem państwu – słowa dyskutanta w skórce pikowały prosto w gąbkową kulę mikrofonu. – Problem jest taki, że naród musi się obudzić. Historia powiedziała nam „dzieweczko, wstań” i wstaliśmy. Jak rycerze spod Giewontu. Ale jeden cud to za mało. Tak uważam. Nam, Polakom, trzeba dalej ponieść słowo. Tylko że dokąd najpierw? O tym ma być ta dyskusja. Moim zdaniem.

– A moim zdaniem... Ale proszę, proszę mi nie przerywać, bo teraz ja mówię, i moim zdaniem... Tyle lat czekaliśmy na znak, i co to za znaki? Znaków pełno, o, reklamy piwa się teraz pojawiły, i dużo reklam kleju do glazury. Owszem, znaki. Ale co one oznaczają, co?

– Że czas na E-Be. I gumę pożuć, widocznie też pora. Jest czas żucia gumy...

– Pan trywializuje, ale w zasadniczym zrębie ma pan rację, tylko nie z tego powodu, co pan myśli.

– Nie, ale panowie, panowie! Proszę mi... Naszą misją jest zbudować na tej ziemi nowe miasto.

– Ale po cholere, że się tak wyrażę, skoro miasto już jest? Używane, dziurawe trochę, ale jest miasto, jak trzeba. Więc, panie profesorze...

– To? Te kasyna wszystkie, te jakieś agendy towarzyskie, pan kpi sobie, we Lwowie, pamiętam, to się przynajmniej mówiło „burdel” na burdel...

– Ale, panie profesorze...

– Ja mam taki przykład, panowie. Przedtem to czterdzieści lat plac Wolności był pusty. Goły beton. A teraz znów, jak powstał bazar, ludzi tam tyle, że przecisnąć się nie ma jak. To taka przenośnia. I nie dość, że wolność, to jeszcze tanio, nawet taniej niż na Kromera, chociaż to niby w centrum, na Zachodzie w centrum jest najdrożej...

– Pan udaje, że nie wie, o jakim duchowym mieście mówię!

– Przepraszam teraz panów... Halo, przepraszam teraz panów... Posłuchamy piosenki, a nasi słuchacze mogą tymczasem dzwonić na nasz redakcyjny numer dyżurny i również, w ten pierwszy dzień wiosny, będą mogli się z nami dzielić refleksjami o wiosnie przemian. A tymczasem zaśpiewa zaraz dla nas barczysty młodzian z baczkami, a który, to niespodzianka.

I lekko schrypnięty głos rozniósł się z tysięcy głosników po najdalszych zakamarkach miasta, a kiedy synkopał, tysięczne nogi same postukiwały do rytmu o nogę najbliższego krzesła, do wtóru mirażu z dalekiej pustyni Nevada:

*Bright lights city's gonna set my soul,  
Gonna set my soul on fire,  
I got a whole lotta money that's ready to burn  
So let those stakes up high –*

*There's a thousand pretty women just a-waiting out there,  
They're all living just the devil-may-care,  
And I'm just a devil with love to spare  
So viva,  
viva  
Las Vegas!*

Anglik słuchał tych głosów, a potem ostatnich taktów piosenki, kiwając się w taksówce, którą bez najmniejszego kłopotu – kolejna odmiana! – znalazł na placu Solnym. Radio grało i gadało na cały regulator, światła zmieniały się w swoim rytmie i chociaż Anglik za chińskiego boga nie umiał dojść, o co chodzi uczestnikom dyskusji i co ma z tym wszystkim wspólnego Elvis, łysiejący grubas, który w wieku czterdziestu dwóch lat dostał ataku serca na sedesie, on, Anglik, także myślał o wszystkich nowych znakach, na których temat przekrzykiwali się radiowi goście, o hieroglifach, które krzyczały do niego z murów i płotów. Mignęły mu właśnie następne, wielkie: SZKOŁA WdziĘKU 2000 i zaraz obok TRIUMPH – COŚ DLA PSA I KOTA. Czy nowe pismo przenicuje stare bruki, odczaruje blokowiska, z których okien o zmierzchu zrywają się do lotu uskrzydłone zużyte prezerwatywy? Tak! Drzewa nie będą już tracić liści, ustaną kwaśne zimne deszcze, nawet te śmieszne „kantory” za rok, dwa przemienią się w marmurowe banki. Rozkwitną zdziczałe trawniki...

Anglik wstydził się entuzjazmu, lecz własnej ironii także nie szanował w tej chwili. Znaki reklam jak z Marsa śmieszyły go w tym otoczeniu, ale i niepokoiły. Były przedziwne jak długa seria zer na milionowych banknotach, które dostał za swoje dolary w okienku kantoru. Kantor mieścił się w mikroskopijnej budce u wejścia do dużego, pustego banku na dole budynku rozgłośni. Transakcja odbyła się

sprawnie i grzecznie, nikt go o nic nie pytał, młody podniszczony kasjer przeliczył dolary, wydał złotówki i kwit, wszystko trwało sekundy. Napis „kantor” był większy od napisu „bank”. Też znak? Sygnał, że ludzie mogą teraz jeść inne batoniki, nie tylko prince polo? A jeśli znaki naprawdę pospędzają pijaczków z ławek, sprawią, że wszyscy ogolą się pospiesznie żółtą jednorazówką BiC i w zbiorowym cudzie zasiądą za kierownicami lśniących francuskich maolitrażówek, w tysięcznej kawalkadzie ku plażom Riwiery?

Taksówka gnała przez pustawą Legnicką, mijając wciąż nowe reklamy na tramwajach, na tablicach i na kioskach, seryjne, kanarkowe i pomarańczowe objawienia. Miasto leżało w strefie cudu, który mogła zrządzić dłoń opatrności, ale mógł też być diabelską sztuczką. Nie miał co do tego złudzeń kolejny rozmówca, który dodzwonił się pod obłożony telefon Radia Carlos:

– Przysłuchiwałem się temu, co tu panowie mówili, i chciałem tylko powiedzieć, a właściwie ostrzec i panów, i słuchaczy, przed wrogami świętego Michała Archanioła. Coraz więcej jest ludzi, którzy zwalczają jego wizje – radiowe słowa padały teraz bardzo prędko, na szczęście taksówkarz sam, bez zachęty, podkreślił jeszcze bardziej głośność – a w tej chwili jest w kraju ponad trzysta objawień świętego Michała Archanioła, niestety, poza budynkami kościelnymi, na polach, przy drogach, na działkach! Figury i obrazy płaczą łzami krwawymi. Zbierają się przy nich tysiące ludzi, wśród których następują nawrócenia i uzdrowienia. To są fakty! Dlaczego hierarchia Kościoła nie publikuje tych objawień, dlaczego nie jest publikowana Trzecia Tajemnica Fatimska? Chcą wprowadzić do liturgii nowe, skoczne pieśni, po co? Po to, żeby przekonać ludzi...

– Przerwę jednak panu na chwilę... – dał się słyszeć ciepły głos prezentera.

– Przekonać ludzi, mówię, że poprzednie obrzędy były błędne. Szatan wie, że ciało materialne jako proch pozostało w ziemskim ołtarzu, a dusza jest w niebie, i że dlatego potrzebny jest kanał przekazujący energię modlitwy do Nieba. Jeśli usunąć relikwie, energia modlitwy, zamiast krążyć, będzie z miejsca przechwytywana przez siły satanistyczno-demoniczne z Kościoła Astralnego, który nas zaczął otaczać. Takie są fakty!

– Czy coś jeszcze na temat obecnych przemian, bo jeśli nie, panu już dziękujemy, stop! A państwu proponujemy... Nie, naprawdę dziękujemy. A ja, zanim powrócimy do naszej dyskusji, proponuję chwilę relaksu przy muzyce zespołu Laibach!

Polonez rwał naprzód w rytm słoweńskich werbli. Za pumeksową kostką przedszkola Anglik kazał zatrzymać taksówkę, zapłacił sto tysięcy – wiedział, że przepłaca, ale szkoda mu było czasu – wysiadł i zaczął szukać adresu, który mu dał Gipson. Osiedle w ostrym wiosennym słońcu wyglądało jak gliniane Timbaktu albo płowe Jeruzalem. I tu także sprzedawano, co się da, chociaż obok polskich straganów z kawą i bananami rozłożyli na ziemi swoje koce i prosto z nich sprzedawali wiertła i świedidla ludzie ubrani trochę inaczej, w uszankach, i obdarzeni inną mową, Ukraińcy, Białorusini? Wszyscy jednak, i miejscowi, i nowi, wydawali się przykurczeni i ospali. Anglikowi przypomniała się uliczna scena sprzed tygodnia, inna przez to, że gorąca – wibrująca scena z jego ostatniego dnia w Nowym Jorku. W podobne jasne popołudnie, pośrodku Manhattanu, szedł wtedy chodnikiem przez roje mechanicznych ludzi, gdy wtem obok nie-

go blondynka – smukła jak srebrne nożyczki, które tak wysoko rozciąły jej spódnicę – podniosła rękę na taksówkę gestem odmierzonym i raptownym niczym skok semafora, a kiedy Anglik, który stanął jak wryty, odwrócił głowę, z ciemnego tunelu pod Helmsley Building bezszelestnie, bo na rolkach, wyjechała wprost na niego piękna brunetka i kontynuując ruch po niewidzialnej trajektorii, ze zdziwieniem w piwnych oczach patrzyła, jak Anglik uskakuje przed nią odruchowo, prawie pod ruszającą żółtą taksówkę, w której już siedziała tamta wysoka blondynka, a obok przemykały kolejne smukłe kobiece i męskie sylwetki, latające cykady, modliszki, łątki, w wielkim widowisku, zbyt prędkim, by się zdążyło utrwalić na siatkówce oka.

Tu, na innym kontynencie, owadzi ruch u podnóża pozaciekanych murów był dużo powolniejszy, bardziej podobny do pochodu żuków. Zamiast wibrować, ludzie stali na chodniku, rozmawiali, popalali papierosy, nie tkwili w pracy, chociaż był środek dnia. Za blokami zaczynał się step, busz, nietknięte kosiarką ostrowy burzanu, w których mógł się bez trudu ukryć nawet tatarski zagon na małych konikach. Opodal budowano ceglany kościół w kształcie UFO. Przegubowy autobus ze skrzypem ruszał z przystanku, do którego wiaty przymocowano na dwie śruby tablicę z napisem WIDEO LAS VEGAS 100 m i strzałką. Anglik nie musiał już pytać o drogę.

Las Vegas mieściło się w pawiloniku z białej blachy, ustawionym pośród mieszkalnych siedmiopiętrowców z betonu. Spomiędzy blokowych płyt sterczały skrawki masy izolacyjnej, takiej samej jak ta, którą zalepiono szczeliny między betonowymi kwadratami podwórka. Parter i pierwsze piętro bloków były jaskrawoniebieskie, górą powracała sza-



rość. Obok samochodów gromadka dzieci grała w nogę. Światło bramki wytyczała im burta czerwonego wartburga. W sąsiedniej srebrnej budce sprzedawano warzywa i marchewkowej barwy lemoniadę w długich plastikowych butlach.

Anglik naparł na rozdygotane aluminiowe drzwi i stanął na progu, oko w oko z szóstką telewizyjnych ekranów. Każdy ekran pokazywał inną taśmę. Schwartzie z RPG-7 na ramieniu, dziewczyna, którą Kundera ubrał w szelki i melonik, Struś Pędziwiatr. W przeciagu zaszurgotała cynfolia. Jej warkocze zdobiły listwę nad ekranami.

Anglik prędko przeniósł wzrok na ladę i napotkał uparte spojrzenie pary piwnych oczu w drobnej twarzy. Dwie niewielkie dłonie zacisnęły się na górnej krawędzi kasy.

– Mamo!

Anglik stał bez ruchu.

– Mamo, pan po kasety! – powtórzył chłopiec, nie spuszczać wzroku z Anglika. Gdzieś między regałami rozległy się niespieszne kroki.

Chłopiec wyglądał na sześć, siedem lat. Skończone siedem, poprawił się Anglik w myśli. Miał dosyć czasu, żeby to obliczyć. Prawie dziesięć lat, jedną trzecią swego życia.

– Cieść – i uśmiechnął się do chłopca.

– Cześć. Mamo!

– Przecież idę! – sarknęła Lidka, wychodząc spomiędzy półek. – Pan pożyczka czy tylko oddaje?

– Ja... – spróbował się Anglik.

– No, tak.

– Cieść.

– Cieść. Co ci mam powiedzieć? – Lidka odsunęła stertę kaset bez pudełek i warknęła na małego: – Idź się pobawić!

– Nie chcę się bawić – zgasił ją siedmiolatek tonem Carlosa, kiedy się kłócił o pieniądze. – Ja chcę znowu wybić rachunek na kasie. Mamo? Ile ten pan pożyczy kaset?

– Ten pan...

– Ile!

– Nie drzyj się tak. Ten pan nie pożycza kaset.

– To po co ten pan przyszedł?

– Nie wiem, syneczku. Zaraz go o to zapytam. Idź się pobawić – powtórzyła Lidka zupełnie innym tonem niż przed chwilą.

Chłopiec oderwał się wreszcie od lady i zniknął za regałami, ale było jasne, że podsłuchuje.

– Cieść.

– Już mówiłeś.

Lidka zmieniła fryzurę. Zamiast długich ciemnych włosów miała teraz krótkie, rude, a właściwie rdzawe. Pozbyła się też skórzanej kurtki. W popielniczce koło kasy leżał tuzin niedopałków z filtrem.

– Nic, bo ja tylko... Chciałem zobaczyć, jak żyjesz.

– Żyję – zapewniła go Lidka z obojętną miną. Na jej wciąż szczupłej twarzy, przy ustach, zobaczył dwie bruzdy, których tam przedtem nie było.

– I dobrze wszystko?

– Odkąd zmieniłam hurtownika. Mniej lewizny, lepsze tytuły... Jakoś się plecie. Poczekaj! – poprosiła, bo do pawiloniku wszedł klient w sztruksowej kurteczce i spodniach od dresu. – Ach, dzień dobry, panie Wiesławie! Akurat zamówiłam coś jak dla pana.

– Coś ciekawego pani ma w tym tygodniu? – wyburczał osiedlowy klient.

– Z nowości? Z najświeższych to mam *Anielicę śmierci*, *Armię Boga*, *Analne igraszki*, *Atomowe uderzenie Jackie Chana* i nową *Akademię Pana Kleksa*, nie piracką. I, zaraz, co jeszcze ściągnęłam... *Oblicza perwersji*, *Och, Karol*, *Ogier na ringu*, *Orgię krwi* i z dziecięcych jeszcze *Opiekuńcze misie*. Wie pan? O, a to musi pan obejrzeć, po prostu musi pan!

– To? – upewnił się nieufnie klient.

– To, i jeszcze to – Lidka przesunęła barwne pudełka po ladzie. – Ja przecież pana znam i wiem dokładnie, co pan lubi.

– Tak mnie pani zna?

– Ktoś musi pana znać. O, i jeszcze to panu polecam. Dla dzieci. – Lidka zatrzepotała rzęsami.

Klient milczał przez krótką chwilę i gmerał w wideo-kasetach, lecz prędko dojrzał do decyzji.

– To biorę. Wszystkie trzy. Jak pani radzi, to biorę, bo pani to umie... Pani jest jak anioł, pani Lidziu – westchnął i z grubego zwitka banknotów odliczył należność. Z zaplecza pędem wyprysnął siedmiolatek i raz-dwa wystukał sumę na klawiszach kasy.

– Ten pani mały to zawsze pomaga! – ucieszył się klient. – Pomocnik, tak?

– Pewno, a co ma robić po szkole? – rozpromieniła się Lidka.

Kiedy za klientem szczęknęły aluminiowe drzwi, spojrzeli na siebie wreszcie.

– Zmieniłaś kolor włosów.

– Musiałam – odpowiedziała Lidka równie rzeczowo co przed chwilą w rozmowie z klientem. – Bo takie mi się porobiły... Cud, że mnie w ogóle poznajesz, tyle lat, co? Dobrze

wyglądasz – dodała już bez ironii. – W Hollywood cię tak karmią? Myślałam, że tam się pije same soczki.

– Nie pracuję w Hollywood. Robię filmy, ale dokumentalne. Dla BBC, dla sieci kablowych...

– Znasz kogoś z sieci kablowych? – ożywiła się Lidka.

– Kogoś tam znam. A co? – zapytał Anglik, zdumiony obrotem rozmowy.

– Nic. Może jeszcze o tym pogadamy. W ogóle, na długo przyjechałeś?

– Zobaczę. Miałem robić odcinek o zwycięstwie demokracji, ale teraz się zastanawiam... Poza tym zgubiłem sprzęt.

– No, jasne.

– Bo wiesz, byłem dzisiaj w radio...

– U chłopaków? Dobrze im szło z początku, ale chyba zadarli ze sponsorem. Mają same długie, kasy starcza im zawsze na dwa dni audycji... – Lidka zastanowiła się. – Chyba im nic z tego nie wyjdzie. Ja przynajmniej coś tam odłożyłam, więc jak się uda, będę mogła wreszcie...

– Ale nie masz chyba dużego ruchu?

– Środek dnia. Jakbyś tu zajrzał w piątek wieczór...

Jak na zawołanie, znów brzęknął automatyczny gong. Do wypożyczalni wszedł drągał w sportowej kurtce i lustrzanych okularach słonecznych. Lidka odsunęła się na dwa kroki od Anglika.

– Cześć, żabciu – rzucił przybysz, w przelocie pocałował Lidkę i wmaszerował między półki.

– Cześć, Wierzba. Dostałeś, co miałeś dostać? – upewniła się Lidka.

– Gdzie tam. Jutro może coś będzie, na razie tkwią w Zgorzelcu na granicy – dobiegło zza półek. Stuknęła o po-

długę torba. – Zaraz pogadamy, tylko beemwicę odstawię na strzeżony.

W ciszy rozległo się trzaśnięcie tylnych drzwi, a potem szum zapuszczanego silnika i wizg opon.

– Mój partner – rzuciła Lidka, uprzedzając pytanie Anglika. Pytanie, którego Anglik pewnie by nawet nie zadał. – Bardzo mi pomógł na początku. Dalej pomaga.

– Zna się na biznesie? – zapytał Anglik, byleby coś powiedzieć.

– Za ladę to się nie nadaje. Ale kontakty ma i wie, co jest grane. I umie liczyć. Jeszcze w podstawówce potrafił się zakręcić, byliśmy w jednej klasie. I...

– Hmm?

Lidce dopiero w tej chwili zadrżał głos:

– I dla małego jest dobry. Bawi się z nim, wiesz...

Anglik obejrzał się na siedmiolatka, który przykucnięty w kącie, przerzucał kolorowy katalog. Tylko dla upewnienia się, że pamięta, ile jest dwa dodać dwa, zapytał jeszcze:

– Zaraz, to nie od niego Carlos pożyczał kiedyś kajdanki?

– Masz dobrą pamięć, ale... Jeśli możesz coś dla mnie zrobić, to nie mów o tym. Po co?

– Zaraz, ale przecież...

– Po co o tym mówić. W ogóle, idź już. Proszę... Już wszystko wiesz. Idź robić swój film.

Patrzyli na siebie przez chwilę, a potem Anglik skrzywił się i powiedział:

– Jak chcesz. Aha, Gipson prosił, żeby ci przekazać, że dziś wieczorem piknik. Wiesz coś o tym?

– Dzisiaj? Rzeczywiście, to dziś. O, rany. No, dobrze, spróbuję się jakoś wyrobić.

– Tyle kaset... – Anglik na pożegnanie rozejrzał się po wnętrzu i nie bez uszczypliwości stwierdził: – Chyba powinnaś dodać sobie do tych wszystkich Rambo *Ziemię Obiecaną*. Dobry film, i pouczający. Polecam.

– Trzecia półka. Chcesz wersję kinową czy telewizyjną, sześć kaset? – wycodziła Lidka.

– Ech. Do wieczora w takim razie – uciął Anglik i szarpnął aluminiową klamką.

Za najbliższym siedmiopiętrowcem znalazł postój. Rozneglizowani taksówkarze grali w karty pod pączkującym już w najlepsze kasztanowcem. Na widok pasażera rozdający westchnął i narzucił na podkoszulek kraciatą koszulę.

– Rynek? Niech będzie.

Zgarbiony na tylnym siedzeniu Anglik uświadomił sobie, że szkody nie widział od ładnych paru lat. Nawet w Anglii, gdzie mieszka sporo ekscentryków, nie znajdowały wielu nabywców – mniej niż trójkołowe valianty, którymi się rozbijają brytyjscy emeryci. Patrząc na czarny skaj kabiny, Anglik zaczął się zastanawiać, czy nie powinien cisnąć tym wszystkim i przez Mlada Boleslav ruszyć do Pragi właśnie. W Pradze nadal było w tym roku bajecznie tanio. W Pradze działały angielskie i amerykańskie kluby, księgarnie, w Pradze dużo się działo. W czytelni narodowego księgozbioru być może właśnie w tej chwili Zoe odnosiła na biblioteczną ladę kolejny stosik późnośredniowiecznych i renesansowych pism o świętych męczennicach i mistyczkach tej części Europy. Ponoć niektóre z nich, owładnięte wizją, łamano kołem opatrzonym szpikulcami, a kiedy nadal żyły, odrąbywano im głowy toporem. O tym, jak było naprawdę, Zoe nie może zapytać ani rozmodlonych męczennic, ani ich siepaczy, bo ci już dawno sczeźli, a ich groby zarosły cierniem. Nie

rozmawiała z Anglikiem od pół roku, ale jej znajomi z Casa Hispanica, spotkani prawie przypadkiem w Nowym Jorku, byli z nią w kontakcie i dali mu jej praski adres. Mógł więc wyruszyć na południe i kusiło go, by zaraz wsiąść w pociąg pospieszny, machnąć celnikom przed nosem brytyjskim paszportem, a potem zanurzyć się w tłum przed Hlavnim Nadrazdi... W myślach widział jednak ich spotkanie: roześmiana Zoe w zadymionej piwiarni, w tłumie młodych Amerykanów, szepcząca coś do ucha młodemu blondasowi w chustce na głowie, w szortach i rozsznurowanych górskich butach Nike na bose nogi – Zoe, która w połowie kolejnego nieprzyzwoitego dowcipu z puentą po hiszpańsku milknie i pytająco, niecierpliwie patrzy na przybysza zamarłego w drzwiach lokalu... Ucieczka na południe nie wchodziła w rachubę z jeszcze innych względów: bądź co bądź, podpisał z amerykańskimi sponsorami kontrakt, umowy są po to, żeby ich dotrzymać, chyba że trafia się nam coś naprawdę wielkiego, wtedy można stare kontrakty cisnąć do kosza; *efficient breach*, czyli zdrada, która się opłaci – zgoda, ale tylko wtedy. Na razie trzeba więc było wytrwać i zrobić, co się da, bez sprzętu i bagaży, bez zapasu filmu, bez porządnej kamery i magnetofonu... Anglik zapatrzył się ponuro w okno taksówki.

Trafił chyba na przerwę obiadową (która może już i tu nazywała się *lunch break*, kto wie), bo nikt nie pilnował pancernych drzwi rozgłośni. Wewnątrz też nikt nawet na niego nie spojrział. W korytarzyku, który prowadził do gabinetu prezesa, Anglik zatrzymał się, słysząc dwa znajome głosy.

– Co mi pan tu znowu przywłókł? – pytał ktoś, kogo głos brzmiał jak głos Carlosa.

– Sprzęcik taki. Na oko, filmowy – odezwał się ktoś, kogo Anglik miał już dzisiaj okazję słuchać, ale gdzie, kiedy?  
– Od rozgłośni do telewizji krótka sprawa, myślę sobie. W sam raz dla panów, nie? Więc od razu pomyślałem, nada się jak nic. Jak ten TIR z wyposażeniem rozgłośni, co jechał do Torunia i nie dojechał. No?

– TIR nie TIR, niech pan sobie czasem nie wyobraża, że tu jest jakiś komis techniczny...

Anglik wysunął się zza narożnika i zatrzymał wzrok na futerale z napisem IKEGAMI. Obok stała jego torba podróżna i sakwojaż z puszkami filmu. Czarne pudełko z magnetofonem dyndało z łokcia faceta w seledynowo-liliowym dresie. Anglik z pewnym zdziwieniem rozpoznał w nim taksówkarza, który wioził ich rano z lotniska.

– *Oh, thank you! You shouldn't have. That's too kind of you...* – odezwał się bez namysłu i pod adresem Carlosa dorzucił, także po angielsku: – *Just when I thought we lost it!*

– Wspaniale! – Carlos bez mrugnięcia okiem walnął taksówkarza w szerokie plecy. – A już się martwiliśmy, że się nam zgubił ten sprzęt!

– Jaki... Niby... To było dla pana? – taksówkarz próbował pojąć, co się dzieje, i bezradnie łypał to na Carlosa, to na porzuconego rankiem pasażera.

– Naturalnie! – uspokoił go Carlos. – Należy się panu medal za obywatelską postawę. Medali nie dajemy, ale zaraz rozgłosimy przez radio, że pan... Mam przecież gdzieś zapisane pana nazwisko i numer boczny, zaraz się sprawdzi, więc powiemy, że pan Iksiński bezzwłocznie odwiózł pod nasz adres cenne mienie zostawione omyłkowo w taksówce przez zagranicznego pasażera. Ludzie tego słuchają, niech się pan nie boi...



Właściciel mercedesa spojrział czujnie na Carlosa i pojął wreszcie, że opłaca mu się poddać jego sugestii.

– No właśnie... – wybąkał. – Czego to się nie robi dla... Jeszcze mam parę sztuk tych rzeczy, w bagażniku. Już przynoszę, panowie niech się nie fatygują – rzucił przez ramię, zmiierzając prosto do windy.

Cmoknęły dźwiękoszczelne drzwi studia. Benjy stanął przed Anglikiem i z podziwem spojrział na odzyskane bagaże.

– Coś takiego! Skąd ten taryfiarz wiedział, że tu jesteśmy?

– A ty co myślałeś?

– Myślałem, że odwiezie nam te graty... do hotelu – wyjąkał Benjy i po chwili z rozmachem palnął się w czoło.

– To pomyśl jeszcze raz, Benjy – z obowiązku bardziej niż z potrzeby powiedział Anglik i tknięty nową myślą, odwrócił się do Carlosa: – Przepraszam, czy ja dobrze zrozumiałem, że japoński sprzęt w studiu też macie od tego dżentelmena?

– Niezupełnie tak było – sprostował Carlos. – Powiedzmy, że... że wzięliśmy ten sprzęt w *leasing* do czasu, aż się odnajdzie właściciel. A co, coś nie tego? Muszę na czymś robić program, nie? Nie? Patrz – i poprowadził Anglika przed panoramiczne okno studia, za którym ogolony na zero i chyba nastoletni di-dżej terkotał do czarnego mikrofonu. – Patrz, jego słucha całe miasto! Masz z tym problem?

Anglik pomilczał jeszcze chwilę, spojrział ciekawie na prezentera i zapytał:

– Skąd takiego wytrzasnąłeś?

– Jego? To talent, samorodek. Jedno, co umie, to nawijać do sitka, ale za to jak! A przyplątał się do nas z liceum.

Z czwórki. Zaczął wagarować, bo miał dyżury na antenie, zadarł z polonistką, zadarł z panią od śpiewu, no i go wypieprzyli. Myślisz, że się martwi? Kocha to darcie mordy do mikrofonu. Bardziej kocha niż maturę. Tak mi powiedział.

– Za te kolczyki go nie ścigali w szkole? – zapytał Anglik, przyglądając się pracy radiowca.

Gdzieś za ich plecami ktoś wrzeszczał na całe gardło:  
– Co jest, kurwa, sklejać mi ten materiał raz-dwa! Za osiem minut mamy być na antenie!

– Nie moja broszka. Dla mnie to on może mieć kółko w nosie, byleby nadawał – uciął Carlos, przeprosił ich i popędził w drugi kąt rozgłośni rozładowywać następny kryzys.

Taksówkarz, sapiąc, wniósł na górę resztę rzeczy. Benjy wcisnął mu osiem dolarów, z zapasu drobnych zabranego specjalnie do takich celów. Taksówkarz spojrział na banknoty i wzruszył ramionami.

– Co dzisiaj warte te dolary – mruknął, schował pieniądze, spojrział smętnie na kupkę sprzętu i poszedł sobie.

Benjy przeliczył ekwipunek i po chwili znów pojawił się przy boku Anglika, tym razem w towarzystwie dwójki dziewcząt z reklamowego chóru.

– Koleżanki mnie zapraszają, żebyśmy obejrżeli za-bytki i może sprawdzili, co tam dają pod tymi parasolami – wyjaśnił prędko. – Nie przeszkodzi ci, jak sobie zrobię przerwę w zdjęciach?

– Jasne. Dasz sobie radę?

– Browar to ja umiem zamówić w każdym języku – uspokoił go Benjy i ruszył do windy pod pachę z dwiema artystkami estrady.

Anglik siorbał ze szklanki za gorącą kawę w gabinecie prezesa, a potem przez dobre pół godziny kręcił się po

rozgłośni, gdzie nie ustawał ruch, metodyczny chaos, z którego wymotywała się nic antenowego programu. Telefon dzwonił bez przerwy, recepcjonistka w skórzanej mini nie miała chwili czasu, żeby skończyć sobie malować pazury. Carlos przy okazji zdradził mu, że do zamknięcia bilansu brakuje im miliarda złotych, a wspólnicy zaczynają zadawać kłopotliwe pytania.

– Miliard z małym kawałkiem. Na tyle wisimy różnym ludziom. Jak się nam dobrać do dupy... Program też na razie – łatanina... Sam widziałeś.

– Widziałem – musiał się zgodzić Anglik.

Carlos westchnął i zniknął za drzwiami.

Anglik także wyszedł i przystanął sobie z boku w głównej sali. Ze wszystkich wielkich okien wschodniej ściany miał ten sam widok na rozległy i o tej porze już nie tak pusty Rynek. Pod parasolami zdążyła się uformować niewielka kolejka.

Chyba zadrzemał na stojąco przy granitowym parapacie, bo naraz usłyszał, jak ktoś – Carlos? – raz po raz wykrzykuje jego imię.

– Tu jestem! – odezwał się i odkaszlnął. Carlos pociągnął go za rękaw.

– Ty, chodź! – ponaglił. – Mam telefon po angielsku. Mnie więcej wiem, czego chcą, ale pogadaj z nimi sam, co?

– Co? Z kim?

– Chodzi o forszę. Forszę na radio. Prędko, bo czekają.

Anglik przysiadł w obrotowym fotelu przy czarnym biurku Carlosa, przycisnął mrugający guzik i na próbę odezwał się do ciepłej słuchawki:

– *Hello?*

– Witam! – dobiegło go. Rozmówca był Amerykaninem o akcencie z Nowej Anglii. Williams College czy tylko

korespondencyjne kursy poprawnej wymowy? – Jestem Richard McFarlane z U.S. Assistance Agency. Mówiłem już pańskiemu koledze, że nadzoruję program rozwoju niezależnych mediów na wschodzie Europy. Ciekawi nas, czy byłoby państwo, jako właściciele rozgłośni, zainteresowani ewentualną... współpracą.

Anglik wyczuwał w tym głosie wiele rzeczy naraz: profesjonalną rzetelność, rutynę, odcień protekcjonalności, a wszystko to podszyte zwykłym znudzeniem. Kilka lat temu sam w odpowiedzi wdałby się w uprzejme komunały.

– Ale kogo pan reprezentuje, McFarlane? – zapytał z miejsca. – Tylko Agencję i źródła rządowe czy także prywatnych sponsorów?

McFarlane zmienił ton.

– Agencja odgrywa jedynie rolę koordynatora – wyjaśnił rzeczowo. – Fundusze pochodzą z kilku prywatnych fundacji i korporacji. Na przykład... – i zaczął wyliczać skróty. Anglik nie zdziwił się, słysząc nazwy instytucji, w których wychadzał ścieżki przez ostatnie pół roku. Teraz przynajmniej znał fakty, mógł w odpowiedzi sam rzucić paroma nazwiskami, a poza tym rozumiał zawiłości procesu, w którym jedni dostają pieniądze, a drudzy figę.

– Jeżeli mogę coś panu podpowiedzieć... – rzekł wreszcie, w stosownym momencie. – Proszę posłuchać. Naszego radia nie interesuje abstrakcyjna „współpraca” ani nawet pomoc sprzętowa. Mamy dobre urządzenia, chociaż w niedługim czasie mogą nam poważnie wzrosnąć raty za ich *leasing*. Co do szkolenia kadr, chętnie o tym porozmawiamy w stosownej chwili, ale mamy ludzi i nie jest to nasza najpilniejsza potrzeba.

– W takim razie jaka jest ta najpilniejsza potrzeba? – przerwał McFarlane.

– Taka potrzeba to milion do dwóch i pół miliona dolarów zastrzyku kapitałowego – odrzekł Anglik najbardziej rzeczowym i beznamiętnym tonem, na jaki go było stać. – Powiedzmy, pierwszy milion z *seed money*, a następne półtora jako preferencyjny kredyt pod zastaw części udziałów.

– Tak. Z tym, że, wie pan...

– Domyślam się, że Agencja ani fundacje nie mogą obejmować udziałów ani akcji w takich spółkach jak nasza, ale możecie do tego stworzyć jakiś fundusz powierniczy. Wtedy my będziemy w stanie objąć programem resztę regionu, stworzyć własne studio reklam, zbudować lokalny serwis informacyjny z prawdziwego zdarzenia, nie to co tutaj teraz... Nieważne, w każdym razie będziemy mogli też kupić w paru markowych zachodnich stacjach abonament programowy, żeby być w porządku z prawami autorskimi...

– O, właśnie.

– ...no i załatwimy sobie przynajmniej dziesięć linii telefonicznych. Oceniam, że moglibyśmy tego wszystkiego dokonać w osiem do dwunastu miesięcy, przy założeniu, że dostaniemy od razu część pieniędzy na zasadach, które sobie wspólnie ustalimy. Co pan na to?

McFarlane pomilczał i wreszcie roześmiał się głośno.

– No, zaskoczył mnie pan! – dobiegły Anglika jego słowa. – Trzeci tydzień wydzwaniam i jeżdżę po tych krajach, i dopiero z panem zdarzyło mi się normalnie pogadać, o konkretach, nie o jakichś...

– Gadajmy zatem – przycisnął Anglik.

– Gadajmy! Hm, co by pan powiedział, gdybyśmy tu się zjawili w przyszłym tygodniu, całym zespołem? Objeździelibyśmy sobie panów radio, a panowie mogliby nam przedstawić plan biznesowy i założenia. Co pan na to?

A tymczasem podam panu swój telefon, w Warszawie i w Waszyngtonie...

– Bardzo dziękuję. Będzie nam bardzo miło panów gościć. Z tym, że nic nie obiecuję. – Zapisując numery, Anglik nie wychodził z roli zimnego drania.

– Naturalnie, tak... Zatem, do zobaczenia. Ale, ale... – zreflektował się McFarlane. – Z kim miałem przyjemność rozmawiać?

Anglik podał mu swoje imię i nazwisko.

– Świetnie. Pan, słyszę, z Anglii? Proszę mi powiedzieć, co pan tu robi, w tym kraju? Dawno pan tu mieszka?

Anglik zastanowił się ze słuchawką w ręku. Napotkał wzrok Carlosa, który stał w kącie gabinetu.

– Co tutaj robię? Ja... To chyba oczywiste. Jestem menedżerem tego radia.

## Niskie Łąki

Anglik obudził się w ciemnościach, wyrwany ze snu buczeniem nocnego elektrowozu. W hotelowym pokoju było mu duszno, a co więcej, czuło się we wnętrzu wyraźny bagienny zapach – mocny, ciężki zapach rzecznego szlamu. Zwłóknął się ze szwedzkiego łóżka, po omacku podszedł do okna i odsunął grubą zasłonę, by się upewnić, że rzeczywiście jest tam, gdzie przed chwilą mu się śniło, że jest. Jednak Wrocław. Księżyc prawie się schował, widziane z najwyższego piętra ulice były puste, jak tylko to możliwe o trzeciej nad ranem. Na nasypie kolejowym mrugały niebieskie światła przetokowe, a dalej żółto mżył nieaktualny być może neon PKO. Anglik ziewnął. Wciąż nie był pewien, czy to już nieustraszone jawy następnego dnia, czy może jeszcze dalszy ciąg snu, i na wszelki wypadek spojrzał na północny wschód, tam skąd od wapiennych wąwozów miasta i jałowych skwerków, od gmatwaniny odrapanych kamienic o bramach cuchnących uryną i węglowym miałem, oficyn z szybami oślepiionymi sadzą, sierocego placyku po naróżnych domach, okratowanych kiosków z dykty, bocznicy dworca towarowego – bierze początek ulica Niskie Łąki. By tam dotrzeć, trzeba skręcić od bulwaru z tramwajami,

wspiąć się po pochyłości, ominąć placyk z warsztatem samochodowym i po żelaznym moście przekroczyć Oławkę. Dochodzi się dalej do głównej bramy nieczynnego kąpieliska, do muru stadionu i resztek parku, skąd dziurawa, asfaltowa droga prowadzi już prosto ku łąkom nad dużą rzeką. Długi łuk kładki dla pieszych przegina się tam wysoko nad mulistą wodą i kończy schodkami przy betonowym murze ogrodu zoologicznego na drugim brzegu Odry. Łąki, niskie i puste, uśpione długim bezruchem, ciągną się stamtąd aż po kres kontynentu, po płycizny Morza Północnego, bezludne, opuszczone, nie licząc zapomnianej krowy z Rakowca i czerepu wyrzuconej na złom syrenki.

Anglik pamiętał, że dotarli do tamtego miejsca u schyłku dnia, późno, kiedy nad łąkami, nad sylwetami dzielnic, nad całą północną niziną zaczęły się znów zapętląć supły galaktyk. Pamiętał, że było mglisto, jechali mercedesem-błaszakiem, Józef po kawalersku brał zakręty, butelka krążyła z rąk do rąk, na podłodze srebrny antał z piwem Piast co chwila jak piracka armatnia kula groził wywaleniem dziury w karoserii, a wszyscy – prócz niego oczywiście – śpiewali dziarsko:

*A nasz kolega jest najmniejszy w grupie,  
Bo obie nogi miał amputowane,  
Nic tak nie śmieeeeerdzi jak moje onuce,  
Od roku już nie zmieniane!!!*

Chociaż w uszach Anglika pieśń brzmiała marszowo i militarnie, wykonanie było jak najbardziej cywilne. Najgłośniej darł mordę Gałecki, wydzielali się też objuczony futerałem Dyzio, Kołek z Korkiem, a nawet, z szoferki, Józef i Gipson, który fałszował bez litości. Obok Anglika w ciemnej budzie siedzieli Carlos, Zuzanka Eichman, Mrówa bez dzie-



ci, Maciek rajdowiec, wielki Bozia w habiciku nowicjusza i Milady, wymęczona po pociągu z Warszawy i wściekła, że się ją zmusza do wizyty w królestwie komarów. Lidka przycupnęła z tyłu razem z małym osobnikiem, na którego wołał Ryjek i który usilnie ją do czegoś przekonywał.

Przy mikrofonach i mikserach w nocnym studio na ostatnim piętrze biurowca w Rynku czuwali dziś inni, młodzi i spięci, tudzież Benjy. Brak polszczyzny nie przeszkadzał mu ani trochę, więc co rusz po swojemu próbował wyręczać pulchnego di-dżeja wypożyczonego z Koloru. Przed chwilą pogadankę o konwulsjach kondycji ponowoczesnej zakończył gość z Francji, w ostatniej chwili wtrzyiony do audycji kulturalnej przez uniwersytet. Przemawiał dziesięć minut – więcej mu nie dali – ale wnioski nie były pozytywne. Na szczęście o dziewiątej nowy cykl świńskich wierszyków politycznych miał na świeżo i bez kontroli czytać Waligórski, wyzwolony z muzealnych układów lokalnej rozgłośni państwowej. Na razie czerwona lampka emisji nie migotała jeszcze odbłaskiem na jego miedzianej łysinie, a z anteny szły po najdalsze krańce tutejszej ziemi nowe kawałki Sonic Youth i debiutującego R.E.M. na zmianę z reklamami piwa, w których radośnie bekano. Nawet gdy wysiedli, Carlos na wszelki wypadek prowadził kontrolny nasłuch na filipińskim walkmanie, pamiętce ze Stanów, ale gdyby ktoś z nocnej zmiany dał ciała, i tak dostałby opieprz dopiero nazajutrz rano.

Zaczynało się na dobre ściemniać, kiedy przy filarze wysokiej kładki zapłonęło ognisko.

– A dlaczego tutaj, przy zoo? – zaciekawiał się Anglik, który pamiętał to miejsce.

– Bo jakbyśmy rzucali z Grunwaldzkiego albo Pomorskiego, toby się ludzie gapili albo by jeszcze glina podjechała. I w dodatku nie byłoby gdzie zrobić pikniku.

– Aha – powiedział Anglik, któremu słowo „piknik” nie kojarzyło się z chłodnym marcowym wieczorem w mokrych trzcinach. – Zaraz, a co będziecie rzucać?

– Kolegę – odpowiedział Dyzio.

– Kolegę. A którego? – Przez chwilę Anglik zaniepokoił się, że odkrył prawdziwy powód, dla którego został zaproszony na dzisiejszy spacer.

– Takiego małego, z worka, co Bozia niesie.

Rzeczywiście, Bozia wytaskiwał właśnie z samochodu wypchany brezentowy wór, w którym coś postukiwało. Zapłonęły pochodnie z zapasów obrony cywilnej. Mrówa wycygała je od emerytowanego wuja-inspektora, który przy likwidacji schronu atomowego pod Dworcem Głównym zostawił sobie dwie skrzynki na wszelki wypadek. Wokół nich były tylko krzaki i bezdroża, a dalej wątła łuna miasta. Za ostatnią rtęciową lampą zaczynał się półmrok.

– Piknik pod wiszącą pałą! – oznajmił Carlos. – Kto zabrał pompkę do piwa?

W coraz większych ciemnościach nadjeżdżały dalsze samochody. Ognisko oświetlało najbliższe twarze. Anglik napił się wreszcie piwa, z wierzchu beczki, więc trafiła mu się sama piana. Beknął wesoło, zgodnie z instrukcjami, i odpiął zatrzaski futerału fostexa. Taśmy było dosyć, hałas i porykiwania: *Dziś jest nasz dzień, dzieci Syjonu – Już policzone są dni Babilonu!*, od biedy wyciszy się przy montażu. Sponsorom mogło być wszystko jedno, jaki materiał przywiezie, ale pozostawało faktem, że zobowiązał się coś przywieźć. Inaczej po co było wlec tyle sprzętu? Carlosa znalazł nie bez trudu, na samym brzegu rzeki, gdzie pod łukiem kładki stała przycumowana niewielka bezpańska barka. Pierwsi rewelersi dudnili już obcasami po blaszanych pokrywach ładowni.

– Czekajcie jeszcze z tym rzucaniem! – napomniał Carlos Gałeckiego i Kicię. – Niech się wszyscy dobrze napiją. Inaczej im się nie utrwali. Co chcesz? – odwrócił się do Anglika i o mało nie stuknął nosem w wycelowany mikrofon. – Jak? Serio się pytasz? „Co teraz?”

– Serio. Co teraz?

CARLOS, 3'24": – Teraz, no, to może być różnie, ale powinno się udać. Jest kłopot, bo takie miasto nie udźwignie za wielu stacji. To nie Nowy Jork. Ta mizeruchna kasa, co jest z reklamy, spływa oprócz nas jeszcze do państwówki i do tych drugich szmaciarzy, więc wszystko się rozmywa. Dlatego ciągle myślę o tym spotkaniu za tydzień. Jutro musimy spisać cały plan. Super, że chcesz mi pomóc, bo wiesz... Na początek potrzebny sponsor, a potem, stopniowo, wydumchamy konkurencję. Sprzęt, tyle przynajmniej mamy, przydałby się jeszcze jakiś własny maszcik... Poza tym to mi się wszystko sprawdza. Bo patrz: rzeczywistość taka jest, że każdy goni za swoim, ledwo starcza czasu, żeby radia posłuchać. Więc dlaczego nie mojego radia? Tylko muszę mieć klasa program. Jak się ludzie osłuchają, wszyscy zaczną do mnie przychodzić... Nawet politycy. Lokalny szczebel, posłowie. Już przychodzą. Całe szczęście, że sprzedajni, bo mogę nareszcie jakoś wszystko regulować, temu dała, tamtemu dała... W razie czego będzie do kogo zadzwonić. Nie wykolegują nas potem, nawet jakby chcieli, bo znowu: radio... Ludzie do nas dzwonią, więc dużo wiemy. Okropnie dużo, zdziwiłbyś się. Aha, ale jak w ogóle widzę przyszłość? Normalnie. Jakbym wierzył tylko w koniec świata i najazd bolszewików, tobym gównem teraz miał, nie radio. Po prostu. Piwo bym sobie pił. Przyszłość, tu nie chodzi o abstrakcje, tylko... Powiem ci inaczej. Za dziesięć lat będziemy patrzeć na to

moje radio jak na takiego lampowego pioniera czy stolicę, co stała u moich dziadków na komodzie. Posłuchaj, jeśli ruszą te telefony komórkowe, ale nie te cegłówki, co są teraz w Warszawie, tylko jakieś lepsze, wtedy ten, kto będzie miał dojścia do wojskowych masztów i do dzwonnicy, budowę sieci ma w kieszeni. Trudna sprawa, musisz mieć wtyki i w kurii, i w sztabie okręgu. Ale coś się wymyśli. Tylko już trzeba myśleć, nie potem. Potem będzie za późno, inni cię uprzedzą u arcybiskupa... Dalej, radio lokalne... Ten Francuz, ach, nie słyszałeś? Ale czytałeś, dobra, więc ten głupi Francuz może mieć rację, że dopiero jak obieg informacyjny przeniesiemy na parter, wyjmemy informację z łap imperiów. No, bo w ogóle, media – kto niby wie, jakie za dziesięć lat będą media. I czyje. Na razie są do wzięcia. Więc jest o co walczyć. Albo banki. Wszyscy gadają, że komuchy banki obsiadły. Że obsiadły, to jasne, ale wiesz co? Rozmawiałem przedwczoraj z jednym takim właśnie. Wiceprezes, komisja nadzoru – po-ustawiany. I wiesz, jaki był chętny do rozmowy? Piszczął, że siedzą z kolegami na wkładach, które im nie pracują, że wszyscy starzy klienci, niby te różne zakłady, popłajtowały, nie ma w co lokować aktywów. Nawet swoim boją się dawać. Bo już nie ma swoich, dziwnie się jakoś porobiło. Nowość, co? Ale przecież mogą, po pierwsze, zainwestować tę swoją nadpłynność w nowe media. Nie? I tak o tym rozmawiam, w ogóle dużo rozmawiam, z różnymi. Nie patrz tak, to nie oni mnie sadzali – ci, co mnie sadzali, mają teraz swoje biznesy, ja wiem nawet, które, albo poszli na trawkę, albo pracują u mojego kolegi. U Krzycha. Nie o to chodzi. W każdym razie dużo rozmawiam, tu i w Warszawie. Chociaż tam, w pięknej stolicy, to ciężko – nie bardzo wiadomo, kto jest kto, a poza tym tam jakby mniej dociera do ludzi, że samymi

przekrętami to tylko sobie grób wykopią... Bo gdzie uciekną potem z tymi walizkami dolarów, jak już tu wszystko popłynie? Do Honolulu, mały straszyc? Może na Brooklyn? Byłem, nie zazdroścę. Tu trzeba inaczej myśleć. A na razie to musimy przetrwać następne dwa miesiące... Ty też pomyśl, jak to mamy zrobić...

BOZIA, 4'10": – Pewnie ci gula skoczyła, jak mnie zobaczyłeś w sukience. Tak teraz chodzę. Jak żołnierz. Jego żołnierz. Mogłem iść dzisiaj w cywilkach, co, nie mogłem? Ale to jest, bracie, tak, że albo się coś pojęło, i wtedy o nic nie pytasz, tylko idziesz, a ten bury habit to ty sam – albo tylko udajesz przed sobą, i wtedy myślisz o tym „strój”, „przebranie”. Ja okrężną drogą zrozumiałem, ale jednak. Okrężną dlatego, że dla mnie tyle lat, właściwie od szczeniaka, istniał tylko *Jah*, a Bóg mógł sobie istnieć, ten taki polski pantoflany Bóg, i co mi było po nim... Nie bluźnię, tylko tłumaczę, i Bóg o tym wie. Więc było polskie *reagge* i nic więcej. Kiwałem się, faję nabijałem, wibracje łąpałem. *Jah* to, *Jah* tamto. A do normalnego kościoła, wiesz, to nie zaglądałem w ogóle. Źle mi się kojarzył. Ja nawet ministrantem nie byłem. Później trochę się otarłem, ale to było w partyzantce, stan wojenny, Wrocław walczył, chodziło się do księdza Bukówki, do ojca Mikruta, na Sojkę się poszło, jak wyśpiewywał po izbach parafialnych. On też przypalał, też błędził... Pomagałem, ale dla mnie to było wszystko nie takie, bo za mało... *rasta*. Serio, tak myślałem, patrzyłem na te procesje, te komunie w koronkach... To już w ogóle nie było *rasta*, a ja sobie wbiłem, że ma być *rasta*. Pisma Świętego się uczyłem na pamięć po jamajsku. Hajle Sellasje miał nas wyzwolić, Lew Plemienia Judy. Nas przy piwie Pod Kasztanami, te matki z bachorami w wózkach, jak Mrówa z dwójką swoich. Tylko że Hajle Sella-

sje wykorkował i Marcus Garvey też. Kolory mi się poza tym nie zgadzały, i kraj. Nie ten klimat. A naokoło wszyscy wtedy dostawali świra. Wahadełka, *rebirthing*, Zuzanka się modliła do świętego Guevary... I jakoś tak niedługo potem przedawkowałem. Prawie skutecznie. Sam nie wiem, jak i kiedy. Potem byłem na oddziale, męczyłem się jak pies, no i jednej nocy przyszedł do mnie Chrystus i powiedział, żebym się nie wygłupiał. Nie, dokładnie tak mi powiedział: „Jacek, przestań się wydurniać”. I jeszcze, że Mu trzeba pomóc, bo sam się nie wyrabia, więc żebym się nie oglądał, nie kombinował, tylko wyskakiwał z tej piżamy, bo pora. Bo już czas. To było parę lat temu. Czemu tu dzisiaj przyszedłem? Post, nie post, to są moi przyjaciele. Ja ich znam i wiem, co to za jedni. Jestem tu, żeby mieć na nich oko. Dopóki sami nie czują w sobie Chrystusa, muszę... Będziesz się śmiał, nie szkodzi. Oni potrzebują pasterza. Może być i początkujący. Nie szkodzi, że o tym nie wiedzą. Jeszcze usłyszą. Ode mnie. A jak się uda, może i inni usłyszą także. Przez radio. Wiesz, które radio. To radio jest Mu potrzebne, wiesz? Dlatego będzie moje. Ty nas długo znasz. Pamiętasz, cośmy kiedyś śpiewali pod jazem? *Berło Twej mocy wydam z Syjonu, świat cały padnie u Twego tronu, a Ty używać będziesz praw Swoich, wśród nieprzyjaciół panując Twoich*. Ciebie to też dotyczy, ty też możesz mieć swoją częśćkę. Pan tak powiedział, a ty pomnij Jego słowa. *Z mętnej po drodze będziesz piłrzeki, dlatego głowę wzniesiesz na wieki*. On to powiedział do ciebie, pamiętaj. Wystarczy, że Mu zaufasz.

GIPSON, 2'31": – Słyszałem, słyszałem. Chcesz, to ci też zaufam. Nadstaw to sitko. Uff, uff. Już, zaufałem. Co teraz? Teraz... trzeba się kręcić. Jak na początku rozwijałem ten interes wysyłkowy, myślałem, że taki Bozia chwycił mocną falę, bo faktycznie, najlepiej szły portrety, chorągwie, me-

daliki z certyfikatem. Ale bardzo szybko rynek się nasycił, trzeba było iść w inne branże. Beznadziejna sprawa przekonywać ludzi, że muszą coś od ciebie kupić, jeszcze za zaliczeniem pocztowym, jak ich dopiero co wypieprzyli z pracy. Całe miasteczko bez roboty, wszyscy goli, a ty zostajesz z towarem w magazynie. Wiesz, co tylko idzie? Czekolada, lemoniada, szampan, spirytus, fajki. Rajstopy z lycry też na razie idą, póki sezon grzewczy. Małe rzeczy, takie co cię na chwilę oderwą od ziemi. Dlatego zwijam firmę. Katalog wysyłkowy mam na sto stron, a i tak idą tylko pornole i flakony z wodą-cud. Do tego konkurencja, że głowa boli. Jak wracałem tutaj, to myślałem, żeby zrobić takie darmowe pismo z reklamami, rozkładać toto w sklepach, zrobić akwizycję... Na drugi dzień w SAM-ie na Januszowickiej znalazłem trzy takie pisma. Teraz każdy... Więc trzeba ruszyć głową, kurczaczku. Pomyśl: co przeszkadza w interesie? Towar. Jedni nie mają komu sprzedać, drudzy nie mają forsy, żeby kupić, a ty masz z tego tylko koszty: narzut, składowanie, fracht, zaliczki, psie chujki w keczupie. Więc logiczne, że musisz machnąć ręką na towar. Co ci wtedy zostanie? Powiem ci, co: ludzka nadzieja i wiara. I ich wolne pieniądze, które mogą być w jakimś procencie twoje. Nie mówię o kasynach, one są po to, żeby robić pranko. Nie moje rewiry. Ja mam inny plan. Wiesz, co to są instrumenty finansowe? Ja na przykład nie wiedziałem. Instrumenciki. Ty, szary człowieku, wpłacasz u mnie swoje grosze i dostajesz parę groszy więcej na fantastyczny procent. Wypłacasz albo trzymasz dalej. Wpłacasz tysiąc, dostajesz na papierze dwa, i gra, nie wyjmujesz, czekasz, aż będzie z tego dziesięć, głupi by nie zaczekał – ale tymczasem wszyscy inni też muszą wpłacać, coraz więcej. Żadnego towaru, czysty pieniądz. A ja tym wszystkim kręcę i non stop

kasuję swój procent. Nie, nie wiem, kto to był Ponzi, a co? Reguła jest tylko jedna: ludzie muszą o tym wiedzieć i non stop wpłacać. Trzeba im w kółko powtarzać, aż posłuchają, powtarzać, jak się da. Dlatego takie radio to może być złota żyła. Muszę mieć to radio, bo zginę.

LIDKA, 1'08": – Co: „co teraz”? Teraz to mnie komary będą żarły. A poza tym? Jak chcesz, powiem ci, nawet do mikrofonu. Więc, poza tym siedzę w swojej budce i cały czas się zastanawiam, jak okablować więcej bloków. Cztery już mamy okablowane. Koncesję wziął Wierzba na siebie, Kuhna z chłopakami ciągną druty, dekodery też dajemy swoje, na politechnice nam koleś podrabia, tak że usługa jest pod klucz. O homologacji na razie ni słyhu, potem się będziemy martwić. Obraz nienadzwyczajny, ale za te pieniądze i tak łaskę ludziom robimy... Siedem programów na kablu, wyobrażasz sobie? Jak okablujemy osiedle, bierzemy się do następnego, po drugiej stronie Legnickiej. Albo nawet wcześniej, bo kto pierwszy, ten lepszy. Taki jest plan na dziś, i na dziś wszystko gra: mam na szmaty, mam na korepetytorkę dla małego, mam na swój angielski. Słyszysz chyba, że lepiej mówię? Aha, a dalej? Nie chcę zapeszyć, ale Wierzba zna takich ludzi, którzy będą robić dużą telewizję, na całą Polskę. Satelitarną. Nowy, zupełnie nowy program. Tu jest niby w mieście prywatna telewizja, jakiś były esbek sobie tak dorabia, ale to nie ta liga, nie ta skala. Więc na razie kable, ale jakby ruszyło z tą satelitarną... Nie będę się zastanawiać. Jak trzeba, przeniosę się do Warszawy. Chociaż nie lubię. Co, radio? Mówiłam ci, co warte takie radio. Lokalna sprawa, a ja mam język, amerykańskie doświadczenie...

Anglik łyknął sobie jeszcze beczkowego, stwierdzając, że jak na *lager*, łagodne, ale do wypicia. Dyzio trącił się



z nim płaską srebrną piersiówką, pamiątką ze statku. Stali na małym cyplu obok barki, która zdążyła się wzbogacić o liczną i dość już pijaną załogę. W górze, na kładce, błyskała latarka Kici.

DYZIO, 1'56'': – Co ona taka zła? Przygadałeś jej? Ja się nie wtrącam, ale jako przyjaciel... A, o moich planach artystycznych? Już mówię. Tu się dalej w muzyce niewiele dzieje, a wiesz, mnie to przestało wystarczać. Nie ma gdzie pograć, co najwyżej w Niemczech, w ogródkach piwnych można dyndolić. Zacząłem, widziałeś, robić w reklamie, ale to ciężki kawałek chleba, człowiek się naużera, wszystko dla klienta jest nie tak... Ale jest nowy pomysł. Grałem w Warszawie sztukę z takimi ludźmi, co mają dojsie do jednej firmy, co to pewnie słyszałeś. Najważniejsza firma w kraju, nowa, i bardzo czujni goście. Nie tylko szmolec tłuką, mają podejście do kultury. Wiesz, ile obrazów, ile Kossaków kupili? Nieważne, w każdym razie tam są wśród nich muzycy, prawdziwi muzycy. I oni teraz wyszli z taką inicjatywą, żeby w Częstochowie zrobić taki wielki koncert latem. Religijny. Oni, ci muzycy, Donna Summer, najwyższa hierarchia. I milion pielgrzymów. Albo dwa miliony. Dlatego staję na głowie, żeby wejść do tej ekipy. To byłby dla mnie koncert życia, poza tym, wiesz, byłbym od razu ustawiony, bo to są poważni goście... Całą produkcję z Ursusa na pniu kupili. Oni już wiedzą, po co. Wiedzą, co się opłaci, nawet jak się innym nie opłaca. Mają dojsia, jakie chcesz. I wtedy będę mógł przestać grać. Ile można tak pitolić te nutki? Lubię Coltrane'a i lubię Breckerów, ale tak całe życie? A tu będą wybory lokalne, za jakiś czas, i tak się zastanawiam... Myślisz, że by głosowali na mnie? Tyle tu grałem, nawet w podziemiu... Ludzie pamiętają, a wiesz... Teraz nawet zwykły radny dużo

może. Przyblokować może coś komuś... Ale nie musi... Byłbym pierwszym politykiem, który umie grać na dęciaku, co? Tylko gębę trzeba pokazać, ludzie muszą się z tobą oswoić. Telewizja za droga, ale wiesz, jest zawsze radio. Powiem ci wprost, pasuje mi to radio, tylko skład trzeba by zmienić...

Ognisko podsycane drążkami z pobliskiego płotu i przypadkowymi patykami paliło się o tyle, o ile, za to dymiło niemiłosiernie, ale wieczorny piknik z minuty na minutę nabierał wigoru. Oprócz piasta z beczki było jeszcze butelkowe piwo z багаżników, a potężny odtwarzacz pchał nad trawami falę punk-bluesa Recydywy. Zza rzeki, spoza betonowego ogrodzenia zoo, w kontrapunkcie wtórował temu zgiełkowi ryk lwów; choć może tylko bawołów? Anglikowi nie zależało, żeby to sprawdzać. Z pękatą flaszką piwa w ręku stał na trawiastym cypelku nad wodą. Przed sobą miał trzciny, ciemną wodę i jeszcze ciemniejszą burtę rdzawej barki. Muzyka kołysała go miło, a przy każdym takim poruszeniu metalowe pudło magnetofonu uspokajająco uderzało go w biodro. Na pokładzie barki dwaj imprezowicze z wrzaskiem „Zorro!” przypalali się nawzajem pochodniami. Inni, buszując w trzcinach, usiłowali polować na dzikie kaczki.

Odtwarzacz umilkł nagle, a jednocześnie silny reflektorek podświetlił od strony łąki trzy postacie stojące wysoko na kładce. Rozproszone dotąd po całej łące towarzystwo zaczęło podchodzić bliżej.

– Pora zaczynać, zanim się wszyscy strąbią – mruknął Carlos, który nie wiedzieć kiedy wyrósł obok Anglika. Miał piwną pianę na wąsach. Od drugiej strony w tejże chwili podeszła do Anglika Lidka.

– Słyszałam, że z nami zostajesz?

Nim zdążył odpowiedzieć, z kładki błysnęła złota trąba saksofonu i w łąkowy przestwór popłynęły nuty sygnału. Anglik nastawił uszu, bo znał przecież tę melodię, stary protestancki hymn Parra. Nie zdziwiło go specjalnie, że słyszy to, co słyszy – w rozmaitych przeróbkach melodia jako triumfalne beczenie zdążyła trafić do filmów i do klasyki rocka. Zdumiało go natomiast, zachwyciło wręcz, że przez wszystkie te lata przeniósł w pamięci każde słowo. Czuł teraz, że znów stoi w zimnej kaplicy Świętego Edmunda w swojej dawnej szkole z internatem i wychylając chudą szyję ze sztywnego kołnierzyka, wraz z setką innych opryszczonych chłopców śpiewa:

*Czy Stopy te w pradawny czas  
Szły przez zieloność Anglii wzgórz?  
Czy się Baranek Boży pasł  
Jako łagodnych łąk tych stróż?*

*I czy Najświętsze Lico Twe  
Jaśniało przez obłoczny dym?  
Czy Jeruzalem wzniosło się  
Tu, gdzie Szatana mroczny młyn?*

Dyzio oderwał usta od stroika po kilkunastu taktach, a stojący obok niego na kładce Gipson i Bozia nachylili się nad workiem i wspólnie, ostrożnie, jak gdyby dźwigali kamień młyński, podnieśli wysoko dziwną, kolorową bryłę. W świetle reflektorka Anglik rozpoznał w niej wielkiego krasnala ogrodowego. Łąkowy tłumek zarechotał.

– Co to ma być? – prędko zapytał Anglik Carlosa.  
– Jak to, co? Marzanna! Dzisiaj był pierwszy dzień wiosny!  
– To co?

– Koniec zimy. Kłopoty niech płyną z prądem – wyjaśniła mu Lidka.

– Ale krasnal?

– Prima sort, eksportowa produkcja do Niemiec. Stoją przy wszystkich trasach wylotowych, nie widziałeś? Tyle ich kiedyś malowaliśmy po murach, i wystarczy. – Carlos roześmiał się na samo wspomnienie. – A co ty byś chciał? Lenina byś chciał sfilmować, jak topimy, albo jakąś Marzannę ze szmat? Tu nie Cepelia.

– Aha? – Anglik nie miał pojęcia, co to Cepelia.

– A poza tym... – Carlos nie dokończył, bo spiczasta czerwona czapa krasnala zatoczyła wielką parabolę w powietrzu. Bury nurt Odry wyplusnął do góry, mignęły jeszcze gipsowe stopy w czerwonych papuciach i ręka z latarenką, a potem na wodzie znać było już tylko powolny, coraz niklejszy wir.

Wszyscy zawrzeszczeli radośnie. Wrzasnęli zaraz jeszcze głośniejsze, kiedy wydobyty z worka następny gipsowy krasnal – tym razem w niebieskiej czapeczce i z grzybkiem – przeleciał nad poręczą i roztrzaskał się na tysiąc kawałków o blaszany pokład barki. Po nim o blachę huknął następny.

– Zwycięstwo!!! – darli się na górze Gipson i Dyzio, sięgając do worka po czwartego skrzata.

– Nie „zwycięstwo”, tylko koniec bajek – mruknął do Anglika Carlos i czubkiem włoskiego półbuta potrącił gipsowy odłamek, który wylądował mu pod nogami. Anglik kolebał się na brzegu i nie odrywał wzroku od kładki, w oczekiwaniu na następne cuda, i dlatego nie dostrzegł, jak rozchichotana Mrówa sięga po wielką raketnicę, pamiątkę z likwidacji schronu pod dworcem, jak łamie lufę, wprowadza rozpryskową racę do komory i wątlymi dłońmi ściskając

kolbę, celuje w niebo tuż przy uchu Anglika. Huk był tak przeraźliwy, że Anglik sam nie wiedział, kiedy się znalazł w rzece. W czerwonym rozbłysku nad głowami Carlos i Lidka zobaczyli go po pępek w mulistej wodzie i jak na komendę parsknęli śmiechem. Anglik uśmiechnął się krzywo, wyciągnął z wody ociekający, ubłocony magnetofon i prosząco wyciągnął dłoń w stronę brzegu. Carlos i Lidka nachylili się, pochwycili ją krzepko, po czym Lidka potknęła się w mokrej trawie i sama także w nieuchronnym poślizgu, w swoich białych dzinsach, na pupie zjechała do rzeki – a w ślad za nią Carlos, który do końca próbował ją ratować. Stali w wodzie we trójkę, tuż przy brzegu, omywani powolnym prądem, czując, jak stopy zaczynają im się zapadać w błocko. W górze huknęła kolejna raca. Iskry posypały się do wody i na pokład barki. Anglik cisnął ociekający magnetofon w trzciny i spróbował wydrapać się na brzeg, lecz znowu się poślizgnął i skąpał, tym razem po szyję. Marcowa woda była okropnie zimna i śmierdząca. Teraz wszyscy troje stali w niej po pas i śmiali się tak głośno, jak jeszcze nigdy w życiu.

*Oquossoc 1998–1999*

## Spis treści

### Część pierwsza: ANGLIK Z WODY

Anglik z wody	7
Mordercy polskich kur	29
Jaz nad Odrą	52

### Część druga: WYSPA OGNIA

Noc żywych Polaków	89
Zoe	89
Pomniejszenie	89
Klaps	93
Zwiastowanie	96
Spacer po arboretum i herbatka w oranżerii	100
Dis City	108
Łączność wszechrzeczy	109
W każdym porcie po torcie	117
Tom's Diner	124
Seminarium	128
Transylvania Station	132
Port Authority Bus Terminal	135
Pogromcy duchów	140

Gwiezdne wojny	146
Tres Amigos	148
Ojcowie	149
Królowa	151
Nieprawda	153
Pogromcy duchów II	155
Bzik tropikalny	158
Konfrontacja	159
Ikonoklazm	160
Król-Duch	163
Pocałunek kobiety-pająka	166
Na skale czarnej	169
Iluminacja	171
Anioł nakazuje szukać	173
Lwowskie dzieci	173
Wyspa Ognia	177
Hala odlotów	177
La Isla Bonita	197
Ahumada	219
Część trzecia: RADIO CARLOS	
Święto wiosny	241
Ile kamieni w bruku	272
Niskie Łąki	303